

Jacek Piekara

Młot na czarownice

Wydanie polskie: 2003



Motto:

Obleczcie pełną zbroję Bożą, byście się mogli ostać wobec podstępnych zakusów diabłów. Stańcie do walki przepasawszy biodra wasze prawdą i oblókszy pancerz, którym jest sprawiedliwość, a obuwszy nogi w gotowość głoszenia dobrej nowiny.

św. Paweł, List do Efezjan

I wielu fałszywych proroków powstanie i wielu zwiodą.

Ewangelia według św. Mateusza

Ogrody pamięci

Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hezhezonu. Dobrotliwym, łagodnym i przepełnionym pokorą oraz bojaźnią Bożą człowiekiem, który swe powołanie odnalazł w pocieszaniu grzeszników, w naprowadzaniu ich na drogę wytyczoną przez Boga Wszechmogącego, Aniołów oraz święty Kościół... – gdybym pisał pamiętniki, tak właśnie powinny one się zaczynać. Ale ja nie piszę pamiętników i nie sądzę, bym kiedykolwiek zaczął to robić. Nie tylko z uwagi na fakt, iż są takie miejsca w duszy i myślach człowieka, w które zaglądać nigdy nie należy, ale też z powodu nędznej przyziemności mej pracy. Jestem tylko jednym z wielu robotników naszej Świętej Matki, Kościoła. Sługą Bożym. Najczęstsze wydarzenia w moim życiu to walka z pluskwami oraz wszami w karczmie Pod Bykiem i Ogierem, gdzie mieszkam dzięki uprzejmości właściciela, weterana spod Schengen. A my, którzy przeżyliśmy tę masakrę, mamy zwyczaj trzymać się razem i pomagać sobie nawzajem, choćby dzieliły nas różnice w zawodzie, pochodzeniu lub majątku.

Tego dnia leżałem w pokoju na piętrze karczmy i wsłuchiwałem się w jazgot wichury za okiennicami. Lato właśnie odchodziło, zaczęły się pierwsze zimne, dżdżyste dni. I całe szczęście, gdyż wtedy smród rynsztoków, i tego największego z nich, umownie nazywanego tu rzeką, wydawał się ustępować. A wasz unizony sługa ma niezwykle czułe powonienie i odór gnijących odpadków oraz nieczystości budzi jego, jakże uzasadniony, wstręt.

Rozmyślałem nad własnym, wysublimowanym poczuciem estetyki, kiedy usłyszałem kroki na schodach. Najbardziej rozchwierutany stopień skrzypnął przeraźliwie, a ja uniosłem się na łokciach i spojrzałem w stronę drzwi. Rozległo się ciche pukanie.

– Wejść – powiedziałem i drzwi uchyliły się.

W progu zobaczyłem kobietę okutaną w wełnianą, szarą chustę. Jej twarz była barwy chusty, a długi, haczykowaty nos sprawiał, że wyglądała jak czarownica z sabatowych sztychów. Ach, zresztą mylne wyobrażenie, mili moi. Zdziwilibyście się, wiedząc, że piękne i dobrze urodzone kobiety potrafią oddawać się diabłu. Bo i czegoż miałby on szukać u wyschniętych, wyblakłych niewiast, jak ta, która odwiedziła mnie w pokoju? Wiadomo, że

również diabłu bardziej podobają się urodziwe młódki o świeżych policzkach i stromych piersiach. Niemniej kobieta, która mnie odwiedziła, miała piękne, zielonkawe oczy i czujne spojrzenie ptaka.

– Mistrzu Madderdin – powiedziała, pochylając głowę. – Czy zechcecie mnie przyjąć?

– Proszę – odparłem i wskazałem zydel, a ona przysiadła na jego skraju. – Czym wam mogę służyć?

– Nazywam się Verma Riksdorf, szlachetny mistrzu, i jestem wdową po kupcu zbożowym Amandusie Riksdorfie, zwanym Żyłą.

– Aż tak ostrożny był w planowaniu wydatków? – zażartowałem.

– Nie, panie. – Zauważyłem, że rumieniec pojawił się na jej policzkach. – Przewano go z innego powodu...

Chciałem spytać z jakiego, ale nagle się domyśliłem i roześmiałem.

– Ach, tak – powiedziałem, a ona zaczerwieniła się jeszcze bardziej. – Słucham więc, Vermo. Z jaką sprawą do mnie przychodzisz?

– Potrzebuję pomocy. – Podniosła wzrok i spojrzała na mnie twardo. – Pomocy kogoś znacznego, niestrachliwego i gotowego, by odbyć podróż.

– Gdybym był znaczny, nie mieszkałbym w tej oberży, odbycie podróży w czasie jesiennych deszczów nie uśmiecha mi się, a dnie i noce spędzam w bojaźni Bożej – odparłem. – Źle trafiłaś, Vermo. Do widzenia.

– Ależ panie – usłyszałem zaniepokojenie w jej głosie. – Polecili mi ciebie przyjaciele przyjaciół. Mówią, że jesteś człowiekiem, którego siła jest równa stanowczości, i że nie masz sobie równych w śledzeniu diabła oraz jego uczynków.

– Przesada – ziewnąłem, bo byłem odporny na pochlebstwa. Chociaż... zawsze to grzeczne słowa mile łechcą serduszko.

Nic, tak jak początkowa obojętność, nie wpływa na zwiększenie kwoty, którą klient zamierza oferować za usługi. A skoro była wdową po kupcu zbożowym, liczyłem, że dysponuje czymś więcej niż tylko wdowim groszem. Chociaż jej strój zdawał się zaprzeczać moim podejrzeniom. Niemniej widziałem już księżniczki wyglądające niczym żebraczki. Tak, tak, niewiele rzeczy pod szerokim niebem jest w stanie zadziwić waszego uniżonego sługę.

– Nie jestem bogata – powiedziała, a ja wzruszyłem ramionami. Czy klienci nie mogliby wymyślić innej śpiewki? – Ale jestem w stanie wiele ofiarować w zamian za niewielką przysługę.

Gdyby przysługa była rzeczywiście niewielka, nie szukałabyś drogi do mnie. A gdybyś była piękna, znalazłbym sposób, w jaki możesz się odwdzięczyć – pomyślałem, ale nic nie odrzekłem. Patrzyłem na nią chwilę w milczeniu.

– Mów – zdecydowałem w końcu. – Ostatecznie i tak nie mam nic do roboty.

Gdyby była uroczą, młodą kobietą, być może zaproponowałbym jej kieliszek wina, ale ponieważ wyglądała, jak wyglądała, więc nawet nie chciało mi się wstać z łóżka.

– Mam siostrę, która mieszka w Gewicht, czterdzieści mil na północ od Hezu – zaczęła. – To mała miejscowość, a siostra przeniosła się tam po ożenku z kupcem bydła Turelem Vosnitzem, zresztą wbrew woli rodziców, gdyż...

– Nie musisz opowiadać mi historii swojej rodziny. – Uniosłem dłoń. – Lubię tylko zajmujące opowieści.

Zacisnęła wargi, ale nic nie odparła.

– Ta będzie zajmująca. Obiecuję – rzekła dopiero po chwili.

– Skoro obiecujesz... – skinąłem, by mówiła dalej.

– Siostra chowa ośmioletniego synka – powiedziała. – I doniosła mi, że dziecko ma pewne... – urwała, nie wiedząc, co powiedzieć, i nerwowo zacisnęła dłoń. – Czy mogłabym dostać kubek wina?

Wskazałem ręką stół, na którym stały dzbanek i dwa brudne kubki. Wytarła jeden krajem chusty – cóż za dbałość o czystość! – i nalała wina.

– A wy, mistrzu? – zapytała, i nie czekając na odpowiedź, napełniła drugi kubek. Podała mi go.

Usiadła z powrotem na zydlu i spojrzała pod nogi, bo potrafiła stopą leżącą na podłodze książkę. Było to „Trzysta nocy sułtana Alifa”, niezmiernie interesująca opowiadka, którą otrzymałem od mego przyjaciela, mistrza drukarskiego Maktoberta. Znowu zobaczyłem, że się zaczerwieniła. No, no, jeśli ten tytuł coś jej mówił, to musiała nie być taka wyblakła i nieciekawa, na jaką wyglądała. „Trzysta nocy sułtana Alifa” znajdowało się, oczywiście, na indeksie ksiąg zakazanych, ale akurat na tego typu publikacje patrzono przez palce. Sam widziałem ozdobny, wypełniony nad wyraz realistycznymi rycinami, egzemplarz u Jego Ekscelencji Gersarda, biskupa Hez-hezronu. Ha, trzysta nocy, trzysta kobiet – ciekawe życie prowadził sułtan Alif! Nawiasem mówiąc, powiadka kończyła się jednak smutno, bo sułtana, pochłoniętego nieustannym chędożeniem i nie zajmującego się sprawami państwa, kazał zabić wielki wezyr.

– Po cóż, ach, po cóż swym chuciom hołdowałem

W objęciach nałożnic szukając rozkoszy?

Żaluję tych postępów w obliczu Boga

Patrząc na miecz, co mnie wypatroszy – mówił sułtan pod koniec i był to monolog tak straszny, że aż zęby bolały. Podobno zresztą dodano go wiele lat po śmierci autora, chcąc opowiadkę doprawić moralizatorskim smaczkiem. Całkiem możliwe, gdyż niezmierzona była zawsze fantazja kopistów oraz drukarzy.

Tak zamyśliłem się nad sułtanem Alifem i kolejami jego życia, że prawie zapomniałem o siedzącej obok kobiecie.

– Czy mogę mówić dalej? – zapytała.

– Ach, wybaczcie – odparłem i upiłem łyk wina. Czy ja kiedyś nauczę Korfisa, by chociaż zawartości moich dzbanków nie chrzcził wodą?

– Synek siostry ma szczególny dar – mówiła i widziałem, że przychodzi jej to z trudem. – W dni święte przeguby jego dłoni oraz golenie pokrywają się krwawymi ranami...

Uniosłem się wyżej na łóżku.

– ... Takież rany robią mu się na czole, gdzie Panu naszemu barbarzyńcy włożyli cierniową koronę.

– Stygmaty – powiedziałem. – A to ładnie.

– Tak, stygmaty – powtórzyła. – Siostra ukrywała to jak długo mogła, ale w końcu rzecz się wydała.

– I...?

– Miejscowy proboszcz pokazuje chłopca w czasie kościelnych świąt. Ludzie zjeżdżają się z daleka, by na niego patrzeć. No i oczywiście...

– Składają hojne datki – dokończyłem za nią.

– Właśnie – westchnęła. – Tyle że, mistrzu Madderdin – wciągnęła głęboko powietrze. – Sprawa bardzo zajęła miejscowych inkwizytorów.

– Inkwizytorzy? W Gewicht? – zapytałem, bo znam wszystkie lokalne oddziały Inkwizytorium, a o takim miasteczku nigdy nie słyszałem.

– Nie, przyjechali z Cloppenburga – wyjaśniła.

I to się zgadzało. Byłem niegdyś w Cloppenburgu i sam widziałem mały, murowany budynek Inkwizytorium, a nawet spożyłem tam wieczerzę. Bardzo interesującą wieczerzę, jak się potem okazało, gdyż dzięki niej odnalazłem w mej pamięci dawno wygasłe wspomnienia.

Niespecjalnie dziwiłem się, że inkwizytorzy ruszyli śladem domniemanego cudu. W końcu byliśmy tylko gończymi pieskami, a tu trop był aż nadto wyraźny. Proboszcz nie wykazał się inteligencją, nagłaśniając to, co się działo z dzieckiem. Czy nie uczono go, że w najgorszym wypadku może skończyć na stosie razem z chłopcem i jego matką? My, inkwizytorzy, nie lubimy cudów, bo wiemy, że wiele jest obliczy Bestii i znamy jej zdradliwe działania. A na torturach każdy przecież przyzna, iż jest konfratrem diabła.

– Przykra sprawa – powiedziałem szczerze, bo żal mi było chłopca. – Ale cóż ja mogę poradzić?

– Jedźcie tam, mistrzu – poprosiła z żarem w głosie. – Błagam was, jedźcie i zobaczcie, co da się zrobić.

– Nie mogę kontrolować pracy miejscowych inkwizytorów.

Była to nie do końca prawda, gdyż mając licencję z Hezu, uzyskiwałem teoretyczną władzę nad wszystkimi szeregowymi inkwizytorami z lokalnych oddziałów Inkwizytorium. Czy zwróciliście uwagę na słowo „teoretyczną”, mili moi? Otóż miejscowi inkwizytorzy bardzo nie lubili, jeśli ktokolwiek wtrącał się w ich sprawy, a niepisany kodeks mówił, że bez polecenia biskupa staramy się nie wchodzić nikomu w drogę. I bardzo słusznie. Mamy dość wrogów na całym świecie, by jeszcze tworzyć sobie następnych, we własnym gronie. Ale

przecież i u nas trafiały się parszywe owce, które należało eliminować. Lecz to nie było rolą waszego uniżonego sługi, a od tych, którzy się tym zajmowali, wolelibyście się trzymać z daleka. Przypomniałem sobie Mariusa von Bohenwalda – łowcę heretyków – i zrobiło mi się zimno. Choć zwykle nie mam strachliwego serca, a Mariusa mogłem wspominać przecież tylko z wdzięcznością, gdyż uratował mi życie.

– Po prostu zobaczcie, co się dzieje – powiedziała niemal płaczliwym tonem. – Mam trochę oszczędności...

Uniosłem dłoń.

– To nie tylko kwestia honorarium – powiedziałem. – Ale zrobię dla ciebie jedno, Vermo. Powiadomię o wszystkim Jego Ekszelencję biskupa. Być może zechce, bym przyjrzał się sprawie. Wróc do mnie za dwa, trzy dni, a poinformuję cię, co uzyskałem.

* * *

Jego Ekszelencja Gersard – biskup Hez-hezronu i zwierzchnik Inkwizytorium – miewał kaprysy, niczym rozpieszczona kobieta. Czasami kazał mi antyszambrować codziennie w swojej kancelarii (zwykle zresztą bez wyraźnego celu), a czasami całymi tygodniami nie zajmował się moją skromną osobą. Co zresztą nad wyraz mi odpowiadało, gdyż mogłem poświęcić się wtedy sprawom tak nieważnym z wysokości biskupiego tronu, jak zarabianie na kęs chleba i łyżeczek wody. Fakt, że ja sam proszę o audiencję, musiał go zdziwić na tyle, że zezwolił mi przyjść już następnego dnia rano. Miałem tylko nadzieję, że Jego Ekszelencja nie będzie właściwie cierpieć na atak podagry, gdyż wtedy konwersacja z nim przebiegała w nad wyraz nieprzyjemny sposób. Niedawno usłyszałem plotki, że medycy odkryli u Gersarda również hemoroidy, i wiadomość ta nie poprawiła mi humoru. Jeśli Jego Ekszelencję zaatakują jednocześnie i podagra, i hemoroidy, to życie nas – inkwizytorów stanie się nad wyraz nędzne.

Ubrałem się, jak przystało człowiekowi mojej profesji: w czarny kubrak z wyhaftowanym złamanym, srebrnym krzyżem na piersi, zarzuciłem na ramiona czarny płaszcz i założyłem czarny kapelusz z szerokim rondem. Nie przepadam za służbowym strojem, zwłaszcza że moje zajęcia bardzo często wymagają utrzymywania incognito. Ale na oficjalną audiencję nie wypadało przychodzić w cywilnym ubraniu. Zresztą Gersard potrafił być bardzo nieprzyjemny dla osób naruszających zasady etykiety.

Kiedy dotarłem pod drzwi biskupiego pałacu, byłem już przemoczony niczym bezdomny pies. Z ronda kapelusza spływały mi krople wody, a płaszcz przylegał do ciała jak mokra szmata.

– Psia pogoda, mistrzu Madderdin – powiedział ze współczuciem strażnik, który miał szczęście stać pod okapem. – Zerknął, czy nikogo nie ma w pobliżu. – Naleweczki? – mrugnął.

– Synu, lejesz miód na moje serce. – Przechyliłem bukłak do ust.

Piekąca, mocna jak zaraza, śliwowica sparzyła mi wargi i gardło. Odetchnąłem głęboko i oddałem mu manierkę.

– Ale trucizna – powiedziałem, łapiąc powietrze. – Musisz mi powiedzieć, gdzie robią takie specjały.

– Tajemnica domu. – Uśmiechnął się szczerbatym uśmiechem. – Ale jeśli pozwolicie, przyślę wam przez chłopaka duży dzbanek.

Poklepałem go po ramieniu.

– Zyskasz moją dozgonną wdzięczność – odparłem i przekroczyłem progi pałacu.

Kancelista czuwający przed apartamentami biskupa tylko westchnął, widząc mój opłakany wygląd, i pokazał, abym usiadł.

– Jego Ekscelencja zaraz was przyjmie, inkwizytorze – powiedział sucho i wrócił do papierów, które w nierównych stosach zaścielały blat biurka.

Kichnąłem i przetarłem nos wierzchem dłoni.

– Boże daj zdrowie – rzekł, nie podnosząc na mnie oczu.

– Dziękuję – odparłem i podałem płaszcz oraz kapelusz służącemu, który pojawił się zza bocznych drzwi.

Nie zdążyłem się naczekać, kiedy zza drzwi apartamentów wychynął blady sekretarz Gersarda. Był nowy w pałacu i mogłem mu tylko serdecznie współczuć. Ekscelencja zmieniał sekretarzy, jak rękawiczki. Nie, żeby był taki wymagający. Najczęściej sami nie wytrzymywali biskupich humorów oraz całych dni pijaństw, przerywanych wieloma godzinami wytężonej pracy. Trzeba przyznać, że biskup mimo podagry, hemoroidów (jeśli ta plotka była, rzecz jasna, prawdziwa), starszego wieku oraz lat nadużywania jedzenia i trunków, miał zdrowie niczym koń.

– Jego Ekscelencja prosi – oznajmił i zauważyłem, że przygląda mi się ciekawie.

Odpowiedziałem spojrzeniem, a on szybko uciekł z oczami. Cóż, niewielu ma ochotę bawić się z inkwizytorem w grę pod tytułem: „zobaczmy, kto szybciej odwróci wzrok”.

Biurowe apartamenty biskupa były urządzone nader skromnie. W pierwszym pokoju znajdowały się półkolisty stół i szesnaście zdobionych krzeseł. Tutaj odbywały się wszelkie większe narady. Nawiasem mówiąc, odbywały się bardzo rzadko, bo biskup nie znośił rozmawiać w tłumie i wołał krótkie spotkania w cztery, najwyżej sześć oczu. A one odbywały się w drugim pokoju, gdzie tkwiło ogromne, palisandrowe biurko. Miało tak wielki blat, że mogłoby być pokładem średniej wielkości łodzi. Biskup zasiadał przy jednym jego krańcu (obok rzeźbionych głów lwów), a swych gości sadzał na drugim krańcu. W pokoju znajdowały się jeszcze tylko dwie wypchane papierami sekretery, ciągnący się przez całą ścianę regał pełny ksiąg oraz maleńka, przeszklona szafka, w której lśniły kryształowe kielichy i butla lub dwie dobrego wina. Wiadomo było, że biskup lubił często raczyć się winkiem i niekiedy miał kłopoty z wychodzeniem z kancelarii o własnych siłach.

– Witaj, Mordimer – powiedział serdecznym tonem.

Z ulgą zauważyłem, że siedzi wygodnie rozparty w krześle, a rąk nie ma zawiniętych w bandaż. Oznaczało to, iż dzisiaj nie męczą go ani hemoroidy, ani podagra, co dobrze wróżyło wszystkim pragnącym wyluszczyć mu swoje prośby. Po uśmiechu i oczach poznałem również, że ani nie ma kaca, ani wyrzutów sumienia związanych z piciem (co również mu się niestety zdarzało i kto wie, czy nie było gorsze niż ataki podagry). Przed Gersardem stała do połowy opróżniona butelka wina i kielich z resztką trunku, a sam biskup sprawiał wrażenie leciutko podchmielonego. Ot, miał szczęście biedny Mordimer i trafił w dobry czas.

– Co cię sprowadza? – Zamachnął się szeroko, pokazując, abym usiadł, a ja posłusznie przysiadłem na brzegu krzesła.

– Weź kieliszek – dodał, machając tym razem drugą dłonią – i nalej sobie. Przednie wino – czknął lekko. – Ci przekłęci doktorzy mówią, że mam wrzody i nie powinienem pić – urwał, przypatrując mi się bystrze. – A wiesz dlaczego, Mordimer?

– Gdyż kwas zawarty w winie drażni chory żołądek? – poddałem.

No, no, zapowiadało się nieźle. Jeśli Jego Ekscelencja będzie miał kompanię chorób złożoną z podagry, hemoroidów i wrzodów, to życie jego pracowników stanie się nad wyraz żałosne.

– Właśnie – zachmurzył się. – Dokładnie tak mówią. Rozmawiałeś z nimi?

– Nie, Wasza Ekscelencjo – zaprzeczyłem gwałtowniej niż chciałem. – Anatomia i fizjologia oraz pewna biegłość w leczeniu prostszych przypadłości była elementem mojego wykształcenia.

– Prostszych przypadłości, mówisz... No tak, Mordimer, zapomniałem, jaki jesteś uczony.

Oho, Jego Ekscelencja stawał się zgryźliwy. Niedobrze. A ja popełniłem niewybaczalny błąd, sugerując, iż wrzody są jedynie prostszą przypadłością. Kiedyż ty się nauczysz dworskiego życia, biedny Mordimerze? – zapytałem sam siebie.

– Każą mi pić takie świństwa – poskarżył się biskup, tym razem dość żalonym tonem. – Śmierdzi to to jak rzygowiny, a smakuje – machnął znowu ręką – lepiej nie mówić.

– Doradzałbym mleko, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem najłagodniej jak potrafiłem. – Kiedy czuć tylko pieczenie, kubek świeżego mleka...

– Mleko? – spojrzał na mnie podejrzliwie. – Kpisz, Mordimer?

– Gdzieżbym śmiał – zaprzeczyłem szybko. – Na zgagę, wrzody i przypadłości żołądka mleko jest najlepsze. Proszę mi wierzyć.

– Może i mleko – podrapał się w podbródek. – Wolę mleko niż te ich trucizny. A może... – Coś błysnęło niebezpiecznie w jego oku. – Może oni chcą otruć swojego biskupa?

Na miecz Pana, Jego Ekscelencja musiał być bardziej pijany niż sądziłem! Widocznie opróżniona do połowy butelka nie była pierwszą, która gościła dzisiaj na biskupim stole.

– Nikomu nie można ufać, Wasza Ekscelencjo – powiedziałem – oprócz świątobliwych mężów, takich jak wy. Jeśli Wasza Ekscelencja wyda rozkaz, każę ich wy badać.

– Eee, gdzie ja potem znajdę następnych? – westchnął po chwili i pokręcił głową. – Już ja znam twoje przesłuchania, Mordimer. Myślisz, że zapomniałem, jakżeś badał kuzyna hrabiego Werfena?.

Wolałem się nie odzywać, bo sprawa była dawna i już niegdyś za nią zapłaciłem biskupią niełaską. Zresztą kuzyn hrabiego Werfena zmarł nie z mojej winy, bo nawet nie zdążyłem go dotknąć, tylko serdecznie i spokojnie wyjaśniałem mu zasady działania naszych narzędzi. A on zatrzepotał powiekami, zachłysnął się powietrzem, poczerwieniał i oddał duszę Bogu. Strasznie delikatna była nasza szlachta, ale wolałem nie zagłębiać się w dyskusje na ten temat, więc tylko kornie pochyliłem głowę.

– Badał, badał i wybadał – mruczał niezadowolony biskup. – A ja muszę potem tłumaczyć, czemu moi inkwizytorzy mordują szlachtę. Dlaczego ja ci właściwie nie odebrałem wtedy licencji, co Mordimer? – zasepił się.

Jeśli spyacie, mili moi, czy wasz uniżony sługa żałował, że poprosił o audiencję u biskupa, to zapewne znacie odpowiedź: tak, żałował. I chętnie znalazłbym się już we własnym pokoju, bo towarzystwo wszy oraz pluskiew było znacznie przyjemniejsze i – co ważne – znacznie bezpieczniejsze niż towarzystwo Gersarda.

– No dobrze – odetchnął głęboko. – Skoro mówisz mleko, spróbujemy mleko. Tylko czy ja nie będę miał po nim sraczki? – zaniepokoił się. – Ale w sumie lepsza sraczka niż wrzody – dodał zaraz. – A medykom każę pić te ich driakwie. Niech sami zobaczą, jakie to przyjemne. Aha, a czegoś ty ode mnie właściwie chciał, Mordimer?

– Pozwoliłem sobie poprosić o audiencję, by wyłuszczyć Waszej Ekscelencji pewien problem...

– Problem – przerwał biskup. – Zawsze tylko problemy, które ja – mocno zaakcentował ostatnie słowo – muszę rozwiązywać. No dobrze – westchnął znowu. – Mów, skoro jesteś.

Króciutko, zwięźle i jak najszybciej wyłuszczyłem biskupowi sprawę, z którą przybyła do mnie Verma Riksdorf. Pokiwał głową.

– I co? – zapytał.

– W związku z tym chciałbym prosić o oficjalną delegację do Gewicht – powiedziałem.

– Czyś ty na głowę upadł, Mordimer? – Jego Ekscelencja nie był nawet rozdrażniony, tylko zdumiony. – Czy myślisz, że ja nie mam większych problemów niż stygmaty jakiegoś gówniarza? Gdybym chciał do każdej takiej sprawy wysyłać inkwizytora, musiałbym mieć ich całą armię.

Zamyślił się przez moment i zobaczyłem, że sama perspektywa musiała mu się spodobać. Mnie akurat mniej, gdyż każdy zawód jest tym cenniejszy, im bardziej elitarny. Może nie byliśmy elitą w pospolitym tego słowa znaczeniu, ale też inkwizytorem nie mógł zostać byle kto. Miało to również swoje minusy, gdyż jak mówi Pismo: *Żniwo wprowadzie wielkie, ale robotników mało*.

– Ośmielam się tylko przypomnieć Waszej Ekscelencji, że sprawą zajęli się inkwizytorzy

z Cloppenburga. Być może więc nie jest ona podobna do innych.

– Niby tak – mruknął, a potem spojrzał na mnie byстрыm wzrokiem. – Zaraz, zaraz, Mordimer, czy wy przypadkiem nie macie jakiegoś cholernego, niepisanego kodeksu, który każe nie wtykać nosa w sprawy innych inkwizytorów, chyba że dostało się oficjalne zlecenie?

Zmilkiałem, bo inkwizytorski kodeks honorowy nie był tym, o czym chciałbym i mógłbym rozmawiać z biskupem.

– I ty mnie właśnie o takie zlecenie prosisz – powiedział powoli. – O co tu chodzi, Mordimer? Ta kobieta? Piękna?

– O, nie – roześmiałem się szczerze. – Wręcz przeciwnie.

– Znasz ich rodzinę?

– Nie, Wasza Ekscelencjo.

Upił łyżek wina, skrzywił się i postukał upierścionymi palcami po blacie biurka. Cały czas patrzył na mnie.

– Więc czemu chcesz jechać?

– Stygmaty są niezwykle interesującym zjawiskiem, Wasza Ekscelencjo. I jak przy każdego rodzaju cudzie nie wiadomo, czy bliżej im do świętości, czy diabelstwa. Przyznaję, że interesują mnie zarówno z teologicznego, jak i fizjologicznego punktu widzenia. Bo czymże jest świadectwo przebicia rąk i nóg naszego Pana? Grzesznym przypomnieniem chwil, kiedy Jezus był tylko słabym człowiekiem, czy też świętą oznaką siły Chrystusa, który do samego końca czekał, aż prześladowcy zobaczą Jego boskość i oddadzą Mu cześć? Który wydał się na mękę, by jak najdłużej pozostawić nieprzyjaciołom szansę zrozumienia prawdy oraz odkupienia win, zanim zdecydował się w chwale zejść z Krzyża i pokarał ich ogniem oraz mieczem... – przerwałem, by zaczerpnąć oddechu.

– Ty mi tu nie opowiadaj dyrdymałów, Mordimer – rzekł powoli biskup. – Ilu ludzi mamy w Cloppenburgu?

– O ile się nie mylę trzech, Wasza Ekscelencjo.

– Znasz któregoś?

– Znam – odparłem ostrożnie, bo wpływalismy na głębokie wody.

– Aha – rzekł. – Porachunki – dodał w końcu. – Małe animozjki, awanturki i przepychanki. Chcesz dopieć koledze, Mordimer, co? Bardzo nieładnie – roześmiał się.

– Zawsze w onieśmieleniu podziwiałem bystrość umysłu Waszej Ekscelencji – rzekłem, pochylając głowę. – Lecz zapewniam, że to nie jedyny ani nawet nie najważniejszy powód.

Nie był to może wyszukany komplement, mimo to biskup uśmiechnął się szeroko.

– Bo ja was wszystkich znam, łajdaki – rzekł dobrodusznie. – Znam jak zły szeląg. Tylko dlaczego mam płacić za twoje rozrywki? Oświecisz mnie, mój drogi Mordimerze, w tym względzie?

– Ponieważ z Cloppenburga nie zameldowano o sprawie – odparłem. – Sprawdziłem ostatnie raporty i nie znalazłem nic ani o żadnym dziecku, ani o żadnych stygmatach. A

jednak kobieta twierdzi, że Inkwizytorium zajęło się problemem. Dlaczego więc nie raczyli poinformować o tym Waszej Ekscelencji?

– Nieładnie – powiedział, a jego głos wyjątkowo mi się nie podobał. – Bałagan panuje w Cloppenburgu, co? No to zajrzyj do nich, Mordimer.

Sięgnął do szuflady po kartę papieru, przysunął sobie kałamarz oraz pióro i nabazgrał coś.

– Zgłoś się po pełnomocnictwa i pieniądze – rzekł. – Już ty wiesz, gdzie – parsknął urywanym śmieszkiem. – Z Bogiem, Mordimer.

Wstałem i skloniłem się nisko.

– Pokornie dziękuję Waszej Ekscelencji – powiedziałem.

Machnął tylko ręką.

– Módl się, żeby mleko mi pomogło – burknął i opróżnił butelkę wina do kieliszka. – No, wynoś się, Mordimer, i zostaw mnie mojej boleści.

* * *

Biskupia kancelaria nie słynęła ze szczodrości, a pieniądze, które dostał wasz uniżony sługa, zaledwie miały wystarczyć na podróż. Na szczęście, jak wszyscy inkwizytorzy, miałem prawo do darmowego noclegu oraz posiłku w każdej z placówek Inkwizytorium, więc wiedziałem, że w Cloppenburgu nie będę musiał wydawać gotówki na gospodę.

Verma Riksdorf odwiedziła mnie powtórnie w dzień po wizycie u Jego Ekscelencji. Miała podkrążone, przekrwione oczy i wyglądała jeszcze gorzej niż zeszłym razem.

– Mam dla ciebie dobre wiadomości – powiedziałem. – Jego Ekscelencja zgodził się na moją podróż do Cloppenburga. Teraz pozostaje nam ustalić sprawę honorarium...

– Skoro jedziecie tam służbowo, mistrzu... – opuściła wzrok i zaczęła międląc fałdy sukni. Cały jej dół miała ubrudzony zaschniętym już błotem.

– Mogę jechać, lecz nie muszę – powiedziałem niezgodnie z prawdą, gdyż teraz przecież była to oficjalna delegacja i ciężko byłoby wyjaśnić biskupowi, że chcę zrezygnować z misji, o którą sam prosiłem.

Ale w końcu zamierzałem wycisnąć trochę grosza z wdowy po kupcu Żyle, bo skoro była bogata, to czemu nie miała się tym bogactwem podzielić ze mną? Zwłaszcza, że sama, jak widać, potrzeby miała niewielkie.

– Czy piętnaście koron będzie dobrze? – spytała nieśmiało i cały czas nie podnosiła wzroku.

– Piętnaście – powtórzyłem z przekąsem. – Z kim ty, kobieto, wyobrażasz sobie, że rozmawiasz, co? Z żebrakiem? – podniosłem głos. – Jeśli chcesz mojej pomocy, będzie cię to kosztować pięćset koron. – Spojrzałem na nią bacznie, by zobaczyć, jak zareaguje na taką bezczelność.

O dziwo, na twarzy nie drgnął jej nawet jeden mięsień. Czyżby prowadziła teraz interesy zmarłego męża i przyzwyczaiła się do handlowych rozmów?

– Nie mam tyle – odparła jeszcze ciszej. – Zapewniano mnie, żeście są rozsądnym człowiekiem, mistrzu.

– Rozsądny człowiek lubi być dobrze opłacany za pracę – odparłem. – Ale skoro nie, to nie. Z Bogiem, Vermo.

Ach, poniżające są rozmowy, które musi prowadzić Boży sługa, by zapewnić sobie gotowiznę na drobne wydatki. Nie będę wdawał się, mili moi, w opisy targów z wdową Riksdorf. Ale w efekcie stanęło na stu koronach, gdyż ona targowała się przebiegle, a ja po pierwsze, musiałem jechać do Cloppenburga, a po drugie, ciągnęło mnie tam zarówno zawodowe zainteresowanie, jak i motywy natury, powiedzmy to szczerze, prywatnej. Cóż, w Cloppenburgu niegdyś gościłem przejazdem i na wieczery spotkałem nikogo innego, jak Vitusa Mayo, nazywanego niegdyś Rzeźnikiem. Był szefem miejscowego Inkwizytorium, co oznaczało niezbyt ciekawe zesłanie, bo trudno sobie wyobrazić zrobienie kariery w Cloppenburgu i zwrócenie tam na siebie uwagi przełożonych.

Kim był Vitus Mayo? Koszmarem uczniów Akademii, moi mili. Pracując jako asystent naszych nauczycieli, wykazywał się niezasadnym okrucieństwem, pozbawioną powodów złośliwością i zdumiewającą głupotą. Wykorzystywał swą pozycję, by poniżać słabszych i znęcać się nad młodszymi. Zrozumcie mnie dobrze. Akademia Inkwizytorium nie jest miejscem, gdzie wrażliwe duszyczki mają przeżywać estetyczne i intelektualne uniesienia, a nauczyciele nie chodzą wśród uczniów, ocierając im zasmarkane noski i łezki w kącikach oczu. Akademia to wytężona nauka na granicy ludzkich możliwości, nieustanna praca od świtu po zmierzch i surowa dyscyplina. Akademia jest szkołą życia, ale Mayo nie chciał nas uczyć i przygotowywać do zawodu. Jego jedynym pragnieniem wydawał o się pobłażanie własnym zachciankom, a te zachcianki najczęściej oznaczały bezinteresowne znęcanie się. Nie mógł nas bić, gdyż do tego upoważnieni byli tylko instruktorzy, i to za zgodą starszych wykładowców (nie udzielaną, nawiasem mówiąc, zbyt pochopnie), ale znajdował wiele innych sposobów, by solidnie nadepnąć swoim „ulubieńcom” na odcisk. A wasz uniżony sługa miał nieszczęście należeć do tego rodzaju ulubieńców.

Przez cały okres trwania nauki marzyłem, że kiedy zostanę już absolwentem Akademii, udam się z Vitusem w ustronne miejsce i tam za pomocą pięści oraz kija nauczę go grzeczności. Później zresztą, pod wpływem pewnego godnego pożałowania wydarzenia, moje marzenia znacznie się wyostrzyły. Jednak kilka miesięcy przed egzaminami mój prześladowca został wysłany na staż do jednego z lokalnych oddziałów. No, a potem ochota na zemstę mi odeszła, przysłonięta natłokiem bieżących zajęć. Jednak wspomnienie Vitusa Mayo, jego świńskich, złośliwych oczek, poznaczonych pryszczami policzków i długich bladych palców, którymi zwykle bezwiednie wykonywał ruchy, jakby kogoś dusił lub szarpał, towarzyszyły mi nawet w nocnych koszmarach. Teraz zaś otrzymałem okazję, by nadepnąć mu na odcisk. Jako specjalny wysłannik Jego Ekscelencji oraz licencjonowany inkwizytor z Hez-hezronu miałem pozycję nieporównanie wyższą. Oraz prawo objęcia dowództwa w

cloppenburgskim Inkwizytorium, przynajmniej w ramach zleconego mi zadania. A to oznaczało bardzo wiele, mili moi. I byłem pewien, że Vitus dostanie szafu, kiedy zobaczy pełnomocnictwa waszego uniżonego sługi. Cóż, stare przysłowie mówiło: *Nigdy nie upokarzaj tych, co są niżej od ciebie, bo nie wiadomo, czy nie spotkasz ich, kiedy będziesz spadał.* I oto inkwizytor Mayo miał niedługo przekonać się o prawdziwości tych słów.

* * *

Z Hezu do Cloppenburga prowadził wygodny, szeroki gościniec, przy którym rozłożyły się karczmy, zajazdy oraz oberże. Drogę patrolowali biskupi justycjariusze, więc była ona wyjątkowo bezpieczna, nawet jak na warunki okolic Hezu, które w ogóle należały do jednych z najbezpieczniejszych w Cesarstwie. Miecz sprawiedliwości biskupa był ostry i spadał bezlitośnie na karki wszelkiej hołoty – wagabundów, złodziei, rabusiów czy gwałcicieli, a na kupców – oprócz płacenia dość wysokiego myta – nie czekały żadne niebezpieczeństwa. Ciekawe, że biskup, który tak doskonale radził sobie z utrzymywaniem porządku w swych włościach, nigdy nie usiłował nawet zaprowadzić dyscypliny w samym Hezie, gdzie od złodziei, bandytów, dziwek oraz szulerów aż się roilo.

Cloppenburg był niewielkim, ale bogatym miasteczkiem. Po pierwsze, krzyżowały się tu szlaki handlowe (więc miasto żyło z praw myta i składu), a po drugie, miejscowi rzemieślnicy specjalizowali się w farbiarstwie i w tym fachu nie mieli sobie równych. Istniały kiedyś nawet plany, by przekopać kanał łączący Cloppenburg z rzeką, co spowodowałoby połączenie go drogą wodną z Hezem i Tirianem. Zaraz po ostatniej wojnie z Palatynatem zapędzono do roboty kilka tysięcy jeńców, ale kiedy skończył się ich zapas, to również plany umarły śmiercią naturalną. A sam kanał rychło się osypał, zabagnił i zarósł. Wśród miejscowych cieszył się zresztą złą sławą, bo bajano, że nawiedzają go duchy zmarłych niewolników.

Do Cloppenburga wjechałem tuż przed południem. Założyłem ponownie oficjalny strój: czarny kaftan z wyhaftowanym na piersi połamanym, srebrnym krzyżem, czarny płaszcz i kapelusz z szerokim rondem. Na gościńcu od razu zrobiło się jakby luźniej, a pod cloppenburgskie bramy podjechałem szerokim korytarzem utworzonym z czekających na przepustkę ludzi, którzy nad wyraz szybko się przede mną rozstępowali. Ot, drobne korzyści inkwizytorskiego fachu.

Strażnicy miejscy, uzbrojeni w okute żelazem pałki, ustąpili mi drogi równie ochoczo, a ich sierżant skłonił się dość nisko.

– Jak wasza wielmożność pozwoli, wskażę drogę do Inkwizytorium – powiedział pokornym głosem.

– Znam ją – odparłem i skinąłem mu głową.

Faktycznie znałem drogę, a zresztą w niemal każdym mieście placówka Inkwizytorium była budowana na samym rynku lub w jego pobliżu, najchętniej tuż obok ratusza. Nasza siedziba w Cloppenburgu nie należała do szczególnie wystawnych. Ot, ceglany piętrowy dom

otoczony najeżonym szpikulcami murem (tak jakby ktokolwiek chciał się włamywać do Inkwizytorium) i drewniana brama, przy której zawsze czuwał miejski strażnik. Sama posesja była również niewielka. Rosło na niej kilka owocowych drzew, a wzdłuż wschodniej części muru ciągnęły się grządki warzywne oraz zielnik. Do południowej ściany przylegała stajnia. Nic specjalnego i nic oryginalnego.

Strażnik, kiedy tylko mnie zobaczył, zajął się odmykaniem bramy i mamrotaniem: „Już, już, wasza wielmożność, proszę zaczekać ze swej łaski”, a ja spokojnie czekałem, aż poradzi sobie z ciężkimi wierzejami. Natychmiast, kiedy wjechałem do środka, podbiegł do mnie stajenny i zabrał wodze.

– Piękne zwierzę, wasza wielmożność – usłyszałem i skinąłem mu uprzejmie głową.

W każdej z placówek Inkwizytorium jest zarządzający – człowiek, którego zadaniem jest dbanie o jakże przyziemne sprawy gospodarcze, a także witanie zacniejszych gości. Tu zarządzający był niskim, krępym człowieczkiem ze sterczącymi na wszystkie strony wiehczami siwych włosów. Ubrany był w poplamiony kubrak, a na dłoniach miał grube, ogrodowe rękawice. Widać oderwałem go od pielęgnowania zielnika lub warzywnych grządek. Cóż, jak widać na prowincji życie toczyło się spokojnym rytmem.

– Tak, tak, biedny Mordimerze – pomyślałem. – Kiedy inni oddają się urokom prowincjonalnego życia, ty musisz wdychać smrodliwe powietrze Hezu i walczyć z wszami oraz pluskwami we własnej kwaterze.

– Witam, mistrzu – rzekł zarządzający i pochylił głowę. Nie tak nisko, jak zwykła słuźba i strażnicy, ale wystarczająco, by przybrać pozę pełną szacunku. – Jestem Johan, a nazywają mnie Zielaarzem. Mam zaszczyt opiekować się gospodarstwem świętych mężów. Proszę do środka.

– Czy zastałem Vitusa? – zapytałem myśląc, że ja sam nie odważyłbym się nazwać mego kolegi z Akademii świętym mężem. – Albo innych braci?

– Tak, mistrzu. Skończyli właśnie śniadać.

Było południe, słońce stało wysoko na niebie, więc pora na śniadanko nie była zbyt wczesna. Jak widać inkwizytorzy z Cloppenburga nie mieli za wielu zajęć. Wszedłem do chłodnej, ciemnej sieni przesyconej zapachem starego drewna, a potem Johan otworzył przede mną drzwi do jadalni. Przy półkolistym stole siedzieli wszyscy trzej cloppenburscy inkwizytorzy, a na talerzach i w miskach widziałem już tylko resztki jedzenia. Teraz raczyli się winem i właśnie zderzali się pucharami, kiedy stanąłem w progu. Zamarli na moment, a potem Vitus Mayo wstał z krzesła.

– Zaczny Mordimer! – wykrzyknął. – Jakże miło cię gościć! – Jego skośne, świńskie oczka lustrowały mnie aż nazbyt uważnie, a chłód wzroku miał się nijak do ciepła głosu.

Podszedłem do stołu i podałem rękę najpierw Vitosowi, a potem jego dwóm kolegom. Byli to młodzi inkwizytorzy, jak sądzę zaledwie parę lat po Akademii. Pierwszy przedstawił się jako Noel Pomgard, a drugi jako Erik Hastel. Nie znałem ich ani nigdy wcześniej o nich

nie słyszałem. No cóż, w Cloppenburgu może nauczą się żreć i pić, ale wątpię, by rozwinęli zawodowe umiejętności. Chociaż z drugiej strony wiemy przecież, że diabeł potrafi uderzać w najmniej spodziewanym miejscu i najmniej spodziewanym momencie. A my, pokorni słudzy Boży, zostaliśmy ulepieni po to właśnie, by znaleźć się w odpowiednim czasie oraz miejscu i strzec niewinnych owieczek przed lwem.

– Cała przyjemność po mojej stronie – odparłem uprzejmie. – Choć tym razem nie sprowadza mnie przypadek.

Odgarnąłem na bok talerze oraz miski, starając się nie uczynić tego nazbyt ostentacyjnie, i rozłożyłem na blacie pergamin z pełnomocnictwem Jego Ekscelencji.

Vitus wziął papiery ostrożnie w palce, jakby bał się, że dokument może go ugryźć. Czytałem i zauważyłem, że jego obwisłe policzki poczerwieniały.

– Cóż, Mordimerze – rzekł w końcu, odkładając pełnomocnictwo z powrotem na blat. – Jesteśmy do twoich usług, zgodnie z wolą Jego Ekscelencji. Jakże się miewa biskup, jeśli wolno spytać?

– Pan błogosławi go atakami podagry, by hartować jego niezłomną wolę – odparłem, a Vitus wolno pokiwał głową.

Wydawało mi się, że na jego ustach pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu. Zresztą sam najchętniej roześmiałbym się, słysząc własne słowa.

– Błogosławieni, których doświadczają Pan – rzekł uroczyście Vitus, a młodzi inkwizytorzy poważnie skinęli głowami. Ziewnąłem sobie serdecznie w myślach.

– Czy skosztujesz naszego wina, Mordimerze? – zapytał uprzejmie Mayo.

– Nie odmówię. – Usiadłem przy stole, a oni – w zgodzie z obyczajem – odczekali chwilę, zanim usiedli sami.

Vitus podał mi kielich i ostrożnie nalał ciemnoczerwone wino. Skosztowałem i uniosłem brwi.

– Znakomite – powiedziałem.

– Z cloppenburskich winnic – wyjaśnił Noel.

– Coś takiego – zdziwiłem się znowu, bo nie miałem nawet pojęcia, że w pobliżu Cloppenburga są winnice.

– Udało się tu wyhodować szcep nieco odporniejszy na zimno i nie wymagający zbyt intensywnego nasłonecznienia – powiedział Vitus. – Może nie tak smaczne jest to wino, jak alhamra, lecz za to – unióś palec – dużo tańsze. Ale, drogi Mordimerze, choć o radościach stołu moglibyśmy zapewne dyskutować całymi dniami, to nie to cię do nas sprowadza. Czy zechcesz nam wyjawić cel swej misji?

– Gewicht – odparłem, patrząc mu prosto w twarz, a jemu nie drgnął na niej żaden mięsień.

– Gewicht? – powtórzył, jakby po raz pierwszy słyszał tę nazwę. – Cóż takiego jest w Gewicht?

– Myślałem, że właśnie wy mi powiecie – oznajmiłem spokojnie.

Vitus spojrzał w stronę swoich współpracowników, jakby żądał od nich odpowiedzi na jakieś wyjątkowo bezsensowne pytanie. Noel wzruszył tylko leciutko ramionami, ale Erik klasnął w dłonie.

– Mordimerowi chodzi o dzieciaka – zawołał. – Tego z niby stygmatami, co proboszcz pokazywał go jako miejscowe dziwo...

– Ach tak – uśmiechnął się Vitus, a ja miałem okazję zobaczyć, jak szczerzy i rozbijający jest to uśmiech. – Sprawa dawno zamknięta, drogi Mordimerze, i wyznam szczerze, iż niepotrzebnie się trudziłeś. Ale oczywiście, przyjrzymy się wszystkiemu jeszcze raz, jeśli takie jest twoje życzenie.

– Jego Ekscelencja będzie nalegał na szczegółowy oraz pieczołowity raport – wyjaśniłem, pozwalając sobie na stosowny dystans w głosie, tak, by przez chwilę nawet nie mieli wątpliwości, że wszystko jest tylko kaprysem biskupa, któremu wasz uniżony sługa musi ulegać wbrew swej woli. – Tak więc im szybciej udamy się do Gewicht, tym lepiej. Będę chciał porozmawiać z rodziną chłopca, być może z proboszczem, no i oczywiście z samym dzieciakiem. Powiedzmy: jutro z samego rana.

– Jak sobie życzysz, Mordimerze – odparł Vitus uprzejmym tonem. – Dzieciak jest po prostu chory na nieczęsto spotykaną chorobę skóry, a proboszcz próbował wykorzystać to, by nieco wzbogacić ubogą parafię. Został przez nas upomniany i wysłaliśmy również stosowny raport do jego zwierzchników.

– Upomniany – powtórzyłem cicho, ale wyraźnie, bo za mniejsze przewinienia księży składano z urzędów lub wysyłano do klasztorów.

A jakby się zdarzył nadgorliwy inkwizytor, to mógł nawet wszcząć oficjalne śledztwo z oskarżenia o herezję i zakończyć je żądaniem przygotowania stosu. Chociaż księży rzadko kiedy palono. Zbyt rzadko – zdaniem waszego uniżonego sługi, gdyż wielu duchownych jedynie plugawiło nauki Chrystusa. Zresztą, moim zdaniem, tak właśnie było i być miało, że parszywymi owcami będą ci, którzy noszą sutanny. Wiercie mi, mili moi, że nie ma podlejszego stworzenia nad wiejskiego lub małomiasteczkowego księdza. Głupota połączona z pazernością i nieczystością obyczajów. A na domiar złego chęć poniżania i upokarzania innych oraz niezwykle wysokie mniemanie o własnej osobie.

– Złagodniałeś na starość, Vitusie – powiedziałem bez złośliwości w głosie, ale na jego policzki wypełził krwistoczerwony rumieniec. – Przedstawcie mi, z łaski swojej, pełną dokumentację śledztwa, łącznie z kopią listu wysłanego do kościelnych zwierzchników proboszcza.

Wstałem i dopiłem wino.

– Wyborne – pochwaliłem raz jeszcze. – Czy możecie pokazać mi kwaterę?

Vitus dał znak Noelowi, a ten pospiesznie wstał.

– Proszę za mną – powiedział uprzejmie. – Zważ jednak i wybaczyć nam, że nie mamy tu

szczególnych wygód...

– Nie szkodzi – przerwałem mu. – Wystarczą łóżko, stół i lampa.

Pokój, który mi przeznaczono był niewielki, ale czysty, no i miał wszystko, czego mogłem potrzebować: łóżko ze świeżą pościelą oraz solidny stolik i rzeźbione krzesło z wysokim oparciem. Postanowiłem przespać się chwilę, czekając, aż bracia-inkwizytorzy przygotują wszelkie niezbędne dokumenty. Świętej pamięci Lonna – właścicielka jednego z bardziej znanych domów płatnych uciech w Hezie – zawsze mówiła, że mam lekki sen i śpię czujnie, jak ptak. To prawda. Dlatego też obudziłem się, zanim jeszcze usłyszałem pukanie do drzwi. Wystarczył tylko cichy odgłos kroków na kamiennej posadzce. Usiadłem na łóżku.

– Proszę – rzekłem uprzejmym tonem.

Drzwi otworzyły się, a do środka wszedł sam Vitus. A więc nie wysłał do mnie jednego ze swych podwładnych, lecz pofatygował się sam. Ciekawe, gdyż chodziło wszakże tylko o przyniesienie dokumentów.

– Mam nadzieję, że wypocząłeś, drogi Mordimerze – powiedział z szerokim uśmiechem.

Spod napuchniętych warg wyrzały krzywe, żółtawe łopaty zębów. Zabawne, że uśmiechał się tak samo w Akademii wtedy, kiedy złapał mojego psa. A przynajmniej ja tak właśnie zapamiętałem ten uśmiech przez wszystkie lata.

– Dziękuję – odparłem. – Na szczęście droga nie była zbyt męcząca.

Położył na blacie stołu stosik równo poskładanych pergaminów.

– Oto dokumenty, o które prosiłeś – rzekł. – Ale niewiele tego, i zaręczam ci, że nie znajdziesz żadnych rewelacji.

– Też tak myślę – uśmiechnąłem się. – Lecz cóż robić: pan każe, sługa musi. Zazdroszczę wam, tu na prowincji, że żyjecie z dala od zgiełku i intryg wielkiego miasta.

Skinął głową i byłem pewien, że nie wierzy żadnemu mojemu słowu. Zresztą niesłusznie, gdyż naprawdę nie lubiłem Hez-hezronu. To było miasto zabieganych, wynędzniałych szczurów, a ja byłem jednym z nich. Spokojne życie na prowincji, służba i własny ogródek, leniwe popołudnia spędzane z przyjaciółmi przy szklaneczce wina – takie życie nie mogło stać się udziałem biednego Mordimera. Westchnąłem w myślach i rozżaliłem się nad własnym losem, który poskapił mi drobnych radości, a przeznaczył do życia w trudzie i znoju.

– To prawda, Mordimerze, że żyjemy spokojnie. Staramy się nikomu nie wadzić i w pokorze wypełniać swe obowiązki.

Nie podniosłem na niego nawet wzroku. Nikomu nie wadzić? Czy to powiedział inkwizytor? I czy zupełnie stracił już instynkt samozachowawczy, aby takie rzeczy mówić właśnie mnie?

– Oczywiście, Vitusie – odparłem. – Wszyscy w rzeczywistości jesteśmy ludźmi łagodnego serca.

Zauważyłem, że zerknął na mnie niespokojnie, ale ja odpowiedziałem mu szczerym, otwartym spojrzeniem.

– Postaram się jak najszybciej zakończyć czynności zlecone mi przez Jego Ekszelencję i powrócić z satysfakcjonującym raportem – dodałem. – Zapewne będę miał kilka pytań związanych z dokumentami, lecz rozumiem, że o tym pogadamy przy śniadaniu.

– Przy śniadaniu lub w drodze. Jak sobie tylko życzysz.

Popchnął lekko palcem papiery, jakby chciał je dodatkowo wyrównać do brzegu stołu. Potem skinął mi głową i wyszedł z pokoju. Nie domknął jednak drzwi i odwrócił się w progu.

– Jeśli będziesz chciał coś zjeść lub wypić, zejdź z łaski swojej do kuchni, a w kredensie znajdziesz wszystko, co trzeba.

Tym razem już wyszedł na dobre, zatraskując drzwi. Mój Boże, jakże ludzie się zmieniają. Vitus Mayo dba, bym nie był głodny lub spragniony! Gdyby mi to opowiedziano w Akademii, wybuchnąłbym śmiechem. Zresztą i teraz sytuacja wydawała mi się całkiem zabawna. Nie pamiętałem takiego Vitusa – uprzejmego, łagodnego i spokojnego. Zwykle mówił podniesionym tonem, w chwilach zdenerwowania chrypiąc jak kogut. Klecił nieskładne zdania i przerywał sobie długie tyrady wybuchami rżęącego śmiechu lub co najmniej parsknięciami. A może to tylko ja go tak zapamiętałem? Może niechęć lub, użyjmy nawet tego słowa, nienawiść do Vitusa Mayo wykoślawiła moje wspomnienia i kazała je oglądać w krzywym zwierciadle? Szkoda, że nie mam zdolności Kostucha, które pozwalają mu zapamiętać co do słowa rozmowy toczone nawet przed wielu laty. Zastanawiałem się przez chwilę, co porabiają Kostuch i bliźniacy, ale nie żałowałem, iż nie ma ich w tej chwili ze mną. Sprawa była delikatnej natury i nie sądziłem, aby konieczne stało się ani użycie siły (do czego stworzony był Kostuch), ani też specjalne zdolności bliźniaków.

Przysunąłem sobie krzesło do stolika i podkręciłem knot w lampce. Sięgnąłem po dokumenty wypełnione ładnym, kaligraficznym pismem. Co prawda sztuka odcyfrowywania nawet największych bazgrołów była również elementem mojego wykształcenia, ale zawsze to lepiej, kiedy nie muszę przedzierać się przez gąszcz niewprawnie położonych zygzaków. A nie uwierzycie, mili moi, jak bardzo nieczytelne potrafiły być czasami protokoły z przesłuchań, zwłaszcza kiedy pisarz sądowy w czasie inwestygacji pokrzepiał się winem lub gorzałką. Rzecz jasna, na przesłuchaniach inkwizytorskich rzadko dopuszczano do tak karygodnego łamania prawa, ale ławy miejskie miały już zupełnie inny pogląd na trzymanie się litery przepisów. Zwłaszcza, że pisarze miejscy często nie byli w stanie wytrzymać trudów przesłuchań (szczególnie tych prowadzonych z udziałem kata) i znieczulali swe sumienia trunkami. Najzupełniej niesłusznie, gdyż cóż może być piękniejszego nad uczestniczenie w zbożnym dziele nawracania grzeszników?

Nie dowiedziałem się jednak wiele z dokumentów, pomimo ich niewątpliwej przejrzystości. Wdowa Helga Vosnitz z ośmioletnim synem Karlem mieszkała w Gewicht i cieszyła się nieposzlakowaną opinią. Żyła skromnie, ale nie biednie, z procentów od kapitału zmarłego męża, i była nawet fundatorką marmurowego krucyfiks w wschodniej nawie kościoła w Gewicht. No i takimi właśnie bzdurami wypełniony był raport clopperiburskiego

Inkwizytorium. Owszem, napomknięto o stygmatach, ale przytoczono również opinię dwóch medyków, mówiącą o rzadkiej chorobie skóry. Załączono kopię listu do biskupa, przełożonego proboszcza z Gewicht, gdzie nad wyraz oględnie informowano o lekkomyślnym zachowaniu księdza, który zbyt pośpiesznie i bez porozumienia z władzami uznał za cud zdarzenie mające naturalne przyczyny. Na końcu informowano, że chłopiec został wyleczony, a proboszcz ukarany kościelną pokutą. Jednak nie tylko nie zdjęto go ze stanowiska, ale nawet nie wezwano do biskupstwa, a Inkwizytorium nie wszczęło oficjalnego śledztwa, poprzestając na postępowaniu przygotowawczym. Krótko mówiąc, wszystko to było jednym wielkim skandalem, chociaż dość zręcznie opakowanym. Zdawałem sobie doskonale sprawę, że gdyby nie doniesienie wdowy Riksdorf, sprawa nie ujrzałaby nigdy światła dziennego, bo faktycznie lokalne Inkwizytorium nie miało obowiązku informować centrali o prowadzonych postępowaniach przygotowawczych, lecz jedynie o wszczętych śledztwach. Nie zmieniało to faktu, iż nie wszczęcie tego śledztwa było karygodnym błędem w sztuce. No, ale cóż, biedny Mordimer właśnie przyjechał i jak zwykle będzie naprawiał czyjeś zaniedbania.

* * *

Nie zamierzałem o wysnutych przeze mnie wnioskach informować Vitusa, a tym bardziej jego podwładnych. Następnego dnia rano wyruszyliśmy w drogę, zaraz po śniadaniu, a ja stwierdziłem tylko, że zapoznałem się z dokumentami i zadałem kilka nieistotnych pytań. Jeśli Vitus był bystry, powinien poczuć, że nad jego głową zbierają się burzowe chmury. Z drugiej strony mógł jednak mieć cień nadziei, że naprawdę moim marzeniem jest tylko jak najszybsze załatwienie formalności oraz powrót do Hezu. I bardzo dobrze, gdyż człowiek zdenerwowany i niepewny rozwoju sytuacji, zazwyczaj popełnia wiele błędów. A ja zamierzałem bez litości wykorzystać każdy błąd Vitusa, tak jak on niegdyś wykorzystał moją słabość. Nawiasem mówiąc, słabość, której nie miałem powodów się wstydić, lecz którą niepotrzebnie okazałem, przysparzając cierpień komuś, komu za wszelką cenę chciałem ich oszczędzić.

W drodze towarzyszył nam tylko Noel Pomgard i wiele wskazywało, że przynajmniej on jest zaniepokojony. Poznałem to po skrywanych spojrzeniach, które rzucał w moją stronę, kiedy myślał, że nie patrzę, oraz po pełnych zakłopotania i niepewności odpowiedziach, których udzielał na pytania. Zresztą nie cisnąłem go. Jeśli coś wiedział, prędzej czy później podzieli się swymi przemyśleniami z waszym uniżonym sługą.

Do Gewicht dojechaliśmy wczesnym popołudniem. Było to małe miasteczko, koncentrujące się wokół błotnistego rynku, na którym taplało się kilka świń. Brudny pies o zjeżonej sierści i mętnych oczach oszczekiwał nas chrapliwie, kiedy podjeżdżaliśmy pod rozchwieżytą gospodę, obok której wydzielono miejsce dla koni. Rzuciłem lejce chłopcu stojącemu ubranemu w ubłoconą i porwaną kapotę, a on zastygł w miejscu, przypatrując się z otwartymi ustami połamanemu krzyżowi wyhaftowanemu na moim kubraku.

– Ruszże się! – Noel kopnął go zręcznie w pośladek bokiem buta i chłopak zakręcił się jak fryga.

– Wdowa Vosnitz mieszka tu zaraz, obok rynku – objaśnił Vitus. – Przejdziemy się.

Skinąłem głową i zeskoczyłem z siodła, starając się ominąć błotnistą kałużę. Chłopakowi w oberwanej kapocie wcisnąłem w dłoń półgroszaka.

– Oczyść konia, a dostaniesz drugi – powiedziałem.

– Zrobiłby to huncwot za darmo. – Noel chciał go trzepnąć w ucho, ale stajenny zdołał się uchylić. Młody inkwizytor, niezadowolony, zmarszczył brwi.

Zostawiliśmy wierzchowce przy zagrodzie i przeszliśmy na północną stronę rynku. Vitus wyjął z sakwy kawałek mięsa i rzucił go naszczekującemu psu. Zwierzę zamilkło, spojrzało nieufnie na kasek i pochwyciło go łapczywie w zęby. Zdziwiłem się, gdyż nie zapamiętałem Vitusa jako miłośnika zwierząt. Wręcz przeciwnie. Zapamiętałem go z zupełnie innego powodu. Mayo uśmiechnął się i wskazał drewniany domek z ceglana podmurówką oraz dachem nierówno obitym pozieleniałą blachą.

– To tu – rzekł i zastukał mocno w drzwi.

Usłyszeliśmy szuranie butów, a potem szczęknięcie zamek. W progu pojawiła się niestara jeszcze kobieta z włosami splecionymi w wysoki węzeł. Była skromnie ubrana, jej suknia nosiła ślady cerowania, a rozdeptane trzewiki z pewnością ą pamiętały lepsze czasy. Na twarzy i szyi miała brązowe, wątrobowe plamy.

– Witaj, Helgo – rzekł Vitus. – Pozwól, że vejdziemy.

Kobieta spojrzała na mnie i wyraźnie pobladła, ale posłusznie usunęła się z drogi. Gestem zaprosiła nas do środka.

– Witajcie, zacni panowie – powiedziała cichym głosem.

Skinąłem jej głową, a kiedy zamknęła drzwi, powiedziałem:

– Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Przybyłem, by porozmawiać o waszym synu.

– Proszę do izby – rzekła bezbarwnym głosem, a my weszliśmy za nią do kuchni, na środku której stał duży stół.

Zobaczyłem rozwałkowane ciasto na pierogi i teraz dopiero dostrzegłem, że Helga Vosnitz miała palce utyłane w mące.

– To tylko formalność – powiedziałem serdecznym tonem. – Nie macie się czego obawiać. Zapamiętajcie, że waszemu synowi nic nie grozi z naszej strony, a zamierzamy jedynie dojść, czemu miejscowy proboszcz wykazał się karygodną lekkomyślnością i wykorzystywał wasze dziecko.

Opadła na zydel i zauważyłem na jej twarzy ulgę.

– To dobry człowiek – powiedziała. – Ale wierzył, że mamy cud w Gewicht.

Dla małego miasteczka cud mógł stać się istną kopalnią złota. Sam znałem przypadki, kiedy ludzie podróżowali z drugiego krańca Cesarstwa, by pomodlić się przy pachnących

fiołkami zwłokach albo peregrynowali tylko po to, by dotknąć ustami kości świętego. W tym ostatnim wypadku zresztą, kość rzekomego świętego okazała się tak naprawdę ziomkiem bydlęcego gnata, a właściciel cudownych szczątków poszedł do lochów. Miał szczęście, że uniknął po pierwsze, rozerwania przez wściekły tłum (oj, ludzie nie lubią być oszukiwani!), a po drugie, tortur i stosu. Oszustwa pieniały się od wieków. A to ktoś pokazywał pióro ze skrzydeł archanioła Gabriela, a to okrucieństwo kamienia, na który zstąpił nasz Pan, schodząc z Krzyża swej Męki, a to drzazgę z samego Złamanego Krzyża. Słyszałem nawet o bluźniercy, pokazującym flaszeczkę mleka z piersi Marii Panny oraz kolec z Korony Cierniowej Jezusa. Przemysłowość ludzka nie zna granic, tak jak i przemożna chęć wyłudzenia grosiwa od naiwnych. I pomimo, że kary za fałszerstwa relikwii były srogie, a nabrani mieszczenie czy wieśniacy potrafili sami wymierzyć świętokradcom sprawiedliwość, to jednak zaraza się pieniała w najlepsze.

Usiedliśmy przy stole, a ja dotknąłem delikatnie ramienia gospodyni.

– Opowiedzcie o wszystkim – powiedziałem.

Potem już tylko słuchałem i wiecie, mili moi, jakie dziwne wrażenie odniósł wasz pokorny i uniżony sługa? Oto takie, że Helga Vosnitz przemawia zbyt składnie, zbyt płynnie i zbyt logicznie. Tak jakby ktoś ją nauczył, co ma mówić. Oczywiście zdawałem sobie sprawę, iż wrażenie to może być spowodowane moją inkwizytorską, godną pożałowania nieufnością, ale z biegiem lat nauczyłem się dmuchać na zimne i wierzyć w własnemu instynktowi. Wysłuchałem jej spokojnie do końca, ale nie dowiedziałem się niczego poza tym, co wyczytałem w dokumentach Inkwizytoryum. Dostrzegłem, że Vitus również uważnie się przysłuchuje, a czasami nawet ledwo zauważalnie kiwał głową, tak jakby słowa wypowiedane przez wdowę były po jego myśli.

– Chciałbym porozmawiać z chłopcem – powiedziałem, a Helga zagryzła wargi.

– Oczywiście, wasza dostojność – odparła. – Ale pozwólcie na górę, bo dziecko słabuje.

– Czy znowu to samo? Ta dziwna choroba skóry? – W moim głosie nie było nawet grama ironii.

– Nie, panie – opuściła głowę. – Kapał się w rzece, a było zimno...

– Nacierajcie go gorzałką, pójcie gorącym rosołem i niech leży w cieple – poradziłem.

Wstałem, a inkwizytorzy podnieśli się wraz ze mną.

– Nie będę was fatygował – powiedziałem uprzejmie. – Tyle razy zapewne słyszeliście to samo – uśmiechnąłem się.

Vitus odpowiedział uśmiechem, ale miałem wrażenie, że było to raczej tylko skrzywienie warg, mające uśmiech imitować.

– Oczywiście, Mordimer – rzekł. – Zaczekamy na ciebie.

Wdowa Vosnitz pierwsza weszła na schody, ale trudno było nie zauważyć, iż stała się jeszcze bardziej niespokojna. Na piętrze znajdował się wąski korytarz, od którego odchodziły dwie pary drzwi. Gospodyni nacisnęła klamkę i weszliśmy do maleńkiego pokoiku, gdzie

mieściły się tylko niewielkie łóżko, stoliczek na jednej nodze oraz koń na biegunach z wyliniałą grzywą zrobioną z prawdziwego włosia. Leżący na łóżku chłopiec spał, a jego policzki były czerwone od wypieków. Podeszedłem i dotknąłem palcami jego czoła. Za plecami usłyszałem ciche westchnięcie.

– Powinniście wietrzyć pokój – powiedziałem półgłosem. – Gorączka wywołuje złe fluidy.

– Karl. – Wdowa Vosnitz delikatnie poruszyła ramieniem dziecka. – Synku, obudź się.

Chłopiec przekręcił się na bok i otworzył oczy. Dostrzegł mnie i cofnął się na brzeg łóżka.

– Nie bój się – powiedziała Helga Vosnitz. – Jego wielmożno ść przybył, aby cię przepaść...

Uniosłem dłoń, a ona przerwała w pół słowa.

– Zostawcie nas samych, proszę – rzekłem łagodnie, ale stanowczo.

Wydawało mi się, że chciała zaprotestować, lecz w końcu tylko znowu westchnęła i wyszła. Poczekiałem, aż zamknie za sobą drzwi. Usłyszałem oddalające się kroki na korytarzu, a potem skrzypienie schodów.

– Jestem inkwizytorem, mój chłopcze – powiedziałem łagodnie. – Czy wiesz, czym zajmują się inkwizytorzy?

Skinął głową bez słowa.

– Powiesz mi?

– Łapią ludzi i palą na stosach – odparł cicho.

Westchnąłem. Dlaczego w naszej ciężkiej pracy nawet dzieci dostrzegają tylko ten element? Cóż, przyznam, że najbardziej spektakularny, ale przecież zaledwie jeden z elementów i to, wierzcie mi, mili moi, nie najistotniejszy.

– Nie, Karl – odparłem i przysiadłem ostrożnie na krawędzi łóżka. – Inkwizytor jest pasterzem, mój chłopcze, mającym się opiekować bezbronnym stadem. Strzec go przed drapieżnikami, przed wszystkimi tymi, którzy chcą skrzywdzić niewinne owieczki. Tylko widzisz, dziecko, zadanie pasterza jest proste. On widzi zbliżającego się wilka i odpędza go ogniem, krzykiem albo hałasem, czasami szczuje psami. Ale co zrobić, kiedy wilk nie wygląda jak wilk?

– Jak to, panie?

– Co powinien zrobić pasterz, który wie, że wilk może przybrać postać innej owieczki? Albo drzewa? Albo kamienia? Albo jeszcze gorzej: sprawić, aby pasterzowi wydawało się, że jedna z jego owieczek jest wilkiem, i by zaatakował niewinne stworzenie w bezrozumnym gniewie? – starałem się mówić powoli, bo chciałem, żeby mnie zrozumiał.

– Wilki tak potrafią? – zapytał po chwili namysłu.

– Zwykle wilki nie – odpowiedziałem. – Ale na świecie jest wielu złych ludzi, znajdujących radość w dręczeniu innych. Ja jestem po to, aby bronić tych, którzy nie potrafią

się obronić sami. Przybyłem tu, bo powiedziano mi, że być może właśnie ty, Karl, potrzebujesz obrony.

– Aha – rzekł tylko i uniósł się na łokciu.

– Przyniosłem ci coś – sięgnąłem do kieszeni płaszcza i wyciągnąłem drewnianego konika, tak sprytnie wyrzeźbionego, że ruszał głową, kiedy się go stuknęło w pysk. Był pomalowany na czarno, z białymi plamkami na pęcinach.

Podąłem mu zabawkę, a on wziął ją w dłonie po chwili wahania.

– Dziękuję – powiedział, ale widziałem, że cały czas jest przestraszony.

– Mało kto lubi opowiadać o swoich chorobach, chłopcze – rzekłem. – Na pewno nie wiesz, że biskup, który mnie tu wysłał, cierpi na podagrę i codziennie bołą go kości. Ale on opowiada o tej chorobie i znajduje ulgę, widząc, że wszyscy mu współczują. Współczują i starają się pomóc. Bo widzisz, czasami nawet najsilniejsi i najpotężniejsi ludzie muszą szukać pomocy u innych. Dlatego też chciałbym, żebyś opowiedział mi o tym, co cię boli i czego się boisz. A ja postaram ci się pomóc w miarę moich sił. Tak, aby nigdy cię już nic nie bolało i żebyś niczego nie musiał się bać.

– Już nic mnie nie boli – powiedział szybko. – Nie leci mi krew.

– A bolało?

Zagryzł wargi.

– Robiły ci się rany, prawda? – Wziąłem go za rękę. – Tu. – Dotknąłem jego przegubu. – I podobne na nogach. Czyż nie tak?

Ledwo dostrzegalnie skinął głową.

– Leciła ci krew z czoła?

Znowu przytaknął.

– Ksiądz mówił, że być może jestem świętym dzieckiem – powiedział cichutko.

Zachnąłem się w myślach. Miejscowy proboszcz musiał naprawdę odczuwać ogromne niedobory finansowe w swej parafii, skoro wdał się w tak niebezpieczną grę. Zrozumie mnie dobrze: wierzę w cuda, bo nieraz byłem ich świadkiem. Wierzę też, że Bóg potrafi uczynić, co tylko zechce. Ale każde objawienie, każde proroctwo, każdy cud muszą zostać dokładnie sprawdzone. Gdyż w innym wypadku mogą stać się orężem w dłoniach wroga.

– I pokazywał twoje rany na mszach, prawda?

– Ja tego nie chciałem. – Zobaczyłem, że jego oczy szklą się łzami, a głos zaczyna się łamać. – Bolało mnie wszystko, ale ksiądz kazał...

– Nikt cię nie obwinia, dziecko – przerwałem mu. – Pamiętaj, że nie jestem tu, by cię karać albo karcić. Sam biskup wysłał mnie, żeby zobaczyć, czy nie potrzebujesz pomocy.

– Sam biskup... – powtórzył.

Zobaczyłem, że ma spieczone usta, więc podałem mu kubek wody i patrzyłem, jak pije. Kiedy skończył, odstawiłem naczynie z powrotem na stół. Zauważyłem, że chłopiec nie ucieka już pod ścianę. Usiadł nieco swobodniej, a w dłoni ścisnął zabawkowego konika.

– Gdzie cię najbardziej bolało? – zapytałem.

– Na boku – odparł i nagle zobaczyłem, jak jego oczy rozszerzają się strachem. – Powiedzieli, żebym o tym nikomu nie mówił – dokończył z płaczem.

Położyłem mu dłoń na ramieniu.

– Ciiii – szepnąłem. – Nie ma się już czego bać. Jeśli mam ci pomóc, musisz mi wszystko opowiedzieć. Miałeś też więc ranę na boku?

Pokiwał głową, a ja zasępiłem się. Słusznie wietrzyłem w tym wszystkim plugastwo, ale nie potrafiłem zrozumieć, jak proboszcz i inkwizytorzy mogli być tak głupi, by próbować ukryć sprawę? Czy matka ich ubłagała? Przekupiła? Nie chcieli po prostu kłopotów, śledztw i dochodzenia? Bo sprawa z całą pewnością powinna stać się obiektem dochodzenia.

Dlaczego? Ależ to oczywiste, mili moi! Naszemu Panu założono, cierniową Koronę – to pierwszy stygmat. Przebito mu gwoździami przeguby dłoni – to drugi stygmat. Przebito mu stopy – to trzeci stygmat. Ale kiedy po godzinach męki, żołnierz zamierzył się włócznią, by przerwać Jego życie, wtedy właśnie nasz Pan zszedł z Krzyża i w chwale poniósł wrogom wiary żelazo oraz płomienie. Więc nikt nie może mieć czwartego stygmatu, gdyż boku Jezusa nigdy nie przebiło ostrze włóczni!

Owszem, słyszałem wcześniej o takich sprawach, o tych bluźnierczych, demonicznych stygmatach. Słyszałem o heretykach twierdzących, że Jezus Chrystus umarł na Krzyżu. Cóż, ludzkie szaleństwo i zła wola nie mają sobie równych. Czyż mało mieliśmy historycznych świadectw? Zapisów samych Apostołów? Czyż ktokolwiek przy zdrowych zmysłach wątpił w moc Jezusa? Tylko ludzie opętani przez Bestię mogli uwierzyć, że nasz Bóg w poniżeniu i rozpaczce umarł na Krzyżu, skazany przez nic nie wartych łajdaków! W końcu nie bez powodu, mili moi, najświętszym symbolem naszej wiary jest połamany krzyż, oznaczający triumf ducha nad materią i triumf cnoty nad niegodziwością. Oczywiście czcimy też znak zwykłego krzyża, aby okazać uwielbienie dla naszego Pana, który dobrowolnie wydał się na mękę.

I teraz nie było już ważne, czy dzieciak miał prawdziwe lub heretyckie stygmaty, czy też jedynie chorobę skóry lub krwi. Istotny był jeden jedyny fakt: inkwizytor Vitus Mayo nie pofatygował się, by spisać raport o całym wydarzeniu, wszcząć śledztwo i powiadomić biskupa. Dlaczego tak właśnie postąpił? Cóż, będzie miał sporo czasu, by nam to wyjaśnić.

– Nie martw się, Karl – powiedziałem. – Wszystko już dobrze. Ty i twoja mama pojedziecie z nami do Hez-hezronu i zaopiekują się tobą lekarze biskupa. Zobaczysz wielkie miasto i pałace... – uśmiechnąłem się.

Zastanowiłem się, jaki będzie los chłopca i matki. Cóż, zajmą się nimi teologowie, egzorcyci oraz lekarze. W najgorszym wypadku przyjdzie czas inkwizytorów. Być może Heldze i Karlowi uda się przeżyć gościnę u biskupa, ale nie miałem co do tego wielkich nadziei. Jeśli na ciele chłopca faktycznie pojawiały się bluźniercze stygmaty (co oznaczało, że zamieszkał w nim demon), to w najlepszym wypadku do końca życia zostanie zamknięty w

klasztorze. Zadumałem się przez moment nad potęgą Zła, które ośmiela się nawiedzać nawet ciała niewinnych dzieci. Zadumałem się też nad przewrotnością losu, który kazał Vermie Riksdorf zapłacić za to, by ponieść nieszczęście do domu własnej siostry i siostrzeńca. Zadumałem się nad tym bardzo poważnie.

– Prześpij się teraz – powiedziałem i pogłaskałem chłopca po głowie.

* * *

Kiedy zszedłem, przy kuchennym stole siedzieli tylko Vitus oraz Noel, a wdowa Vosnitz krążyła niespokojnie pod oknem. Zobaczyła mnie i znieruchomiała.

– Wszystko dobrze – powiedziałem uspokajająco. – Idźcie do dzieciaka.

Niemal wbiegła na schody, a ja podszedłem i oparłem dłonie na blacie stołu.

– Vitusie Mayo i Noelu Pomgard, zatrzymujcie was do dyspozycji Świętego Officjum – rzekłem. – Jesteście oskarżeni o ukrywanie dowodów i fałszowanie urzędowych protokołów. Udacie się ze mną do Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu, aby tam złożyć stosowne wyjaśnienia przed pełnomocną komisją Inkwizytorem.

Noel Pomgard nawet nie drgnął i tylko widziałem, jak zaczynają mu drżeć usta. Ale Mayo skoczył pod ścianę i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Nie pogarszaj swojej sytuacji, Vitusie – powiedziałem spokojnie. – Stąd już nie ma ucieczki.

Miecz wysunął się o cal z pochwy.

– Zabijesz mnie? – zapytałem. – Śmiem wątpić. A jeśli nawet, to czy przypuszczasz, że możesz przed nami uciec? Że gdziekolwiek na świecie znajdziesz miejsce, w którym cię nie odzyskamy?

Słyszałem, jak głośno przełyka ślinę, a potem puścił rękojeść miecza.

– To wszystko bzdury – powiedział. – Wszystko mogę wyjaśnić.

– O, tak – odparłem. – I zaręczam, że będziesz miał ku temu okazję. Noel – zwróciłem się do młodszego z inkwizytorów – zabierz mu miecz i złóż również swoją broń.

Pomgard poderwał się na równe nogi, szybko i ochoczo. Po raz kolejny zadziwiło mnie, z jaką naiwną wiarą większość ludzi korzysta z pierwszej okazji, by w kotle pełnym grzeszników zyskać nadzieję na pełnienie roli dozorczy.

– Potem zawołaj do mnie miejskich strażników – rozkazałem. – Powiedz, że obejmuję władzę w tym – spojrzałem na Vitusa – gnieździe bluźnierczych herezji.

– Oczywiście, wasza dostojność. – Noel niemal zachłysnął się własnymi słowami. – Ja nic nie wiedziałem, proszę mi zaufać. Ja nie jestem nikim ważnym, nawet nie byłem przy prze...

– Noelu – powiedziałem łagodnie i uśmiechnąłem się uspokajająco. – Wierz mi, że nikt o nic cię nie oskarża.

– Bowiem już niedługo, mój synu, oskarżysz się o wszystko sam – dodałem w myślach.

* * *

Wiedziałem, że właściwe przesłuchania odbędą się w Hezie. Wdowa Vosnitz wraz z synem, proboszcz i inkwizytorzy – wszyscy otrzymali natychmiastowy nakaz podróży do Hez-hezronu, a ja musiałem dopilnować, by podróż przebiegła bezpiecznie i by, nie daj Boże, żadna z owieczek nie zaginęła po drodze. Jednak nie mogłem sobie odmówić ostatniej rozmowy z Vitusem Mayo. Wynikała zresztą ona nie tylko z grzesznej ciekawości, ale i z poczucia obowiązku, który nakazywał mi zebrać jak najwięcej informacji przed rozpoczęciem właściwych przesłuchań w Hezie.

– Czy potrafisz wyjaśnić, czemu nie napisałeś raportu? – zapytałem.

Vitus siedział na zydlu z dłońmi skrępowanymi na plecach. Był starszy ode mnie i rozpieszczony beczynnością oraz dobrobytem, ale nie zamierzałem ryzykować walki. Nie, żeby mógł mi w jakikolwiek sposób zagrozić. To ja jemu nie chciałem wyrządzać krzywdy, bo dużo łatwiej przecież podróżować ze zdrowym człowiekiem.

– Zostałem nawrócony – odparł, patrząc mi prosto w oczy.

– Och, mocne słowa, Vitusie! A na jakąż to wiarę, jeśli wolno spytać?

– Wierzę w Jezusa Chrystusa – powiedział wyraźnie.

– A dlaczegoż ta wiara przeszkodziła ci w napisaniu raportu?

– Gdyż skrzywdzilibyście dziecko i jego matkę – odparł mocno. – A chłopiec nie tylko miał świadectwa stygmatów, ale mówił głosem Boga! I przeżywał cierpienie naszego Pana, tak jak On ongiś przeżywał je na Krzyżu. *Bo choroba ta nie jest na śmierć, ale dla chwały Bożej!*

– Mówił głosem Boga – powtórzyłem bez ironii i bez szyderstwa. – A cóż takiego mówił, Vitusie?

– *Oto zostałem zabity, a włócznia przebiła mój bok. Oto miałem wam dać odkupienie moją męką i śmiercią. Ale wtedy zstąpiła Bestia, wniknęła w martwe ciało i rana na boku się zablżyła. A Bestia złamała Krzyż, schodząc z żelazem i ogniem w dłoniach. I zamiast królestwa miłości oraz pokoju nastały rządy Bestii* – wyrecytował, znowu patrząc mi prosto w oczy.

Odpowiedziałem mu spojrzeniem, a potem pokiwałem wolno głową.

– Vitusie, mój Vitusie. Czy uwierzyłeś naprawdę, że nasz Pan mógłby umrzeć na Krzyżu? Pozwolić zatriumfować poganom i skazać swych wiernych na niekończące się prześladowania? Jezus do końca ofiarowywał oprawcom szansę, do końca błagał, by się do niego przyłączyli, by skosztowali owoców prawdziwej wiary. A kiedy pozostali ślepi oraz głusi, zstąpił z Krzyża, by w chwale pokarać ich cierpieniem. Taka jest jedna, jedyna i najprawdziwsza prawda. Jak mogłeś uwierzyć demonom przemawiającym przez usta nieszczęsnego dziecka? Ty, inkwizytor!

– Doznałem oświecenia – rzekł, nie odwracając wzroku, a w jego głosie była jakaś

niezwykła godność, tak nie pasująca do tego Vitusa, którego znałem z Akademii. – Wierzę, że nasz Pan zginął w męce, by, oddając życie, zbawić nas od grzechu. Niedługo zmartwychwstanie, a ten chłopiec mówi ustami Jezusa i objawi nam, co czynić!

– Jesteś szalony, Vitusie. – Pokręciłem głową i nawet nie mogłem wykrzesać z siebie satysfakcji, że oto mój dawny wróg pogrążył się własnymi słowami tak głęboko, jak żaden inkwizytor przed nim. – Szalony lub opętany. Będę się za ciebie modlił.

– Nie trzeba – warknął z nagłą pogardą – mi twoich modlitw. Mój Bóg jest przy mnie.

– Ten, który umarł? – roześmiałem się. – Nie był widać zbyt potężny, skoro nie potrafił się nawet zatroszczyć o siebie samego. Jest jeden Bóg, Vitusie, ten, do którego modlitw cię uczono. Nie pamiętasz słów: *Umęczon pod Ponckim Pilatem, ukrzyżowan, zstąpił z krzyża, w chwale zaniósł słowo i miecz swemu ludowi?*

– On zmartwychwstanie – powiedział Mayo z wiarą w głosie. Jego oczy błyszczały szaleństwem i wiedziałem, że go nie przekonam. Zresztą nie to było moim zadaniem.

– Nie – odparłem. – Natomiast ty zrozumiesz swe błędy...

Pokręcił głową. Miał zaciśnięte usta i upór wymalowany na twarzy.

– Daj mi dokończyć. – Uniosłem dłoń. – Powiedz, czy widziałeś kiedyś owoc kokosu? Brązowy, podłużny, w twardej skorupie, rośnie na południu...

Kiwnął głową, ale widziałem, że nie rozumie, dlaczego go o to pytam i dokąd zmierzam.

– W środku tej twardej skorupy jest bezbarwny płyn, często gorzki lub zgniły. Ale tubylcy potrafią rozkroić owoc, wylać jego sok i oczyścić skorupę. A potem wlewają w nią wino lub wodę i używają, tak jak my pucharów. – Uśmiechnąłem się do niego. – Ty jesteś takim zgniłym kokosem, Vitusie. Ale uwierz mi, że napełnimy cię źródlaną wodą czystej wiary.

Wzdrygnął się, a w jego oczach po raz pierwszy błysnął strach. Był inkwizytorem, więc wiedział, że stanie się, jak mówię. Jego dawni bracia, w pokorze i z miłością, wyjaśniają mu wszystkie błędy, tak, aby umierał pełen Pańskiej chwały. Ze szczerym żalem, iż kiedykolwiek mógł zwątpić i pełen pogardy dla dawnego siebie – tego, który zboczył z prostych ścieżek wiary. Niewiele zostanie z grzesznego ciała, ale zbawimy jego duszę, by mogła po wiekach czyścić radość przy niebieskim stole Pana.

– Dlaczego mi to zrobiłeś, Mordimerze? – zapytał gorzko po chwili milczenia, ale nadal widziałem strach w jego źrenicach. – Dlaczego tu w ogóle przyjechałeś? Aż tak bardzo chciałeś się zemścić za błędy mojej młodości? Za błędy, których dzisiaj żałuję, i za które błagam co dzień Boga o przebaczenie?

Spojrzałem mu prosto w oczy.

– Mój pies – powiedziałem i spostrzegłem, że nie rozumie, a raczej nie pamięta, o czym mówię.

To zabolalo jeszcze bardziej, gdyż świadczyło, że moje cierpienie było tylko nic nie znaczącym incydentem w jego życiu.

– Znalazłem bezdomnego psa – kontynuowałem spokojnie. – Uleczyłem go i odkarmiłem. A ty go znalazłeś i spaliłeś, pokazując nam, jak podkładać ogień, by ofiara nie umarła zbyt szybko.

W jego oczach błysnęło coś na kształt zrozumienia.

– Oszalałeś, Mordimerze? – zapytał cicho. – Myślisz o psie ze swego dzieciństwa? Ty, który zamęczyłeś i kazałeś zabić więcej ludzi niż możesz spać?

– To krzyż, który dźwigam na chwałę Pana – rzekłem. – Ale nigdy nie zabiłem dla zabawy. Nigdy nie zadawałem męki bez istotnego powodu. Co zawinił ci pies, który mnie kochał, Vitusie? Zawiązałeś mu pysk sznurem, by nie mógł wyć, ale ja widziałem, jak płacze i patrzy na mnie, nie rozumiejąc, czemu go nie ratuję od bólu.

Cofnął się pod ścianę, razem z krzesłem, na którym siedział, ale niepotrzebnie. Nie zamierzałem go uderzyć, choć niegdyś przecież o tym marzyłem. Objąłem lewy nadgarstek palcami prawej dłoni, by nie dostrzegł, że zadrżała mi ręka.

– To było tak dawno temu – powiedział tylko. – Jakby w innym życiu.

– W ogrodzie mojej pamięci pielęgnuję różne kwiaty – odparłem. – A wymiar kary nigdy nie może zależeć od czasu, który upłynął od popełnienia przestępstwa ani od późniejszych uczynków grzesznika.

– Przestępstwa? – niemal zawył. – To był tylko pies!

Pokiwałem głową, bo nie sądziłem przecież, by był w stanie zrozumieć.

– Cóż, widać jestem nieznośnie sentymentalny – odparłem i wyszedłem po strażników, aby go zabrali. Musieli szarpnąć go mocno za ramiona, by się ruszył.

Wiedziałem, że teraz będę mógł już zapomnieć, a z ogrodu mojej pamięci zniknie mroczny kwiat, który rósł w nim stanowczo zbyt długo.

Epilog

Verma Riksdorf drgnęła przestraszona, kiedy zobaczyła, że siedzę na jej własnym łóżku w jej własnej sypialni. Uśmiechnąłem się samymi ustami.

– Nie należy krzyczeć – powiedziałem. – Przyszedłem tylko na krótką, najzupełniej prywatną pogawędkę.

– Zapłaciłam wam, ile chcieliście – przypomniała cicho.

– Zamknij drzwi – rozkazałem.

Wyglądała tak samo szaro i bezbarwnie, jak zapamiętałem to z pierwszego spotkania. Mysie, rzadkie włosy miała spięte w wysoki kok. Zauważyłem, że drżą jej ramiona. To

dobrze. Ludzie nie powinni być butni i pewni siebie w towarzystwie inkwizytora.

– Czym wam mogę służyć? – spytała, a jej głos również drżał.

– Informacją – odparłem. – Prostą, jasną i uczciwą informacją.

Przysiadła na zydłu, ostrożnie, jakby wiedziała, że w każdej chwili może nadejść moment, kiedy trzeba się będzie zerwać i uciec. Niepotrzebnie, bo po pierwsze, nie miała dokąd uciekać, a po drugie, naprawdę nie zamierzałem zrobić jej krzywdy.

– Słucham was...

– Ludzie często przychodzą do mnie po pomoc – powiedziałem. – Ale rzadko kiedy chcą, bym zajął się inkwizytorskim śledztwem. Zwłaszcza kiedy ma dotyczyć ich najbliższych. Wiesz dlaczego, Vermo?

Pokręciła głową, cały czas wpatrzona w czubki znoszonych trzewików.

– Dlatego, że inkwizytorowi nie wolno się cofnąć, kiedy ujrzy herezję. Niezależnie od tego, kto i w jakiej sprawie go wcześniej wynajął. A nie zatrudnia się strażaka, by opiewał uroki pożarów, prawda?

Podniosła wzrok, ale nadal nie patrzyła mi w twarz, tylko zatrzymała się gdzieś na wysokości sprzączki od pasa. Widziałem, że silnie zaciska dłonie, tak silnie, że aż pobieleły jej kostki palców.

– I wiesz, Vermo, nie tylko to mnie uderzyło w zleconym przez ciebie zadaniu. Już w Gewicht zorientowałem się, że miejscowi inkwizytorzy nie pragną bynajmniej wyjaśnienia i nagłośnienia sprawy, a wręcz przeciwnie: wszystko chcą zamieść pod sukno. Czyli żądałaś, bym pojechał do Gewicht nie by pożar zgasić, lecz by go rozpalić.

– Nie złamałam prawa – niemalże zaskrzeczała. – Nie możecie mi nic zrobić!

– To prawda – odrzekłem, choć była to odpowiedź jedynie na pierwszą część wypowiedzianego przez nią stwierdzenia. – Okazałaś się dobrą chrześcijanką, a twój donos posłużył naszemu Panu i naszemu Kościołowi. Ale czy zechcesz mnie oświecić? Czy zechcesz mi powiedzieć, dlaczego donosiłaś na siostrę i siostrzeńca? Dla śledztwa nie ma to najmniejszego znaczenia. Uznaj to za prywatną ciekawość inkwizytora.

Teraz podniosła wzrok i spojrzała prosto na mnie. Miała piękne, zielone oczy i był to jedyny piękny element w jej twarzy.

– Czy Pismo nie mówi przypadkiem: *Kto miłuje ojca albo matkę więcej niż mię, nie jest mnie godzien?* – zapytała i nie spodobało mi się szyderstwo, które usłyszałem w jej głosie.

– Jaką wyrządziła ci krzywdę, Vermo? – spytałem, ignorując jej słowa. – Czym zasłużyła sobie na taki los?

– Zabrała mi narzeczonego, urodziła dziecko... – wykrztusiła w końcu.

Wczepiła się pazurami w krawędź zydła.

– A ja byłem zawsze jałowa, inkwizytorze. Dlatego mój mąż włóczył się po burdelach, dlatego przezwiał mnie bezpłodną suką. A ona miała wszystko... miała dziecko... a kobieta, kobieta... – urwała i dyszała przez chwilę ciężko, a jej twarz zmieniła się w ściągniętą,

odrażającą maskę. – Kobieta bez dziecka jest tylko drwiną...

Pokiwałem głową, bo wreszcie zrozumiałem. I tak dobrze, że nie chodziło o złotą zapinkę czy rzucone w dzieciństwie przekleństwo. Bo i takie rzeczy ludzie potrafili pamiętać i z takich właśnie powodów donosić na swoich bliskich do Inkwizytorium.

Ale w tym wypadku, dzięki łasce Pana, nawet grzech zawiści posiał wspaniały plon.

– Rozumiecie mnie? Rozumiecie?

Skinąłem głową. Rozumiałem ją, a ona, jak każdy grzesznik, szukała właśnie zrozumienia. Nie znaczyło to jednak, że pozostawię sprawy tak, jak się miały. Jeśli była narzędziem we wszechmocnych rękach Boga, to Bóg znajdzie sposób, by jej pomóc. Ja nie zamierzałem.

– Dziękuję ci za objaśnienia, Vermo. I jeszcze jedno. Uczynek taki, jak twój, nie może pozostać bez nagrody. Może nieświadomie, ale powstrzymałaś krzewienie się zła. Twoja rodzina, sąsiedzi i przyjaciele będą na pewno dumni z tego, że postawiona w obliczu trudnego wyboru, wybrałaś zasady naszej wiary i lojalność wobec Kościoła, a nie tak przyziemne sprawy, jak więzy rodzinne. Gratuluję ci w imieniu Świętego Oficjum.

Wstałem i skłoniłem lekko głowę.

– Do zobaczenia – powiedziałem. – Życzę miłych snów.

– Dlaczego?! – wrzasnęła. – Dlaczego mi to robicie? Byłam pożytecznym narzędziem!

– Prawda – odparłem. – Ale czy grabarz ma płakać z powodu złamanej łopaty? Nie ta, to będzie inna...

Pożegnałem ją uprzejmym skinieniem głowy i odszedłem. Z sypialni słyszałem tylko zduszony szloch, lecz miałem smutną pewność, że Verma Riksdorf nie żałuje swych uczynków, lecz tylko ich konsekwencji. Milczenia, kiedy ujrzą ją sąsiedzi, nieczystości wylewanych na głowę, kiedy będzie przechodziła pod oknami, plucia pod stopy i zduszonych przekleństw. Nie wiecie, moi mili, jak bardzo boli pogarda, zwłaszcza kiedy jeszcze do niedawna było się osobą szanowaną. A kobieta, która wskazała inkwizytorom siostrę i jej małego synka, nie zyska poklasku sąsiadów. Swoją drogą, to smutne, że największą groźbą dla naszych donosicieli jest zazwyczaj groźba ujawnienia wszem i wobec ich donosów. Cóż, świat nie jest doskonały, bo przecież każdy uczciwy człowiek powinien współpracę ze Świętym Oficjum uważać za powód do chluby...

Nie mogłem się powstrzymać od uczucia obrzydzenia do wdowy Riksdorf. Gdybyż szukała prawdy, oświecona świętymi przykazaniami wiary i pchana zbożną trwogą! Ale ona tylko pragnęła zemsty na kimś, kto w niczym jej nie zawinił. Była nędznym robakiem i mogłem ją jak robaka rozdeptać. Jednak wiedziałem, że byłoby to nie tylko dyskusyjne z punktu widzenia prawa (czym może nawet bym się nadmiernie nie przejmował), lecz przede wszystkim świadczyłoby o okazaniu nadmiernej łaski. A wszak Pan nie ulepił mnie, bym sprowadzał łaskę, lecz sprawiedliwość. Co też starałem się czynić, jak najlepiej umiałem, przepełniony pokorą oraz bojaźnią Bożą.

*Sądzcie innych sprawiedliwie i bez trwogi. Lecz pamiętajcie, że którym byście sądem
sądzili, sądzeni sami będziecie, i którą miarą mierzyć będziecie, odmierzą wam.*

Ewangelia według św. Mateusza

Młot na czarownice

Zaproszono mnie na wieszanie i nie wypadało odmówić, chociaż jak się domyślacie, wasz uniżony sługa niespecjalnie gustuje w tego typu rozrywkach. Podobne teatrum dobre jest dla miejskiej gawiedzi, ale nie dla ludzi mojego pokroju, którzy w cierpieniu bliźniego widzą jedynie drogę prowadzącą do zbawienia, a nie grzeszną uciechę. Jednak burgrabia Linde był bardzo zadowolony z nowego podestu oraz nowej szubienicy, a poza tym po egzekucji zapraszał na ucztę. Wiedziałem też, że głośno zapowiadano obecność kata z Altenburga, złotopalciego talentu, potrafiącego tak chytrze obwiesić skazanego, że ten jeszcze przez dobrych kilka godzin wierzgał nogami w konwulsjach.

– Odstraszający przykład, mistrzu. – Burgrabia Linde wzniosł tusty, upierścieniony palec. – Zawsze powtarzam, że nie ma to jak odstraszający przykład. Bo tylko strach może nauczyć hołotę szacunku dla prawa.

– Zapewne macie rację, dostojny panie – odparłem uprzejmie i poczęstowałem się trunkiem, który burgrabia hojnie wlał do mojego pucharu. – A jakaż była wina skazanego, jeśli wolno spytać?

Burgrabia zastygł na moment z palcem przy nozdrzach, a potem odwrócił się w stronę swego zaufanego, wysokiego szlachcica o orlim nosie i twarzy przypominającej ostrze siekiery.

– Springer, za co my go właściwie wieszamy? – zapytał.

– Trzy gwałty i morderstwa na dziewczicach z dobrych domów – wyjaśnił szlachcic.

– No właśnie – skwitował burgrabia. – Nie trzeba nam gwałcicieli ani morderców. Choć za dziewictwo tych zgwałconych ręki odciąć bym sobie nie dał – zaśmiał się.

– W miarę, jak posuwam się w latach, moja pamięć coraz bardziej szwankuje – przyznałem z pokorą. – Ale czy przypadkiem karą za gwałt oraz morderstwo nie jest kastracja i ćwiartowanie, w drodze łaski wymieniane na łamanie kołem?

– Generalnie: tak – odparł Linde. – I z satysfakcją zauważam, drogi mistrzu, że pamięć macie dobrą jak dawniej. Jednak gdybyśmy go uszkodzili, to jak kat mógłby pokazać nam mistrzostwo w wieszaniu?

– Kilka godzin wierzgania, tego jeszcze nie widziałem – pokręcił głową Springer. – Aż wierzyć mi się nie chce, że to możliwe. A jak wy myślicie, mistrzu?

Przyglądanie się skazańcom w konwulsjach nie wydawało mi się szczególnie pasjonującą rozrywką, ale byłem w stanie zrozumieć, że na prowincji nawet ludzie dobrze urodzeni lub urzędnicy spragnieni są atrakcji.

– Sądzę, że cała tajemnica tkwi w odpowiednim przygotowaniu i założeniu liny oraz szczególnie delikatnym wytrąceniu stołka spod stóp. Gdyby wasza miłość – zwróciłem się do burgrabiego – kazał zainstalować zapadnię, to nawet najlepszy kat niewiele by pomógł, bo spadek z wysokości spowodowałby przerwanie rdzenia kręgowego.

– Dlatego też nie mamy zapadni – zaś miał się Linde z satysfakcją, a jego obfite policzki zadygotały.

Burgrabiego Linde znałem od wielu lat. A od kiedy jego powinowatą ocaliłem od stosu (najzupełniej zresztą słusznie i zgodnie z prawem, gdyż została niewinnie oskarżona przez złych sąsiadów), burgrabia darzył mnie szczególną sympatią i zawsze ciepło przyjmował, kiedy tylko zdarzało mi się przejeżdżać przez Biarritz, którym od dawna zarządzał. Linde był zacnym, szczerym człowiekiem o niewyszukanych manierach oraz prostych upodobaniach. Ale jego tusza i szeroki uśmiech na grubych wargach zmyliły już niejednego. Burgrabia żelazną ręką zarządzał Biarritz, a złoczyńcy szybko kończyli na szubienicy, pieńku lub gnili w nadzwyczaj głębokich lochach pod zamkiem. Gnili zresztą niedługo, bo burgrabia nigdy nie ukrywa ł, że wydatki na jedzenie dla więźniów uważa za zbędną pozycję w rubryce kosztów w miejskiej kasie.

– Nikt nikomu nie każe łamać prawa – powtarzał i trudno było odmówić słuszności tej opinii.

– Do końca się, psiajucha, nie przyznawał – sapnął Springer zza pleców burgrabiego. – Fakt, że kat poprzestał tylko na pokazaniu narzędzi...

– Przyznanie, przyznanie. – Linde machnął dłonią. – Mistrz Madderdin sam wie, jak mało poważny to dowód.

– Prawda – przytaknąłem i upiłem kilka łyčzków wina z pucharu. Jak na mój gust było nieco za słodkie. – O wiele większą wagę przykładam do dowodów ze świadków i rzeczy, bo jeśli przesłuchujący zechce, przesłuchiwany przyzna się nawet do tego, że jest zielonym osłem w pomarańczowe ciapki.

– Ano właśnie! – Burgrabia klasnął w dłonie, ale ostrożnie, bo mu przeszkadzały pierścienie. – Święta racja, mistrzu Madderdin. Zielonym osłem – parsknął śmiechem, powtarzając moje słowa. – Wy to jak coś powiecie...

Podniósł się ociężale z fotela, mocno chwytając za obite adamaszkiem poręcze.

– Ech, młodzi – powiedział – wam dobrze. A ja muszę się nieco przespać przed dzisiejszą uroczystością, bo popołudniami zawsze mnie napada chęć na drzemkę.

– Bardzo zdrowo – poparłem go.

– Może zdrowo, Mordimer, może zdrowo – westchnął. – Ale dawniej człowiek potrafił trzy dni pić, a czwartego jechał na polowanie i wracał z zaciną zdobyczą. A teraz? Byle pucharek czy dwa wina, a już mnie ciągnie do pościeli. – Pokiwał nam dłonią na pożegnanie i kolebiącym się krokiem kaczki odszedł w stronę drzwi.

Zauważyłem, że na siedzeniu ma moką plamę. Czyżby nieświadomie się moczył? Jeśli tak, faktycznie nie było z nim najlepiej. Springer dostrzegł moje spojrzenie.

– Jest chory – wyjaśnił cicho – a lekarzy traktuje jak dopust Boży. Może wy go przekonacie, mistrzu? Nawet pijawek nie daje sobie postawić, a przecież pijawki wyciągają złą krew.

Powszechna wiara w skuteczność pijawkowych kuracji była mocno przesadzona, niemniej nie słyszałem jeszcze, by komukolwiek takie leczenie zaszkodziło. Oczywiście stosowane z umiarem. Tak więc pokiwałem głową.

– Postaram się – obiecałem.

Springer rozsiadł się na krześle opuszczonym przez burgrabiego, suchym na szczęście, i zapatrzył w rosnące za kamienną balustradą drzewo.

– Słyszeliście, że są tacy, co mówią, że żaden człowiek pod żadnym pozorem nigdy nie powinien zabijać drugiego człowieka? Wierzycie, że kiedyś, w przyszłości, nikogo nie będzie się już karało na gardle?

– Wierzę – odparłem po chwili namysłu. – Ale tylko w wyjątkowych sytuacjach, gdy w kraju, czy prowincji zabraknie robotników. Kiedyś zawędrowałem na cesarskie pogranicze i tam miejscowi sędziowie nie skazywali nikogo na śmierć, lecz jedynie na niewolnictwo. Życie i praca ludzkie były zbyt drogie, by je bezmyślnie trwonić. Ale my – uśmiechnąłem się – możemy sobie przecież na to pozwolić. Ludzi ci u nas dostatek.

– Ano dostatek. A nawet rzekłbym: klęska urodzaju. Przydałaby się jakaś wojna albo co...

– Na psa urok – powiedziałem pół żartem, pół serio i splunąłem za balustradę.

– Mówią, że cesarz poprowadzi armię na Palatynat – dodał. – Myślicie, że to może być prawda?

Wasz uniżony sługa nie pływał, co prawda, w bystrych wodach polityki, ale trudno było nie usłyszeć, że młodemu, dopiero co koronowanemu władcy marzyła się wojenna sława. A walkom z heretyckim Palatynatem wielu by przyklasnęło, bo po pierwsze, obowiązująca w nim wiara była paskudna, a po drugie, w bogatych miastach czekały liczne łupy. Jednak palatyn Duvarre nie był ani głupcem, ani tchórzem i swoje włości zamienił w jedną wielką fortecę. Uzbroił też oraz wyćwiczył miejskie milicje. Tyle, że nasi feudalowie nadal nie wierzyli, iż mieszczańska hołota może przeciwstawić się ciężkozbrojnemu rycerstwu. Pozwalałem sobie mieć odmienne zdanie na ten temat, ale zachowywałem je dla siebie.

– Kto wie? – odparłem. – Nadszedł być może czas, by ponieść żagiew prawdziwej, świętej wiary...

– Taaa – odparł Springer i trudno było nie usłyszeć powątpiewania w jego głosie.

Uśmiechnąłem się w myślach. Doradca Lindego był rozsądnym oraz doświadczonym człowiekiem. Wiedział doskonale, że niesienie żagwi wiary wiąże się z niewygodami oraz niebezpieczeństwem utraty życia. Zwłaszcza kiedy zamierzało się podpalić włości kogoś takiego jak Duvarre, który nie znał się na żartach, a heretycką wiarę traktował nad wyraz poważnie. Zresztą w Palatynacie też palono kacerzy i czarownice, tak samo dobrze, jak u nas, tyle że nie zajmowali się tym przeszkoleni inkwizytorzy, a łowcy czarownic. Podłe było to towarzystwo, nawiasem mówiąc.

– Pozwolicie, że i ja się krzynekę prześpię – powiedziałem, wstając. – Bo znając pana burgrabiego, trzeba sporo sił zachować na ucztę.

Springer roześmiał się serdecznie.

– O, tak – przyznał. – Będą walki zapaśników i szczucie niedźwiedzia psami. Zaśpiewa też dla nas sama Rita Złotowłosa, bo podróżuje do Hezu i zatrzyma się w Biarritz na kilka nocy...

– Oświećcie mnie, jeśli łaska – przerwałem mu.

– Rita Złotowłosa – powtórzył zdziwiony. – Nie słyszeliście, mistrzu? Ballady o pięknej Izoldzie? Toż ona jest autorką!

– Samą balladę słyszałem – odparłem. – Ale imię autora jakoś umknęło mojej uwadze.

– No to będziecie mieli okazję ją poznać. – Mrugnął porozumiewawczo. – A jest na czym oko zawiesić. – Pokręcił głową. – Sami zobaczycie.

* * *

Tłumy zbierały się na placu już od południa, a straż miejska chroniła dostępu do podestu oraz szubienicy. Co bardziej krewkich mieszczan trzeba było odganiać kijami, ale w tłumie nie było agresji, a tylko nadmiar entuzjazmu wsparty sporymi ilościami wina oraz piwa.

Rita faktycznie była piękna, jak obiecywał Springer. I nic dziwnego, że nazwano ją Złotowłosą, bo jasne, gęste sploty włosów, teraz misternie trefione, spływały jej niemal do samego pasa. Ubrana była w zieloną, jedwabną suknię z wysokim kołnierzem, a pomiędzy stromymi piersiami błyszczał skromny wisiorek z niewielkim rubinem. Była bardzo wysoka, niemal mojego wzrostu, ale – co dziwne – sprawiała wrażenie kruchej oraz wiotkiej. W alabastrowo jasnej twarzy przykuwały uwagę oczy w kolorze pochmurnego nieba. Inteligentne i badawczo spoglądające. Zapewne była szpiegiem, a zważywszy na urodę przypuszczałem, iż szpiegiem znamienitym. Ciekaw byłem, czy w Biarritz zatrzymała się tylko przypadkiem, czy też miała do spełnienia jakąś misję. Sądziłem, że jednak to pierwsze, gdyż trudno mi było sobie wyobrazić, aby miasto dla kogokolwiek stało się na tyle ważne, by wysyłał tu tę opromienioną sławą piękność. A komu służyła? Mój Boże, zapewne każdemu, kto dobrze zapłacił.

Burgrabia własnoręcznie wymościł jej fotel jedwabnymi poduszkami i podtrzymywał za łokieć, kiedy siadała. Uśmiechnęła się do niego promiennie. No i trzeba przyznać, że uśmiech

miała również piękny, a zęby białe oraz równusieńkie.

– Zaczynamy. – klasnął w dłonie Linde i dał znak trębaczom.

Ponury dźwięk trąb uciszył tłum. Katowski czeladnik zerwał ciemną zasłonę okrywającą dotąd skazanego. Gawieź zawyla, a strażnicy stojący u stóp podestu zwarli szereg.

Zbrodniarz podniósł się z desek podestu. Był wysokim, barczystym człowiekiem o smagłej twarzy i lekko siwiejących, długich włosach. Teraz jego jedyny ubiór składał się z szarego, pokutnego worka z wyciętymi miejscami na głowę i ramiona.

– Dostojny burgrabio i wy, szlachetni mieszczanie – zaczął mocnym głosem, gdyż miał prawo do ostatniego słowa. – Głęboko boleję wraz z wami nad śmiercią trzech kobiet z Biarritz...

Przerwało mu nieprzychylnie wycie tłumu, a jakiś kamień śmignął tuż obok jego skroni. Nie zdążył się jednak uchylić przed drugim, oberwał w czoło i upadł na kolana, wyciągając dłonie w stronę ludzi, jakby prosił o łaskę. Jeden z żołnierzy natychmiast podskoczył i osłonił go tarczą. Strażnicy zaczęli się przepychać w stronę obwiesia, który cisnął kamieniem. Część ludzi pokrzykiwała, żeby uciekał, część próbowała go łapać, w sumie wszczęto zamieszanie i tumult. Burgrabia parsknął, z irytacją rozkładając dłonie.

– Zawsze tak jest – poskarżył się. – Czy nie piękniej byłoby w spokoju, z namaszczeniem i powagą? Jak myślicie, mistrzu?

– Zapewne piękniej – zaśmiałem się. – Ale tłum to tylko tłum. Zaraz się uspokoi.

Faktycznie ludzie czekali przecież na widowisko, a każde zamieszanie tylko opóźniało finalną zabawę.

– Mistrzu? – zapytała Rita, przechylając się w moją stronę. – Czy wolno spytać, dlaczego dostojny burgrabia was tak nazywa?

Pytanie było ze wszech miar usprawiedliwione, gdyż nie nosiłem w Biarritz służbowego stroju – czarnego kaftana z wyhaftowanym srebrem połamanym krzyżem – lecz ubierałem się jak zwykły mieszczanin.

– Gdyż Mordimer jest mistrzem wiary i sprawiedliwości oraz znawcą ludzkich sumień – odparł za mnie burgrabia, ze zbyt dużym jak na mój gust patosem.

Pochyliłem głowę.

– Jedynie pokornym sługą Bożym – wyjaśniłem.

– In-kwi-zy-to-rem – odgadła Rita. – Ale chyba w Biarritz nie służbowo, prawda?

– Uchowaj Boże – znowu odezwał się burgrabia. – Jest moim przyjacielem i miłym gościem.

Znowu pochyliłem głowę.

– To zaszczyt dla mnie, dostojny panie – odrzekłem.

Tymczasem tłum już się uspokoił, a obwiesia, który rzucił kamieniem, złapano i odprowadzano na stronę. Jak znałem burgrabiego, zostanie tak solidnie oćwiczony, że przy następnej okazji dwa razy się zastanowi, zanim zacznie wszczynać burdy.

Skazaniec wstał z kolan. Miał zakrwawioną twarz, którą usiłował przetrzeć dłonią, ale krew ciągle leciała z rozciętego czoła.

– Boga wzywam na świadka, że nie jestem winien tych zgonów – krzyknął. – Zlitujcie się, panie burgrabio, w imię Boże, zlitujcie się! – Wyciągnął ręce w stronę łoża, w której siedzieliśmy.

Burgrabia oparł się mocno na poręczach fotela i z niemałym trudem stanął na równe nogi.

– Czyń swoją powinność, mistrzu małodobry – wypowiedział zwyczajową formułkę, jakby nie usłyszał błagań skazańca.

Uradowany tłum zawył, a skazaniec znowu opadł na kolana i ukrył twarz w dłoniach. Pomiedzy palcami ściekały mu strużki krwi. Czeladnicy katowscy ujęli go pod ramiona i podprowadzili pod samą pętlę. Tyle, że nadal na podeście nie było samego kata!

– Patrzcie teraz – rzekł burgrabia bardzo zadowolonym z siebie tonem.

Znowu zadźwięczały trąby, a deski w podeście rozsunęły się i na górę wyjechał kat w krwistoczerwonym kubraku. Gawiedź, oszołomiona, zdumiona i uradowana nieoczekiwanym pojawieniem się oprawcy, zawyla mocnym głosem. Rozległy się brawa.

– Gratuluję, burgrabio – powiedziałem. – Jakiż piękny efekt.

Linde rozpromienił się i zerknął w stronę Rity, sprawdzając, czy również podziwia jego koncept, ale piękna śpiewaczka siedziała, przyglądając się wszystkiemu z miłym, pozbawionym emocji uśmiechem.

Kat z Altenburga nie miał, co dodatkowo zdumiało wszystkich, zarzuconego na głowę kaptura. Widać nie dbał o swą anonimowość, a może lubił, kiedy podziwiano jego urodę. Bo choć wasz uniżony sługa nie jest koneserem męskich wdzięków, mógł podejrzewać, iż kat podoba się żeńskiej części publiczności. Jego jasne, puszyste włosy wicherzył wiatr, a twarz zastygła w wyrazie uniesienia. Moim zdaniem zrobiłby karierę jako model rzeźbiarza lub malarza, ale cóż, wybrał inny zawód. I miałem przekonanie, że nie za długo będzie się nim cieszył, gdyż anonimowość oprawców nie była w końcu niczym wymysłem, tylko formą ochrony przed zemstą rodziny lub przyjaciół torturowanych czy traconych.

Kat podszedł do skazańca, położył mu dłoń na ramieniu i wyszeptał coś do ucha. Zapewne prosił o zwyczajowe wybaczenie, ale zbrodniarz tylko potrząsnął głową w niemym proteście. Oburzony tłum złowrogo zaszemrał. Oprawca rozłożył bezradnie dłonie i uśmiechnął się. To nieco zepsuło efekt, bo nawet z tej odległości zauważyłem, że ma pocerniałe, nierówne zęby oraz wielką szparę w miejscu lewej jedyńki i dwójki.

Na podest wdrapał się chuderlawy mnich z wygoloną tonsurą i oparł dłonie na ramionach zbrodniarza. Widziałem, że się modli, bo jego usta poruszały się bezdźwięcznie. Potem z namaszczeniem uczynił znak krzyża i zszedł z podestu.

Czeladnicy skrępowali skazanemu dłonie na plecach, po czym podsunęli pod pętlę niski, szeroki zydelek i pomogli mu wejść. Zbrodniarz sprawiał wrażenie całkowicie pogodzonego z losem, ale pomocnicy oprawcy wyraźnie mieli się na baczności. Musieli wiedzieć z własnego

doświadczenia, że ludzie stojący w obliczu rychłej śmierci potrafią zdobyć się na niespodziewany, niezwykle silny opór. A pozorna bierność może zamienić się w zapamiętały, oszalały gniew. W tym wypadku jednak nic nie wskazywało, by sytuacja miała się wymknąć spod kontroli. Skazaniec pozwolił sobie założyć pętlę na szyję (kat przedtem bardzo dokładnie ją sprawdził, wręcz pieszczotliwie dotykając każdego włókienka) i stał niemal na baczność, z głową odchyloną do tyłu.

– Założę się, że przed zachodem umrze – powiedział Springer.

– Przyjmuję – odparł zaraz tłustawy mieszczanin w haftowanym złotym kaftanie, który siedział za naszymi plecami. – Trzydzieści koron?

– A niech będzie pięćdziesiąt – odparł Springer.

– To i ja wejdę za pięćdziesiąt – rzekł cicho wysoki szlachcic siedzący dwa fotele od pięknej Rity. – Widziałem tego kata w Altenburgu, panie Springer, i zaręczam wam, że właśnie straciliście pieniądze.

– Wypadki się zdarzają – sentencjonalnie stwierdził doradca burgrabiego. – Nie co dzień jest niedziela.

– A wy, mistrzu – zagadnęła mnie Rita. – Nie wykorzystacie jakże bogatego doświadczenia zawodowego, by określić zdolności konfratra? Zręcznie go powiesi czy nie? Skazany pomajta nogami do zachodu czy wyzionie ducha wcześniej?

Oczywiście chciała mnie obrazić, poprzez porównywanie z katem, ale wasz uniżony sługa nie takie już obelgi słyszał i nie z takich ust. Wokół nas zapadło pełne konsternacji milczenie, lecz ja tylko uśmiechnąłem się powściągliwie.

– Los tego człowieka jest w rękach Boga – odparłem. – A jak długo będzie umierał, nie ma znaczenia w porównaniu z czasem trwania mąk piekielnych, których zazna, tak, jak każdy grzesznik ośmielający się łamać prawa boskie oraz ludzkie.

Burgrabia zakaszlał gwałtownie, a Springer poklepał go po plecach.

– Dobrze powiedziane, mistrzu Madderdin – rzekł Linde, kiedy się już wyparskał.

– Czyli nie wiecie – stwierdziła protekcyjnym tonem śpiewaczka i odwróciła się w stronę wysokiego szlachcica przyglądającego się jej z rozchylonymi ustami.

Spoglądałem pilnie, co uczyni złotopalczy talent z Altenburga. Oczywiście musiał mieć specjalnie spreparowaną linę, ale to nie wystarczyłoby do tak kunsztownego powieszenia, jakie zamierzał nam zaprezentować. Z całą pewnością postara się też, by pętla zacisnęła się nie na szyi skazanego, lecz oparła o jego brodę.

Trąby zagrzmiały raz jeszcze, a kat z rozmachem wykopał zydel spod stóp skazańca. Tyle, że jednocześnie podtrzymał go za łokieć, by ten nie zwił zbyt gwałtownie, co mogłoby znacznie skrócić seans. Ruch dłoni kata był błyskawiczny, równie szybko też cofnął rękę, ale nie miałem kłopotów z dostrzeżeniem tego gestu. Ot, i w tym również tkwił sekret. Zbrodniarz charczał, czerwieniał, kopał nogami, a ślina spływała z kącików jego ust. Zmoczył się, co publika przyjęła pełnym zachwytem wrzaskiem.

– Czy to prawda, że męskość nabrzmiewa w czasie wykonywania kary powieszenia, a z nasienia, jeśli spłynie na glebę, wyrasta korzeń magicznej mandragory? – zapytała ciekawie Rita.

Zauważyłem, że przygląda się konwulsjom skazanego z niezdrową fascynacją, a jej oczy rozszerzyły się. Kiedyś z braćmi inkwizytorami zastanawialiśmy się, dlaczego wśród katów nie ma kobiet i doszliśmy do wniosku, że z uwagi na dwa fakty. Po pierwsze, większość nie byłaby w stanie wytrzymać zadawania bliźnim cierpień i śmierci. Jednak ten drugi powód był ciekawszy. Otóż uznaliśmy, iż ta niewielka mniejszość, która poradziłaby sobie z zadaniem, odkryłaby w torturowaniu perwersyjną rozkosz, graniczącą z seksualną ekscytacją. A to nie służyłoby dobrze samej sztuce, którą wypełniać należy z pozbawionym emocji profesjonalizmem.

– Jeśli zechcecie, zapewne nasz dostojny gospodarz pozwoli wam sprawdzić, gdzie się podziało nasienie tego człowieka – powiedziałem.

Siedzący w pobliżu śpiewaczki szlachcic podskoczył jak oparzony.

– Zapominacie się! – rzekł karcącym tonem. – Trochę grzeczności wobec damy!

– Ja nie jestem grzecznym człowiekiem, panie – odparłem, patrząc mu w oczy, a on cofnął wzrok, jakby moje spojrzenie go sparzyło.

Rita już otwierała usta, aby odeprzeć atak (co zapewne nie byłoby miłe dla mych uszu), gdy nagle nastąpił niespodziewany zwrot akcji, który pozwolił nam szybko zapomnieć o całej niewartej uwagi dyskusji. Bo oto wydarzyło się coś, co nieczęsto zdarza się ujrzyć w czasie egzekucji, a co w ogóle nie powinno się przytrafić, kiedy sprawą zajmuje się człowiek tak doświadczony, jak kat z Altenburga. Lina zerwała się i skazaniec z głośnym łomotem zwałił się na deski podestu. Kłaniający się publiczności oprawca zamarł w pół ruchu, a potem obrócił się w stronę szubienicy z wyrazem komicznego wręcz niedowierzania na twarzy. Zresztą nawet, gdyby nie to niedowierzanie, nigdy nie podejrzewałbym go o celowe spreparowanie liny. Za bardzo cenił sobie dobre imię i zbyt był żądny poklasku, by nawet sowita nagroda mogła go skłonić do oszustwa.

– A to ładnie – rzekł bezbarwnym głosem Springer, ale jego słowa usłyszałem chyba tylko ja, bo wrzask tłumu zagłuszył wszystko.

Niemniej trudno było się nie zgodzić z tym, jakże lapidarnym, określeniem sytuacji. Burgrabia rozkaszał się i poczerwieniał na twarzy, jakby zaraz miała chwycić go apopleksja, a Rita klasnęła w dłonie.

– Niewinny – wrzasnął ktoś z tłumu. – Jest niewinny!

– Bóg tak chce! – odwrzasnął ktoś inny.

Czego Bóg chce, o tym nie sądzić pospółstwu, niemniej sytuacja stała się całkiem interesująca. Burgrabia skończył wreszcie kasłać i teraz pił łapczywie wino, a czerwona struga spływała mu na wszystkie podbródki. Oddał puchar służącemu i obrócił się w moją stronę.

– Co mam robić? – spytał głośnym szeptem.

Rozłożyłem tylko dłonie, gdyż to nie była moja sprawa.

– Niech go wiesz jeszcze raz – poddała Rita radośnie, a Springer syknął, słysząc jej słowa.

– Nie godzi się – powiedział cicho.

Tłum wyraźnie podzielił się w swych opiniach. Jedni żądali kontynuowania egzekucji, inni krzyczeli, że skazaniec jest widać niewinny, lub że Bóg przebaczył mu grzechy. Słyszałem też prześmiewcze okrzyki pod adresem kata. Złotopalcy talent usłyszał je również, bo widziałem, że jego twarz pokryła się szkarłatnym rumieńcem. Nie ma co, cała sytuacja była dla niego niczym policzek. Wdał się w ożywiającą dyskusję z czeladnikami i na jednego nawet się zamachnął, ale słysząc śmiech gawiedzi, cofnął dłoń. Stał na skraju podestu, spoglądając w naszą stronę. Tak jak i wszyscy wiedział, że teraz wszystko zależy od burgrabiego.

– Przecież nie mogę wypuścić mordercy, Mordimer – szepnął Linde, a potem uniósł się z fotela. Podniósł dłoń na znak, że chce mówić.

Tłum uciszył się i wszyscy w napięciu czekali na słowa burgrabiego.

– Zacni mieszczanie – wykrzyczał Linde. – Jesteśmy w tym szczęśliwym położeniu, że jest z nami, tutaj, znawca praw oraz obyczajów, dostoyny mistrz Inkwizytorium w Hezhezonie, licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa. On powie nam, co mamy czynić, aby pozostać w zgodności z prawem oraz obyczajem.

Byłem wściekły. Byłem nieludzko wściekły na Lindego, że miesza mnie w cały ten cyrk. Ale wstałem, gdyż burgrabia wskazywał mnie dłonią. Widziałem złośliwy uśmiešek na ustach Rity.

– Prawo i obyczaje są święte – rzekłem mocnym głosem. – A w tym wypadku obyczaj mówi jasno: skazany może zostać uwolniony, jeśli sędzia, który go skazał, cofnie słowo. Jeśli natomiast domagać się będzie śmierci, egzekucja ma zostać powtórzona. I wspomnijcie, co mówi Pismo: *Nie możemy dokonać niczego przeciwko prawdzie, lecz wszystko dla prawdy.* – Usiadłem z powrotem.

– Nie ma co, dziękuję wam, mistrzu – rzekł z przekąsem burgrabia – za jasną oraz prostą wykładnię praw.

Moim zdaniem wykładnia była akurat jasna i prosta, ale teraz decyzja należała do Lindego. Czy naprawdę myślał, że będę aż takim idiotą, aby podjąć ją za niego? W naszych czasach nikt nie przejmował się dziewczynami zarzucającymi przyszykowanym do egzekucji zbrodniarzom białe chustki (bo rzeczoną dziewczynę można było wynająć w każdym domu płatnych uciech za niewielką sumkę), ale zerwanie liny było już sprawą niewątpliwie poważną. Rzadkim przypadkiem, budzącym uzasadnione podejrzenia o cud i znak woli Bożej. Choć zdaniem waszego uniżonego sługi, gdyby nawet połowa wydarzeń nazywanych przez plebs cudami, była nimi istotnie, to Pan Bóg Nasz Wszechmogący nie miałby nic

innego do roboty, tylko czynić cuda.

– Może to cud? – zapytał Springer, jak gdyby czytał w moich myślach.

– Cudem jest to, że słońce wstaje o poranku i zachodzi przed wieczorem. Cud odbywa się codziennie w czasie mszy świętej – odparłem. – Ale nie spieszcie się nazywać cudem czegoś, co może być jedynie przypadkiem.

– Czy Bóg nie rządzi też przypadkami? – spytała szybko Rita.

– Bóg rządzi wszystkim – odpowiedziałem, nachylając się w jej stronę. – Zważcie jednak, że nawet jeśli kazał się zerwać linie, to wyjaśnień tego zjawiska może być wiele. Na przykład takie, byśmy nie zwracali uwagi na drobiazgi, lecz wykonywali sumiennie prawo, zgodnie z tym, co mówi Pismo: *Miłujcie sprawiedliwość, wy, którzy sądzicie ziemię.* Czyż nie ważniejsze jest to Boże polecenie od godnego pożałowania incydentu zerwania liny? Czyż nie można przypuszczać, że Bóg teraz właśnie wystawia na próbę naszą wiarę w sprawiedliwość i sprawdza, jak silnie potrafimy jej bronić?

– Więc obwiesić go? – zapytał ponuro burgrabia.

– A jeśli Bóg dał znak mówiący: oto człowiek niewinny? – zapytałem. – Albo inaczej: oto człek winny, lecz ja go przeznaczyłem do wyższych celów i chcę, by żył na moją chwałę?

– Przerażacie mnie, mistrzu – rzekł burgrabia po chwili milczenia.

Nawet się nie uśmiechnąłem. Teraz miał jedynie przedsmak tego, z czym my – inkwizytorzy musieliśmy się mierzyć każdego dnia. Mając jednocześnie pełną świadomość, że nigdy nie odgadniemy Bożych zamysłów. Zresztą cóż, mój Anioł powiedział niegdyś, że wszyscy jesteśmy winni, a pytanie dotyczy jedynie czasu oraz wymiaru kary. Miałem gorącą nadzieję, że mój czas nieprędko nadejdzie, a kara nie będzie zbyt surowa. Lecz, pamiętajcie, winę można znaleźć w każdej myśli, każdym uczynku i każdym zaniechaniu.

– Czyli pięćdziesiąt na pięćdziesiąt, że wybór będzie dobry? – zapytał Springer.

A jeśli sto na sto, że będzie zły? – chciałem odpowiedzieć, ale powstrzymałem się. Nie zamierzałem toczyć teologicznych dyskusji, zwłaszcza że Pan uczynił mnie nie mózgiem, a jedynie narzędziem. Ośmielałem się żywić tylko nadzieję, że w tym charakterze jestem użyteczny Jego planom.

– Wieszajcie! – krzyknęła piskliwie Rita, a burgrabia drgnął, jakby ukłuty szpilką.

Wstał i uniósł dłoń, a na placu znowu zaległa cisza.

– Zacni mieszczanie – rzekł. – Rozsądźcie w swych umysłach i sercach, czy znalazłbym słowa wyjaśnienia dla rodzin ofiar? Czym wytłumaczyłbym mą łaskę ojcom, braciom oraz matkom tych nieszczęsnych dziewczyn? Co powiedzieliby, widząc złoczyńcę wolno spacerującego w blasku słońca? Niech się wykona prawo – uniósł głos. – Wieszajcie!

Złotopalcy talent z Altenburga rozpromienił się. Oto miał okazję zatrzeć złe wrażenie z początku egzekucji i miał nadzieję, iż błądy nie zostaną mu zapamiętane. Skinął na czeladników, a ci pochwycili skazanego pod ramiona. Oczywiście trzeba było wymienić linę, a to potrwało jakiś czas. Kat tym razem sprawdzał ją jeszcze dokładniej niż poprzednio.

Każde włókno badał tak pieczołowicie i tak delikatnie, jakby dotykał ukochanej.

A mimo to, zaskoczę was, moi mili?, sznur zerwał się po raz drugi. Jeszcze szybciej niż poprzednio. Kat po prostu usiadł z wrażenia na podeście i ukrył twarz w dłoniach, a na placu zaległa przeraźliwa cisza, którą rozrywało tylko charczenie oraz kaszel leżącego skazańca.

– Ups – powiedział Springer i sam chyba przestraszył się własnego głosu, bo spuścił szybko głowę.

Było to niezłe podsumowanie całej sytuacji. Chciało mi się śmiać, a zarazem byłem zdumiony, gdyż po raz pierwszy widziałem tak niezwykle wydarzenie w czasie egzekucji. Owszem, czasami za zgodą lub niemym przyzwoleniem urzędników, inscenizowano podobne sceny, by ocalić skazanego. Ale w tym wypadku nie było mowy o żadnym oszustwie. Zbrodniarz z Biarritz miał cholerne, wielkie, niespotykane i niewiarygodne szczęście. Albo faktycznie mieliśmy do czynienia z cudem. Tylko – widzicie – trzeba by jeszcze określić, kto dawał ten cudowny znak? A tu sprawa nie była wcale jasna, bo doskonale wiemy, jak wielka jest potęga Złego i do jakich przemyślnych podstępów zdolny jest Szatan, aby zmylić serca pobożnych owieczek.

– *Palec to Boży jest* – ryknął ktoś z tłumu słowami Pisma.

Kilkunastu ludzi, głównie tych stojących nieopodal podestu, padło na kolana i zaczęło się na głos modlić. Babina w kolorowej chuście piszczała cienkim, rozpaczliwym głosem z rękoma uniesionymi nad głową. Jakiś starzec głośno ślubował zachowanie czystości, i co to miało wspólnego z egzekucją, mili moi, to wasz uniżony sługa nie miał pojęcia. Zwł – aszcza, że wiek oraz uroda ślubującego nie wskazywały, iż przysięga będzie trudna do zrealizowania. Niemniej sytuacja wymykała się spod kontroli. Doskonale widziałem gromadkę gapiów, którzy stali wyraźnie oszołomieni, ale w ponurym milczeniu. Domyśliłem się, że to rodziny zamordowanych dziewcząt. Było wśród nich kilku rośłych mężczyzn i miałem pewność, iż wszyscy są uzbrojeni. Na placu mogło łatwo dojść do rozlewu krwi, a od tego tylko krok, by zamieszki rozniosły się na całe miasto.

A to sobie burgrabia przygotował widowisko – pomyślałem złośliwie, ale jednak byłem zaniepokojony. Zwłaszcza że Springer oprzytomniał i zaczął nerwowo nawoływać oficerów straży. Dostrzegłem, iż kusznicy stojący na murach celują w tłum. Coś należało zrobić, bo bezczynność władzy mogła popchnąć pospólstwo do rozruchów. Ale Linde patrzył tylko oglupiały na to, co się dzieje, i nie sądziłem, by cokolwiek był w stanie przedsięwziąć. W związku z tym wasz pokorny sługa musiał wziąć sprawy w swoje ręce. Mimo niechęci do całego godnego pożałowania bałaganu oraz gorącego pragnienia, by pozostać w cieniu wydarzeń. Wstałem. Ale nie zdążyłem nawet się odezwać, gdy wszystko zagłuszył krzyk Rity.

– Zły tu jest! – wrzasnęła przenikliwym głosem, który mógłby chyba tłuc kielichy. – Nie dajcie się zwieść, zacni ludzie! Patrzcie! – Uniosła dłoń, a zachodzące słońce prześwitywało pomiędzy jej białymi palcami. – Zły zstąpił i przedarł linę szponami. Czy czujecie smród

siarki?!

Tłum zaszemrał niepewnie, a niektórzy z klęczących przy podeście podnosili się z kolan, nerwowo zerkając wokół, jakby diabeł miał za chwilę objawić się tuż przy nich w oparach siarkowego dymu.

– Widziałem diabła! – ryknął mężczyzna stojący w tej ponuro zapatrzonej grupce mieszczan. – Zerwał linę i uleciał w niebo!

– I ja widziałem! – szybko zorientował się w sytuacji jego towarzysz.

– Módlcie się! – Skrzywiłem się, bo Rita stała niedaleko mnie i myślałem, że pękną mi bębniaki w uszach – *Ojcze nasz, któryś jest w niebie...* – zaczęła.

O dziwo, tłum z początku niechętnie, ale podjął modlitwę. W głosie śpiewaczki był o coś zniewalającego, a jej wysoka, jasna postać wychylona przez balustradę łoży musiała robić wrażenie na gawiedzi. Ponura grupka mieszczan głośno i z namaszczeniem powtarzała słowa modlitwy wypowiedane przez Ritę. Zwłaszcza szczególnie potężnie wyskandowali:... *i daj nam siłę, byśmy nie przebacжали naszym winowajcom*. Los skazańca został w tym momencie przypieczętowany, a ja przyglądałem się Złotowłosej z nie pozbawioną szacunku ciekawością.

* * *

Uczta była huczna, a jedzenie i trunki znamienite. Jak się domyślicie, mili moi, podstawowym tematem rozmowy stała się niewiarygodna sprawa dwukrotnego zerwania szubienicznej liny. Burgrabia bardzo słusznie postanowił nie wypłacać katu ani grosza honorarium, a złotopalczy talent z Altenburga (choć nie wiem, czy po zajściu w Biarritz ktokolwiek będzie jeszcze go tak nazywać) bardzo słusznie postanowił się o to honorarium nie upominać. W końcu lochy w zamku Lindego były spore, a sam Linde stanowczo nie miał nastroju do żartów ani nie zniósłby żadnej bezczelności.

Rita Złotowłosa otrzymała od burgrabiego kosze najpiękniejszych róż z ogrodów Biarritz i przekwaterowano ją do apartamentów godnych królowej. Byłem pewien, że na tym awansie burgrabiego się nie skończą i śpiewaczka mogła się spodziewać, iż opuści miasto z cennymi prezentami. Które nawiasem mówiąc, jej się należały, gdyż wszyscy wierzyli, że zapobiegła masakrze. Wasz uniżony sługa też mógł być jej wdzięczny, gdyż, aby uspokoić tłum, musiałbym zaangażować powagę Inkwizytoryum. A my – ludzie pokornego serca – wolimy jednak pozostawać w cieniu.

Trzecia odsłona egzekucji przebiegła już nad wyraz sprawnie. Kat nie bawił się w wyrafinowane gierki, tylko szarpnął mocno skazanego za nogi, przerywając rdzeń kręgowy. Nie chciałem nawet myśleć, co by się stało, gdyby lina zerwała się po raz trzeci, ale Boska opatrność czuwała jednak nad Biarritz. Rozradowany burgrabia kazał wypuścić z lochów kilkunastu skazańców, nawet bez wcześniejszego ostrzegawczego oćwiczenia batami, ale ja zastanawiałem się nad jednym. Dlaczego Rita zdecydowała się pogrążyć skazańca w oczach

tłumu? Dlaczego krzyczała o obecności Złego, chociaż równie dobrze mogła uratować zbrodniarzowi życie, wołając, iż widzi Anioły? Zresztą jedno i drugie było nad wyraz podejrzane z punktu widzenia czystości wiary, a gdybym był bezdusznym służbistą, mógłbym wszcząć oficjalne śledztwo. Jestem pewien, że wielu braci – inkwizytorów nie omieszkaloby skorzystać z takiej okazji.

– Gratuluję – powiedziałem, kiedy w czasie uczty znalazłem się w pobliżu śpiewaczki. – Godne podziwu opanowanie, jasność umysłu oraz niezwykła siła głosu. – Uniosłem lekko puchar i przepiłem do niej.

Uśmiechnęła się leciutko. Miała błyszczące oczy, a jej jasne policzki zaróżowiły się od wina.

– I słaba kobieta może się na coś przydać, mistrzu Madderdin – odparła.

– Jak widać nie słaba, bo któż może o sobie powiedzieć, że ocalił spokój miasta oraz wiele istnień ludzkich? – zapytałem uprzejmie.

Uśmiechnęła się jeszcze bardziej, wyraźnie zadowolona z siebie. Jak widać, niewiele trzeba było, aby mile polectać jej próżność. Zbliżyła się do mnie i poczułem ciężki zapach jej perfum.

– Zauważyłam, że również wstaliście wtedy, mistrzu – powiedziała. – Czy nie będzie niegrzecznością z mej strony zapytać, co zamierzaliście uczynić?

Stała bokiem do mnie i widziałem z profilu jej piękną buzię oraz śmiały zarys piersi. Ale wasz uniżony sługa szkolony był do tego, by odkrywać to, co zakryte, i by dochodzić do sedna sprawy, nie dając się zwieść fałszywej grze pozorów. Dlatego też uśmiechnąłem się do siebie w myślach, dumając nad kobietą próżnością, a na głos powiedziałem:

– Zamierzałem przejąć władzę w mieście, w imieniu Świętego Oficjum.

– Macie takie prawo? – Jej oczy błysnęły.

– Nie ośmielamy się z niego korzystać bez stosownej potrzeby – odparłem poważnie.

– Wy sami, bez straży, wojska... – Wyraźnie nie mogła uwierzyć.

– Taka jest moc Pana, który zyskał ją, schodząc z Krzyża swej Męki i niosąc wrogom żelazo oraz ogień – rzekłem i nie minąłem się bynajmniej z prawdą, gdyż w sercach wielu ludzi nazwa Inkwizytoria dzwoniła niczym dzwon na trwogę.

Rozmowę przerwał nam młody, podchmielony szlachcic, który bezceremonialnie mnie potrącił i zaczął rozwodzić się nad pięknnością oraz mądrością Rity.

– Pozwólcie sobie przedstawić – przerwała mu łagodnie. – Mistrz Mordimer Madderdin, inkwizytor z Hezu.

Młody szlachcic pobladł, wyjąkał nieskładne słowa przeprosin i postarał się szybko zniknąć w tłumie. Uśmiechnąłem się, a śpiewaczka wydeła pogardliwie usta.

– Co za tchórz – powiedziała. – Czy pozwolicie, że ja wam zadam pytanie? Przypatrywała mi się chwilę, a potem skinęła na przechodzącego obok młodzieńca.

– Zechcecie nappełnić mój kieliszek? – zapytała z olśniewającym uśmiechem.

Młodzieniec spłonął się jak panienka i niemal wyrwał kielich z rąk Rity.

– Być może – odparła, patrząc mi w oczy. – Wszystko zależy od treści tegoż pytania.

– Dlaczego skazaliście go na śmierć? – zapytałem. – Równie łatwo mogliście przecież ocalić mu życie.

Roześmiała się perliście.

– A ja już myślałam, mistrzu, że zechcecie badać jakieś moje najśłodsze sekrety i najmroczniejsze tajemnice – powiedziała, zalotnie wachlując się jedwabną chusteczką. – Zawiodłam się na was!

– Upraszam o wybaczenie – pochyliłem głowę.

– Szlachetna pani – Młodzieniec z kieliszkiem w ręku pojawił się tuż przy Ricie. – Pozwólcie...

Wzięła naczynie z jego ręki i obdarzyła go znowu uśmiechem.

– Czy kiedy rozpoczną się tańce, zechcecie... – zaczął młody człowiek z policzkami pokrytymi pąsowym rumieńcem.

– Wybaczenie – przerwała mu uprzejmie, ale stanowczo. – Rozmawiam teraz o bardzo ważnych sprawach z dostojnym mistrzem Inkwizytorem.

Młodzieniec rzucił na mnie okiem, raczej z zazdrością niż ze strachem, a potem skłonił się głęboko Ricie i odszedł tyłem, cały czas pochyłony w ukłonie.

– Pozwolę sobie jednak mieć nadzieję... – wydukał na pożegnanie.

Skinęła mu głową, ale potem znowu zwróciła wzrok na mnie.

– Aż dziw, że się nie domyślacie – powiedziała. – Zrobiłam to przynajmniej z trzech powodów.

– Wdzięczność burgrabiego, bo zwolnienie skazańca, czy to spowodowane cudem, czy też nie, nadszarpnęłoby jego prestiż. Wdzięczność rodzin pomordowanych, a to znaczący ludzie, tu w Biarritz – rzekłem. – Ale trzeciego powodu nie znam.

– Wdzięczność. Ładnie to nazywacie – uśmiechnęła się rozbrajająco. – Zastanówcie się, co bym osiągnęła, ratując mu życie? Gniew jednych, zakłopotanie innych, konflikty, nawet kto wie, czy nie rozlew krwi? A to był człowiek nikomu nie znany. Przybłąda.

– Został trzeci powód – przypomniałem, leniwie się zastanawiając, w ile brzęczących koron zamieniła się wdzięczność rodzin zamordowanych dziewcząt.

– Niech zostanie moją słodką tajemnicą – powiedziała. – Bez urazy, mistrzu.

– Oczywiście, że bez urazy – odparłem. – Każdy ma prawo do sekretów.

– Otóż to. – Skinęła mi uprzejmie głową i zręcznie wmieszała się w tłum.

Natychmiast zaroilo się przy niej od wielbicieli, a męskie spojrzenia niemal rozbierały ją z sukni, koncentrując się głównie na wydatnym biuście. Uśmiechnąłem się do własnych myśli i przepchnąłem w stronę Springera, który wydawał jakieś polecenia ochmistrzowi.

– Zaraz zacznie się walka – powiedział, kiedy tylko mnie zobaczył. – Będziecie obstawiać, mistrzu Madderdin?

Wzruszyłem ramionami.

– Nawet nie widziałem zapaśników. Ale kto wie?

– Szczerze doradzam postawić na Rufusa – obniżył głos. – Ten człowiek ma kopyto w pięściach.

W sali bankietowej przygotowano arenę, na której mieli wystąpić zapaśnicy. Całkiem sporą, bo liczyła może piętnaście na piętnaście stóp, co oznaczało, że zawodnicy będą mogli wykazać się nieco większym kunsztem oraz zręcznością i nie skończy się na tym, że staną naprzeciw siebie, okładając się pięściami tak długo, aż jeden z nich padnie.

Burgrabia Linde siedział niedaleko areny na wysokim fotelu i pogryzał tłustego kapłona. Zobaczył mój wzrok i pokiwał mi dłonią. Skłoniłem się uprzejmie, ale nie podszedłem. I tak kręciło się wokół niego mnóstwo ludzi, a Linde głównie poświęcał uwagę pewnej czarnowłosej ślicznotce w karmazynowej sukni, która urodą niemal była w stanie zaćmić Ritę.

– Idą – krzyknął ktoś obok mnie i odwróciłem się w stronę, którą pokazywał.

Otworzyły się drzwi, a do komnaty wkroczył potężny, rudowłosy i rudobrody mężczyzna o wytatuowanym, błyszczącym od oliwy ciele.

– Haaaargh! – zawył basowo, unosząc dłonie nad głowę. – Gdzie jest ten, którego mam zabić, burgrabio?

Linde uśmiechnął się szeroko i pokiwał dłonią, dając znak, żeby olbrzym wszedł na arenę.

– Rufus – wyjaśnił Springer z szacunkiem w głosie. – Kawał bydlaka, co?

Faktycznie. Zapaśnik miał niemal siedem stóp wzrostu, a jego ciało wydawało się jednym węzłem mięśni. Przedramiona miał mniej więcej grubości moich ud. Ale widzicie, mili moi, wasz uniżony sługa radził już sobie nie z takimi kolosami. Bowiem w walce pomiędzy dwoma ludźmi nie wszystko zależy od wagi, wzrostu oraz siły. Liczą się też spryt oraz szybkość. No i specjalne umiejętności, jak chociażby wiedza o tym, w które miejsce na ciele należy uderzyć, aby pozbawić rywala przytomności, tchu lub zadać mu jak największy ból. Nie mówiąc już o tym, że w czasie zwykłej walki nie trzeba stosować się do sportowych reguł i można na przykład sygnąć przeciwnikowi w oczy shersken. A człowiek, którego w ten sposób potraktowano, myśli tylko o tym, by trzeć, trzeć i trzeć potwornie piekące oczy. Tyle, że jak wetrze sobie shersken pod powieki, to ostatnim, co zobaczy, będą jego własne palce.

Rufus stanął na arenie i przeżył się, prezentując mięśnie tłoczonym się wokół gościom burgrabiego. Za chwilę jednak uwaga tłumu skoncentrowała się na postaci, która jako druga weszła do komnaty. Ten człowiek również był półnagi i również wysmarowany oliwą, ale posturą oraz wagą nie dorównywał Rufusowi. Miał czarne, krótko ścięte włosy i paskudną bliznę biegnącą od kącika prawego oka aż po lewą część górnej wargi. Nie była to, co prawda, blizna tak odrażająca jak mego przyjaciela – Kostucha, niemniej i tak robiła wrażenie.

– Finneas. Niebezpieczny człowiek – pokręcił głową Springer.

– Niebezpieczny był ten, kto go tak drasnął – powiedziałem.

Kiedy drugi z zapaśników szedł w stronę areny, zdałem sobie sprawę z faktu, że wynik tej walki wcale nie jest przesądzony. Rufus był o wiele potężniejszy, ale Finneas miał lekki chód i czujne spojrzenie. Na pierwszy rzut oka było widać, że nie jest amatorem. Jego mięśnie nie były tak imponująco wielkie jak Rufusa, ale miałem pewność, że znalezienie się w objęciach tego człowieka musi być równie przyjemne, co bliskie spotkanie z imadłem.

– I co? Obstawiacie? – zagadnął Springer.

– Sto na Finneasa? – spytałem.

– Przyjmuję z największą chęcią – zaśmiał się Springer. – Dzisiaj jest mój szczęśliwy dzień.

Zapaśnicy stanęli w przeciwległych kątach areny, a jeden z dworzan burgrabiego rozpoczął afektowaną i niezwykle nudną prezentację. Wszystko po to, by goście mieli czas na dokonanie zakładów. Potem na arenę wkroczył sędzia.

– Nie wolno gryźć – rzekł. – Nie wolno wydłubywać oczu. Kto poprosi o litość, ma ją otrzymać, lecz przegrywa walkę.

– Aaaaargh! – wrzasnął znowu Rufus, co miało zapewne oznaczać, że o litość prosić nie będzie.

– Zaczynajcie w imię Boże – rzekł sędzia i zeskoczył szybko z areny, bo równo z dopowiedzeniem przez niego słowa „Boże” pięść Finneasa wystrzeliła naprzód i Rufus oberwał prosto w nos.

Cofnął się o pół kroku, potrząsając głową jakby z niedowierzaniem, dzięki czemu Finneas zdołał go trafić jeszcze dwa razy, łamiąc mu przy okazji chrząstki. Rufus rzucił się naprzód całym ciężarem ciała i wyprowadził uderzenie, po którym głowa przeciwnika zapewne zleciałaby z karku. Gdyby uderzenie to, rzecz jasna, trafiło. A nie trafiło, gdyż Finneas płynnie uskoczył i z półobrotu kopnął Rufusa pod kolano. Cios był na tyle mocny, że olbrzym zachwiał się, ale jednak nie upadł. Ośmielałem się uważać, że zwyczajny człowiek miałby już w tym momencie złamaną nogę, ale jak widać Rufus nie był zwyczajnym człowiekiem.

Zebrani na sali goście krzyczeli, nawoływali, radzili obu zawodnikom chrypliwymi głosami, a co bardziej krewcy nawet imitowali zadawanie ciosów. Ot, niczym te zapasy nie odbiegały od codzienności. No, może poza klasą obu rywali. W hałasie wybijał się tubalny głos burgrabiego, który z poczerwieniałą twarzą ryczał: bierz go! bierz go!, jednak trudno mi było ustalić komu kibicuje (i na kogo w związku z tym postawił pieniądze).

Tymczasem Finneas nie dość szybko uciekł przed ciosem i wreszcie uderzenie Rufusa trafiło, zamieniając mu nos w, czerwony kapeć. Co gorsza, cios na tyle go zamroczył, że nie umknął przed potężnym sierpem celowanym prosto w lewe ucho. Poleciał do tyłu, a wtedy Rufus z rozbiegu, całym ciężarem skoczył w jego stronę i obalił go na ziemię. Finneas huknął głową w deski areny i było po walce.

– Ha! Mówilem, że to mój szczęśliwy dzień! – wrzasnął rozradowany Springer w moją stronę.

Obróciłem wzrok w stronę burgrabiego.

– Chyba jednak nie – stwierdziłem.

* * *

Owszem, wezwano medyków, ale zanim dobiegli na salę, Linde już nie żył. Leżał z czerwoną, spoconą, nabrzmiałą twarzą i rozrzuconymi na boki rękoma, a wokół niego tłoczyli się goście. Cóż, z całą pewnością będą mieli o czym opowiadać. Niezwykła egzekucja, interesująca, choć szybko zakończona walka, a potem śmierć gospodarza przyjęcia... O tak, będzie to temat rozmów na długie, zimowe wieczory. Stałem pod ścianą, obok marmurowego portyku, i nie zamierzałem mieszać się z tłumem. Lindemu i tak już nie można było pomóc, a nie widziałem sensu w przypatrywaniu się trupowi, zwłaszcza że w życiu widziałem więcej zwłok niżbym sobie tego życzył i zapewne więcej niż wszyscy obecni w komnacie razem wzięci. Oczywiście żałowałem Lindego, bo był zacnym człowiekiem, ale trudno też było nie dostrzec związku pomiędzy jego nagłą śmiercią a niezdrowym trybem życia.

– Dieta i dużo ruchu na świeżym powietrzu, oto czego potrzeba człowiekowi – mruknąłem sam do siebie i upiłem łyk wina, którego, o dziwo, tłum cwałujący wcześniej w stronę martwego burgrabiego nie zdołał mi wylać z pucharu.

– Mówiliście coś, mistrzu? – zagadnęła Rita.

Ha! Nawet nie zauważyłem, że podeszła, a to oznaczało, iż śmierć Lindego jednak wytrąciła mnie z równowagi w stopniu większym niżbym przypuszczał.

– Modliłem się – wyjaśniłem poważnie. – Aby Bóg w niebiosach dopuścił burgrabiego do swej światłości.

– Tak też myślałam... – Czyżbym dosłyszał ironię w jej głosie?

– Czyż to nie niezwykle obserwować tę nadzwyczajną metamorfozę? – Zerknęła na mnie szybko, jakby sprawdzając, czy rozumiem ostatnie słowo. – Zmieniając ją czującą i myślącą istotę w kawał zimnego, bezdusznego mięsa, obdarzonego życiem w tym samym stopniu, co kamienie, na których leży? – zapytała, i jeśli miało to być epitafium dla burgrabiego, to nie wydało mi się stosowne.

– Naturalna kolej rzeczy – odrzekłem, wzruszając lekko ramionami. – *Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz.*

I kiedy dopowiadałem te słowa, usłyszałem brzęk rozbijanej szyby. Witrażowe, zdobione szkło pękło i rozbryznięło się na dziesiątki kawałeczków, a na posadzce komnaty wylądował owinięty w burą szmatę kamień. Dziesiątki oczu wpatrywało się w ten kamień takim wzrokiem, jakby zaraz miał on z powrotem wznieść się w powietrze i ich zaatakować. Wreszcie jakiś szlachcic podszedł ostrożnie i ujął pocisk w dłonie. Rozwinął szmatę, ścigany uważnymi spojrzeniami ludzi zgromadzonych wokół niego. Na szmacie było coś nabazgrane

czerwonym atramentem lub krwią, ale z tej odległości nie mogłem dostrzec co. Podeszedłem w stronę szlachcica, ale on zdążył już przeczytać ze zdumieniem w głosie.

– „Ten był pierwszy”. – Powiódł wzrokiem po tłumku, który się wokół niego zgromadził.

– Ten był pierwszy – powtórzył głośniejsze.

– Uważajcie, zaraz może wlecieć następny – ostrzegł ktoś i goście burgrabiego zaczęli wycofywać się spod okna.

– Ten kamień był pierwszy? – zapytała Rita, która znowu znalazła się obok mnie. – O to chodzi, tak?

Roześmiałem się.

– Burgrabia – wyjaśniłem łagodnie. – Pierwszy był burgrabia Linde. Teraz czas na następnych winnych śmierci naszego dzisiejszego skazańca.

Spojrzałem na nią kątem oka. Zauważyłem, że jej i tak jasna twarz pokrywa się teraz trupią bielą.

– Nie – powiedziała oszołomiona. – Nie myślicie tak naprawdę... Przecież to... nonsens.

– Zobaczymy – odparłem. – Jeśli będą następne ofiary, okaże się, że mam rację.

Skłoniłem się jej lekko i poszedłem przyjrzeć się kamieniowi oraz napisowi. Rita została tam, gdzie ją opuściłem, jakby stopy wrosły jej w posadzkę. Nie ukrywam, mili moi, że było to dość zabawne. Chociaż z drugiej strony wasz uniżony sługa zdawał sobie sprawę, że być może będzie musiał zmierzyć się z poważnym problemem, wymagającym szczerej wiary oraz gorącego serca. No, ale tego akurat mi nie brakowało.

* * *

– Zróbcie coś! – Niemal wrzasnęła mi w nos, a jej zmieniona gniewem i strachem twarz stała się niemal odstręczająca. – Jesteście przecież inkwizytorem!

Siedzieliśmy w komnacie Springera we trójkę, a chociaż na blacie stołu pysznił się dzban doskonałego wina, to moim rozmówcom jakoś nie szło ono w smak. Ja – wręcz przeciwnie – delektowałem się nim, pogryzając przy okazji miodowe pierniczki.

– Z zamkowej piekarni? – zapytałem Springera.

Spojrzał na mnie, jakby nie rozumiał, o co pytam, a potem jego wzrok zatrzymał się na ciastku, które trzymałem w palcach.

– Z zamkowej – mruknął. – Ale, na Boga, nie zajmujcie się piernikami, tylko mówcie, co tu się dzieje! Czy naprawdę ktoś zamordował Lindego?

– Każcie z łaski swojej piekarni, żeby mi przygotował jakiś zacny koszyk na noc. Naprawdę, pyszne... Muszę się dowiedzieć, w jakich proporcjach mieszają miód i ciasto. A wracając do waszego pytania. To są jedynie moje przypuszczenia – powiedziałem. – Nie oparte na racjonalnych dowodach. Jeśli jednak mam rację, nie bójcie się. Następny w kolejce będzie kat.

– Przekłęté duchy – niemal zaszlochała Rita. – Wiedziałam, że istnieją, ale żeby

mordować ludzi...

– Duchy? – zaśmiałem się. – Duchy nie wrzucają przez okno kamieni i nie piszą krwią ostrzeżeń na brudnych szmatach.

– Więc któż, u diabła? – warknął Springer.

Nie zamierzałem dzielić się z nimi swymi podejrzeniami. Jeszcze nie teraz. Na razie medycy badali skrupulatnie ciało burgrabiego, a ja też – zanim oddałem je w ich ręce – uważnie mu się przyjrzałem. Linde nie zadławił się kością i nie został otruty. Tego byłem niemal pewien, a wiercie mi, że znam się na tych sprawach. Nie wyglądało też, by trafiła go apopleksja. Fakt, że był schorowany oraz niedołężny i wszyscy uznaliby jego śmierć za tragiczny wypadek, gdyby nie ten nieszczęsny kamień. Co gorsza, mili moi, dokładnie zbadałem podwórzec przed oknami komnaty balowej. Istniało nikłe prawdopodobieństwo, aby ktokolwiek mógł tam dotrzeć bez zwrócenia na siebie uwagi straży. Tak więc kamień musiał zostać wystrzelony z daleka przez osobę biegłą w posługiwaniu się procą. Lub też znalazł się tam w najzupełniej inny sposób, co oznaczało, że wasz uniżony sługa zostanie zaprzęgnięty do niechcianej roboty, w której modlitwa odegra znacznie większą rolę niż siła mięśni, czy walory umysłu.

– A po kacie kto? – Rita splotła palce obu dłoni tak mocno, że aż jej pobieleły kostki.

– Wy – odparłem szczerze. – Bo któżby inny?

– Ja... nie chcę... – Jej dolna warga drżała tak, jakby śpiewaczka dostała ataku febry.

– A kto by chciał? – Wzruszyłem ramionami. – Jednak nie zwracajcie sobie tym pięknej główki, bo być może inkwizytorskie wykształcenie zbytnio wpływa na godną pożałowania podejrziliwość mego umysłu.

– Doprowadzacie mnie do szału! – wybuchnęła i chyba wołałem, jak się gniewa niż jak rozpacza.

– A ja? – zapytał głucho Springer.

– Nie sędzę – rzekłem.

– Wy też mogliście go uratować. – Wlepiała we mnie wzrok. – Mogliście powiedzieć, że zwyczaj wymaga, by puścić skazańca wolno...

– Powiedziałem prawdę – przerwałem jej. – I to nie ja u naszego zdolnego kata z Altenburga zamawiałem sznur mający przynieść szczęście.

– Wiecie... – Opadła na oparcie fotela.

– Wiem. I wiem również w związku z tym, jaki był trzeci powód. Życie człowieka w zamian za kawałek sznurka z jego szubienicy to interesująca wymiana. Choć przyznam, że mogliście mieć w sercu nieco więcej litości.

– I w-wwy – zająknęła się – mówicie o litości. Inkwizytor! – Wypłuła ostatnie słowo, jakby było przekleństwem. – Opuszczam to przeklęte miasto! – Huknęła pięścią w blat stołu, aż dzbanek z winem niebezpiecznie zadrżał.

– Nie radzę – powiedziałem. – Czy będziecie tutaj, czy sto mil stąd, niewiele wam

pomoże. Ale tak jak mówiłem: nawet jeśli moje podejrzenia się potwierdzą, macie czas. Co najmniej sześć dni.

– Dlaczego akurat sześć? – zapytał zdumiony Springer.

Wstałem.

– Nie zapomnijcie o pierniczkach – przykazałem mu. – Natomiast wam – zwróciłem się w stronę Rity – radzę znaleźć księdza i szczerze się wypowiadać. A przed snem zmówić różaniec. Pewnie niewiele to pomoże, ale zawsze... Wybaczcie, teraz pójde porozmawiać z medykami.

* * *

Zwłoki Lindego przetransportowano do jednej z piwnic na wino i tam właśnie zebrali się trzej medycy, by dokonać dokładnych oględzin jego ciała. Nie wiem, czemu wybrali sobie akurat piwnicę, bo było w niej ciemno, zimno oraz wilgotno. Że zimno i wilgotno, to jeszcze nikomu nie powinno przeszkadzać, ale mrok utrudniał badanie. Dlatego przede wszystkim kazałem przynieść ile się tylko dało lamp i ustawić je w pobliżu ciała leżącego na grubym, dębowym blacie.

– Mogę was prosić o rozmowę na osobności, mistrzu? – zagadnął cicho jeden z medyków, kiedy służący ustawiali lampy.

– Tak – odparłem i odszedłem z nim na stronę.

– Nie wiem, jak to powiedzieć... – Medyk zaściskał dłonie w wyraźnym zdenerwowaniu.

– Mogę się rzecz jasna mylić...

– Mówcie śmiało – rzekłem. – Każda hipoteza jest dobra jak inna.

– Tylko, że to mistyka... – Podniósł wzrok i spojrzał mi w oczy. Uśmiechałem się. – No tak, ja wiem, że wy bliżej jesteście takich spraw, ale medycyna jest przecież nauką...

– Mój drogi doktorze – powiedziałem cicho, ale stanowczo. – Nie będziemy rozmawiać o medycynie oraz mistyce i nauce. Chciałbym usłyszeć o twoich podejrzeniach.

– Zauważyłem ślady na szyi – wyszeptał. – Ledwo widoczne zsinienia. Jakby go ktoś dusił, mistrzu. Ale ludzkie palce nie pozostawiają takich śladów. To nie wybroczyny, lecz jedynie jakby...

– Ciebie – dokończyłem za niego i pokiwałem głową. – Nazywamy to widmowym dotykiem, doktorze.

Zadrżał i tym razem zaczął nerwowo szarpać siwą, kozią bródkę.

– Wiem – szepnął jeszcze ciszej. – Słyszałem o tym. Ale przecież w naukowy sposób nie idzie...

– Dziękuję – powiedziałem i skinąłem mu głową.

Podszedłem do ciała, by samemu przyjrzeć się szyi Lindego. Wcześniej nie zauważyłem śladów, o których mówił doktor, ale nie było w tym nic dziwnego. Widmowy dotyk objawia się dopiero w kilka godzin po śmierci. Byłem jednak zadowolony, że moje niejasne

podejrzenia zyskiwały tak mocne potwierdzenie. Co nie oznaczało, że mogłbym być zadowolony z wszczęcia śledztwa oraz rozpoczęcia poszukiwań czarownika lub czarownicy, którzy posłużyli się magią, aby zabić Lindego.

Kiedy podszedłem do zwłok, dwaj pozostali medycy ustąpili mi miejsca. Wziąłem do ręki lampę, i dokładnie sobie przyświecając, obejrzałem ciało. Bynajmniej nie zamierzałem poprzestać na szyi, lecz zbadałem trupa od paznokci u stóp aż po skórę na głowie. Trwało to dość długo, ale poza tymi, przypominającymi cienie lub leciutkie smużki kurzu, śladami na szyi nie znalazłem nic. Oczywiście ciało Lindego było w pożalowania godnym stanie, lecz wynikało to z niezdrowego trybu życia i starości, a nie z przyczyn zewnętrznych. Pofałdowana, żółta skóra na brzuchu, wiszące, sflaczałe piersi, kruche, łamliwe paznokcie, zepsute zęby, wygięte artretyzmem stopy, żółte, przekrwione białka oczu... Taaak, Linde pozbawiony brokatów, aksamitów i jedwabów wyglądał teraz niczym napuchnięta, martwa ryba.

– Apopleksja – stwierdził autorytatywnym tonem jeden z medyków. – Jak nic: apopleksja.

– W samej rzeczy, szanowny profesorze – potwierdził drugi medyk. – Apopleksja. – Uniósł oczy do nieba, a raczej w tym wypadku w stronę ceglanego sufitu. – Cóż za błyskawiczna trafność sądów.

– I tak właśnie zapiszemy w protokole – zadecydowałem. – Gdyż żaden inny powód, poza wymienionym przez was, uczeni mężowie, nie przychodzi mi do głowy.

Pożegnałem się z nimi uprzejmie i mrugnąłem do trzeciego z medyków. Byłem pewien, iż swoimi podejrzeniami o widmowym dotyku nie będzie kłopotał kolegów ani nikogo innego, gdyż mogłoby to nadszarpnąć jego reputację. A ja mogłem tylko boleć nad tym, że niektórzy, wierząc w potęgę Szatana, nie wierzą jednocześnie, iż Zło może zyskać fizyczną manifestację. Niestety było to rozpowszechnione mniemanie wśród ludzi parających się nauką, którzy zapominali o tym, iż poza tym, co cielesne, istnieje również to, co duchowe. A poza tym, co materialne, istnieje również to, co niematerialne. Burgrabia Linde już o tym wiedział.

* * *

– Czarownik? Tu? W Biarritz? – Springer nie chciał wierzyć własnym uszom.

– A czymże to miasto różni się od innych? Strzegą go szczególnie silne relikwie? A może gorąca wiara mieszkańców? – Pozwoliłem sobie na ironię.

– Mamy relikwie – powiedział urażonym tonem Springer. – Kolec z Korony Cierniowej naszego Pana oraz złomek Złamanego Krzyża.

– Gdyby zebrać wszystkie części Krzyża, które znajdują się w miastach jako relikwie, to okazałoby się, że naszego Pana ukrzyżowano na jakimś drewnianym gigancie. A Krzyż był niski, panie Springer. Pismo wyraźnie mówi, że Jezus, by pokarać grzeszników zstąpił z Krzyża. Nie zeskoczył, ale zstąpił. Zresztą... – Machnąłem dłonią. – Nieważne. Nawet

gdybyście świętymi relikwiami wybrukowali wszystkie ulice, niewiele by wam to pomogło.

– Dziwne słowa jak na mistrza Inkwizytorium – zauważył doradca burgrabiego.

– Trzeźwe, chłodne i rozsądne – odparłem. – Bo ufam, że wolicie znać prawdę, a nie chcecie być mamieni pięknymi bajeczkami?

Chrząknął coś niezrozumiale, a potem przetarł czoło dłonią.

– Wybaczenie, mistrzu – powiedział. – Sam już nie wiem, co robić. Wysłałem posłańców z listem do pana prewota, informując go o nieszczęśliwym wypadku, a na razie ja zgodnie z prawem pełnię tu... – urwał nagle. – Chyba, że wy byście chcieli...

– O, nie! – Uniosłem dłoń. – Nie zaangażuję powagi Inkwizytorium, panie Springer, bo po pierwsze, musiałbym tłumaczyć się później przed biskupem, a po drugie, nie mam na to ochoty. Mogę wam jednak obiecać jedno: złapiemy czarownika lub czarownicę, kimkolwiek by nie byli. I zrobimy to na tyle dyskretnie, by rzecz nie wyszła na światło dzienne.

Przynajmniej do czasu, aż nie odniesiemy sukcesu.

Czarownica po pierwszym zabójstwie potrzebuje co najmniej trzech dni odpoczynku. Dlatego mogłem powiadomić Ritę, że zakładając, iż następny będzie kat, ma przed sobą sześć dni życia.

Springer pokiwał głową.

– Ach tak! – Klepnął się w czoło. – Mam szczerą nadzieję, że uda wam się powstrzymać zło, mistrzu.

– Muszę jednak wiedzieć, kim był skazany? Kim są jego przyjaciele? Rodzina? Znajomi?

Springer był przygotowany do rozmowy, gdyż miał ze sobą kilka kartek protokołów z przesłuchania gwałciciela oraz zabójcy.

– Ugold Pleśniak. Tak go nazywali. – Podniósł na mnie wzrok, ruszając lekko ramionami, jakby sam dziwił się temu przydomkowi. – Robotnik sezonowy. Najmował się do prac w polu, kuźni, magazynach... Gdzie tylko się dało.

– Wagabunda.

– Ale pracowity. Kupiec, u którego ostatnio pracował, nie mógł się go nachwalić...

– Któż to taki?

– Ernest Schulmeister. – Springer musiał zerknąć w dokumenty, by sobie przypomnieć. – Ma tartaki i składy z drewnem, tu w Biarritz oraz w okolicach. Bogaty – cmoknął.

– No cóż, będę go musiał odwiedzić.

– Jak myślicie? – Springer tym razem uciekł spojrzeniem gdzieś na bok. – Popelniliśmy błąd? Ten Pleśniak był niewinny?

– Cóż mnie to może obchodzić? – Wzruszyłem ramionami. – Popelniono gwałt oraz morderstwo, podejrzanego pochwycono, skazano i stracono. Prawu stało się zadość. Jestem tu, by odnaleźć czarownika, panie Springer, a nie zastanawiać się, czy sąd miejski z panem burgrabią na czele popełnili błąd, gdyż chcieli, po pierwsze, jak najszybciej pochwalić się złapaniem budzącego strach mordercy, a po drugie, zobaczyć w działaniu osławionego kata z

Altenburga...

– To nie tak – przerwał mi cicho Springer. – Ludzie widzieli go nocą...

– Czego nie zrozumieliście w słowach: „cóż mnie to może obchodzić? „spytałem zjadliwie. – Burgrabia tłumaczy się już przed naszym Niebieskim Panem, a wy tłumaczcie się we własnym sumieniu. Jednak mnie do tego nie mieszajcie. Powiedzcie lepiej, gdzie mieszka Schulmeister.

* * *

Dom kupca Schulmeistera był to dwupiętrowy, murowany budynek, położony na obrzeżach Biarritz, niedaleko miejskich murów. Otoczony był sporej wielkości ogrodem oraz solidnym płotem najeżonym żelaznymi szpikulcami. Za płotem szalało kilka psów i ich wściekle naszczekiwanie witały mnie, kiedy tylko podszedłem do bramy. Słońce zachodziło za moimi plecami, więc strażnik, czy raczej służący uzbrojony w okutą żelazem pałę, musiał przystawić dłoń do czoła, by mi się przyjrzeć.

– Czego chcecie? – zapytał niezbyt przychylnym tonem. – Panie – dodał po chwili, bo widać otaksował wzrokiem mój ubiór.

Oczywiście nadal nie założyłem stroju służbowego, ale Springer pożyczył mi płaszcz, nie dość, że wygodny, to przy tym wyglądający na całkiem kosztowny.

– Chcę się widzieć z panem Schulmeisterem – powiedziałem. – Na polecenie pana Springera.

– Pan Schulmeister nie przyjmuje – warknął służący. – Przyjdźcie innym razem albo zostawcie wiadomość w kantorze.

– Kiedy to wiadomość niezwykle poufna oraz wielkiej wagi – powiedziałem, ścisząc głos i nadając mu przymilne brzmienie. – Rzecz jasna, jeśli jesteście zaufanym przyjacielem pana Schulmeistera, mogę wam ją powtórzyć, a wy sami zadecydujecie, co czynić...

Sługa poczuł się mile polectany podejrzeniem, że może się przyjaźnić ze swym pryncypałem, a poza tym jak każdy służący ciekaw był tajemnic dotyczących patrona. W związku z tym ufnie zbliżył się do krat, co świadczyło o tym, że jego prostoduszność biła na głowę intelekt.

Chwyciłem go za kołnierz tak, że strzelił twarzą w kratę. Palce lewej dłoni wbiłem mu w oczy. Zawył, ale nie mógł się ruszyć. Psy szalały za ogrodzeniem, drapały się na płot, ale za nic nie mogły mnie dosięgnąć.

– Posłuchaj, bydlaku – powiedziałem. – Albo otworzysz natychmiast bramę, albo wrócimy do rozmowy, kiedy będziesz miał już tylko jedno oko. Wybieraj.

– Ppppuść – wystękał.

Nie wiem, czy sądził, że żartuję, ale najzupełniej mylnie uznał moje słowa jedynie za przenośnię. Nacisnąłem mocniej i zawył, niemal zagłuszając własne psy.

– Otworzę! – zaszlochał.

Zwolniłem nieco uścisk i odjąłem mu palce od gałek ocznych. Przez chwilę mrugał, a spod powiek lały mu się łzy. Miał wyjątkowo durną minę, ale jeszcze dwoje oczu. Gdyby spóźnił się kilka sekund, minę miałby jeszcze głępszą, lecz oko tylko jedno.

– A psy? – stęknął znowu.

To było miłe, że człowiek ten tak troszczył się o bezpieczeństwo waszego uniżonego sługi, ale psami się nie przejmowałem. Złożyłem usta i gwizdnąłem. To bardzo specjalny gwizd, moi mili, i wyuczenie się go zajęło mi wiele czasu. Ale nie spotkałem jeszcze psa, który słysząc ten przenikliwy, zawodzący dźwięk, nie podkuiliłby ogona i nie zwiewał gdzie pieprz rośnie. Tak też się stało z brytanami pilnującymi domu Schulmeistera. Po chwili z daleka, zza krzewów, słyszałem już tylko płaczliwe skomlenie.

Odźwiernemu po kilku próbach udało się wprowadzić klucz do zamka i go przekręcić. Uchylił bramę, a ja wślizgnąłem się do środka, cały czas trzymając służącego za kołnierz. Ale zachowywał się spokojnie, zresztą podejrzewałem, że ma kłopoty z widzeniem i wreszcie uwierzył, iż niegrzeczne postępowanie może zaowocować pozbawieniem go symetrii narządów wzroku.

– No to teraz prowadź do swojego pana – rozkazałem.

Zachlipał coś nie do końca zrozumiale, ale wywnioskowałem, iż nie ma nic przeciwko temu, by doprowadzić mnie do Schulmeistera. Poszliśmy zwirowaną alejką, a ja tylko kordialnie ująłem go pod rękę, aby przypadkiem nie zechciał czynić jakiś głupstw. Psów, tak jak wspominałem wcześniej, nie obawiałem się, ale na co mi było stado służby uzbrojonej w widły, kuchenne noże, siekierki, czy łopaty, która przybiegłaby bronić swego pana? Oczywiście wasz pokorny sługa nie obawiał się czeladnej hałastry, ale chciałem uniknąć wszelkiego rozgłosu oraz bałaganu.

W końcu dostałem się do Schulmeistera bez zbędnych ceregieli, gdyż mój przymusowy przewodnik był nad wyraz grzeczny i najwyraźniej chciał jak najszybciej pozbyć się mego towarzystwa. Gospodarza zastałem w kuchni, przy dębowym stole, gdzie raczył się tłuścą golonką i siorbał piwo z wielkiego dzbana. Wokoło kręciły się dwie podkuchenne, ale jemu najwyraźniej to nie przeszkadzało. Chciał nawet uszczypnąć jedną w pośladek, ale wtedy zobaczył, że stoję w progu, i zatrzymał dłoń w pół ruchu.

– A kim wy, u diabła, jesteście? – zagadnął, a ton jego pytania był równie grubiański jak same słowa.

– Przybywam od pana Springera – powiedziałem. – I sądzę, że lepiej będzie, jeśli wyjawię, kim jestem, kiedy zostaniemy sami.

Schulmeister przyglądał mi się badawczo spod zrośniętych brwi, w końcu machnął ręką.

– Won – rozkazał kuchennym, a mnie wskazał krzesło naprzeciw siebie. – Siadajcie – rzekł. – Chociaż wiedzcie, że nieproszony gość jest gorszy od zarazy.

Usiadłem i poczekałem, aż służące wyjdą z kuchni, zamykając za sobą drzwi.

– Nazywam się Mordimer Madderdin i jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego

Ekscelencji biskupa Hez-hezronu – powiedziałem cicho, gdyż byłem niemal pewien, że kobiety podsłuchują pod drzwiami.

Z satysfakcją zauważyłem, że ten pewny siebie, rumiany człowiek stracił rezon, a z jego policzków zniknęły rumieńce. Wstał, z hałasem odsuwając krzesło, i szarpnął drzwi.

– Won! – warknął do kogoś, kogo nie widziałem. – Jak zobaczę tu was jeszcze, to nogi z dupy powyrywam.

Wrócił, sapiąc wściekle, i znowu zasiadł za stołem.

– Może piwa, mistrzu? – zapytał po chwili, a ja pokręciłem głową.

– Wiecie, o czym, a raczej o kim chcę porozmawiać, prawda? O waszym robotniku, Ugoldzie, którego wczoraj powieszono.

Wbił nóż w szczególnie tłusty kawał mięsa i odkroił sobie solidny polec. Gdybym powiedział wam, mili moi, że dostrzegłem ulgę na jego twarzy, minąłbym się z prawdą. Ta twarz pozostała nadal chmurna i ponura, ale po nieuchwytnym wręcz zwiotczeniu mięśni poznałem, że spodziewał się czegoś gorszego, a moje słowa zaskoczyły go, ale jednocześnie uspokoiły. Nie jestem człowiekiem nadmiernie wierzącym we własne umiejętności oraz uważającym się w nikczemnej pysze za znawcę ludzkich charakterów. Jednak byłem niemal pewien, że w tym domu stało się lub działo się coś, czego inkwizytor nie powinien przegapić. I zamierzałem dowiedzieć się, cóż to takiego. Na razie jednak potrzebowałem informacji o Ugoldzie Pleśniaku.

– Bronilem go – mruknął. – Mówcie sobie, co chcecie, ale nie wierzę, że zabił te dziewczki.

– Czyli to był dobry człowiek?

– Dobry, niedobry – ruszył ramionami. – Kto go tam wie? Pracował za dwóch, a kieskę z pieniędzmi można było położyć tuż przy nim i nie ruszył. Miałem do niego zaufanie. W przyszłym miesiącu chciałem, żeby zaczął zarządzać jednym z moich tartaków. Wiecie, poza wszystkim, umiał pisać i czytać...

– Miał rodzinę? Przyjaciół?

Schulmeister znowu wzruszył ramionami.

– Był sam jak palec. Z nikim się nie zaprzyjaźnił. Nawet nie spał w czeladnej, tylko poprosił o miejsce w komórce, co w niej dawniej trzymałem narzędzia. Całkiem ładnie ją sobie urządził. Czysty był z niego człowiek. Porządny. I mszy żadnej nie opuszczał.

– Czyli nikt go nie znał bliżej, tak? Jedynie wy...

– Ja? Jak to ja? – Kupiec niemal się obruszył. – A co ja go tam mogłem znać?

– Jednak chcieliście mu powierzyć tartak – zauważyłem. – Zawsze macie takie zaufanie do nieznajomych i nieznanych sobie ludzi?

Przechylił kubek z piwem do ust, wyraźnie po to, by zyskać na czasie.

– Od razu zaufanie – powiedział, ocierając z piany siwawe wąsy. – Podobał mi się, bo był pracowity. Trzeba wprowadzać świeżą krew, ot co. Zawsze nowa miotła lepiej wymiata, nie sądzić?

– Niewiele mi pomagacie – zauważyłem. – Cóż, może wasza rodzina albo służba.

– Nie mieszajcie w to mojej rodziny! – Oho, trafiłem go chyba w czuły punkt. – Z łaski swojej – dodał nieco uprzejmiej. – Poza tym znam swoje prawa – dokończył bardziej hardym tonem.

– To dobrze o was świadczy – powiedziałem pobłaźliwie. – Ale odwiedziłem was dzisiaj jako przyjaciel pana Springera, chcący jemu i wam pomóc w trudnej sytuacji. Czy zamierzacie odrzucić przyjazną dłoń życzliwego wam człowieka?

Nie musiałem szydzić, ironizować ani posługiwać się zawołaną groźbą. Wypowiedziałem całe zdanie spokojnym, cichym głosem, a Schulmeister i tak zbladł. Ha, to dziwne, jak słowo „zbladł” często się pojawia, gdy myślę o reakcji konwersujących ze mną ludzi! Tak czy inaczej, kupiec musiał zdać sobie sprawę, że dzisiaj jestem jedynie prywatnie, pełniąc misję dobrej woli, natomiast jutro... Kto wie?

– Jak ja wam mogę pomóc? – niemalże stęknął. – Nie chcę, byście odnieśli mylne wrażenie... Zawsze ceniłem przyjaźń dostojnego pana Springera, ale sam nie wiem...

– Posłuchajcie, Schulmeister – zaostrzyłem ton, bo ten człowiek topił się w moich rękach jak воск. – Prędzej czy później dojdę prawdy. Nie chcę na razie mieszać w to powagi Inkwizytoryum, lecz jeśli trzeba, wezwę na przesłuchanie każdego waszego domownika. Na oficjalne przesłuchanie, Schulmeister. A wiecie, że ludzie przesłuchiwanym przez inkwizytorów nabierają wręcz nadnaturalnej chęci spowiedzi. Z grzechów swoich, cudzych, a nawet niepopołnionych. Dobrze mnie rozumiecie?

Pokiwał gorliwie głową. Perspektywa oficjalnego śledztwa dotyczącego domu i jego domowników musiała go przerazić. Nie dziwię się, gdyż przeraziłaby każdego.

– Uczynię wszystko, co zapragniecie – rzekł, opuszczając głowę. – Ale wiercie mi, że nic nie wiem. Jeśli chcecie, możecie oczywiście przepatrzyć komórkę Ugolda.

Do sformułowania „nic nie wiedziałem” lub „nic nie wiem” zdołałem się już przyzwyczaić w czasie mej długiej inkwizytorskiej kariery. Nie uwierzycie, jak często ludzie posługują się tym wyświechtanym wytłumaczeniem, choć gwoli ścisłości przyznam, że czasami mówią szczerze.

Wyszliśmy z domu tylnymi drzwiami i kupiec poprowadził mnie do przybudówki przytulonej do północnej ściany. Słowo „komórka” było tu nie całkiem odpowiednie, gdyż przybudówka sprawiała bardzo solidne wrażenie, a szpary między belkami zostały fachowo zapchane słomianymi pakułami. Schulmeister rozejrzał się na boki, po czym wyciągnął z kieszeni klucz i otworzył zamek. Pchnął drzwi. Weszliśmy w ciemność, a kupiec cicho zaklął, bo potknął się o coś, ale zaraz skrzesał ognia i zapalił lampkę.

Wnętrze komórki było podzielone na dwa nieduże pomieszczenia. W pierwszym stał stół o krzywych nogach i porysowanym jak nieszczęście, przyczerniałym blacie, w drugim dojrzałem wypchany słomą materac oraz skrzynię z równie ciemnego drewna. W kącie znajdowało się małe palenisko z dymnikiem wychodzącym na zewnątrz.

– Nic tu nie ruszaliśmy – powiedział Schulmeister.

Wziąłem do ręki porwaną szmatę leżącą tuż przy legowisku. Przyjrzałem jej się dokładnie, a potem wyjąłem z zanadru kawałek materii, w jaki owinięto kamień, który wleciał do sali balowej w czasie przyjęcia wydanego przez burgrabiego. Trudno było nie zauważyć, że oba kawałki idealnie do siebie pasowały.

– Ha – powiedziałem.

Zbliżyłem się do skrzyni (zauważyłem, że zamek został wyłamany) i otworzyłem wieko. Potem wyrzuciłem całą zawartość na podłogę. Znalazłem stary kaftan, wełniany płaszcz z pocerowanymi rękawami, składany nóż o drewnianej rękojeści oraz jeden miedziany kolczyk i kolorową chustę.

– Nosił kolczyki i kolorowe chustki na głowę? – zapytałem. – Ciekawe...

Kupiec podrapał się po głowie.

– A bo ja wiem – odparł.

– Więc przychodziła tu kobieta – rzekłem. – Może ktoś ze służby? A może przyprowadzał kogoś, kogo nie znacie?

– A może to pamiątka? Albo prezent, którego nie zdążył dać?

– Zwłaszcza ten jeden kolczyk – powiedziałem.

Spojrzał na mnie, jakby nie słysząc ironii w ostatnim zdaniu, i znowu podrapał się po głowie. Czyżby aż tak dokuczały mu wszy? A może drapanie przyspieszało mu procesy myślowe? W każdym razie nie wiem czemu, ale denerwował mnie ten gest.

– No dobrze – odetchnąłem. – Cieszę się, panie Schulmeister, że pokazał mi pan to wszystko. Sądzę, iż ktoś, kobieta rzecz jasna, w dużym pośpiechu opuszczała to miejsce...

– Kaja – szepnął.

– Co takiego?

– Pokojówka – wyjaśnił. – Oczywiście, że to pokojówka! Zniknęła dzień po egzekucji, ale myślałem, że uciekła, bo... – Spojrzał na mnie i machnął dłonią. – Wiecie, takie tam, męskie sprawy.

– Zabrała coś?

– Nie zauważyłem – wyraźnie się zasepił. – W domu jak mój niełatwo z dnia na dzień dojść, czy coś nie zginęło.

– Znam pewnego magika od malowania szyldów. Przyślę go do was, a wy opiszcie mu dziewczynę, jak najdokładniej potraficie.

Szkice i portrety poszukiwanych nie raz i nie dwa przydawały nam się w czasie śledstw. Każdy oddział Inkwizytorium posiadał kartotekę podejrzanych o zbrodnie lub zbrodniarzy. Nie tylko po to, by rozpoznać ich mogli sami inkwizytorzy, lecz by pokazywać je osobom przesłuchiwanym w czasie śledstw prowadzonych w zupełnie innych sprawach. I często podobne zabiegi przynosiły praktyczne efekty. Choć oczywiście staraliśmy się korzystać z pomocy zawodowych malarzy, a nie pacykarzy od knajpianych szyldów. No, ale na bezrybiu

Wyszliśmy z komórki, a Schulmeister zatrzasnął za nami drzwi.

– Człowiek nie zna dnia ani godziny – rzekł sentencjonalnie.

– Święta prawda – odparłem.

Odprowadził mnie do samej bramy i pożegnał silnym uściskiem dłoni.

– Aha, jeszcze jedna rzecz – przypominałem sobie na odchodnym. – Czy możecie polecić mi dobrego lekarza? Medycy świętej pamięci pana burgrabiego niezbyt przypadli mi do gustu, a muszę poradzić się dobrego doktora w pewnej delikatnej materii.

– No, czy ja wiem? – Znowu podrapał się po głowie i zastanawiał chwilę. – Oprócz tych dworskich, to możecie spytać o doktora Kornwalisa. Albo Teofila Kuzena. Albo Remigiusza Hazelbandta. Nikt inny mi nie przychodzi do głowy.

– Najmocniej wam dziękuję – skinąłem mu uprzejmie głową i odszedłem.

Na plecach czułem jego badawczy wzrok i zastanawiałem się, czy Schulmeister widzi zaciskającą się już pułapkę. Ale wiedziałem również, że wszystko może być tylko wytworem wyobraźni waszego uniżonego sługi, który nader często grzeszy brakiem zaufania w stosunku do bliźnich.

– Panie Springer – zagadnąłem. – Gdyby chciał mi pan polecić biegłego medyka, ale nie żadnego z tych trzech, którzy oglądali pana burgrabiego, to kogo byście wybrali?

– Medyka? – zapytał nieco podejrzliwie i zmarszczył brwi. – Źle się czujecie?

– Dajmy pokój mojemu samopoczuciu – odparłem lekceważąco. – No więc?

– Doktor Kornwalis – rzekł, skubiąc wargę w zamyśleniu. – Hazelbandt Remigiusz, Kuzen Teofil – urwał na moment. – No, ale nade wszystko Pallak Gwidiusz. O, tak – rozpromienił się. – To medyk, co się zowie. Tyle że rzadko już praktykuje.

– Leczy mieszczan?

– Czy leczy? Mistrz Madderdin, oni zamęczyliby go, gdyby tylko pozwolił. Zyskał sławę kilkoma cudownymi ozdrowieniami...

– Dużo bierze?

– Zdumiewająco mały o. Przynajmniej od biednych, bo z tego, co wiem, to bogaczom potrafił przetrzepać kieski.

– Uczciwy człowiek – zauważyłem.

– Mało już takich zostało – przyznał Springer. – Dam wam pacholka, żeby was zaprowadził do domu doktora, jeśli tylko chcecie...

– Będę wdzięczny – odparłem.

Gwidiusz Pallak mieszkał w solidnej kamienicy niedaleko rynku. Aby wejść do jego mieszkania, należało przejść przez aptekę zajmującą parter budynku. Aptekarz próbował co prawda tłumaczyć, że doktor nikogo nie przyjmuje, ale wszedłem na schody, nie przejmując

się perswazjami. Zastukałem kołatką. Raz, drugi i trzeci. Westchnąłem i kopnąłem w drzwi czubkiem buta. Zadudniło i dopiero to przyniosło stosowny efekt. Najpierw usłyszałem człapiące kroki, a potem ktoś odezwał się starczym dyszkantem.

– Czego tam? Nie przyjmuję! Idźcie żesz sobie!

– Chcę się widzieć z doktorem Pallakiem – powiedziałem do zamkniętych drzwi.

– Co tam? Co chcecie widzieć?

O, na miecz Pana! Szacowny doktor w dodatku nie dosłyszał. Zauważyłem, że z mroku, z dołu schodów ciekawie przygląda mi się aptekarski czeladnik.

– Chcę się widzieć z doktorem Pallakiem! – niemal wrzasnąłem, mając nadzieję, że tym razem przygluchy starzec po drugiej stronie drzwi mnie usłyszy.

– Idźcie sobie! – Doszło mnie tylko po chwili ciszy, po czym usłyszałem znowu człapiące kroki. Tym razem się oddalały.

Łomotnąłem pięściami w drewno, aż huk poniósł się po całym korytarzu. Kroki poczłapały znów w stronę progu.

– Wezwę straż – zagroził starzec zza drzwi.

– Co mi dacie, jak powiem, co zrobić, żeby się do niego dostać? – zaszeptał z mroku aptekarski czeladnik.

Sięgnąłem do kieszeni, namacałem trójgroszaka i rzuciłem mu. Złapał monetę w locie, chuchnął na nią i schował w zanadrze.

– Powiedźcie, że macie wieści o Helenie – zaśmiał się i zniknął w dole schodów.

Cóż, nie wadziło spróbować, miałem tylko nadzieję, że nie padłem ofiarą dziecięcej psoty.

– Helena! – ryknąłem do drzwi. – Chcecie się o niej czegoś dowiedzieć?

– Helena? – zaskrzypiał starzec. – Mówcie!

Nie odzywałem się.

– Jesteście tam? Dobrze, dobrze, otwieram. – Szczęknęły odsuwane zasuw.

Kiedy drzwi się otworzyły, w świetle dochodzącym z głębi pokoiów zobaczyłem wysokiego, chudego starca. Odziany był w białą szatę aż do ziemi, szlafmycę, której czub zwisał mu na ramię, i ciżmy o wygiętych fikuśnie noskach.

– Doktor Pallak? – spytałem i wepchnąłem się do wnętrza.

W środku cuchnęło medykamentami i zastarzałym moczem.

– Co wiecie o Helenie? – zapytał podejrzliwie.

Zatrzasnąłem drzwi i zasunąłem zasuw.

– Może wejdziemy do środka?

Obrzucił mnie taksującym wzrokiem i niechętnie skinął głową. Powłókł się w stronę pokoju, z którego wnętrza dobiegało światło lampki. Runął na rozbebeszone łóżko i wskazał mi miejsce na rozchwierutany dywan, który zamiast czwartej nogi miał podłożoną cegłę. Poszukałem wzrokiem innego miejsca do siedzenia, a kiedy go nie dostrzegłem, oparłem się o

ścianę.

Dom medyka nie składał się tylko z tego pokoju, bo zobaczyłem obok łoża zatrzaśnięte drzwi, ale najwyraźniej starzec nie zamierzał mnie tam zapraszać.

W sypialni natomiast panował straszliwy bałagan. Na łożu leżały szare od brudu prześcieradła i kołdra z wychodzącymi kłębami pierza, pod drewnianą ramą stał sporej wielkości cynowy nocnik (sądząc po zapachu, nie był pusty), a na podłodze poniewierały się rozbite skorupy naczyń, kawałki węgla, a nawet przerdzewiały durszlak i misa z jakąś czerwoną cieczą, w której pływały trupy tłustych much.

– Mówcie no – jęknął i pomasował sobie łokieć. – Przekłeta podagra.

– Nie znam waszej Heleny i nawet nie wiem, kim ona jest – powiedziałem otwarcie. – Przybywam tu w innej sprawie. – Przez jego twarz przebiegł skurcz ni to rozczarowania, ni złości. – Chcę wiedzieć, czy leczycie kogoś w domu kupca Schulmeistera?

– A co wam do tego? – warknął. – Nachodzicie mnie po nocy, o mało drzwi żeście nie rozwalili...

– Przysłał mnie pan Springer z zamku – wyjaśniłem. – I odpowiadajcie, jeśli łaska, bo wezwę was na oficjalne przesłuchanie.

– A kim wy jesteście, że...

– Nazywam się Mordimer Madderdin – rzekłem twardo. – Jestem licencjonowanym inkwizytorem Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Może teraz macie ochotę przywołać straż?

Patrzył na mnie przez chwilę przymrużonymi oczami, a potem jego twarz się ściągnęła. Parsknął, trysnął fontanną śliny i zachichotał z rozdziawionymi ustami.

– Inkwizytor – prychnął. – A to dobre.

Ludzie na ogół nie witają mych wizyt śmiechem, chyba że jest to śmiech nerwowy, pełen zakłopotania lub ma ukryć prawdziwe uczucia odwiedzanego. Starzec jednak najwyraźniej chichotał szczerze.

– Cieszę się, że was rozbawiłem – powiedziałem serdecznym tonem.

– Nie bierzcie tego do siebie. – Machnął dłonią. – Może... – Rozejrzał się po pokoju, jakby zastanawiając się, co mi zaproponować, a w końcu nic nie znalazł i machnął dłonią powtórnie.

– A więc? – poddałem. – Schulmeister?

– Bywałem, bywałem. – Rozłożył się wygodnie na poduchach i wystawił przed siebie chude, poznaczone niebieskimi żyłakami nogi. – Ściągnijcie mi ciżmy, jeśli łaska – dodał. – Ciężko mi się schylać.

Westchnąłem i zrobiłem, czego sobie życzył. Zagmierał wykoślawionymi paluchami.

– Od razu lepiej – mruknął. – Schulmeisterowi chorowała córka – wyjaśnił. – Ale czasem nawet medyczny geniusz niewiele może pomóc. Bo widzicie, medycyna... – Uniósł wskazujący palec i wyraźnie szykował się do jakiejś perory.

– Na co chorowała? – przerwałem mu.

Prychnął niezadowolony i zagapił się w punkt gdzieś nad moją głową.

– Omdlenia – rzekł. – Ogólne osłabienie organizmu, niechęć do jedzenia. Zapadała w sny przypominające letarg. W końcu nawet nie wstawała z łóżka. Żal dziewczyny, bo to jedynaczka i stary chciał ją dobrze wydać.

Zakaszła, odcharknęła i splunęła w stronę nocnika. Nie trafił i żółto-bura flegma przykleiła się do metalowego ucha.

– Postawiliście diagnozę? – spytałem.

– Ha, nawet wiele diagnoz! – niemal wykrzyczał żartobliwym tonem. – Szkoda tylko, że żadna nie była trafna. To i przestałem ją leczyć, widząc, że nic po mnie.

– Nie poczuwacie się do odpowiedzialności za pacjenta?

– A jakaż to może być odpowiedzialność lekarza za pacjenta? Poza, rzecz jasna, moralną? – obruszył się. – Tylko nieuki i profani chcą mieć prawo, by nas, biegłych medyków, móc oskarżać o niedostatki w sztuce. Operacja może się udać albo nie, a pospólstwu nie wolno oceniać, co „mogłoby być, gdyby”. Uwierzcie mi – pokiwał palcem – na słowo, że nawet za setki lat nic się nie zmieni. Bo to lekarz jest panem życia i śmierci, i wara komukolwiek od jego sądenia.

– Tylko Bóg Wszechmogący jest panem życia i śmierci – powiedziałem cicho. – Nie zapominajcie o tym, z łaski swojej.

Mierziły mnie jego przekonania i mogłem się tylko pocieszać faktem, że mierziły również wielkich tego świata. Nie raz i nie dwa słyszało się o medyku oćwiczonym lub nawet obwieszonym przez swego możnego pacjenta i trzeba przyznać, że takie właśnie zachowania resztę lekarskiej hałasty, doprowadzały do niejkiej trzeźwości poglądów. Bowiem w stosunku do lekarzy należy stosować wymiennie bat oraz jeszcze więcej bata. Tylko wtedy można ich skłonić do stawiania właściwych diagnoz i przeprowadzania uważnych operacji. Oczywiście, zdarzają się wyjątki, ale...

– Ja, ja, ja – zająknął się. – Oczywiście nie chciałem w niczym uchybić religii...

– Gdybyście chcieli, to już tak, jak byście uchybili – powiedziałem łagodnie. – Bowiem w tym wypadku zamiar oraz uczynek są jednym. Ale wracajmy do dziewczyny...

– Tak jest, panie Madderdin. Może jednak usiądziecie?

Pallak jakoś wyraźnie spokojniał, a ja tylko pokręciłem głową odmownie, bo nie zamierzałem wypróbowywać wytrzymałości połamanego zydła.

– Chciałem tylko powiedzieć – kontynuował po chwili. – Że współczesna medycyna była bezsilna wobec choroby tego dziecka. Żadne driakwie, mikstury, maści, proszki oraz tabletki nie pomagały. A wiercie mi, że wypróbowałem ich wiele.

– Domyślam się. – Pokiwałem głową, współczując biednej dziewczynie, która stała się obiektem medycznych eksperymentów. – Ile miała lat, jak to się zaczęło?

Zaczął coś liczyć, pomagając sobie palcami. Bezdzźwięcznie poruszył wargami, sam sobie

przyskoczył i wreszcie powiedział głośno.

– Trzynaście.

Pokiwałem głową, gdyż wszystko się zgadzało. W wieku dwunastu, trzynastu, czy czternastu lat większość dziewczynek wchodziła w wiek kobiecy ze wszystkimi fizycznymi objawami tej przemiany. Wtedy właśnie ujawniały się u niektórych pewne zdolności. A mówiąc ściślej, pewna klątwa, na którą nie było skutecznego lekarstwa. Poza najbardziej radykalnym z rozwiązań.

– Dziękuję – powiedziałem i skinąłem mu głową.

– Mam nadzieję, że wam pomogłem – krzyknął, kiedy wychodziłem.

Pokiwałem głową sam do siebie i otworzyłem drzwi. Miałem już konkrety, które wymagały tylko i wyłącznie naocznego potwierdzenia.

* * *

Do domu Schulmeistera wybrałem się dokładnie na trzeci dzień po śmierci pana burgrabiego. Jeśli moja koncepcja miała ręce i nogi, to córka kupca powinna właśnie leżeć nieprzytomna w łóżku, w zbliżonej do letargu śpiączce.

Tym razem stróż czuwający przy bramie (a zrządzeniem losu był to ten sam człowiek, co ostatnio) zaczął pospiesznie otwierać furkę, kiedy tylko zobaczył, że nadchodzę. Uśmiechnąłem się do niego i obdarowałem go trójgroszakiem, który przyjął z głębokim ukłonem.

– Już prowadzę waszą wielmożność. Już, już, już, biegusiem...

Właściciela składów drewna i tartaków znalazłem tym razem nie w kuchni, a w bogato urządzonych apartamentach na parterze domu. Siedział przy ogromnym, dębowym biurku i zapisywał coś na pergaminie. Przed sobą miał rozłożone księgi rachunkowe. Zmarszczył brwi, kiedy mnie zobaczył.

– Witam – rzekł nad wyraz powściągliwym tonem. – Wybaczcie, ale jestem niezmiernie zajęty.

Przyciągnąłem sobie krzesło, bo skoro nie był na tyle uprzejmy, by mi je zaproponować, musiałem obsłużyć się sam. Usiadłem naprzeciwko.

– Nie szkodzi – odparłem. – Rachunki zaczekają.

– Skoro tak mówicie... – Opadł ciężko na krzesło, nie spuszczając ze mnie wzroku. – Czym mogę wam służyć?

– Drogi panie Schulmeister, jeśli wolno mi się tak zwracać – zacząłem. – Jestem pełen uznania dla pańskiej przebiegłości.

– Co takiego? – Znowu zmarszczył gęste brwi. Tym razem tak mocno, że zrosły mu się grubą literę V nad nosem.

– Niemal udało się panu wywieść mnie w pole – rozłożyłem ręce. – Te ślady po kobiecie, nie nazbyt rzucające się w oczy, lecz jednak na tyle widoczne, bym je odnalazł... Odnalazł i

zaczął szukać wiatru w polu. No i bajeczka o ucieczce pokojówki. Co pan z nią zrobił? Wysłał gdzieś? Zabił i pochował? Utopił w rzece? Naprawdę szczerze gratuluje.

– Nadal nie rozumiem, o czym mówicie, mistrzu. – Przygarbił się i położył dłonie na stole. Palce nawet mu nie zadrżały.

– Nie dziwię, się już, że jest pan jednym z największych właścicieli tartaków oraz składów drewna. Wręcz żałuję, że nie zaczął pan robić kariery w Hezie.

– Jakoś sobie radzę – burknął. – I dobrze mi tu, gdzie jestem.

– Tylko popełnił pan jeden błąd – powiedziałem. – Ale zanim do niego przejdziemy, opowiem panu pewną bajeczkę. Lubi pan bajeczki, Schulmeister?

Patrzył na mnie sępiem, ponurym wzrokiem, ale nawet nie raczył się odezwać.

– Otóż w niewielkim mieście ukradziono z kościoła złotą monstrancję. Nie można było odkryć winnego, póki nie przybył pewien skromny człowiek o niejakej wrodzonej bystrości. Kościelnemu, którego podejrzewano o kradzież, kazał oprowadzić się po mieście i pokazać sobie ulice oraz domy.

Schulmeister słuchał mnie z nieporuszoną twarzą.

– Po tej jakże przyjemnej przechadzce i wypytaniu następnych mieszkańców przybysz zorientował się, że kościelny nie zaprowadził go tylko na jedną, jedyną ulicę. Na ulicę, przy której mieszkała jego kuzynka. I w której domu, po intensywnym przeszukaniu znaleziono co? Złotą monstrancję ukradzioną z kościoła. Złodziejom ucięto świętokradcze dłonie i powieszono ich na rogatkach, tak więc wszystko zakończyło się szczęśliwie. Pan wie, dlaczego to wszystko mówię, prawda? Kiedy pytałem o znanych doktorów, trzeba było wyjawić imię Gwidiusza Paliaka, który jakże często odwiedzał pański dom... A pan wymienił wszystkich, tylko nie jego. Taaak, a ja tymczasem uciąłem sobie miłą pogawędkę ze starszym panem...

Teraz już palce kupca wyraźnie zadrżały, a przez twarz przebiegł skurcz strachu.

– Komu pan zostawi majątek? – zapytałem uprzejmie. – Zakładając, rzecz jasna, iż sąd inkwizycyjny będzie na tyle wielkoduszny, iż go nie skonfiskuje? Córce przecież nie, z oczywistych powodów...

Wiedziałem, że w młodości Schulmeister był drwalem. Zresztą miał potężne bary, a pięści jak bochny chleba (wiem, że przesadzam, ale przecież powiedzenie: „miał pięści jak duże bułki” brzmi zbyt śmiesznie). Czy jednak myślał, że podstarzały kupiec jest w stanie zagrozić wyszkolonemu inkwizytorowi? Zanim zdołał się na mnie rzucić, chwyciłem w lewą rękę leżący za moimi plecami nóż do krojenia chleba i przybiłem mu dłoń do blatu. Wrzasnął i chwycił trzonek noża prawą ręką, ale wtedy uderzyłem go pięścią w podstawę nosa. Jego źrenice uciekły w głąb czaszki i zwałił się na ziemię. Ostrze noża rozdarło mu dłoń, tak, że miał ją przeciętą na pół między wskazującym a środkowym palcem. Podszedłem, kilkoma kopniakami przewróciłem go na brzuch i zawiązałem mu ręce na plecach.

Nie sądziłem, by ktokolwiek słyszał krzyk i łomot padającego ciała, gdyż z tego, co

spozregłem, służby nie było w pobliżu, kiedy wchodziliśmy do jego komnaty. Wiedziałem, że po ciosie w podstawę nosa nieprędko oprzytomnieje, ale na wszelki wypadek zebrałem kłęb szmat i wpakowałem mu do ust, mocno potem przewijając ten prowizoryczny knebel. Miałem tylko nadzieję, że nie choruje na katar i może oddychać nosem, gdyż szczerze pragnąłem, by mógł uczestniczyć w procesie. Nie mówiąc już o tym, że gdyby się udusił, sam przed sobą musiałbym skarcić się za rażący brak profesjonalizmu.

Zastanawiałem się, czy intryga Schulmeistera miała szanse powodzenia. Z całą pewnością, jeśli chodziłoby o miejską straż albo justycjariuszy. Żwawo pogalopowaliby za pokojówką Kają, która zapewne oglądała już węgorze od strony dna. Ja jednak musiałem szukać innych rozwiązań, pomimo że kupiec był na tyle sprytny, by nie wybielać się w moich oczach. Sugerował przecież wyraźnie, że to jego pokojówka mogła uprawiać czary i pomścić niesprawiedliwą śmierć kochanka. Ale, między nami mówiąc, niewiele mu groziło za to, że ktoś z jego domowników parał się mroczną sztuką. Inkwizytorium od wielu lat nie było już tak radykalne w działaniach jak dawniej i nie sądzę, by Schulmeisterowi groziło coś więcej niż kościelna pokuta za to, że zaniechaniem dopuścił do tak niegodnych poczynań we własnym domu.

Teraz czekała mnie tylko wycieczka do sypialni chorowitej córki Schulmeistera. Wiedziałem, co za choroba ją trapi, i zamierzałem pomóc jej w skutecznym, ostatecznym przezwyciężeniu tej przypadłości.

* * *

Na mojej drodze stał nikt inny jak zapaśnik Finneas. Czuwał przy drzwiach do sypialni i kiedy tylko usłyszał kroki, stanął przygotowany do walki. Tym razem nie był półnagi i wysmarowany oliwą, lecz ubrany w prosty, roboczy kaftan. Na pięściach miał skórzane taśmy najeżone żelaznymi szpikulcami. Uśmiechnął się paskudnie, a jego biegnąca od ucha po usta blizna przesunęła się.

– I co, przystojniaku? – zapytałem. – Zamierzasz mnie zatrzymać?

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, ale nic nie odpowiedział.

– Jestem miłosiernym człowiekiem – rzekłem. – Lubię spełniać dobre uczynki. Dlatego też pozwolę ci odejść wolno, pomimo że popełniłeś błąd i wykazałeś się lekkomyślnością, stając na mojej drodze.

Nadal bez słowa postąpił krok w moją stronę. No cóż, uznałem, że nie jest zainteresowany propozycją, więc cisnąłem w niego nożem schowanym w rękawie płaszcza. Zwalił się na podłogę z łomotem. I z głupią miną. I z otwartymi ustami, z których sączyła się strużka krwi. Podszedłem, wyszarpnąłem ostrze z jego szyi, a potem wytarłem je w jego własny kaftan. Lubiłem ten nóż, był poręczny, dobrze wyważony i nie zamierzałem się z nim rozstawać. Finneas wciąż żył, ale próżno próbował nabrać tchu, tylko spoglądał na mnie wybałuszonymi oczami, a palcami darł deski podłogi. Wiedziałem, że szykuje się już do

przejścia na drugą stronę, więc zostawiłem go w spokoju i nacisnąłem klamkę drzwi prowadzących do sypialni córki Schulmeistera.

Nie musiałem zabijać Finneasa. Mogłem go ogłuszyć albo zranić. Ale po pierwsze, nie lubię zostawiać za swymi plecami ludzi, którzy mogą oprzytomnieć i pojawić się w najmniej oczekiwanym momencie. Zwłaszcza, iż zdawałem sobie sprawę, że niedługo stanę się bezbronny niczym nowonarodzony kotek. Po drugie, lojalnie oraz wielkodusznie ostrzegłem Finneasa, dając mu szansę, by odszedł, lecz on wolał zabrać się do bitki. I wreszcie po trzecie, nie zapomniałem, iż przegrałem przez niego sto koron w zakładzie ze Springerem. Nie była to może do końca wina samego zapaśnika, ale jednak nie mogłem obronić się przed odczuwaniem pewnego rodzaju instynktownej, choć niewątpliwie pożałowania godnej, niechęci.

Wszedłem do małego pokoiku, gdzie na łóżku leżała szesnastoletnia, na oko, dziewczyna o szczupłej buzi i rzadkich włosach. Usiadłem na krześle naprzeciw i przyjrzałem się jej bladej, wymizerowanej twarzy. Żółte włosy zlepily się w kosmyki, a kości policzków zdawały się przebijać pergaminową skórę. Wątle dłonie leżały na pościeli niczym skrzydła martwego ptaka. Każdy człowiek, nawet śpiący najtwardszym i najbardziej spokojnym snem, wykonuje pewne gesty czy ruchy. Czasem drgnie mu powieka, zadrzą usta, mlaśnie lub obliże się, zachrapie, głębiej zaczerpnie tchu, poruszy palcami. Tymczasem dziewczyna sprawiała wrażenie martwej. Jednak z całą pewnością martwa nie była. Przystawiłem do jej ust wypolerowany, srebrny kielich i zobaczyłem, jak powierzchnia metalu pokrywa się parą. Żyła i oddychała, aczkolwiek ten oddech był ledwo zauważalny.

– No cóż, maleńka – powiedziałem bardziej do siebie niż do niej. – Jesteś w podróży, a ja zrobię wszystko, abyś z niej już nigdy nie wróciła.

Oczywiście leżała tu przede mną całkowicie bezbronna i mogłem zabić jej ciało, spalić je, zniszczyć w jakikolwiek sposób. Ale to nie byłoby właściwe rozwiązanie. Wędrujący duch małej Schulmeisterówny natychmiast zorientowałby się, że ciało, do którego ma powrócić, znalazło się w niebezpieczeństwie. Najpewniej nie zdążyłby wrócić i go obronić, ale mógłby wniknąć w innego człowieka. Kogoś słabego, chorego lub pijanego. Kogoś nieprzygotowanego, by stawiać opór. I zawładnąłby takim ciałem, niszcząc ducha ofiary. Do tego nie mogłem dopuścić. Był tylko jeden, jedyny ratunek. Powracający duch dziewczyny nie może dostrzec jej ciała. Wtedy będzie się błąkał, szukał, coraz słabszy i bardziej zrozpaczony, aż wreszcie osłabnie i szczerze gdzieś w mrocznej pustce, być może stając się żerem dla innych, potężniejszych istot. W każdym razie nigdy nie zdecyduje się, by zawładnąć kimś innym, póki będzie miał najbardziej nawet ulotną nadzieję, iż może odnaleźć własne ciało.

Sama metoda postępowania z, jak je nazywaliśmy, „wędrującymi czarownicami” była znana od dawna. Ale stosowano ją niechętnie. Zwykle inkwizytorzy woleli zniszczyć ciało czarownicy, licząc na to, że będzie miała kłopoty, by zawładnąć kimś innym, lub że

zawładnięcie to ześle na nią kłopoty. Oczywiście duch mógł próbować zaatakować inkwizytora, ale znaleźliśmy sposoby obrony przed „widmowym dotykiem”, więc nie obawialiśmy się go. Trudno jednak nie zauważyć, że rozwiązanie takie było jedynie połowiczne. Zniszczenie zewnętrznej powłoki nie niszczyło samego zła, które tkwiło przecież w duszy, a nie ciele. Dlatego ja postanowiłem wybrać drogę trudniejszą. I co tu mówić, mili moi, dużo bardziej bolesną dla waszego uniżonego sługi.

Odsunąłem krzesło i uklęknałem na podłodze, tuż przy łóżku. Złożyłem dłonie do modlitwy i zaczerpnałem głęboko tchu.

Ojciec nasz, któryś jest w Niebie – rozpocząłem – święć się imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w Niebie, tak i na ziemi.

Przymknąłem oczy i powolutku czułem, że spływa na mnie Moc. Pomimo zaciśniętych silnie, aż do bólu, powiek zaczynałem widzieć. Ściany pokoju jarzyły się palącą czerwienią. Ta czerwień wypełzała również ze mnie i otulała ciało leżącej dziewczyny, jak ognistym całunem.

– Chleba naszego powszedniego daj nam dzisiaj i daj nam też siłę, abyśmy nie przebacжали naszym winowajcom.

Nie widziałem już leżącego w pościeli białego, dziewczęcego ciała. W bryzgach czerwieni, jak przez mgłę, dostrzegałem wijący się, mroczny kształt. Cały obraz migotał, trząsał się i zmieniał, ale wiedziałem, że muszę wytrwać. Pomimo, że jak zwykle pojawił się brat modlitwy – ból. Jak zwykle nadszedł w najmniej spodziewanym momencie. Jak zwykle wtedy, kiedy zaczynałem mieć nadzieję, że tym razem mnie ominie. Jak zwykle wpłynął we mnie niczym galera o szkarłatnych, rozwiniętych żaglach. Był tak silny, że niemal straciłem dech i o mało nie przerwałem modlitwy. Zdawał się sięgać każdego zakątka mojego ciała i rozrywać je na strzępy. Mdłości uderzały falami niesione nowymi erupcjami bólu.

– I pozwól nam odeprzeć pokusy, a zło niech pełza w prochu u stóp naszych. Amen – wyjęczałem.

Ból już nie uderzał falami. Trwał i potężniał. W każdej chwili wydawało mi się, że nie może już być straszniejszy, ale on – wbrew tym nadziejom – ogromniał. Łóżko, na którym leżała dziewczyna, otoczone było teraz ognistoczerwoną poświatą. Ale obok, nade mną i koło mnie, pojawiły się dziwne kształty. Starąłem się nie koncentrować na nich wzroku. Dobrze wiedziałem, że jeśli wpatrzę się w jakiś element, fragment tej rzeczywistości – nierzeczywistości, to im bardziej będę próbował go zobaczyć, tym szybciej rozplynie się on i zniknie. Obrazy przepływały przeze mnie, a ja modliłem się dalej i czasem widziałem siebie samego, jakbym obserwował z góry ciemną, klęczącą postać pulsującą czerwienią bólu.

– Ojciec nasz... – zacząłem znowu, choć modlitwa nie przynosiła ukojenia, a tylko wzmagała szarpiący ból.

Zatraciłem się w boleści. Tak było zawsze. W pewnym momencie, dzięki Bogu, ból przestawał narastać i jego trwanie na tym samym poziomie zdawało się sprowadzać ulgę,

choć był to poziom nie do wyobrażenia i nie do opisanía.

Musiałem trzykrotnie powtórzyć modlitwę, zanim zobaczyłem, że płomieniste jęzory otaczające łóżko krzepną w coś, co przypominało błyszczący, jadownicie czerwony, aczkolwiek niemal przezroczysty kamień. Teraz czarownica była już otoczona świętą aurą, która nie pozwoli jej duchowi dostrzec ani wyczuć pozostawionego ciała. Dostrzegłem również pulsującą, żółtą niteczkę prowadzącą z ust dziewczyny gdzieś w rozmazany mrok. Skierowałem myśl i wzrok w ślad za tą nicią i nagle, jakby pchnięty siłą giganta, znalazłem się nad Biarritz, obserwując czarny, skręcony z gęstego dymu kształt, od którego emanowały czyste zło i nienawiść. W tych mrocznych oparach również widziałem koniec żółtej nici.

Ale musiałem wracać. Wypuściłem się zbyt daleko i wiedziałem, że nie wolno mi spoglądać w stronę krążących w powietrzu istot, których nie sposób opisać za pomocą słów. Te stwory, bez wyraźnych kształtów i barw, unosiły się nad ziemią, leniwie płynąc w powietrzu. Każde, nawet najkrótsze spojrzenie w ich stronę budziło grozę, którą pozwalała mi przezwyciężyć tylko modlitwa. Modliłem się i wydawało mi się, że cał y jestem już tylko ulepiony z bólu. Ale gdybym przerwał litanię w tym właśnie momencie, kto wie, czy nie znalazłbym się w polu widzenia bezkształtnych monstrów. A sama myśl, iż któryś mógłby spojrzeć w moją stronę wywoływała paroksyzm przerażenia.

Wystarczyła sama chęć powrotu, bym znalazł się znowu w pokoju dziewczyny. Szkarłatna aura wokół jej łoża stężała tak mocno, że wiedziałem, iż mogę przerwać modlitwę.

– *Amen* – powiedziałem, otwierając oczy.

Znowu widziałem tylko jasną, wychudzoną dziewczynę leżącą w białej pościeli. Zwidy, koszmary i kolory zniknęły. Zniknął też ból. Pozostało jedynie nieludzkie zmęczenie, tak wielkie, że nie byłem w stanie podnieść się z kolan, lecz opadłem, uderzając głową w drewnianą podłogę. Zwymiotowałem pod siebie. Raz, drugi i trzeci. Wymiotowałem tak długo, aż z ust skapywała mi tylko żółć, pozostawiając gorzki, piekący posmak w gardle i na języku. A potem nie miałem nawet siły, by się ruszyć, i zwinąłem się w kłębek we własnych wymiocinach. Objąłem kolana dłońmi i mimo przenikliwego zimna zasnąłem.

* * *

Siedzieliśmy w komnacie Springera, a ja powiedziałem mu, co zrobiłem, i wyjaśniłem, do czego zmusza mnie inkwizytorska powinność.

– Mordimer, pan wie, co się stanie... – powiedział cicho Springer.

– Stanie się prawo i sprawiedliwość – odparłem. – Wykona się wola Boża.

– Za jaką cenę? – zapytał gorzko. – Jesteście rozsądnym człowiekiem i wiecie, że kiedy Inkwizitorium zabierze się za Biarritz, niewiele z nas zostanie.

Przesadzał. Ale zwykli ludzie zawsze przesadzają, kiedy mowa o Świętym Officjum oraz jego trudnej powinności. Owszem, przesłuchania, śledztwa, dochodzenia są rzeczą przykrą, zwłaszcza że nie wszyscy bracia potrafią odsiać ziarna od plew. Ale byliśmy już dalecy od

epoki błędów oraz wypaczeń, w której całe miasta wyludniały się pod wpływem żaru inkwizytorskich serc.

– Lubię pana, Springer – powiedziałem. – Naprawdę. A to nic osobistego. To tylko służbowa powinność. Czy żądacie ode mnie, bym zataił, że córka jednego z bardziej szanowanych kupców w mieście była czarownicą? Zadzajcie sobie pytanie: od kogo nauczyła się mrocznej sztuki? Kto jej pomagał? Kto ją chronił? Kto zgrzeszył uczynkiem, a kto zaniedbaniem? Nie sądzicie, że obowiązkiem każdego człowieka, miłującego Pana, jest odnalezienie odpowiedzi?

Opuścił nisko głowę, a jego dłonie drżały, kiedy położył je na blacie.

– A jeśli nikt? Sami mówiliście, że może to być zdolność wrodzona...

– Może tak, może nie – przerwałem mu. – I to właśnie trzeba ustalić.

– Wiecie, że nie mam sobie nic do zarzucenia – powiedział. – Ale szkoda mi miasta. Nic już nie będzie tak samo jak dawniej, kiedy skończą się procesy.

– To prawda. – Zgodziłem się z takim postawieniem sprawy.

– Obywatele Biarritz... – Cały czas patrzył na własne dłonie. – Na pewno byliby skłonni do wielkich poświęceń, aby tylko nie dotknęło ich nieszczęście.

– Do jak wielkich? – zapytałem, gdyż interesował mnie stopień determinacji zacnych mieszczan.

– Sądzę, że człowiek, który cofnąłby kataklizm, mógłby liczyć na wiele. – Uniósł głowę i spojrzał na mnie. – Może nawet na dwadzieścia tysięcy koron?

Pokiwałem głową. To była ogromna suma. Wręcz niewyobrażalna dla waszego unizonego sługi. Zwłaszcza, że w drodze targów można by ją pewnie podwoić. Ta kwota mogła zamienić się na dom w Hezie i zacząć wiejską posiadłość. Lecz idei nie można kupić za pieniądze. Wasz unizony sługa zawsze był tylko prostodusznym, naiwnym człowiekiem, nie potrafiącym dać sobie rady z zawiłościami codziennego życia. Nawet jeśli cała orkiestra fałszowała, ja starałem się grać czysto, tak, jak czystość tę pojmowałem mym wątłym umysłem.

– Nie słyszałem tych słów, panie Springer – powiedziałem. – Nie pogarszajcie swej sytuacji, składając niegodziwe propozycje. Nieszczęście w tym mieście zaczęło się wtedy, kiedy ktoś zaczął się parać czarną magią. Teraz nadchodzi dla was czas oczyszczenia. Może bolesny, ale zbawienny. Pojmiecie to kiedyś. I nie będziecie już mylić lekarstwa z chorobą.

Pokiwał głową nieprzekonany, a potem wstał. Zgarbiony, z poszarzałą smutkiem twarzą.

– Znałem was tyle lat i sądziłem, że jesteście dobrym człowiekiem, pomimo że inkwizytorem.

– Nie jestem dobrym człowiekiem – odparłem. – Jestem sługą Bożym, młotem na czarownice i mieczem w ręku Aniołów. Powinien to pan wiedzieć, Springer. Zawsze powinien to pan wiedzieć.

Przyglądał mi się dłużej chwilę, a potem odwrócił się i wyszedł z komnaty, cicho

zamykając za sobą drzwi. Sięgnąłem po kielich z winem i zbliżyłem się do okna. Z piętra rozpościerał się widok na Biarritz: domy, ulice, ogrody. Patrzyłem na to ze smutkiem, chociaż w przeciwieństwie do Springera miałem nadzieję, że niewiele się tu zmieni, nawet kiedy przybędą inkwizytorzy.

Byłem więcej niż pewien, że córka Schulmeistera miała wrodzony talent, z którego mocy sama nie do końca zdawała sobie sprawę. Ale nie ulegało też wątpliwości, iż kupiec wiedział o jej wybrykach, a mimo to nie zdecydował się załatwić sprawy jak uczciwy chrześcijanin. Przecież Pismo mówi wyraźnie: *A jeśli cię prawa ręka twoja gorszy, odetnij ją i zarzuć od siebie*. Mała Schulmeisterówna zabiła Lindego, wykorzystując mroczną sztukę. Dlaczego tak uczyniła? Cóż, wyjaśnimy to w toku postępowania. Może lubiła Ugolda Pleśniaka? Może nawiązała się jakaś nić porozumienia pomiędzy tym człowiekiem a słabowitą i chorującą dziewczynką? Ba, może nawet miała dowody na jego niewinność i nie mogła się pogodzić z niesprawiedliwością wyroku? Któż to teraz wie i kogóż tak naprawdę to obchodzi?

Westchnąłem do własnych myśli, dopiłem wino i zaniósłem krótką modlitwę do Boga, dziękując Mu, że w swej niezmierzonej łaskawości znów dał mi szansę służenia dobru oraz prawu i uczynienia słusznego wyboru.

Epilog

Do załatwienia pozostała mi tylko jedna rzecz. Nic, poza drobną złośliwością, być może niegodną mego fachu, ale od której nie byłem w stanie się powstrzymać.

Dzień wcześniej kazałem wezwać pewnego człowieka, o którym wiedziałem, że przebywa aktualnie w Biarritz. Był to mężczyzna o celnym, ostrym dowcipie i zbyt długim języku, a ja ocaliłem mu niegdyś ten język przed obcięciem. Miał wobec tego u mnie dług wdzięczności do spłacenia i teraz postanowiłem dług ten wyegzekwować. Zwłaszcza, iż byłem pewien, że pomoże mi nie tylko z przymusu, ale również z wewnętrznego przekonania, i będzie zachwycony figlem, który mieliśmy spłatać wspólnymi siłami.

Wieczorem czekałem w swojej komnacie na Ritę i leniwie popijałem nieco zbyt słodkie wino z zapasów burgrabiego. Usłyszałem pukanie i zdmuchnąłem świece, zostawiając tylko jeden trójramienny świecznik na sekreterze pod lustrem. Otworzyłem drzwi.

– Przyszłam ci podziękować, Mordimer. – Rita stała na progu, a w jej głosie wyraźnie usłyszałem nutkę zalotności. – W końcu uratowałeś mi życie.

Cofnąłem się w głąb pokoju i zaprosiłem ją gestem do środka. Kiedy weszła, zamknąłem cicho drzwi i poprosiłem, aby usiadła na sofie. Była naprawdę piękna, a szkarłatna suknia

dodawała tylko blasku jej urodzie. Cóż, szkarłat stanie się zapewne kolorem aż nadto modnym w Biarritz, jeśli tylko znałem swych braci-inkwizytorów. A wszystkiemu winna była zachłanność i żądza wrażeń tej kobiety, która uważała, że talent, piękność oraz sława wywyższają ją ponad zwykłych śmiertelników. Może zresztą i tak było? Z drugiej strony patrząc, gdyby okazała skazańcowi litość, być może nieprędko zorientowalibyśmy, że w Biarritz działa adeptka mrocznej sztuki. Tak, tak, Bóg wszechmocny ma tę siłę, że zło pozwala przekuć w dobro, a nawet najpodlejsza istota może się przysłużyć Jego celom.

– Kto wie? – odparłem. – Być może nie nastawałaby na ciebie...

– Należ wina, proszę – przerwała mi. – Oboje dobrze wiemy, jak było.

Podniosłem wysmukły, kryształowy kieliszek i napełniłem go trunkiem. Podałem jej. Spróbowała i uśmiechnęła się.

– Lubię słodkie wina – powiedziała. – A ty?

– Piłem tak wiele podłych trunków, że nie śmiem krytykować tych, które pochodzą z piwnic wielmożnych panów – odparłem.

– Może lepiej będzie smakować z moich ust?

Pochyliłem się nad nią. Wargi miała miękkie i wilgotne, a jej włosy pachniały ciężkimi perfumami, jak gdyby otulała się dymem wschodnich kadzideł. Poczułem jej dłonie na karku. Przyciągnęła mnie do siebie i padliśmy oboje na sofę. Objąłem ją mocno, i całując, sięgnąłem dłonią do jej piersi. Zatrzymała moją rękę.

– Tylko się nie rozczaruj, Mordimer – szepnęła mi prosto w usta. – To, co widziałeś, to takie małe kobiece gierki. Gra pozorów.

– Wiem – powiedziałem. – Ale cóż to ma za znaczenie przy twojej niezwyklej piękności?

Całowałem ją w usta i szyję, zawędrowałem ustami na dekolci, a jednocześnie rozsznurowałem jej suknię i gorset. Dyszała ciężko, paznokcie lewej dłoni wbiła mi w kark, a prawą ręką manipulowała przy sprzączce od pasa. W końcu zdarłem z niej suknię. Faktycznie nie dziwiłem się teraz, że wypycha stanik, gdyż jej piersi składały się jedynie z różowych, nabrzmiątych sutków.

– Kochanie – powiedziałem, wstając. – Przykro mi, ale nie mogę...

– Co takiego? Jak nie możesz? Mordimer, przecież ja czuję, że bardzo, ale to bardzo możesz – zaśmiała się i pochyliła, aby mnie przyciągnąć z powrotem na sofę.

– Twoje piersi, mała – pokręciłem głową. – Masz rację, że wypychasz gorset, bo mężczyźni lubią obfite kształty. A kiedy jestem z tobą naga, to czuję się, jakbym obmacywał młodego chłopca. I rzygać mi się chce na samą myśl.

Patrzyła przez chwilę, jakby nie rozumiejąc, co do niej mówię, a potem zrozumiała i rumieniec wypełził na jej twarz oraz dekolci. Wykrzywiła się, a jej twarz zastygła w maskę uformowaną z czystej nienawiści.

– Nie zapomnę ci tego – syknęła i tak gwałtownie wciągnęła suknię na ramiona, że rękaw pękł z głośnym trzaskiem. – Ty, ty... – nie mogła znaleźć słowa.

– Wyjdź już. – Machnąłem dłonią i skrzywiłem się, słysząc huk zatraskiwanych drzwi. Zza kotary wyłonił się Pedro Usta-ze-Złota. Uśmiechnął się do mnie radośnie.

– Piękna scena, mistrzu Mordimerze. Ale oświećcie mnie, jeśli łaska, czemu to zrobiliście? Przecież wiecie, że mój szacunek dla was jest tak wielki, że i tak napisałbym, co tylko zapragniecie...

– Pedro – przerwałem mu. – Jesteś artystą. Mistrzem. I powinieneś wiedzieć, że łgarstwo prędzej czy później wychodzi na jaw. Ty napiszesz prześmiewczą piosenkę, która będzie na wskroś prawdziwa. Czyż to nie zabawne, że prosty inkwizytor odrzucił karesy największej śpiewaczki świata, gdyż miała kiepskie cycki? Widziałeś to na własne oczy i zaświadczysz swym talentem oraz swym honorem...

– Największej? – skrzywił się Pedro. – Zaręczam wam, mistrzu, że niedługo ludzie nie będą pamiętali o jej śpiewie, lecz o tym, że z łóżka wyrzucił ją inkwizytor. Zaręczam wam też, że Rita Złotowłosa będzie, jak na swój gust, w zbyt wielu miejscach nazywana Ritą Padłocycką.

– Szanuję artystyczną swobodę – powiedziałem, wzdychając. – I jestem ostatnim, który śmiałyby krępować twórczą inwencję wielkiego poety.

Wobec obcych postępujcie mądrze, wyzyskując każdą chwilę sposobną. Mowa wasza, zawsze miła, niech będzie zaprawiona solą, tak byście wiedzieli jak należy każdemu odpowiadać.

św. Paweł, list do Koloson

Mroczny krąg

– Boże, daj zdrowie – powiedział z namaszczeniem kancelista, kiedy kichnąłem.

Podziękowałem mu skinieniem głowy, choć byłem pewien, że Bóg ma ważniejsze sprawy niż zastanawianie się nad stanem zdrowia Mordimera Madderdina. Wszakże byłem tylko jednym z tysięcy trybików potężnej maszyny, naszego Świętego i Jedyne Kościoła, i nie miałem ambicji, by stać się czymkolwiek więcej. Nie na darmo Pismo mówiło, że do takich jak ja, cichych oraz pokornego serca, należeć będzie Królestwo Niebieskie.

– Oto raporty, mistrzu. – Kancelista wyciągnął w moją stronę plik równo poukładanych kartek. – Pozwoliłem je sobie posegregować według dat.

– Dziękuję. – Wziąłem dokumenty z jego rąk i westchnąłem, gdyż zapowiadało się, że spędzę wieczór przy naprawdę nudnym zajęciu.

– Proszę pokwitować, jeśli łaska.

Nachyliłem się nad stołem i wziąłem pióro w palce. Złożyłem zamaszysty podpis, a drugie „M” rozmazało mi się w kleksie.

– Nic, nic, poprawię – zamruczał kancelista, sięgając po bibułę i piasek.

Zostawiłem go temu jakże interesującemu, zajęciu i z dokumentami pod pachą wymaszerowałem z kancelarii. Wychodząc, rzuciłem jeszcze tylko okiem na równe szeregi stołów. Mężczyźni pochylający się nad księgami i dokumentami byli niemal tacy sami. Niby dostrzegałeś różnice – ot, jeden był zażywny, z wianuszkami włosów dokoła głowy, inny siwy, trzeci chudy, łysy, ale mimo to wszyscy sprawiali równie przygnębiające wrażenie. Może przez czarne stroje, w które wszyscy byli ubrani? Może przez pozbawione blasku oczy, zmętniałe wieloletnim ślęceniem nad dokumentami? Może przez niezdrową biel skóry albo palce i dłonie poznaczone plamami inkaustu? Wzruszyłem ramionami. W końcu każdemu Bóg wybiera taki los, by najlepiej przysłużył się Jego planom.

Zamknąłem za sobą drzwi, ale zaraz na korytarzu dopadł mnie jeden z nowych zastępców sekretarza biskupa, młody człowiek o rozbieganym spojrzeniu.

– Inkwizytorze – wydyszał. – Jego Ekscelencja prosi...

Uniosłem tylko brwi, ale nic nie powiedziałem. Nie sądziłem, że Jego Ekscelencja

Gersard – biskup Hez-hezronu – zaszczyli mnie dzisiaj audiencją, zwłaszcza że powierzone mi zadanie było jasne oraz proste.

– Jak zdrowie Jego Ekscelencji? – zapytałem ostrożnie.

Zastępca sekretarza obrzucił mnie przelotnym spojrzeniem i tylko pokręcił głową, wykrzywiając twarz w jednoznaczny grymas. „Oho ho – pomyślałem – nie jest dobrze”. Ekscelencja biskup cierpiał, niestety, na przedłużające się ataki podagry, a przy tym lubił sobie wypić. Trunek czasami wprawiał go w dobry humor, a czasami nie. Po twarzy zastępcy sekretarza poznałem, że dzisiaj chyba było „czasami nie”.

I faktycznie, kiedy wszedłem do gabinetu Gersarda, od razu poznałem, iż biskup nie ma dobrego dnia. Stał przy oknie, posępny niczym gradowa chmura. Widziałem go z profilu, ale trudno było nie dostrzec, że lewą dłoń ma owiazaną bandażem, a na policzkach niezdrowe, czerwone wypieki.

– Leje – warknął wściekłym tonem.

Westchnąłem współczująco, bo wiedziałem, że kiedy pada, ataki podagry znacznie się nasilają. Co prawda sądziłem, że Gersard bardzo lubi cały ten cyrk oraz zamieszanie wokół własnej osoby, ale nie wątpiłem również, iż naprawdę choruje. Tyle, że ja znałem dla niego receptę. Po miesiącu spędzonym w kamieniołomach albo przy wyrębie lasów wszystkie dolegliwości naszego biskupa pierzchyłyby jak stado owieczek przed wilkiem. Rzecz jasna, nigdy nie ośmieliłbym się zażartować w podobny sposób przy kimkolwiek z otoczenia Jego Ekscelencji, a nawet z braćmi-inkwizytorami rzadko pozwalaliśmy sobie na podobne dowcipy.

– A ty czego tak wzdychasz? – Obrócił się w moją stronę.

W prawej dłoni trzymał srebrny puchar, a oczy miał przekrwione z przepicia i niewyspania. Nawet siwe włosy, o które zwykle dbał, by były gładko zaczesane za uszy, teraz sterczały mu niczym wykrzywione różki. Na policzku i czole rozlewała mu się wściekle różowa plama, gdyż niestety Jego Ekscelencja cierpiał również na uczulenie skóry. Miałem niejasne podejrzenia, iż może się ono wiązać z ilością wypijanych trunków, ale tego typu opinie wolałem zachowywać dla siebie.

Nie odezwałem się, tylko skłoniłem nisko.

– Pokorny sługa Waszej Ekscelencji – powiedziałem.

– Mordimer. – Podrapał się lewą dłonią w policzek, syknął z bólu i wściekle zaklął. – Czego ty znowu chcesz?

– Wasza Ekscelencja mnie wzywał – rzekłem cicho, starając się nadać głosowi aksamitną łagodność.

– Wzywał, wzywał – powtórzył i wyraźnie widziałem, że stara sobie przypomnieć, na diabła ja mu właściwie byłem potrzebny.

– A wiesz, że to mleko działa? – ożywił się na moment.

Pewnego razu miałem zaszczyt zakomunikować biskupowi, że mleko skutecznie zwalcza

ból powodowany kwasami rodzącymi się w żołądku i, Bogu dziękować, recepta pomogła.

– Tylko medyk przed każdym kubkiem każe mi odmawiać „Ojcze nasz” – dodał. – Konował przeklęty...

– Cieszę się, że mogłem być na coś przydatny – zauważyłem.

Przytrzymał się marmurowego parapetu i skupił na mnie wzrok.

– Jedziesz teraz do... – zawahał się i poruszył dłonią, a wino pociekło mu na rękaw.

– Do Gossburga, Wasza Ekscelencjo – odpowiedziałem.

– Nie – rzekł z taką satysfakcją, jakby przyłapał mnie na karygodnym błędzie. – Jedziesz do Kassel. Proboszczem parafii pod wezwaniem Gniewu Pańskiego jest tam niejaki Melchior Wasselrode. Studiowaliśmy razem...

– Tak, Ekscelencjo? – zapytałem, kiedy milczenie nazbyt się już wydłużyło.

– Byliśmy przyjaciółmi – wyjaśnił. – Młode lata... – Jego wzrok powędrował gdzieś w górę. – Ach, Mordimer, znowu mieć dwadzieścia lat, co, chłopcze?

Pokręcił głową i oparł się o parapet. W gabinecie Jego Ekscelencji parapety były niskie, a okna olbrzymie. Nie chciałem nawet myśleć, co by się zdarzyło, gdyby biskup wypadł do ogrodu, będąc w moim towarzystwie, więc podszedłem do niego i stanowczo ująłem go za prawą, zdrową rękę.

– Wasza Ekscelencja pozwoli – powiedziałem. – Ale będę spokojniejszy, jeśli Wasza Ekscelencja usiądzie.

Oczywiście mógł się rozgniewać, ale tylko spojrzał na mnie, a oczy zaszkliły mu się po pijacku.

– Ty jesteś naprawdę dobrym chłopcem, Mordimer – rzekł, zionąc na mnie winem, i dał się usadzić w głębokim fotelu.

Podąłem mu pucharek do zdrowej dłoni, a on przechylił go do ust i siorbnął głośno.

– Wielu by się cieszyło, gdyby ich biskup wypadł przez okno i rozbił się o twarde kamienie – mruknął zgryźliwie. – Dobrze, że ty jesteś inny.

Co prawda pod oknami biskupa nie było kamieni, tylko starannie wypielegnowany trawnik oraz klomby rzadkich kwiatów, niemniej niezależnie od tego, upadek z wysokości pierwszego piętra (a piętra w biskupim pałacu były naprawdę wysokie) mógł się niewesoło zakończyć.

– Ośmielałem się twierdzić, że wszyscy modlą się o długie życie dla Waszej Ekscelencji – powiedziałem.

– Bo ty, Mordimer, jesteś zacny i wszystkich mierzysz swoją miarą – rozculił się znowu. – Musisz uważać, mój chłopcze, żeby ludzie nie wykorzystywali twojej dobroci i prostoduszności... Tak jak mnie ciągle wykorzystują. – Przetarł oczy zabandażowaną dłonią i znowu syknął z bólu. – Jak myślisz, chłopcze, gdybyś zabrał się, tak po swojemu, za moich medyków, wymyśliliby lekarstwo na podagrę? Co?

– Nie nauczysz świni fruwać – odparłem sentencjonalnie, gdyż nie sądziłem, aby tortury

mogły spowodować nadzwyczajny przypływ zawodowych umiejętności u torturowanego.

Biskup pokiwał ze smutkiem głową.

– Tylko skąd wziąć lepszych? – westchnął. – Sam Ojciec Święty przysłał mi swojego lekarza. Pognałem zbója na cztery wiatry...

Uśmiechnąłem się lekko, gdyż słyszałem tę historię. Papieski medyk dokładnie obejrzał i zbadał naszego biskupa, po czym nakazał mu przestać pić, zacząć się zdrowo odżywiać, dużo leżeć, stosować błotne i ziołowe kąpiele, kompresy oraz masaże, a także spędzać co najmniej ćwierć roku w uzdrowiskach słynących z gorących wód. Do tego, jak to papieski lekarz, zalecał modlitwy, nowenny, śpiewanie psalmów oraz co najmniej trzy razy na dzień uczestniczenie w mszach świętych. Ha! Ci, co byli przy tej rozmowie, do dzisiaj podobno wspominają tyradę Jego Ekscelencji zakończoną tłuczeniem lekarza po głowie haftowaną cizmą. I okazało się, że atak podagry minął jak ręką odjął. Cóż, niezbadane są wyroki Boskie...

– Ale, ale, Mordimer, dość o moich dolegliwościach. – Zwrócił na mnie wzrok. – Kassel, prawda?

– Tak jest, Wasza Ekscelencjo.

– Jesteś człowiekiem godnym zaufania i delikatnym – westchnął znowu. – Przynajmniej w porównaniu z tymi tam. – Domyśliłem się, że ma na myśli mych braci-inkwizytorów, ale nic nie odpowiedziałem. – Załatw więc sprawę bez hałasu, bez oficjalnych śledztw, przesłuchań i nie daj Boże, wyroków. No chyba że – zawiesił głos – sam wiesz...

Wiedziałem, że Gersard najwyraźniej nie chce zaszkodzić dawnemu przyjacielowi, więc pokiwałem gorliwie głową.

– Stanie się wedle życzenia Waszej Ekscelencji – obiecałem.

– Jeśli dzieje się coś naprawdę złego, działaj, synku. Ale myślę, że Melchior tylko cudaczy – rzekł. – Starość nie radość. Sam się przekonasz, jak będziesz miał tyle lat co my. Wezmiesz w podróż swoich chłopaków?

– Niestety nie, Wasza Ekscelencjo. Dostali sześć tygodni dolnej wieży i jeszcze cztery im zostały do odsiedzenia.

– To zbytniki – zaśmiał się. – Dać ci glejt?

– Pokornie dziękuję, księżu biskupie, ale sądzę, że te wakacje im nie zaszkodzą. Ostrzegałem, by nie wyprawiali burd, ale nie posłuchali. Mają szczęście, że mości burgrabia ma do mnie pewien, nazwijmy to, sentyment i wsadził ich tylko na sześć tygodni.

– Sprawiedliwość musi być – rzekł. – Skoro tak, niech siedzą.

Kostuch i bliźniacy nie byliby zapewne zachwyceni, słysząc moją rozmowę z biskupem, ale tylko sobie zawdzięczali wyrok. Zawsze im powtarzałem, że nocne awantury na ulicach Hezu połączone z biciem mieszczan i napastowaniem dziewczek nie przyniosą niczego dobrego.

Biskup usiłował podnieść się z fotela, więc podałem mu rękę. Wsparł się na mnie całym

ciężarem.

– Idź już, chłopcze. Weź żołąd od skarbnika, powiedz, że ja kazałem.

– Dziękuję, Wasza Ekszelencjo – odparłem z prawdziwą wdzięcznością, gdyż inkwizytorskie dochody nader często zależały od dobrego humoru biskupa. – Ośmielę się tylko zapytać, co mam zrobić z raportami z Gossburga?

– Oddaj je, kogoś tam wyślemy – mruknął.

Pochyliłem się, przyklęknąłem, a Gersard łaskawie wyciągnął pierścień do ucałowania. Mówiono, że w oczku znajdował się kamień z Ziemi Świętej, jeden z wielu okruchów głazu, tego samego, na który nastąpił nasz Pan, kiedy tylko zszedł z Krzyża. Kamyczek w pierścieniu biskupa miał szaro-rudy odcień, niczym zeschła w słońcu trawa. Szkopuł w tym, iż w katedrze w Hezie widziałem złomek tegoż samego kamienia, który był jasnożółty, w opactwie Amszilas znajdował się okruch koloru jasnego żelaza, a w szkaplerzu cesarzowej Ludwiki (który to szkaplerz mogłem niegdyś podziwiać, gdyż wystawiono go na widok publiczny) następny okruch, lecz tym razem niemal biały, przepleciony ciemnoczerwonymi żyłkami. Wpływał z tego jeden morał: nasz Pan, jak widać, musiał zstąpić na różnobarwny kamień, który jednocześnie był piaskowcem, granitem i kwarcem. Albo też takim się stał pod świętą stopą Jezusa. Ha, niezbadane są ścieżki Pańskie!

* * *

Kassel było dużym miastem targowym, położonym na zbiegu handlowych szlaków prowadzących w głąb Cesarstwa. Na wzgórzach znajdujących się kilkanaście mil na północ rozbudowano kopalnie soli, a mówiło się też, że płukanie srebra w okolicznych strumieniach daje ostatnio zadziwiająco dobre rezultaty. Tak więc miasto było bogate, ludne i dobrze ufortyfikowane. Trudno było się, co prawda, w samym sercu biskupich lenn spodziewać wrogiego ataku, ale widać miejscy rajcy postawili sobie za punkt honoru, by otoczyć miasto murami i wybudować strażnicze wieże. A na wzgórzu górującym nad okolicą wzniesli nawet najeżoną basztami fortecę, która waszemu uniżonemu słudze (nie obeznanemu z architektonicznymi nowinkami) przypominała pękata beczkę z nasadzoną na wieko daszkiem.

Zbliżałem się do Kassel południowym traktem, mijając po drodze ciągnących na targ chłopów i kupców. Oraz mnóstwo ludzi przeróżnej konduity, których takie wydarzenie jak targi w sporym mieście przyciąga niczym miód muchy. Przejeżdżałem obok kolorowych wozów cyrkowców, szlacheckich orszaków, herbowych powozów, a także obok całych gromad włóczęgów, żebraków, bosonogich mnichów i sprzedajnych dziewczek. Większość z nich nie zostanie, rzecz jasna, wpuszczona w obręb miejskich murów, ale z doświadczenia wiedziałem, że za tymi murami powstanie coś w rodzaju kilkudniowej osady, wyrosną stragany, a nawet karczmy, jadalajnie i domy wszetecznych uciech.

Miałem stosowne glejty wydane przez biskupią kancelarię, ale nie było w nich

wyszczególnione, iż jestem inkwizytorem. Misja miała być na poły tajna, a w każdym razie rozgłos i plotki były tym, czego najmniej potrzebowałem. Oczekiwałem jednak, że straż miejska, nawet bez okazywania glejtu, wpuści w obręb miejskich murów człowieka, który – jak ja – wyglądał na średniozamożnego szlachcica spragnionego targowych rozrywek.

Tak jak się spodziewałem, straż przepuściła mnie bez oporów i zaraz ugrzęzłem w różnobarwnym, rozkrzyczanym i przepychającym się we wszystkich kierunkach tłumie. Na szczęście mój koń był nie tylko spokojny, ale również mądry, więc sam torował sobie drogę łagodnymi poruszeniami pyska i napierał piersią na tych, którzy stawali mu na drodze. Co i tak nie uchroniło mnie od przekleństw, wyrzutów oraz zniewag, a jakiś wyrostek cisnął nawet mi w twarz grudą zaschniętego błota i zaraz schował się za falą ludzi. Dźwigałem jednak ten krzyż z właściwą mi pokorą.

W końcu, dopytując się kilka razy o drogę, dotarłem do strzelistego kościoła Gniewu Pańskiego. Była to okazała budowla z rudej cegły, mierząca igłą dzwonnicy pod samo niebo. Cały teren był ogrodzony niewysokim murem, a przy furcie, na podsuniętym pod ścianę zydłu, siedział stary mnich. Jadł palcami prosto z miski jakąś ciemnoszarą breję, ale czuwał na tyle, że każdemu, kto próbował przejść przez furkę, zagradzał drogę wykrzywionym kosturem.

– Wieczorem, wieczorem – mruczał, pokazując bezzębne dziąsła.

Zeskoczyłem z siodła i ująłem konia za wędzidło. Zbliżyłem się, a kostur zaraz wylądował przed moim brzuchem.

– Wieczorem, wieczorem. – Nawet nie podniósł wzroku.

Wyrwałem mu ten kostur z ręki i zdzieliłem go nim po głowie. Nie za mocno, bo w końcu nie chciałem krzywdzić starego człowieka, a jedynie wywołać w nim odrobinę zainteresowania moją skromną osobą. Trzeba przyznać, że udało się to nadspodziewanie dobrze, gdyż zerwał się na równe nogi.

– Czymogesłujaniepanu? – odezwał się pospiesznie, wywołując na pomarszczoną twarz przymilny uśmiech.

Cóż, należał zapewne do tych ludzi, którzy rozumieją doskonale, że jeśli ktoś ich bije, to najwidoczniej ma do tego bicia święte prawo.

– Szukam proboszcza Wasselrode – powiedziałem. – Gdzie go znajdę?

– Ksiądz probość na plebani, wielmożny panie. Tamzie za kościołem. – Wyciągnął dłoń przypominającą pogięty szpon. Zauważyłem, że ma tylko trzy palce u prawej ręki. – Poprowadzę wielmożnego...

– Nie trzeba – rzekłem i rzuciłem mu grosz, a on nadspodziewanie zwinnie złapał monetę. Jak widać praktyka czyniła mistrza.

Plebania była obszernym, murowanym budynkiem, przytulonym do kościoła od strony północnej ściany. Ścieżka prowadziła wśród wspaniale utrzymanych, ozdobnych krzewów, przy których krzątał się właśnie ogrodnik z ogromnymi nożycami w dłoniach.

– Boże, pomagaj – odezwał się, zdejmując kapelusz, kiedy mnie zobaczył.

– Na zdrowie – odparłem i zauważyłem zdziwienie w jego oczach.

Czułem, że odprowadza mnie wzrokiem, kiedy kierowałem się w stronę wysokich, murowanych schodów plebani. Nie za bardzo wiedziałem, co zrobić z wierzchowcem, gdyż uznałem, że ktoś mógłby mieć do niego uzasadnione pretensje za oskubanie tych wypielegnowanych trawników i krzewów. Na szczęście drzwi plebani otworzyły się i wypadł stamtąd chłopak z miotłą w dłoni.

– Ej, mały – zawołałem. – Chodź tu przypilnuj konia.

Zbliżył się ostrożnie, bo mój rumak był naprawdę spory, a szeroka pierś i wielka głowa robiły wrażenie. Jednak to zwierzę było o zdumiewająco łagodne, chociaż nie chciałem być w skórze kogoś, kto zechciałby je ukraść.

Podąłem chłopcu wodze i poklepałem konia uspokajająco po pysku. Zarżał cicho obracając na mnie wzrok.

– Zostań tu, stary – powiedziałem. – Proboszcz u siebie? – zagadnąłem chłopaka, a ten pokiwał gorliwie głową.

Wszedłem na wysokie stopnie i zanim otworzyłem drzwi, wpiérw grzecznie zastukałem. Nie spodziewałem się, że ktokolwiek odpowie, i tak też się stało, więc rozejrzałem się po ciemnej, pachnącej starym drewnem sieni. Długi korytarz prowadził w stronę uchylonych drzwi i wydawało mi się, że słyszę za nimi jakieś przytłumione głosy. Poszedłem w tamtą stronę, nie starając się zachować ciszy, ale też nie hałasując nadmiernie. Przytłumione głosy mają bowiem to do siebie, iż czasami toczy się nimi rozmowy, których człowiek pokorny oraz ukryty w cieniu może wysłuchać na chwałę Bożą. Jednak tym razem nie było mowy o niczym ważnym. Ktoś – zapewne proboszcz – z namaszczeniem opowiadał o właściwym sposobie przycinania gałęzi, wapnowaniu drzew owocowych i nawożeniu ziemi. Natomiast ktoś drugi grzecznie przytakiwał, a co pewien czas cicho mówił „ach tak!”, „niebawem” i „kto by pomyślał?”.

Zastukałem do drzwi i pchnąłem je, nie czekając, aż mnie zaproszą. W jasnym, dużym pokoju siedziały przy oknie dwie osoby. Jedną był korpulentny ksiądz, wyróżniający się wściekle czerwoną łysiną oraz ogromnymi łapskami, a drugą, ku mojemu zdumieniu, okazała się młoda dama w czerni. Kobieta obróciła na mnie wzrok i zauważyłem, że ma błyszczące oczy, przypominające kształtem migdały, oraz cudownie skrojone, lekko wydęte usta.

Skloniłem się lekko.

– Proszę wybaczyć, że przerywam miłą konwersację – powiedziałem. – Ale właśnie przybyłem do Kassel, by widzieć się z proboszczem Wasselrode.

– Czego sobie życzycie? – zapytał ksiądz, wstając. Dłonie schował za siebie, jakby się ich wstydził.

– Przysłał mnie Jego Ekscelencja biskup – odparłem. – Wy jesteście proboszczem?

– Ja – rzekł, przyglądając mi się spod siwych, przerzedzonych brwi.

Kobieta patrzyła na mnie szeroko rozwartymi, zdziwionymi oczyma. Mój Boże – pomyślałem – czyżby sądziła, że każdy na widok proboszcza będzie padał na kolana i brał się do żarliwego całowania pierścienia albo dłoni? Ha, lepszych od niego miałem już na swoim stole! Zresztą nigdy nie przepadałem za księżmi, bo trudno było znaleźć istoty bardziej plugawe, sprośne i chciwe zysku za wszelką cenę. Przy tym pełne wyjątkowej obłudzie i fałszu, zawsze skłonne dręczyć słabszych od siebie, a gnące się przed mocniejszymi oraz łączące wyuczoną na pamięć wiedzę teologiczną z przyrodzoną ciemnotą umysłu. Zapewniam was, mili moi, że tak samo będzie za lat pięćset, a może i tysiąc. Chyba, że nasz Pan zdecyduje się wreszcie, by po raz drugi zstąpić w chwale i mieczem swego słusznego gniewu pokarać tych, którzy plugawią jego nauki.

Mogłem sobie pozwolić na chłodny stosunek do naszego duchowieństwa, gdyż takie właśnie były również zalety inkwizytorskiego fachu. Ale w tym wypadku musiałem być miły i uprzejmy, gdyż proboszcz Wasselrode był w końcu przyjacielem Jego Ekscelencji ze szczenięcych lat (kto by pomyślał, że Ekscelencja w ogóle miał szczeniące lata!). Zresztą wśród księży też zdarzali się ludzie światli i uczciwi, choć wierzyć mi się nie chciało, by proboszczem bogatej parafii Gniewu Pańskiego mógł zostać taki właśnie człowiek.

– Nazywam się Mordimer Madderdin – rzekłem – i powiadomiono mnie o waszych potrzebach.

Nie powiedziałem „kłopotach” ani nie oznajmiłem, że jestem inkwizytorem. W końcu nie wiedziałem, kim jest kobieta, a im mniej osób pozna cel mego przyjazdu do Kassel, tym lepiej dla mnie i dla sprawy.

– Moje dziecko. – Proboszcz odwrócił się w stronę kobiety. – Idź do kuchni i zobacz, czy Stefania nie ma dla ciebie jakichś ciasteczek...

Dama w czerni uśmiechnęła się pobłażliwie, a uśmiech jeszcze dodał piękna jej i tak urodziwej twarzy.

– Dziadku – powiedziała. – Ja już wyrosłam z ciasteczek.

Podniosła się jednak z krzesła i skinęła mi oficjalnie głową na pożegnanie. Proboszcz zaczął, aż zamknie drzwi za sobą.

– Witajcie, inkwizytorze – rzekł i wskazał mi miejsce, na którym jeszcze przed chwilą siedziała kobieta nazywająca go dziadkiem. – Tak naprawdę jej dziadek był moim bratem – wyjaśnił, jakby spodziewał się pytania. – Ale umarł, kiedy jeszcze była dzieckiem.

– Dama niezwykłej urody – powiedziałem uprzejmie. – Jeśli wolno mi wyrazić tę śmiałą myśl.

Pokiwał głową zadowolony, lecz jakby przygotowany na to, że cały świat został stworzony, by chwalić jego krewniaczkę.

– To różyczka, panie Madderdin – rzekł z uśmiechem. – Piękne kwiecie, oszałamiający zapach i ostre kolce.

Przysiadł na krześle naprzeciwko mnie, ale zaraz podniósł się znowu i klepnął dłonią w

czoło.

– A to ze mnie gospodarz – parsknął. – Napije się pan czegoś? A może zgłodniał pan w podróży?

– Uprzejmie dziękuję – odparłem. – Jednak później nie omieszkam skorzystać z łaskawej propozycji księdza dobrodzieja.

– Frykasów u mnie nie ma – mruknął – ale wszystko z własnego warzywnika. Mam jeszcze poza tym kurnik. – Wyliczając, zagiął lewą dłonią mały palec u prawej ręki. – Chlewik, zagrodę dla kóz, dwie mleczne krowy i wędzarnię. Chleb też pieczemy sami. Wszystko swojskie, panie Madderdin.

Uśmiechnąłem się, bo ten człowiek mi się podobał. Lubię księży potrafiących zajmować się przyziemnymi sprawami, a nie mających gąb nafaszerowanych patetycznymi komunałami oraz frazesami. Poza tym zauważyłem, że za paznokciami miał czarne obwódki, dłonie pokłute kolcami, a na palcach zsiniałe zgrubienia, wyraźnie od szpadla lub łopaty. To mi się też podobało, gdyż pokazywało, że proboszcz sam lubi zadbać o własne gospodarstwo.

– Ale, ale. – Machnął ręką. – Powiedźcie, jak tam Gersard. Podagra?

– Podagra, wrzody, ponoć hemoroidy. – Rozłożyłem dłonie. – Pan doświadcza Jego Ekscelencję...

– Pan Panem – przerwał mi. – Gdyby Gersard nie pił jak smok, byłby zdrowszy. Powiedźcie mu to.

– Nie omieszkam – odparłem, wyobrażając sobie minę biskupa, gdybym śmiał mu coś takiego zasugerować.

– Pewnie – rzekł z uśmiechem. – Myślicie, że mało razy zapraszałem go do siebie? Mówiłem: odpoczniesz od trosk, od lekarzy, dworzan, codziennych spraw. – Ponownie machnął ręką. – Gdzie tam! Wiecie, co odpowiedział?

– *Nagom wyszedł z żywota matki mojej i nago się tam wróć. Pan dał, Pan odjął. Jako się Panu upodobało, tak się stało. Niech będzie błogosławione imię Pańskie* – odparłem słowami Pisma. – Lub też: *Prochem jesteście. Człowiek, jako trawa dni jego, jako kwiat polny, tak okwitnie.*

– Co do literki! – Klasnął w dłonie. – Widzę, że naprawdę znacie Gersarda...

– Sprawdzacie mnie? – Uśmiechnąłem się. – Mam glejt i listy. – Sięgnąłem w zanadrze.

– Sprawdzam? – Spojrzał na mnie zdumiony. – Nie, na miecz Pana, do głowy by mi nie przyszło pana sprawdzać, panie Madderdin. Bo sędzę, że bezprawne podawanie się za inkwizytora jest karalne, nieprawdaż?

Roześmiałem się tylko, gdyż przecież sam doskonale znał odpowiedź na pytanie, które postawił. Uzurpowanie sobie władzy inkwizytorskiej karane było z całą surowością prawa. Skazanemu obcinano bluźnierczy język, wypalano kłamliwe oczy i ucinano nieczystą prawą dłoń. Potem puszczano go wolno, by własnym przykładem zaświadczał, że nikomu nie wolno igrać z cierpliwością Świętego Officjum.

– A wie ksiądz, że cały czas tacy się zdarzają? – zapytałem. – Pomimo surowości kary?
– Gdybyż kara działała odstrasżająco na przestępców, już dziś żylibyśmy w Raju, panie Madderdin.

Pokiwałem głową, gdyż do pewnego stopnia miał rację. Poza tym łagodność, cierpliwość oraz chęć zrozumienia grzesznika często przynosiły o wiele bogatsze plony niż pozbawiona finezji brutalność. Niemniej istniały przestępstwa, których płazem nie wolno puścić. Bo jakżeż można byłoby mówić o zaufaniu do Świętego Officjum, gdyby na świecie roilo się od bezkarnych przebierańców?

– Ale przejdźmy do rzeczy, inkwizytorze – rzekł i spoważniał. – Ośmieliłem się prosić Jego Ekscelencję, by was przysłał, i abyście podzielili się ze mną swym bezcennym, jak mniemam, doświadczeniem. Bo jesteście człowiekiem doświadczone, nieprawdaż? – Spojrzał na mnie.

– Na pewno doświadczanym – zażartowałem. – Ale jeśli pytacie o mój staż w Inkwizytorium, przyznam, iż mam zaszczyt już wiele lat służyć Panu na tej ugornej niwie.

– Niemniej jakieś plony zebraliście? – Cały czas przyglądał mi się uważnie.

– Z łaską Pańską – odparłem.

– No dobrze – westchnął. – Nie liczę wszak, że przedstawicie mi świadectwo dokonań oraz kwalifikacji. Już samo to, że Gersard wysłał właśnie was, świadczy za wami. A sprawa jest, miejcie to na uwadze, wielce delikatna.

Większość problemów, które musi rozwiązywać Święte Officjum jest wielce delikatnych, więc nie zdziwiły mnie jego słowa.

– Zanim zaczniemy, księże proboszczu, pozwólcie zadać jedno pytanie. Dlaczego w waszych kłopotach nie mogą wam pomóc lokalni inkwizytorzy?

– Nie mamy w Kassel biura Officjum – rzekł po chwili zdziwiony. – Nie wiedzieliście?

Ha, mili moi! Przyznam szczerze, że nawet do głowy mi nie przyszło, by to sprawdzić, gdyż byłem pewien, że tak duże i bogate miasto, przyciągające tłumy podróżnych, musi mieć swój oddział Inkwizytorium. Jak widać od reguły istniały jednak godne pożałowania wyjątki.

– To pod czyją jurysdykcją jest Kassel? – spytał em.

– Chyba pod waszą, znaczy pod samym Hezem – odparł niepewnie.

Sytuacja była co najmniej dziwaczna, lecz nie pozbawiona zalet. Brak oddziału Świętego Officjum oznaczał, że wasz uniżony sługa nie wejdzie w drogę żadnemu ze swych kolegów, a lokalni inkwizytorzy zwykle nie byli zachwyceni, kiedy na ich terenie pojawiały się inspekcje z Hez-hezronu.

– Cóż, wracajmy do sprawy.

– Tak, tak. – Pokiwałem głową, a jego czerwona łysina zalsniła w słońcu, przezierającym przez szeroko rozwarłe okiennice. – Wracajmy. Otóż mam powody, by przypuszczać, choć może raczej przypuszczać, to za dużo powiedziane. Lepiej użyć słowa podejrzewać, chociaż...

– Patrzył teraz na własne dłonie oparte na blacie stołu, a ja mu nie przerywałem.

Ludzie mają zwykle kłopot w wypowiedaniu swych myśli, jeśli obawiają się, że obok nich mogą się dziać niepokojące rzeczy, wiele mające wspólnego z szatańskimi sprawkami.

– No, w każdym razie sędzę, że mamy tu sabat, inkwizytorze – zdecydował się i podniósł na mnie wzrok.

Nie wiem, czego po mnie oczekiwał. Śmiechu? Okrzyku pełnego grozy? Zaintonowania modlitwy?

– Jakiego rodzaju sabat? – zapytałem.

– Errr... – zająknął się. – To znaczy?

– Czy podejrzewacie, że wasi parafianie odprawiają w jakimś ustronnym miejscu czarne msze, chwałą Szatana i oddają się zwyrodniałym sodomicznym igraszkom?

– Nie, nie, nie! – Zatrzepotał dłońmi. – Myślę o czarownikach, panie Madderdin. O tym, że być może kilku ludzi odprawia tajemne rytuały, przyzywa złe siły, aby szkodzi ć swym współpracom.

– Nazywamy to mrocznym kręgiem, księżu proboszczu – wyjaśniłem. – A sprawa jest zarazem groźniejsza i mniej groźna od zwykłego sabatu. Powiedzcie mi jednak, proszę, skąd ta myśl?

Zabębnił palcami po blacie, a ja spokojnie czekałem.

– Pewien parafianin ujawnił to w czasie spowiedzi, tuż przed ostatnim namaszczeniem – wyznał w końcu. – Ale mało zrozumiałem, gdyż miał gorączkę, a jedyne, co potrafił wyraźnie wyartykułować, to błaganie o rozgrzeszenie.

– Czy ksiądz proboszcz dysponuje czymś ponad majaczenia umierającego? – spytałem uprzejmie.

– Dał mi coś – rzekł, nie zwracając uwagi na złośliwość. – Pokażę wam.

Wstał ciężko i zbliżył się do sekretery. Zdjął z szyi klucz, otworzył zamek, po czym wyciągnął przedmiot zawinięty w szmatkę. Podał mi go ostrożnie, trzymając samymi końcami palców, tak jakby rzecz w środku mogła go ugryźć.

Ostrożnie rozwinąłem materiał i ujrzałem błyszczący, srebrny amulet z wrytym wizerunkiem istoty o kobiecej twarzy, lecz ciele węża. Potwór opasywał sporej wielkości opal. Odwróciłem amulet i przeczytałem inskrypcję z tyłu.

– Chwała Hagath Kusicielce – powiedziałem na głos, a Wasselrode przeżegnał się zamasyście.

– Co o tym sądzicie? – zapytał niecierpliwie.

– Kult Hagath – rzekłem w zamyśleniu i obróciłem jeszcze raz medalion w palcach. Emanował subtelnym, lecz zauważalnym ciepłem, co nie wróżyło niczego dobrego. – Myślałem, że spalono wszystkich dawno temu. A to niespodzianka...

– Cóż to za bestia? – Ksiądz nerwowo splótł dłonie i głośno strzelił palcami. – Tfu, nienawidzę węży!

– Demon – odparłem. – Potrafiący przybrać postać węża, urodziwej niewiasty lub

potwora z ciałem węża i głową kobiety. Pojawia się na wezwanie wyznawców i, przebywając w naszym uniwersum, musi być karmiony życiem żywych istot. Niekoniecznie ludzi, mogą to być zwierzęta, ale koniecznie płci męskiej. W zamian Hagath jest w stanie się odwdziaczyć, na przykład zabijając wskazaną osobę. Po jej ugryzieniu nie pozostaje żaden ślad ani fizyczny, ani duchowy, toteż niektórzy ze znawców tematu uważają ją za groźnego demona.

– A pan, inkwizytorze?

– Raczej nie – odparłem po chwili namysłu. – Hagath nie jest złośliwa ani żądna ludzkiego życia. Nie morduje dla przyjemności. Tak jak powiedziałem, jej apetyt może zostać całkowicie zaspokojony, kiedy dostarczy się jej żywe zwierzęta. I nawet ich nie dręczy. Po prostu wysysa z nich w jednej chwili całe życie, wszystkie siły vitalne. Niebezpieczeństwo tkwi w jednym, księżu proboszczu. W tym czego żądają od niej wyznawcy...

– Chce pan powiedzieć, że ludzie są gorsi od demona? – zapytał z niesmakiem.

– Chcę powiedzieć, że ludzie i demony mają różne potrzeby – wyjaśniłem. – Uчени demonologowie twierdzili, że Hagath jest nie tylko fizycznie podobna do węża. Lubi się dobrze najeść, a z tego co wiem, uwielbia wszelkie słodkości, cukrowane owoce, miody, ciężkie, korzenne wina... Lubi też długo spać, wygrzewać w pełnym słońcu. W kobiecej postaci ma również wielki apetyt na mężczyzn, ale nie słyszano o tym, by nie sprowokowana czyniła im krzywdę. Natomiast podobno niełatwo ją zaspokoić...

– Mówicie, jakbyście... jakbyście ją niemal lubili...

– Ja nie jestem od lubienia demonów, księżu proboszczu. – Roześmiałem się, gdyż sama taka myśl mnie ubawiła. – One po prostu istnieją, a są wśród nich bardzo groźne i mniej groźne. Moim skromnym zdaniem jedynym zagrożeniem, jakie sprawia Hagath, są żądania jej wyznawców. Nie mówię, rzecz jasna, że ona będzie miała jakiegokolwiek skrupuły, by zabić człowieka, gdyż z punktu widzenia żyjącego niemal wiecznie demona nasze życie nie jest wiele warte. Ale jeśli wyznawcy dobrze ją karmią, po prostu nie będzie odczuwać takiej chęci.

– Zdumiewające – rzekł po chwili i znowu splótł tak dłonie, że strzeliły mu stawy. – Co w takim razie zamierzacie uczynić?

– Pozwolicie, że zatrzymam ten amulet – zdecydowałem. – I pierwsze, co muszę wiedzieć, to od kogo go pozyskaliście.

– Wzbraniam się przed ujawnieniem wam tego faktu z uwagi na świętą tajemnicę spowiedzi – powiedział z namaszczeniem.

Cóż, widziałem już księży, którzy świętą tajemnicę spowiedzi sprzedawali za kielich dobrego wina, jak i takich, od których należało się opędać, kiedy wciąż opowiadali o grzechach swych parafian. Zwłaszcza tych co bardziej pikantnych grzechach, gdyż ten aspekt ludzkiego życia najbardziej zwykle pasjonował naszych świątobliwych duchownych.

– Dla Świętego Oficjum nie ma tajemnic – powiedziałem. – Przypominam wam o tym, jeśli nie znacie papieskiego edyktu w tej kwestii.

– Znam, oczywiście znam, ale wiecie, to jednak trudne...

Czekałem cierpliwie, gdyż wiedziałem, że prędzej czy później musi mi powiedzieć wszystko, co chcę wiedzieć. Tak już jest bowiem ułożony świat, że inkwizytor, chcąc nie chcąc, musi poznawać grzechy bliźnich. I dysponować niezwykłym hartem ducha, aby wyjść nieubrudzony po taplaniu się w gnojówce.

– Dostałem amulet od pewnego szlachcica – powiedział proboszcz z ociąganiem. – Nazywa się, a raczej nazywał się, bo zmarł, świeć Panie nad jego duszą, Jakob Halben. Miał tu, w Kassel, kamienicę, chociaż majątek Halbenów leży za miastem...

– Ktoś teraz mieszka w kamienicy? – spytałem.

– Cóрка? – zapytał samego siebie. – Tak, wydaje mi się, że córka. Vanessa Halben, o ile mnie pamięć nie myli.

– Dajcie kogoś, żeby mnie tam zaprowadził – poprosiłem.

– Oczywiście, oczywiście – mruknął. – Ale na miecz Pana, bądźcie ostrożni inkwizytorze, bo ci ludzie mogą przyspieszyć działania, wiedząc, że są śledzeni.

Uwielbiam, mili moi, jak ktoś uczy mnie inkwizytorskich powinności i dzieli się ze mną nad wyraz światłymi radami, tyczącymi tego, jak powinienem postępować. Jednak uśmiechnąłem się tylko.

– Nie obawiajcie się – powiedziałem – Jego Ekscelencja zalecił mi dyskrecję. Oczywiście, dopóty będzie to tylko możliwe – zastrzegłem.

– Tak. Dobrze. Tak. To dobrze – odrzekł, wyraźnie szybując już myślami gdzie indziej. – Ahaha – spojrzał na mnie. – Gdzie się zatrzymaliście? Bo całym sercem zapraszam do mnie. Znajdzie się wygodny pokój, a kucharka – wzniósł oczy do nieba – panie Madderdin, palce lizać!

– Ona czy jej posiłki? – zażartowałem.

– Ona? Nieee – uśmiechnął się również. – Sama nie wie, ile ma lat, ale moim zdaniem co najmniej sześćdziesiąt. Natomiast gotuje wyś-mie-ni-cie! – Każdą sylabę podkreślił, uderzając palcem we wnętrze dłoni.

– Skoro tak – odparłem – skorzystam z radością z zaproszenia.

Krewniaczkę proboszcza zobaczyłem, kiedy tylko zszedłem ze schodów. Stała obok mego wierzchowca i delikatnie gładziła go po pysku. Koń rozdał chrapy i spokojnie przyjmował pieszczoty, zresztą na ogół nie buntował się przeciwko towarzystwu ludzi, choć od głaskania wołał karmienie słodkimi jabłkami.

– Piękne zwierzę – powiedziała, kiedy podszedłem i obróciła na mnie wzrok. Jej dłoń zastygła na pysku konia. – Pomożecie dziadkowi, prawda?

– Uczynię, co tylko będę mógł – obiecałem, zastanawiając się, jak dużo ona wie.

– Domyślam się, kim jesteście – powiedziała. – Wysłał was biskup, czy nie tak?

– Im mniej będziecie o tym mówić i myśleć, tym lepiej – odparłem i ruchem brody wskazałem zbliżającego się służącego.

– Tak. Oczywiście – zgodziła się szybko.

– Ksiądz proboszcz kazał się zająć waszym koniem, panie – oznajmił służący, a ja skinąłem głową i podałem mu wodze.

– Zechcecie mnie odprowadzić do domu? – zapytała.

– Z przyjemnością – odparłem. – A skoro tak, pozwólcie, pani, że się przedstawię. Jestem Mordimer Madderdin i, jak słusznie się domyśliliście, służę Jego Ekscelencji biskupowi.

Po niemal niezauważalnej chwili wahania wyciągnęła dłoń w moją stronę. Miała silne, chłodne palce.

– Katrina Wasselrode – powiedziała. – Kiedy patrzę na was... Myślałam, że inkwizytor będzie wyglądał inaczej... – Słowo „inkwizytor” wypowiedziała tak cicho, jakby jego głośniejsze wymówienie mogło być iskrą rzuconą na stos.

– A jak? – zapytałem, uśmiechając się.

– Nie wiem. – Wzruszyła ramionami. – Nie powinniście przypadkiem mieć czarnego płaszcza ze złamanym krzyżem?

– Owszem – odrzekłem. – Gdybym wszystkich w Kassel chciał powiadomić, że właśnie przyjechałem.

– No tak. – Znowu nerwowo ruszyła ramionami. – Głupia jestem. Ale myślałam, że będziecie starzy, siwi, będziecie cedzić słowa przez zęby i patrzeć na wszystkich podejrzliwie spod łba.

Miała świętą rację. Była głupia. Albo miała pecha spotkać niewłaściwych ludzi lub przeczytać niewłaściwe książki.

Wolnym krokiem przeszliśmy do furty, gdzie mnich z kosturem w ręku znowu zagradzał komuś drogę na kościelne tereny. Ale kiedy nas zobaczył, poderwał się.

– Niech panienkę Bóg błogosławi – zawrzęsnał, już nie sepleniąc, gdyż zdążył pożyć to, co miał w misce. – I wielmożnego pana też!

Rzuciłem mu znowu monetę, bo bawił mnie sposób, w jaki zgrabnie łapie pieniędzy tą trójpalczystą dłonią. Jeszcze na ulicy ścigały nas jego wyszukane i wykrzykiwane z emfazą błogosławieństwa.

– Zaczny człowiek – powiedziała.

O, tak – pomyślałem, patrząc na jej dłoń. – Tyle, że w ciemnym zaułku nie miałby najmniejszych skrupułów, by zamienić twoje życie na jeden z tych pierścionków.

* * *

Szedł powoli, przygarbiony, i wystukiwał sobie drogę kosturem. Przyczaiłem się w zaułku ukrytym przed księżycowym blaskiem i spokojnie czekałem, aż podejdzie bliżej. Kiedy mnie zobaczył, cofnął się przerażony, ale postąpiłem krok do przodu i złapałem go za ramię.

– Jestem tylko żebrakiem – zaszeptał gorączkowo. – Nic nie mam, nic nie mam...

Darujcie...

– Milcz – rzekłem. – Nie poznajesz mnie?

Zbliżyłem się tak, by w świetle księżyca mógł się przyjrzeć mojej twarzy. Niestety przy okazji uderzył mnie zgniły, słodkawy odór bijący z jego wybrudzonych łachów. Dlaczego ludzie tak rzadko się kąpią?

– Ach, dostojny pan... – odetchnął, wyraźnie uspokojony.

– Patrz. – Zakręciłem w palcach złotą monetą, tak, że zaślnęła w księżycowym blasku. Widziałem, że mnichowi oczy niemal wyszły na wierzch, kiedy na nią patrzył. – Ty podzielisz się ze mną wiedzą, a ja z tobą majątkiem. Co ty na to?

– Jaśnie pan pyta – szepnął, nie mogąc oderwać wzroku do złota.

– Katrina Wasselrode.

– Zaczna, zaczna panienka, łaskawy panie! Zawsze gotowa, by obdarować biedaka dobrym słowem i...

Ścisnąłem go za ramię, aż jęknął. Schowałem monetę do kieszeni i wyciągnąłem sztylet.

– Oprócz złota mam też żelazo – powiedziałem. – Co wolisz?

Przełknął głośno ślinę.

– Złoto, złoto, dobry panie – zajęczał. – Co chcecie wiedzieć?

– Katrina Wasselrode – powtórzyłem.

– Co ja mam rzec? Jeśliście gotowi smalić cholewki, za przeproszeniem jaśnie pana, to za późno, bo panienka już znalazła...

– Kogo?

– A taki młody, bogaty panicz z dobrego rodu...

– Kogo? – Znowu ścisnąłem go tak, że jęknął.

– A dacie złoto, panie? Dacie? Na pewno?

Pokiwałem głową i uśmiechnąłem się do niego.

– Synowiec samego księcia Hauberg – zaszeptał i odpowiedział mi bezzębnym uśmiechem. – Wielki ród, łaskawy panie, doprawdy wielki ród.

– Co na to ksiądz?

– Toż oni z księciem jakby przyjaciele! – Starzec niemal się zgorszył, że o tym nie wiem.

– Ksiądz jeździ do zamku dwa razy do roku, poluje z księciem panem, a księżę pan zapłacił za naszą dzwonnice, Panie błogosław mu długim życiem.

– A Halben? Jakob Halben? Słyszałeś o nim? Był przyjacielem księdza?

– Halben? – zamamrotał, a ja ścisnąłem go mocno za ramię.

– Nie kłam mi tylko! – warknąłem.

– A gdzie przyjaciele, panie! Kiedyś panienka z Halbenów i nasza panienka się razem prowadziły, ale potem się poróżniły. Ksiądz proboszcz czasem, jak mówił Halben, znaczy się nazwisko wypowiadał, to aż spluwał za ramię, znaczy, że podlec taki i niewdzięcznik, awanturnik...

– Dość! Czemu więc zawołał proboszcza do ostatniego namaszczenia?

– Że co? – Wgapił się we mnie.

– Ostatnie namaszczenie – powiedziałem dobitnie. – Słyszałeś? Taki sakrament... Czemu Halben zawołał proboszcza? Czemu się właśnie jemu spowiadał?

Mnich parsknął urywanym śmiechem, a ja skrzywiłem się, bo odór bijący z jego gęby niemal mnie zabił.

– Kto jaśnie panu takich głupot nagadał? – parsknął, parsknął i nie mógł się wyparskać. – Halben prędzej by diabła zawołał, a nie naszego księdza!

Wypytywałem tego człowieka jeszcze długo o przyjaciół rodziny Wasselrode i o zwyczaje księdza oraz Katriny. Ale jak się miało później okazać, jedynie pierwsza część naszej pogawędki okazała się przynieść łaskawy plon. Tak to już jest w inkwizytorskim fachu, że z beznadziejnym uporem i cierpliwie musimy poszukiwać dojrzałych ziaren pośród plew, a tylko czasami nasza praca zostaje uwieńczona sukcesem.

– No dobrze – powiedziałem w końcu. – Masz na zdrowie!

Rzuciłem mu monetę, a on znowu bezbłędnie ją złapał i rozplynał się w uniżonych podziękowaniach.

– Pamiętaj tylko: ani słowa. Nikomu.

– Bogać tam, jaśnie panie! – Huknął się pięścią w pierś, aż zadudniło.

Miał kłamstwo zapisane w głosie, wymalowane w oczach i na twarzy. Byłem więcej niż pewien, że następnego dnia, z samego rana, wyjawি wszystko księdzu proboszczowi. W końcu nadzwyczaj łatwo sprzedał swego dobroczyńcę obcemu człowiekowi, nieprawdaż? Jakie więc będzie miał opory przed sprzedażem obcego człowieka dobroczyńcy?

Nie zauważył nawet, jak wyciągam sztylet, i nie sądzę, aby poczuł uderzenie. Ostrze miękko weszło pod żebrami (to bardzo ważne, by nie zahaczyć o kości, bo można wyszczerbić czubek) i przebiło serce. Osunął się na ziemię, a ja odciągnąłem ciało w najgłębszy cień. Nie wyciągałem złotej monety z kurczowo zaciśniętej dłoni mnicha, gdyż Mordimer Madderdin nie jest cmentarną hieną okradającą martwych biedaków. A poza tym obiecałem mu nagrodę i obietnicy tej nie zamierzałem łamać, chociaż oprócz Pana Boga Wszechmogącego nie było już nikogo, kto z wywiązania się z niej mógłby mnie rozliczyć.

* * *

Kamienica należąca do rodziny Halbenów była jednopiętrowa, zbudowana z żółto wypalanej cegły. Broniły do niej dostępu potężne, okute żelazem drzwi i kołatka z głową gargulca. Okiennice, zarówno na parterze, jak i na piętrze, zostały zawarte, a cały dom sprawiał wrażenie opustoszałego. Stałem w cieniu, po drugiej stronie ulicy, i długą chwilę przypatrywałem się domowi Halbenów. Nie działo się tam nic. Żadnej krzątającej się na zewnątrz służby, żadnych gości i interesantów stukających do drzwi. Jedynie handlarz drewnem przez pewien czas nakrzykiwał, zachwalając swój towar, ale zaraz potem

zaprzężony w muła wózek potoczył się dalej. Kilkanaście kroków ode mnie, na schodach kramu z cukrami i wetami siedział kupiec w przetłuszczonym kaftanie. Nadstawiał twarz do słońca. Podszedłem, bo nie dość, że był sąsiadem Halbenów, to z pewnego powodu zainteresowały mnie sprzedawane przez niego towary.

– Boże, pomagaj – przywitałem go uprzejmie, a on podniósł na mnie wzrok.

– Boże, daj zdrowie – odparł. – Mogę was poczęstować kubeczkim wina?

– Z przyjemnością – rzekłem, wdzięczny za jego gościnność.

Skinął ręką na posługacza, a ten zaraz pojawił się z tacą, na której niósł dwa metalowe pucharki oraz mały talerzyk z cukrowanymi owocami.

– Podoba wam się? – Ruchem brody pokazał dom Halbenów.

– Słyszałem, że wła ściciel umarł – odparłem. – A że szukam niewielkiego domu, tu w Kassel, i okolica wygląda na spokojną, to pomyślałem, że kto wie...

– Panienska Vanessa teraz tu rządzi – rzekł tonem człowieka dobrze poinformowanego i lekko uderzył swoim pucharkiem w mój. – Za dobre sąsiedztwo, panie... – zawiesił głos.

– Mordimer Madderdin – odparłem.

– Bertrand Turtoff – przedstawił się. – Nazywany Cukiereczkiem – dodał ze śmiechem.

Nie przypominał, co prawda, cukiereczka, a raczej lekko nadtopiony polec słoniny, ale rozumiałem, iż przezwisko wzięło się z uwagi na towar, którym handlował.

– Nie wiecie, gdzie mogę ją znaleźć?

– Może jest u siebie, na wsi? A chociaż nie! – Klepnął się w czoło. – Gdzie ja mam głowę. Na wsi to ona nie może być, bo przecież ma ten proces. Ale nie kłopotcie się. Pojutrze przyjdzie od niej służący. Och, panie... – zawahał się przez chwilę – Madderdin, jak dobrze pamiętam?

Skinąłem głową na znak, że owszem, pamięta dobrze.

– No więc, panie Madderdin, takich klientów ze świecą w ręku szukać. – Złożył dłonie jak do modlitwy. – Musi jakieś przyjęcie robić, bo nazamawiała tyle wetów, że ho, ho. A obiecała, że zamówi jeszcze więcej!

Gdyby w stosunku do człowieka można było powiedzieć: „czujnie zastrzygł uszami”, to wasz uniżony sługa właśnie to zrobił. Czyż nie wszelkiego rodzaju słodkości były ulubionym daniem Hagath? Z tego, co wyczytałem w mądrych księgach, demonica potrafiła jeść wety dosłownie na okrągło, a że nie była człowiekiem, toteż nie musiała przejmować się bólami powodowanymi nadmiernym obżarstwem.

– I to jakie wymagania miała panienska – westchnął. – Cukrowane figi na ten przykład! Pan wie, panie Madderdin, jak ciężko dzisiaj o figi? A obtaczane marcepanem skórki mandarynki w miodzie? Wie pan, ile ja się naszukałem mandarynek?

Nie miałem pojęcia o problemach kupców owocami, ale pokiwałem mądrze głową. Człowiek uczy się przez całe życie.

– Kiedy ma przyjść służący po odbiór towaru? – spytałem.

– Jutro kole południa – odparł. – Przyjdźcie i sami go sobie wypytacie, co i jak z panienką. Ale szczerze wam powiem, że jak straciła zameczek, to chyba tylko już został jej ten dom, tutaj.

– Straciła?

– Ano procesuje się niby, ale kto tam kiedy wygrał z księciem?

– Księciem?

– Księciem Hauberg. – Przeżegnał się, a jego twarz spochmurniała. – Boże broń takiego sąsiada.

– Zły sąsiad gorszy od rozbójnika – mruknąłem.

– Tu akurat za jedno i to samo – sapnął i podniósł się z miejsca. – No, miło się z wami gawędziło, panie... – znów zawahał się przez moment – Madderdin, ale czas wracać do pracy. Wpadnijcie jutro, a znów wypijemy po szklaneczkę.

– Dziękuję za poczęstunek i informacje – odparłem uprzejmie.

Cóż, można powiedzieć, że plany na południe następnego dnia miałem już ustalone. I to niezależnie od tego, czy rzadkie wety zostały zamówione dla Hagath, czy też Vanessa Halben chciała po prostu wyprawić przyjęcie. Musiałem zorientować się, gdzie mieszka córka człowieka, o którym ksiądz twierdził, że był posiadaczem demonicznego amuletu. Ciekawe było też, iż osoba księcia Hauberg w niezwykle interesujący sposób łączyła wszystkie postacie, z którymi miałem do czynienia, lecz zastanawiałem się, czy będzie to w ogóle miało znaczenie dla istoty samej sprawy.

* * *

Nie chciałem pokazywać się po raz drugi uprzejmemu cukiernikowi, ale południowa pora była niestety porą natężonych zakupów. Dlatego też drzwi od sklepu tylko się otwierały i zamykały, a przecież służący Halbenów nie będzie miał wypisane na czole kim jest. Dlatego wasz uniżony sługa przeżywał pewne rozterki. Z jednej strony istniała obawa, że przeoczę służącego, z drugiej natomiast nie chciałem w żaden sposób zwracać na siebie uwagi. Miałem tylko nadzieję, że zamówienie będzie na tyle duże, bym rozpoznał, kto przychodzi od Halbenów. Poza tym liczyłem na pocziwy charakter Bertranda Turtoffa i nie zawiodłem się. Oto kilka minut po południu Cukiereczek wyszedł przed sklep i rozejrzał się uważnie po ulicy, przykładając dłoń do czoła, by nie oślepiało go słońce. Wyraźnie szukał mnie, ale potem wzruszył ramionami i powiedział kilka słów w stronę obładowanego pakunkami starszego mężczyzny. Machnął ręką i pojechali się. Miałem niezachwianą pewność, że oto trafiłem na właściwego człowieka. W miejskim, przedtargowym rozgardiaszu nawet nie musiałem się ukrywać, idąc za nim. Jedyne, na co musiałem uważać, to, by w tłumie nie stracić go z oczu, ani by nie rozdzieliła nas fala ludzi. Na szczęście starszy człowiek szedł wolnym krokiem, przystawał przed kramami, a raz nawet zatrzymał się, by wypić kubek wina. W końcu znalazł się przed dużym, otoczonym płotem domem, pchnął furtę i wszedł na

teren posesji. Ot, i ja byłem już w domu. Wiedziałem, gdzie mieszka Vanessa Halben i teraz pozostawało mi tylko upewnić się, że właśnie ona jest osobą wzywającą demonicę Hagath.

Mogłem skorzystać z mocy danej mi przez Pana i rozwiniętej dzięki długiemu szkoleniu. Być może byłbym w stanie wtedy wyśledzić obecność wężycy. Ale... no właśnie, było co najmniej jedno „ale”. Otóż wielkie miasta z reguły przepełnione są niezwykłą aurą. Kościoły, katedry, święte relikwie, błogosławione przedmioty – wszystkie one emanują blaskiem niwelującym mroczną moc. Jakżeż to zdumiewające, że nadmiar dobra może przeszkodzić w zbadaniu zła... Nie ukrywam też, że modlitewne skupienie kosztowało mnie zbyt dużo bólu i wysiłku, abym nie starał się go unikać, kiedy tylko do celu mogłem dojść prostszymi metodami.

Sięgnąłem w zanadrze i dotknąłem demonicznego amuletu. Był jeszcze cieplejszy niż wcześniej, a to oznaczało, że Hagath została zapewne już przyzwana. Nie lękałem się jednak, że jej wyznawcy zrealizują swoje cele zanim im przeszkodzę. Hagath była leniwa i kapryśna, a więc nieprędko uzyskają od niej to, czego pragną uzyskać. Chyba, że mieli w swym gronie potężnego czarnoksiężnika potrafiącego brutalną siłą okiełzać demony. Jednak, szczerze mówiąc, nie sądziłem, aby było to możliwe. Potężny czarnoksiężnik znalazłby zapewne lepszy sposób na dopełnienie zemsty niż korzystanie z usług Hagath.

Sądziłem, że znajdę dobry sposób, by przekonać się o słuszności mych podejrzeń i postanowiłem zaczekać, obserwując uważnie ten dom. W końcu zauważyłem, że posesję opuszcza młody, bogato ubrany człowiek z kordem u pasa. Poszedłem ostrożnie jego śladem i, korzystając z mroku oraz nieobecności przechodniów, wciągnąłem go w ciemną bramę. Tam też dokładnie go przesłuchałem i po wszystkim zostawiłem ciało w gęstych krzakach bzu, wiedząc, że nieprędko je ktokolwiek znajdzie, chyba że trupa rozwlóczą zdziczałe psy.

Wiedziałem już wszystko i w sztuce, której akcja miała miejsce w mieście Kassel, pozostał mi do odegrania ostatni akt.

* * *

Czyż trzeba opisywać, w jaki sposób dostałem się do tej siedziby ludzi bezbożnych i próbujących mrocznej sztuki? Czyż trzeba opisywać ciała strażników, które pozostawiłem za sobą? Nie sądzę, aby to było konieczne, gdyż spełniałem jedynie mą powinność. Mogę jednakże zapewnić, że zadanie starałem się wykonać z jak największą pieczołowitością i bez zbędnego zamieszania. Towarzyszyło mi kilku gwardzistów, poleconych przez proboszcza, ponoć zaufanych oraz wielkiego męstwa... Ha, nie trzeba było jednak wielkiego męstwa, by spętać przerażonych ludzi, którzy zamieniali się w słupy soli, kiedy tylko ujrzeli czerń inkwizytorskiego płaszcza i poraziło ich źrenice srebro połamanego krzyża. Wiedzieli, że wszystko już stracone, więc tylko dwóch z nich stawiało beznadziejny opór, a reszta dawała się wiązać niczym owce.

Ksiądz Wasselrode również pragnął wziąć udział w rozprawieniu się z mrocznym

kręgiem i trudno mi było go powstrzymać. Dlatego też przed drzwiami do komnaty, gdzie przebywała Hagath, znaleźliśmy się razem.

– Ostrzegam księdza. To może być niebezpieczne zadanie. Proszę zostać i poczekać na mnie.

– O, nie! – Wzniósł krucyfiks ponad głowę, jakby zamierzał komuś nim przyłożyć. – Nie myśli pan chyba, że zabraknie mnie, kiedy dojdzie do walki z demonem!?

Pokiwałem tylko głową, gdyż widziałem, że go nie zatrzymam. Cóż, Hagath nie należała może do najgroźniejszych i najbardziej drapieżnych demonów, niemniej na pewno była niebezpieczniejsza niż jakikolwiek człowiek. O czym często zapominano, widząc, jak uroczo wyglądała w kobiecej postaci. A w każdym razie tak właśnie o jej wyglądzie mówiły księgi (muszę też przyznać, że zamieszczone w nich ryciny oddawały jej obraz w nader pochlebnym świetle).

– Skoro taka jest wasza wola – zgodziłem się. – Pamiętajcie jednak, że was ostrzegałem.

Pchnąłem ciężkie, dwustronne drzwi i weszliśmy do komnaty. W nozdrza uderzył mnie zapach kadzideł oraz wonnych olejków. We wnętrzu panował półmrok, rozjaśniony tylko blaskiem kilkunastu lampek. Hagath, na szczęście w swej kobiecej postaci, leżała na wyłożonej kolorowymi poduchami otomanie. Miała wąską, zmysłową twarz i oczy pełne blasku. Jej rozplecione, smolistoczarne włosy okrywały falą niemal całe ciało. Leżała naga, a smagła skóra błyszczała w ciepłym, żółtym świetle oliwnych lampek. Kiedy nas zobaczyła, uniosła się na łokciu i zobaczyłem niewielką, jędrną pierś ze sterczącym, ciemnym sutkiem. Dostrzegła mój wzrok i wolno przeciągnęła po piersi długimi, krwistoczerwonymi paznokciami. Zauważyłem, że na końcach były zaostrome niczym groty włócznie. Westchnęła cicho i węzowym ruchem przejechała językiem po ustach. Czy mi się tylko wydawało, czy język był rozdwojony na końcu?

– Przeklęty demonie – wrzasnął proboszcz i postąpił krok naprzód z krzyżem w dłoni. – W imieniu Pana naszego Jezusa Chrystusa, wzywam cię: zgiń, przepadnij! Wracaj do otchłani, z której przybyłeś!

Hagath obróciła spojrzenie na księdza, ale jego słowa nie wydawały się robić na niej wrażenia. Postąpiłem dwa kroki i skłoniłem się. Dość nisko i z szacunkiem, ale nie na tyle, by ukłon uznać za upokarzający.

– Pani Hagath – powiedziałem. – Wybacz, że przerywamy twój odpoczynek.

Znowu spojrzała na mnie, a jej wzrok był niemal hipnotyzujący. Błyszczące, czarne oczy zdawały się wciągać umysł w niezmierzoną głębię najślodszych obietnic. Uśmiechnąłem się.

– To na mnie nie działa, pani – rzekłem uprzejmie. – Jestem inkwizytorem.

– Wiem, kim jesteś, Mordimerze Madderdin – odparła. – Ale zawsze warto było spróbować.

Miała cichy, ciepły głos, a nawet najbardziej banalne słowa i zdania zdawały się być w jej ustach nieprzyswoitą obietnicą. Oto był ten głos, o którym zawsze marzą mężczyźni. Jeśli

powiedziałaaby „chodź”, poszedłbym za nią w ogień.

– Chodź – szepnęła.

– To była tylko metafora – odchrząknąłem. – Lecz pokornie pozwolę sobie wyznać, że doceniam zarówno twój głos, jak i twój kunszt.

Wasselrode stał obok i zdumiony przenosił wzrok to na mnie, to na Hagath. Opuścił już krzyż i teraz sprawiał wrażenie, jakby nie bardzo wiedział, co zrobić z tymi dwoma połączonymi kawałkami drewna. Wziąłem krucyfiks z jego dłoni i wtedy znowu stał się Krzyżem. Poczułem moc spływającą do palców. Zauważyłem, że Hagath zerknęła zaniepokojona w moją stronę.

– Trzeba wierzyć, że to działa, księżo – wyjaśniłem spokojnie. – Krzyż to tylko dwie złęczone deseczki. Jedynie nasza wiara nadaje mu moc oraz świętość. Prawda, pani Hagath?

Skinęła powoli głowę, cały czas niespokojnie wpatrzona w moją dłoń ściskającą krucyfiks. Odwróciłem się i położyłem go na blacie stołu, obok oliwnych lampek. Cokolwiek myślał Wasselrode, nie przybyłem tutaj, by walczyć z Hagath, gdyż walka z demonami jest zwykle tak samo rozsądna, jak zawracanie rzeki kijem. Albo jak zapalanie pochodni w magazynie z prochem. To nie znaczy, że czasem nie trzeba tego zrobić. Ale jedynie w ostateczności.

– Czy mógłbyś mi podać owoce? – zapytała.

Taca z figami, śliwkami i brzoskwiniami w cukrze leżała na wyciągnięcie ręki od niej, ale posłusznie zbliżyłem się i podałem, o co prosiła. Zbliżając się, poczułem zapach jej ciała. Ostry, niepokojący. Pomyślałem sobie, co by było, gdybym polizał tę jedwabiscie miękką, smagłą skórę.

– Zrób to – spojrzała na mnie, przygryzając usta.

Odczekałem chwilę, a kiedy nie sięgnęła po żaden z owoców, odstawiłem tacę z powrotem i cofnąłem się o dwa kroki. Obrona przed rzucanym przez nią urokiem nie sprawiała mi specjalnego kłopotu, ale nie zamierzałem bez potrzeby nadmiernie ryzykować. Zwłaszcza, że jej bliskość nie tylko oszałamiała, ale wręcz sprawiała ból. Hagath była odpowiedzią na pytanie „co by było, gdyby”, była spełnieniem męskich snów i marzeń...

– Przybyłeś, by mnie wypędzić? – zapytała słodko i spojrzała na mnie spod długich, smoliście czarnych rzęs.

– Nie, pani – odparłem uprzejmie. – Nie używałbym słowa „wypędzenie”.

– Na miecz Pana, rozmawiasz z demonem, inkwizytorze! – zakrzyknął proboszcz, który ocknął się już z pełnego zdumienia stuporu. – Wypędź ją! Spal!

Obróciła na niego spojrzenie. Trochę smutne, a trochę rozbawione.

– Chciałbyś mnie spalić? – zapytała pieszczotliwie. – Jedyne ognie, w którym mogę płonąć, to ognie ztracającego się we wszystkim pożądania... – urwała nagle i roześmiała się. Tym razem nie jak demon-kusiciel, ale dźwięcznym, radosnym śmiechem rozbawionej dziewczynki.

– Och, Mordimer – powiedziała. – Na niego to nie działa. On lubi inne przyjemności. – Klasnęła w dłonie. – Wiele potrafię, ale nie umiem zamienić się w młodego chłopca o szczupłych pośladkach. – Odrzuciła głowę w tył i zaśmiewała się do rozpuku.

Spojrzałem na księdza, a ten twarz miał już tak samo czerwoną jak łysinę.

– Plugawy demon, kłamstwa, kłamstwa... zwodzi nas... – zabełkotał.

– No więc, czego chcesz, Mordimer? – spytała, kiedy przestała się już śmiać, ale w jej oczach wciąż płonęły wesołe ogniki. – Żebyś odeszła z tego miłego miejsca? Przynoszą mi tu codziennie króliki, kotki i pieski. Karmią owocami w cukrze, poją winem z miodem oraz korzeniami. Mogę przebierać wśród młodych, ślicznych samców, którzy błagają, by spędzić w moich objęciach chociaż chwilę. Dlaczego miałabym odchodzić?

– Bo już nie będzie królików, owoców, wina i mężczyzn, pani. Kazałem aresztować twoich wyznawców i ośmielałem się sądzić, że po przesłuchaniach zostaną spaleni.

– Jaka szkoda – powiedziała i w jej głosie chyba naprawdę usłyszałem żal. – A może ty byś się mną zaopiekował, Mordimer? Słyszałam, że niektórzy inkwizytorzy mają swych Aniołów, prawda? Nie chciałbyś mieć własnego demona? – Znowu się roześmiała.

– Obawiam się, że niezależnie od mojej woli, taka decyzja nie zostałaby należycie zrozumiana przez Święte Oficjum – odparłem uprzejmie, nie starając się jej wyjaśniać, że w powiedzeniu „mają swego Anioła” jest nawet nie nuta, lecz cała symfonia przesady. Bo jeśli ktokolwiek kogokolwiek miał, to mój Anioł mnie, a nie na odwrót.

– Przesady – mruknęła i przeciągnęła się rozkosznie.

Miała cudownie wytoczone ramiona i smukłą szyję. Jej nadgarstki były tak wąskie, że mógłbym oba zamknąć w swej dłoni.

– Nikt nie powiedział, że żyjemy na najlepszym ze światów – rzekłem.

– Nie wierzycie w to, co mówiła, panie Madderdin, prawda? Nie wierzycie? – Wasselrode odzyskał już głos.

– Oczywiście, że nie, księżę proboszczu – odparłem. – Zresztą to przecież nie podlega jurysdykcji Świętego Oficjum.

– Aha – powiedział i wyraźnie się rozpogodził.

– Skoro jesteś na tyle uprzejmy, Mordimerze, że nie próbujesz mnie wypędzać, to wiesz, iż musimy zawrzeć pakt. Co masz mi do zaoferowania w zamian za to, że odejdę?

– Nie zadam ci bólu, pani – rzekłem łagodnym tonem. – Zważ, że wielu na moim miejscu zaczęłoby od egzorcyzmów...

– To działa w obie strony! – powiedziała ostro i uniosła się.

Siedziała teraz na otomanie z dłońmi skrzyżowanymi na piersiach. Ciemny sutek sterczał pomiędzy dwoma błyszczącymi opalami zatopionymi w jej pierścieniach.

– Wiem, pani. Dlatego pragnę, abyśmy rozstali się w zgodzie.

– Ja myślę – odparła, a tym razem jej uśmiech był nieco złośliwy.

Egzorcyzmy są ostatecznością. Inkwizytor czy egzorcysta niemal zawsze stara się

porozumieć z demonem, chyba że ma do czynienia ze szczególnie złośliwym i występny potworem, do którego przemawia tylko brutalna siła. Przyczyny takiego postępowania są dwie. Po pierwsze, nieudolne postępowanie może z w miarę łagodnego demona, w rodzaju Hagath, uczynić złaknioną zemsty bestię. Nie raz i nie dwa słyszeliśmy o takich przypadkach. Po drugie, wypędzony demon marzy tylko o jednym. O zemście na egzorcyście. Gdyż ból egzorcyzmów jest dla demona straszniejszy niż wszystko, co dla człowieka może przygotować w swej pracowni doświadczony kat. A zawsze istnieje prawdopodobieństwo, że demon powróci do naszego świata opętany tą jedną tylko myślą. Tymczasem ja nie miałem zamiaru zastanawiać się, czy za rok, dwa lub dziesięć piękna wężycy nie pojawi się, by zażądać mojego życia. Mo że nie było ono warte tych zachodów, ale nie ukrywam, iż się do niego nieco przyzwyczaiłem przez wszystkie minione lata.

– Musisz mi coś ofiarować, Mordimerze. Coś mniej ulotnego niż tylko obietnica powstrzymania się przed zadaniem mi cierpienia.

– Czy to mało?

– Ty nie zadasz mi bólu, ja nie będę się mścić. Oto nasz pierwszy pakt. Ale nadal nie chcesz zapłacić za moje odejście...

Zastanowiłem się nad jej słowami, gdyż tkwiło w nich ziarno prawdy.

– Jak brzmi twoja propozycja?

– Niewielki mam wybór, co? Ale... daj mi jego. – Długim, czerwonym, wyostrzonym paznokciem wskazała na księdza.

Wasselrode zapatrzył się na nią, nie mogąc wydobyć z siebie słowa. Z półotwartymi ustami wyglądał jak idiota.

– Nie jest może zbyt pociągający – westchnęła i obrzuciła go chłodnym, taksującym spojrzeniem. – Ale czyż to nie wyzwanie, Mordimerze? Ten człowiek nie znosi węży. Sprawię, że jego największym marzeniem stanie się odpoczynek w moich splotach. Ten mężczyzna brzydzi się kobietami. Doprowadzę go do tego, że pełen czci, miłości i pożądania będzie zlizywał ślady moich stóp... To metafora. – Uśmiechnęła się, widząc mój grymas. – Ten ksiądz nienawidzi demonów. Uczynię tak, że odda wszystko za odrobinę demonich igraszek. Czyż to nie piękne? – Klasnęła w dłonie.

Jej oczy błyszczały, jak oczy dziecka, któremu właśnie obiecano nową zabawkę i czeka z utęsknieniem oraz nadzieją, aby się przekonać, czy dobry wujek chowa ją za pazuchą.

– Miłej zabawy, pani Hagath – powiedziałem, gdyż za pazuchą miałem zabawkę.

– To znaczy: tak? Mordimer, jesteś słodki!

Ukloniłem się i uśmiechnąłem, widząc jej radość. Cena nie była zbyt wysoka, zważywszy na szkody, jakich mogła narobić rozgniewana Hagath, a poza tym ksiądz Wasselrode tak naprawdę nie będzie miał z nią źle. Wężycy znana była z tego, że zamiast krzywdzić, wołała rozpalać zmysły, a zamiast budzić strach, wołała budzić miłość, pożądanie oraz uwielbienie. Ośmielałem się sądzić, że być może była lepsza od niejednej kobiety.

– Oszalałeś, człowieku? Pakty z demonem? Poświęcanie ludzi? Jesteś zgubiony! Potępiony! – Wasselrode był cały czerwony na twarzy, wrzeszczał i wymachiwał rękoma.

– Ksiądz proboszcz pozwoli, że sam się zajmę kwestiami własnego zbawienia – powiedziałem.

Proboszcz odwrócił się na pięcie i runął w stronę wyjścia. A raczej chciał, gdyż Hagath wypowiedziała ostrym tonem zakłęcie i pstryknęła palcami. Zielona smuga, do złudzenia przypominająca węża, pomknęła w stronę księdza i trafiła go w kark. Znieruchomiał w pół ruchu, z dłońmi wyciągniętymi przed siebie i z jedną stopą uniesioną nad podłogę.

– Jesteście tacy pełni życia. Tyle w was pragnień, emocji, tęsknot... Ach, Mordimer, wierz mi, że żyjecie w pięknym świecie. Macie coś, co rozpala chłód, rozjaśnia mrok i wypełnia nicość. A tam... tam jest... pusto... – Wyrażnie posmutniała. – Szkoda, że nie mogę zostać. – Spojrzała na mnie, ale w tym spojrzeniu nie tliła się nawet isierka nadziei.

– Przykro mi. – Pokręciłem głową.

Znowu wypowiedziała zakłęcie i w stronę księdza tym razem pomknęła srebrna żmijka. Kiedy go ugodziła w policzek, uwolnił się z paraliżu i klapnął na ziemię.

– Ja nie chcę iść do piekła! – wrzasnął, rozglądając się wokół przerażonym wzrokiem, jakby oczekiwał, że zaraz z zakamarków komnaty wypełzną rogate demony i porwą go w otchłań.

– O czym on mówi, Mordimerze? – Hagath spojrzała na mnie.

– Wyobraża sobie, że wszystkie demony żyją w piekle i pławią się w ogniu bijącym z czeluści ziemi – wyjaśniłem.

– Fe – rzekła trochę rozbawiona, a trochę zdegowana. – Przecież to by bolało.

– Siedź – rozkazała ostrzejszym tonem, widząc, że Wasselrode usiłuje wstać.

– Paktować z tobą było prawdziwą rozkoszą. – Wstała z otomany i zbliżyła się do mnie.

Piękna, wysmukła, otulona płaszczem gęstych, czarnych włosów.

– Cała przyjemność po mojej stronie, pani Hagath – odparłem.

Stała tuż obok i objęła mnie za szyję. Zbliżyła usta do moich, a ja widziałem teraz tylko jej niezwykle, błyszczące oczy, które wciągały niczym otchłań. I tak jak w otchłani, nie mogłem w nich dostrzec własnego odbicia.

– Pożegnalny pocałunek? – szepnęła z wargami niemal na moich wargach. Jej usta miały smak i zapach cukrzonych fig.

– Z całym szacunkiem: nie – odparłem.

– Będzie bez rzucania uroków, hmmm? Słowo demona!

Roześmiałem się i pocałowałem ją prosto w rozchylone usta. Krótco i mocno. Zaráż potem odsunąłem się, zdjąłem jej ręce ze swoich ramion i ująłem szczupłe, wąskie palce.

– Szczęśliwej podróży, pani – powiedziałem.

Przez długą chwilę patrzyła na mnie z uśmiechem a potem pogłaskała mnie po policzku. Widziałem, że robi to na tyle delikatnie, by nie poranić mi skóry ostrymi jak brzytwa

paznokciami.

– Jeśli wrócę za twojego życia, odwiedzę cię. I opowiem, jak mi z nim poszło. – Ruchem podbródka wskazała proboszcza.

Wasselrode wyglądał nie jak kupka, a jak cała góra nieszczęścia. Nadal nie mógł chyba uwierzyć, że to, co się dzieje, dzieje się naprawdę. Cóż, ostrzegałem go, by nie szedł ze mną, ale podjął decyzję, a za wszystkie decyzje należy wszak płacić. Zastanawiałem się tylko, co opowiem Jego Ekscelencji, i uznałem, że opowieść o bohaterskiej śmierci proboszcza w walce z demonem zabrzmi najlepiej.

– Będę czekał z niecierpliwością, pani Hagath – odparłem, ucałowałem jej dłoń i wyszedłem, starannie zamykając za sobą drzwi.

Epilog

Kiedy opuściłem komnatę Hagath, strażnicy wyprowadzali właśnie Vanesę. Zobaczyła mnie.

– I co? – zawołała szyderczo. – Jesteście zadowoleni?

Zbliżyłem się i zobaczyłem, że ma porwaną suknię oraz potężnego, ciemniejącego niemal w oczach siniaka na policzku.

– Jak zawsze, kiedy Pan daje mi łaskę pokonania zła – odparłem tonem przyjaznej pogawędki.

– Zła? – Szarpnęła się w ramionach strażników. – Nazywacie to złem?

– Tak, moje dziecko. – Obróciłem się w jej stronę. – Nazywam złem korzystanie z heretyckich ksiąg, nazywam złem odprawianie bluźnierczych rytuałów, nazywam złem wzywanie demonów. Czy się mylę?

Patrzyła na mnie wściekła, ale o dziwo, nie przerażona. Chyba nie zdawała sobie jeszcze sprawy, jak wysoką cenę przyjdzie jej zapłacić za wezwanie Hagath. Ale zrozumie, wiercie mi. Zrozumie wszystko i będzie żałować najszczerzej jak tylko można. A ja wysłucham jej pokornej i żarliwej spowiedzi. Będę jej bronił, będę ją sądził, a potem pozwolę, aby spłonęła w oczyszczającym i świętym ogniu, błogosławiąc tych, którzy ofiarowali jej łaskę pojednania z Panem.

– Została wezwana, by zabić prawdziwego potwora! – wrzasnęła, i w tym wrzasku jej urodziwa twarz ściągnęła się w koszmarną maskę. – A wy wszystko żeście zepsuli... Wszystko!

– Prawdziwego potwora? – zapytałem i dałem znak strażnikom, by na razie jej nie

odprowadzali.

– O, tak – powiedziała. – Człowieka, który ma na sumieniu krew setek niewinnych. Człowieka bez godności, honoru i sumienia...

– O kim mówisz?

– Jakbyś nie wiedział, kto jest potworem! – Chciała splunąć, ale miała tak wyschnięte usta, że tylko parsknęła. – Księżę Hauberg, a któżby inny.

Po rozmowie z mnichem oraz zacnym Cukiereczkiem, mogłem się domyślać podobnego rozwiązania, ale cieszyłem się, iż moje domysły okazały się prawdziwe.

– Czym zasłużył na to niepochlebne miano? – zapytałem.

– Bo nie siada do kolacji zanim nie zakatuje człowieka? Bo jego lochy pełne są skazańców? Bo bezkarnie gwałci, porywa, zabija i grabi? Bo sprowadza biegłych katów, aby próbowali nowych instrumentów na niewinnych? Bo...

– Zamilcz, dziecko – powiedziałem. – Będziemy jeszcze mieli czas, by porozmawiać, lecz teraz mogę powiedzieć jedno: to nie jest sprawa Świętego Officjum. Niech zajmą się nim cesarskie sądy, skoro jest tak zły, jak mówisz. Ale cóż może on obchodzić inkwizytora Jego Ekscelencji?

Patrzyła na mnie w milczeniu i z jakimś absolutnym niezrozumieniem w oczach.

– Czy odprawia czarne msze? – ciągnąłem. – Czy wzywa demony lub Szatana? Czy bluźni Bogu naszemu Wszechmogącemu? Czy profanuje święte relikwie?

Przyglądałem jej się, a ona nie odpowiadała.

– Dlaczego więc ty, która zrezygnowałaś z Bożej łaski i skazałaś się na wieczne potępienie, śmiesz się uważać za kogoś lepszego niż on? Kto dał ci prawo sądenia oraz wymierzania wyroku?

– Zostaliście wciągnięci w pułapkę, inkwizytorze – powiedziała z nietajoną satysfakcją w głosie. – Poprowadzeni niczym ślepy dzieciak. Wasselrode wiedział, że ktoś szykuje się, by zabić jego przyjaciela księcia. Wiedział, że wrogowie Hauberga wezwą demona. I wykorzystał was, abyście dzięki swemu kunsztowi uratowali zbrodniarza, a zabili tych, którzy pragnęli jedynie sprawiedliwości i wyrównania krzywd.

Przyglądałem się jej dłuższą chwilę. Skoro amulet z Hagath nie został wręczony proboszczowi w czasie spowiedzi, więc musiał zostać pozyskany w inny sposób. Być może piękna Katrina wykradła go dawnej przyjaciółce? Niemniej, nie dostrzegałem ani w niej, ani w księdzu wielkiej winy. Zapewne prawdziwy, pobożny chrześcijanin powinien wyznać całą prawdę, nie narażając inkwizytora na kłopoty śledztwa. Lecz rozumiałem również, że proboszcz i jego krewniaczka chcieli ukryć przed moimi oczami osobiste zainteresowanie zwycięstwem księcia i pokonaniem Vanessy. Ważne było jedno: rzecz zakończyła się triumfem dobra, a droga prowadząca do tego triumfu nie była szczególnie istotna.

– Być może było, jak mówisz – odparłem. – Ale cóż to może mieć w tej chwili za znaczenie?

Milczała, więc odwróciłem się i skinąłem na strażników, aby ją zabrali.

– Zło można zwalczać tylko złem! – krzyknęła jeszcze za moimi plecami.

Słyszałem, jak szarpie się w ramionach strażników i przeklina. Być może miała rację, że czasami wielkie zło należy zwalczać jeszcze większym złem. Tyle że, by podjąć się takiego zadania, trzeba mieć wiele siły. A tej siły wyznawcy Hagath nie mieli.

– Jesteś potworem – dobiegł mnie jej wrzask. – Ty, a nie Hagath!

Roześmiałem się do własnych myśli. W wypowiedzianym przez nią zdaniu tkwiła wewnętrzna sprzeczność, z której sama nie zdawała sobie sprawy. Bo jeśli ja byłem potworem, to kim musiałby być Ten, któremu z całą mocą służyć?

Śmierć mu więcej panować nie będzie.

św. Paweł, List do Rzymian

Wąż i gołębicą

– Chcecie teraz jechać, dostojny panie? – Karczmarz przykuśtykał do naszego stołu i widziałem, że starał się nie patrzeć na twarz Kostucha oświetloną blaskiem idącym od strony paleniska.

Fakt, w różowawym poblasku Kostuch prezentował się gorzej niż zwykle, a pofałdowana, szeroka szrama, zniekształcająca jego twarz, zdawała się rytmicznie pulsować. Wyglądało to, jakby ukryte pod skórą grube robaki kotłowały się, by za wszelką cenę wyjść na zewnątrz.

– A co ci do tego? – warknął Pierwszy, który dzisiaj był w podłym nastroju.

– Tak tylko... – Oberżysta zaczął się wycofywać, ale powstrzymałem go gestem.

– Dlaczego pytaacie, dobry człowieku? Rachunek został zapłacony, nieprawdaż?

– O, szczodrobliwie, dostojny panie! – Obnażył w uśmiechu gołe, sine dziąsła z resztkami zębów – więcej niż szczodrobliwie, że tak śmiem...

– No więc?

Znowu zbliżył się i do moich nozdrzy doleciał odór zgnilizny bijący z jego ust. Och, biedny Mordimerze – pomyślałem – czy tylko ty jeden zwracasz uwagę na problemy higieny? Czy tylko tobie przeszkadzają nigdy nie myte ciała, nigdy nie prana odzież i przegniłe zęby? Westchnąłem w myślach. Mimo wielu tygodni spędzonych na wspólnych podróżach z Kostuchem nigdy nie przyzwyczaiłem się również do jego smrodu. Taki to krzyż dźwigałem pośród wielu innych krzyży.

– Tu nikt nie jeździ nocami, dostojny panie – obniżył głos. – Po zmroku wszyscy siedzą w chałupach, w karczmach.

– I, prawda, gorzałę piją, napychając kabzy oberżystom – warknął Pierwszy.

– Bliźniaaaak – uspokoiłem go. – Daj powiedzieć człowiekowi. Widzisz, że to zacny gospodarz. Nie puści podróżnych w głuchą noc, ale chce ich przestrzec przed niebezpieczeństwami drogi. Tak, moi mili, rzadko już na świecie spotyka się ludzi bezinteresownie miłujących bliźniego...

Kostuch zagapił się i powtórzył cicho moje słowa. Zająknął się przy słowie „bezinteresownie”. Bliźniacy tylko głupio się uśmiechali.

– Pięknie mówicie, dostojny panie. – Pokręcił głową karczmarz. – Wy kleryk jakiś, a może i ksiądz, co?

Bliźniacy parsknęli śmiechem.

– Ksiądz nie ksiądz, a kropidło, prawda, ma – chrypnął Pierwszy.

– Gdzie tam – odpowiedziałem, nie zwracając uwagi na jego słowa. – Zajmujemy się tym i owym, lecz do księży nam daleko. Ale mówcie, jeśli łaska, co to za niebezpieczeństwa czyhają w okolicy na podróżnych? Rabusie? Pobuntowane chłopstwo? Okoliczny dziedzic uzupełnia niedostatki w skrzyni albo lochach?

– Ach, gdzie tam! – Machnął zamaszycie ręką, a ja skrzywiłem się, bo smród spod jego pachy niemal poraził mi nozdrza. – Dużo gorzej, panowie, dużo gorzej...

– Usiądźcie z nami – zaprosiłem, wskazując miejsce na ławie obok Drugiego, bo wolałem, żeby wraz ze swym smrodem trzymał się jak najdalej ode mnie. – Jeszcze możemy wypić po kufelku.

Bliźniacy i Kostuch rozpromienili się na wieść, że czeka ich jeszcze kufel piwa. Zawsze to przecież lepiej siedzieć niedaleko kominka i popijać piwko, niż włączyć się w dżdżystą noc po ostępach. W tej karczmie, co prawda, piwo było cienkie jak końskie szczyny, chleb czerstwy, mięso łykowate, a dym rozchodził się po całej izbie i gryzł w oczy, ale cóż: lepsze to niż nic.

Zadowolony karczmarz rozsiadł się na ławie z uśmiechem i przywołał posługacza – drobnego, jasnowłosego chłopca w połatany, niemożliwie usmolonym i usmarowanym kaftanie.

– Daj no garniec najlepszego – zawołał.

Ciekaw byłem, czy najlepsze będzie się różnić od tego, które mieliśmy przyjemność, a raczej nieprzyjemność, pić przed chwilą i miałem nadzieję, że tak.

– Zanim zacznę co i jak – powiedział karczmarz – trzeba dostojni panowie, abyście się rozeznali w okolicy. Bo widzicie, mamy tu trzy wsie. – Uniósł dłoń i zaczął odliczać na palcach. – Borowinę, Jańczy Przesmyk i Staruchowo. Każda jedna idzie w kilkanaście dymów, a Staruchowo to niby nawet zbrojna osada. Bo otoczona palisadą i ze sto ludziów w niej mieszka...

– Do rzeczy – warknął Pierwszy.

– Kiedymże przy rzeczy – nie stropił się nawet. – Wszystkie te wsie należały do pana dziedzica Stanneberga, co mieszka, mieszkał znaczy się, w zamczku Stanneberg, bo widzicie, jego nazwa idzie od rodu, chociaż inni gadają, że to ród idzie od nazwy zamczku...

Kostuch pochylił się nad stołem, a karczmarz zająknął się, zamlaskał coś bezdźwięcznie i w końcu umilkł, spoglądając na mnie bezradnie. Uśmiechnąłem się i dałem znak Kostuchowi, żeby się cofnął. W końcu karczmarz był gadatliwy i miał jak najlepsze chęci, więc co szkodziło posłuchać jego bzdur. Zwłaszcza, że – wiercie mi lub nie – najwięcej o świecie człowiek dowiaduje się właśnie od karczmarzy, przejezdnych kupców, bardów albo zgoła

żebraków. A w mojej pracy ciekawa informacja oznacza czasem więcej niż złoto, a często w złoto się zamienia. Zwłaszcza kiedy umie się oddzielić ziarno od plew.

Tymczasem do stołu przydreptał posługujący chłopak z garncem piwa w rękach. Kostuch cofnął się na swoje miejsce i z zadowoloną miną obserwował, jak jego kufel wypełnia się trunkiem.

– Wracajcie do opowieści – poddałem karczmarzowi. – Powiedzieliście: mieszkał, prawda? To znaczy pan Stanneberg nie mieszka już w zamku?

– Zamek poszedł za długi – wyjaśnił gospodarz. – Razem ze wszystkim dookoła. Bo to, wiecie panie, i wsie tu są piękne, chociaż na wolniznach. I stawy zarybione, i las taki, że...

Kostuch chrząknął. Nie wiedziałem, czy piwo źle mu poszło, czy chrząknięcie miał o ponaglić karczmarza, ale ten wziął to do siebie, bo zaraz spojrzał spłoszony.

– Już, już, już – powiedział uspokajającym tonem. – Ma być do rzeczy, będzie do rzeczy. Rok minie, jak dziedzic Stanneberg obwiesił się na wrotach własnej stajni, a majątek przejęli panowie Haustoffer. Ojciec i syn. Zjechali ze służbą, ze zbrojnymi pachołkami, ale... – splunął w kąt izby – do karczmy nawet nie zajdą. Siedzą tam u siebie i ni nosa nie wyściubią. Czasem tylko pachołkowie przejadą się po wsiach. Sołtysa w Borowinie powiesili, bo nie dość szybko strzemię im podawał... A to wolny człowiek był... – Znowu chciał splunąć w ten sam kąt, ale tym razem tylko opluł sobie kaftan. Roztarł flegmę palcami. – A od jakiegoś czasu ludzie giną po nocach. Wyjdzie taki z domu po zmierzchu i już nie wróci. W Staruchowie nawet warty zaczęli trzymać w osadzie.

– No, no – powiedziałem. – Może chłopci uciekają?

– A gdzie by tam – machnął ręką. – Już będzie ze dwie dziesiątki tych zginionych.

– I mówicie: zawsze tylko po zmierzchu? – mruknął niewyraźnie Kostuch, bo właśnie grzebał sobie paznokciem między zębami.

– Ano po zmierzchu. Mówią, że panowie Haustoffer to...

Już od dłuższego czasu widziałem kątem oka, że przygląda nam się barczysty, siwawy mężczyzna stojący kilka kroków za plecami karczmarza. Nie reagowałem, bo nie mieliśmy przecież żadnych tajemnic, a ja jestem człowiekiem spokojnym i pokornego serca. Skoro chciał słuchać, niech słucha. Był ubrany niemalże dostatnio, a u pasa wisiała mu zdobiona drogimi kamieniami i szamerowana złotem pochwa na krzywą szablę. Sama głównia broni też wyglądała zacnie.

– Wampiry – warknął nagle, kończąc zdanie zaczęte przez karczmarza.

Oberżysta poderwał się, jakby ktoś wraził mu ostrze w pośladki i obejrzał się przerażony. Kiedy zobaczył, kogo ma przed sobą, zerwał się z ławy i odskoczył na bok.

– To ja jeszcze doniosę piwa! – zawołał, znikając za kontuarem.

Kostuch roześmiał się głośno. Jego śmiech był niemal tak piękny, jak twarz, ale barczysty mężczyzna tylko spojrzał na niego z zaciekawieniem. A rzadko kto patrzy na Kostucha bez strachu lub obrzydzenia.

– Pozwólcie panowie, że się przedstawię – rzekł basowym głosem. – Jestem Joachim Knotte, zarządca majątków jego wielmożności barona Haustoffera – skłonił się lekko.

Podniosłem się z ławy i oddałem mu ukłon.

– Siadajcie, proszę – powiedziałem, wskazując miejsce. – Może wychylicie z nami kufel lub dwa?

Moja intuicja podpowiadała mi, że być może bzdurne pogawędki z karczmarzem zmieniają się w coś znacznie bardziej interesującego. W końcu zarządca majątków zagadnął nas chyba nie tylko ze szczerzej chęci poznania podróżnych, którzy zatrzymali się w obskurnej gospodzie?

– Nie usłyszałem waszego imienia – rzekł surowym tonem, bystro mi się przypatrując spod siwych brwi.

– Bo też go nie podałem – uśmiechnąłem się rozbrajająco. – Nie każdy ochoczo siada w mojej kompanii, kiedy je usłyszysz – dodałem.

– Pozwólcie, że zaryzykuję...

– Jestem Mordimer Madderdin, licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu – powiedziałem, ale niezbyt głośno, by nie słyszał mnie nikt niepowołany.

Nie wstydziłem się mej profesji, ale wyznawałem zasadę mówiącą, że zwykle najlepiej pozostawać w cieniu. Jestem człowiekiem cichym i spokojnym, nie szukającym rozgłosu. Staram się jedynie służyć Panu, tak jak tę służbę pojmuję moim wątłym umysłem, a ani poklask, ani poprzedzająca me kroki stugębna plotka nie są mi do niczego potrzebne.

– Ha – rzekł.

Odniosłem wrażenie, mili moi, że lekko go zatkał o. Co aż nazbyt często zdarza się ludziom, którzy nagle pojmą, iż znaleźli się w towarzystwie inkwizytora. Czy oni myślą, że nie mamy nic lepszego do roboty, jak tylko rzucać się na nich w poszukiwaniu herezji lub czarowników? Nasza praca nie ma w sobie nic z efektownych płomieni stosu, które czasem ją kończą. Ot, żmudne ślęczenie nad dokumentami i równie żmudne przesłuchiwanie błądzących. Przesłuchiwanie, którego celem – i zrozumiecie to dobrze – nie jest kara, lecz jedynie pełna żarliwej miłości chęć zrozumienia grzesznika oraz nawrócenia go na ścieżki Pańskie.

– Raczycie teraz spocząć? – zapytałem, kiedy chwila milczenia nadto się wydłużyła.

Usiadł bez słowa i przyglądał mi się spod zmarszczonych brwi.

– Skąd mam wiedzieć, że jesteście naprawdę inkwizytorem? – zapytał nagle.

– Nie namawiam was do zawierzenia moim słowom – odparłem łagodnie. – Choć nuta podejrzania w waszym głosie głęboko rani moje uczucia.

Uśmieżnął się samymi ustami, ale jego jasnoniebieskie, jakby wyprane oczy, pozostały chłodne i taksujące.

– Jeśli naprawdę jesteście inkwizytorem, człowiekiem szkolonym w odnajdywaniu i zabijaniu wszelkiego plugastwa – rzekł – być może znajdę dla was zajęcie.

Karczmarz przydreptał z następnym garncem piwa oraz kuflem dla Knottego, postawił je na stole i czym prędzej umknął.

– Nie sędzę, bym szukał zajęcia. Lecz jeśli wiecie coś o czarach, herezji bądź praktykach niezgodnych z nauką Kościoła, to waszym świętym obowiązkiem jest donieść o tym najbliższemu przedstawicielowi Inkwizytorem – odparłem zimno. – Czyli w tym wypadku: mnie – dodałem.

Przygryzł węża i zastukał knykciami w lepki blat stołu.

– Napijmy się – rzekł, wznosząc kufel. – Za co wypijemy, panie Madderdin?

– Za co tylko zechcecie – odpowiedziałem i stuknąłem się z nim lekko. – Choćby za wampiry...

Skrzywił się, słysząc te słowa, ale nic nie powiedział. Dopiero kiedy odstawił kufel i otarł węża, spojrzał na mnie ciężkim wzrokiem.

– Żartujecie sobie – mruknął. – A tu nie ma z czego żartować.

– Kostuch, mój drogi – powiedziałem. – Wyjaw szanownemu panu Knotte, o ilu słyszałeś sprawach toczonych przez Inkwizytorem przeciw wampiryzmowi?

Kostuch obnażył w uśmiechu żółte łopaty zębów.

– O żadnej, Mordimer – odparł.

Kostuch nie ma może zbyt lotnego umysłu, ale potrafi zapamiętać każde słowo z rozmów, które odbyły się całe lata temu. To rzadki dar i czasami nawet dziwię się, czemu dobry Bóg obdarzył nim kogoś, kto sam, bez pomocy waszego uniżonego sługi, nie potrafiłby nawet z niego odpowiednio korzystać.

– Słyszeliście, panie Knotte? – spytałem. – Żadnej. A co to oznacza?

– Zapewne nie omieszkacie mi wyjawić.

– Oznacza to, że wampirów nie ma – westchnąłem teatralnie. – Owszem, są chorzy ludzie bardzo pragnący uchodzić za wampiry. Piją krew ofiar, rozdzierają im gardła, ba, uciekają nawet przed blaskiem słońca i świętymi symbolami, gdyż tak silne jest w nich przekonanie, że krucyfiks czy słoneczne promienie mogą im zaszkodzić. O takich sprawach słyszeliśmy, panie Knotte. Ale nie mieszajmy plebejskich bają do poważnych rozważań.

– Coś takiego – powiedział po chwili. – Nie sądziłem, że podobne słowa padną z ust inkwizytora.

Roześmiałem się i to dość szczerze.

– A cóż myślicie? – zapytałem. – Że inkwizytor ma we wszystko wierzyć? Szukać pagórka elfów i garnca złota zakopanego po drugiej stronie tęczy? Przypominać świnię wierzącą racicami na sam zapach trufli?

Zarechotał i klepnął się dłońmi w uda aż klasnęło. Kostuch spojrzał na niego spode łba, ale Knotte albo nie zauważył tego, albo nic go to nie obeszło.

– Wasze zdrowie, panie Madderdin – rzekł głośno i przechylił kufel. – Wesół z was człowiek.

Zagulgotało, a on opróżnił naczynie do dna i beknął głośno.

– Szczyny – stwierdził z zawziętością w głosie i pokręcił głową. – Na miecz Pana naszego, co za szczyny!

Po czym, wbrew wymowie dopiero co wypowiedzianych słów, ujął garniec w dłonie i nalał sobie do pełna.

– Mistrzu Madderdin – powiedział poważnie po chwili. – Nie wiem, czy praca w naszych włościach jest właściwa dla inkwizytora, czy też nie, i nie mnie o tym decydować. Ale jeśli pan oraz pańscy ludzie macie ochotę zarobić trochę grosza, to zajęcie się znajdzie...

Bliźniacy spojrzeli po sobie, a Pierwszy mlasnął głośno.

– Żaden grosz, prawda, nie śmierdzi – mruknął.

Jednak Knotte skwitował jego słowa lekkim uśmiechem i bardzo s łuszenie robił, spoglądając na mnie. Wiedział doskonale, że właśnie od waszego uniżonego sługi zależą wszelkie decyzje, które zostaną podjęte w tym towarzystwie.

– Zechcecie powiedzieć coś więcej? – zapytałem.

– Nie – odparł szczerze. – Ale jeśli chcecie dowiedzieć się wszystkiego, zapraszam na zamek. Pan baron Haustoffer na pewno będzie wam rad.

– Czemu nie – powiedziałem powoli. – Porozmawiać zawsze można. Ruszemy z rana.

– A dlaczego nie teraz? – zapytał i nie wiem, czy mi się zdawało, czy usłyszałem kpinę w jego głosie. – Dobrze znam drogę.

– Baron nas przyjmie? – zdziwiłem się. – O tej porze?

– Pan baron zasypia bardzo, ale to bardzo późno – rzekł tym razem bez kpiny i bez uśmiechu. – A skoro nie bierzecie na poważnie wiejskich bają...

– Panie Knotte – powiedziałem pobłaźliwie. – Co to ma być? Próba odwagi? Przejechać nocą po ciemnym lesie? Huknąć jak sowa na cmentarzu? Nie sądzi pan, że wyrośliśmy już z takich zadań? Jeszcze niedawno rzeczywiście chciałem ruszać, ale teraz miło siedzi mi się przy piwku i zaczynam powoli nabierać ochotę na sen. Karczmarzu! – zawołałem.

Przykuśtykał przedziutko, ale zauważyłem, że stara się trzymać z daleka od Knottego.

– Słucham jaśnie pana.

– Masz dwa pokoje? Z łózkami i pościelą?

– Zaraz każę wszystko wyszykować...

– No widzicie – zwróciłem się do Knottego. – Już trzy dni nie spałem w pościeli. Przyda się jakaś odmiana.

– Jak chcecie – rzekł oziębło rządcą. – Jednak skoro pan baron zaprasza, niegrzecznie odmawiać.

– Kocha, to poczeka – parsknął Kostuch.

Knotte spojrzał na niego jak na końskie łajno.

– Grzeczniej, gdy mowa o baronie – warknął.

– Nie kłóćmy się o słowa – powiedziałem pojednawczo. – My jesteśmy ludzie prości,

panie Knotte. U nas co w sercu, to na języku.

– A spalić można każdego – Drugi wyciągnął palec z nosa i zdawało się, że mówi nie do nas, a do zielonego gluta, który sterczał mu z brudnego paznokcia. – Szlachta, nie szlachta, nam niby za jedno.

Knotte poczerwieniał, a ja powiedziałem szybko:

– Mój towarzysz chciał tylko wyjaśnić, że wszyscy jesteśmy równi w oczach Pana i taki sam czeka nas sąd, niezależnie od tego, kim jesteśmy. *Nie będziesz miał wzglądu na osobę żadnego* – powiada Pismo.

Sapnął i udał, że bierze moje słowa za dobrą monetę.

– Niech będzie po waszem – zgodził się. – Oczekuję was jutro z rana w zamku, mości inkwizytorze. Każdy chłop wskaże wam drogę. – Wstał, odsuwając ławę z głosem hurgotem. – A teraz żegnam.

* * *

Sala była ogromna. A może raczej nie ogromna, lecz niezwykle długa. Tak właśnie na obrazach i gobelinach przedstawia się czasem królewskie komnaty. Kolumny idące wzdłuż ścian, a na samym końcu, na podwyższeniu, wielki, czerwony fotel z zasiadającym na nim władcą. Od drzwi do siedziszcza pana barona dzieliło nas co najmniej pięćdziesiąt kroków. Brakowało tylko stojących przy obu ścianach dworzan, najlepiej z surmami w dłoniach. Zamiast tego po lewej ręce baron miał rządcę Knottego, a po prawej wysoką, chudą kobietę siedzącą na krześle z rzeźbionym oparciem. Baron powiedział coś w naszą stronę, ale nie dosłyszałem słów. Jednak po geście dłoni poznałem, że chce, byśmy się zbliżyli. Zaczęliśmy więc iść.

Ponieważ, jak mówiłem, dzieliło nas od fotela przynajmniej pięćdziesiąt kroków, więc miałem czas przyjrzeć się uważnie panu Haustofferowi i towarzyszącej mu kobiecie. Baron był już starym człowiekiem, długie, siwe włosy spływały mu aż za ramiona, zupełnie niezgodnie z obowiązującą ostatnio wśród szlachty modą, która kazała strzyc się krótko, a nawet podgalać kark. Ubrany był więcej niż dostatnio, a szeroki na dwie dłonie pas aż kapał od złota i szlachetnych kamieni.

– Dwa, może trzy tysiące – szepnął Kostuch tak cicho, że ledwo ten szept dosłyszałem, mimo iż szliśmy ramię w ramię.

Widziałem, że wgapia się w pas otumanionym wzrokiem, ale nie miał racji, szacując jego wartość. Pas był wart dużo więcej. Na pewno można było za niego kupić niezgorszą wieś. Na piersi barona zauważyłem złoty łańcuch z ogromnym rubinem, a blade, wąskie palce pana Haustoffera również ozdobione były pierścieniami. Topaz, szmaragd i rubin na lewej dłoni, na prawej tylko szafir, ale dużo większy niż paznokieć mojego kciuka. Zaczynał baron nosić na sobie fortunę, za którą większość ludzi żyjących na naszym nienajlepszym ze światów zamordowałoby własne żony, matki oraz dzieci. W odróżnieniu od niego, towarzysząca mu

kobieta nie miała żadnej biżuterii, a czarna suknia była wręcz uderzająco skromna. Włosy miała schowane pod szarym czepcem. Niewiasta wpatrywała się w nas, kiedy podchodziliśmy, ale miałem wrażenie, że jej wzrok tak naprawdę nas mija, jak gdybyśmy byli jedynie tumanem mgły.

Zatrzymałem się kilka kroków przed podwyższeniem.

– Dostojny panie – powiedziałem, pochylając się w ukłonie, nie nazbyt głębokim, lecz więcej niż uprzejmym. – Jestem zaszczycony, że zechciałeś mnie przyjąć. Nazywam się Mordimer Madderdin i mam zaszczyt pełnić funkcję licencjonowanego inkwizytora Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. A oto moi zacni pomocnicy.

– Zacni – powtórzył baron i uśmiechnął się lekko. Zauważyłem, że przygląda się twarzy Kostucha. – Witam was, panowie – rzekł już głośniejszym, a głos miał mocny, głęboki i dźwięczny.

Splótł dłonie na kolanach i milczał długą chwilę.

– Zapewne jesteście przyzwyczajeni, mistrzu, że wzywają waszej pomocy ludzie mający poważne kłopoty. Nie inaczej jest – westchnął głęboko – ze mną.

– Będę zaszczycony, mogąc służyć waszej dostojności w miarę moich skromnych sił – odparłem.

– Taaak – przeciągnął. – Co myślicie o wampirach, panie Madderdin? – Wpatrzył się we mnie badawczo.

– Że ich nie ma – odrzekłem, zastanawiając się, czy wszyscy tutaj poszaleli.

– Nie ma – powtórzył i spojrzał na Knottego. – Słyszałeś, Joachimie? Nie ma.

– Inkwizytor raczył mnie już oświecić w tym zakresie – powiedział rządca zjadliwym tonem.

Baron patrzył na mnie i bawił się splataniem oraz rozplataniem siwego kosmyka włosów, który wisiał mu przy uchu. Wtopione w pierścienie drogie kamienie na jego palcach słały w blasku świec różnobarwne refleksy. Czekalem spokojnie, co z tego wszystkiego wyniknie, i miałem tylko nadzieję, że niezależnie od wyniku rozmowy podejmą nas obiadem. Bo od łykowatego mięsa oraz kwaśnego piwa w karczmie zaczynałem dostawać zgagi.

– Nie ma, gdyż nie widzieliście, czy tak? – zagadnął.

– Jestem jak najdalszy, by ufać tylko rozumowi i wzrokowi, gdyż nadto często przekonałem się, że zawodzą w obliczu sprawek Szatana. W końcu nie na darmo Pismo ostrzega nas: *mądrość mądrych zniweczę*. Jednak praktyka moja oraz innych inkwizytorów nie pozwala nam na bezkrytyczną wiarę w legendy.

– Mój syn jest wampirem – rzekł baron tak po prostu, jak gdyby oznajmiał: „mój syn wyjechał na polowanie”.

Miałem nadzieję, że Kostuch oraz bliźniacy się nie odezwą, i Bogu dziękować, nie odezwali się.

– Z czego wasza dostojność to wnosi? – zapytałem uprzejmie.

– Może z tego, że rosną mu ostre kły? – odparł leniwym tonem. – A może z tego, że wysysa krew swych ofiar i śpi w trumnie?

– Takie rzeczy się zdarzają... – odchrząknąłem.

– Wasza dostojność – powiedziałem po chwili milczenia. – Niezależnie co myślę o całej sprawie, to jeśli wasza dostojność zechce, zbadam ją z całą pieczołowitością...

– Ja nie chcę, żebyś cokolwiek badał, Mordimer – przerwał mi znowu Haustoffer i usłyszałem nutę zniecierpliwienia w jego głosie. – Ja chcę, żebyś go zabił.

Właściwie powinienem powiedzieć „ach tak”, ale nie powiedziałem nic. Ten człowiek był najwyraźniej szalony, a ja nie zamierzałem się wdawać w arystokratyczne intrygi oraz knowania. Owszem, pozbywanie się spadkobierców w sposób gwałtowny było w niektórych rodach na porządku dziennym, tak samo jak przyspieszanie przez młodszych członków rodziny niewątpliwie uroczej chwili odczytania testamentu. Stary baron najwyraźniej nie przepadał za synem, być może miał drugiego, któremu zamierzał zostawić fortunę. Ale Mordimer Madderdin nie jest, mili moi, płatnym zabójcą do wynajęcia. A ci, którzy myślą święte powołanie inkwizytora z fachem najemnika, zwykle gorzko przekonują się, że popełnili niewybaczalny błąd.

– Wasza wielmożność wybaczy – powiedziałem oschle. – Ale nie jesteśmy zainteresowani tym zleceniem.

Knotte zasapał gwałtownie, lecz baron uciszył go ledwo zauważalnym gestem lewej dłoni. Kobieta w czerni wpatrywała się w moją twarz niemal bolesnym wzrokiem, ale jej oblicze było tak martwe, jakby zastygło pod grubą warstwą wosku. Cóż, jeśli była matką młodego Haustoffera, zapewne nie czuła się zbyt komfortowo, słysząc rozmowy o zleceniu jego zabójstwa.

– Wiem, co sobie myślisz, inkwizytorze – rzekł baron. – Zapewniam cię jednak, że głęboko się mylisz. Mój syn nie jest już ludzką istotą i zabicie go, a raczej unicestwienie, gdyż tak naprawdę przecież nie żyje, dla niego będzie wyzwoleniem, a dla ciebie powodem do dumy.

– Wasza dostojność pozwoli, iż sam ocenię, co może być powodem do dumy dla inkwizytora – odparłem, nie owijając słów w bawełnę. – Odpowiedź nadal brzmi: nie. – Skłoniłem się nieco niżej niż przy powitaniu. – Pozwolę sobie pożegnać waszą dostojność i życzyć dobrego zdrowia.

Żałowałem, co prawda, utraconego posiłku, ale uznałem, że spędzenie dłuższego czasu w zamku może nie wyjść nam na dobre.

– Stój, do cholery, Madderdin – warknął baron i tym razem widać było, że jest nie na żarty rozzłoszczony.

Stałem, gdyż nie miałem zamiaru zaogniać i tak już niełatwej sytuacji. Nie przybyliśmy tutaj, by wypróbować siłę drużyn miejscowych feudałów i miałem nadzieję, że nie dojdzie do najgorszego. Co prawda w komnacie nie było żadnego zbrojnego poza Knottem, ale z całą

pewnością baron mógłby znacznie utrudnić nam opuszczenie swej siedziby, gdyby tylko zechciał. Na podwórzu widziałem kilku zbrojnych i kilkoro służby. Zapewne przedarlibyśmy się przez nich, ale kto wie, czy na murach nie było łuczników lub kuszników. A ucieczka przed celnie wystrzeloną strzałą nie jest, niestety, taka prosta.

– Wedle życzenia pana barona – odparłem nadzwyczaj uprzejmym tonem.

Wpatrywał się we mnie wzrokiem bazyliuszka i posapywał. Wreszcie przetarł twarz dłonią, jakby odpędzając niechętne myśli.

– Zostańcie na obiedzie, inkwizytorze – rzekł pojednawczo. – A zaprezentuję wam na deser coś, co być może odmieni wasze przekonania.

– Dziękuję, panie baronie – powiedziałem, gdyż nie miałem innego wyjścia. – To będzie dla mnie zaszczyt.

* * *

Wasz uniżony sługa przez lata przekonał się, że najważniejsza jest pokorna i wytrwała służba Panu, a dobra materialne oraz doczesne uciechy mają niewielkie znaczenie. Dlatego też nauczyłem się żyć o suchym chlebie i łyku wody, choć nie powiem, by podobna dieta do końca mi odpowiadała. Jednak kiedy nadarzała się okazja, nie byłem od tego, by nie pofolgować podniebieniu.

Czego się spodziewałem po obiedzie u barona Haustoffera? Na pewno nie tego, co zobaczyłem, wchodząc do jadalnej komnaty. Przy niemal kwadratowym stole, pokrytym haftowanym obrusem, siedział sam baron, jego żona oraz kilku dostatnio ubranych szlachciców, rządcą Knotte i człowiek, którego wcześniej widziałem na zamkowym dziedzińcu, a który zapewne był kapitanem straży. Za wysokimi krzesłami, przy każdym z gości, czuwało dwóch służących, z których jeden miał zajmować się napitkami, a drugi jedzeniem. Ha, jedzeniem! Nie wiem, czy tak trywialnym słowem można określić te delicje i specjały, które dumnie pyszniły się na stole! Bo oto ujrzałem dorodne faszerowane prosięta o lekko zbrązowielej, przyrumienionej skórce, galarety z suma i szczupaka, kapłony, nadziewane kuropatwy, a nawet bażanty pięknie ustrojone piórami. Ze srebrnych mis parowały gorące polewki, a do tego wszystkiego podano bułki, bułeczki i chleby, różnego kształtu oraz koloru. Każdy z biesiadników miał własny półmisek, srebrny i zdobiony herbem Haustofferów. Och, mili moi, książęcy dwór nie powstydziliby się tego przyjęcia i żałowałem tylko, że Kostuch oraz bliźniacy nie mogą uczestniczyć w uczcie, bo – jak się domyślacie – ich poproszono o spożycie posiłku wraz z dworzanami i zbrojnymi.

Wasz uniżony sługa wszedł do sali jako ostatni z gości, co byłoby niewybaczalnym nietaktem, gdyby nie fakt, że najwyraźniej baron takiej właśnie sytuacji oczekiwał. Widząc mnie, wstał uprzejmie.

– Oto dostojny mistrz Inkwizytatorium, pan Mordimer Madderdin – przedstawił mnie. – Który w swej łaskawości obiecał czujnym okiem przyjrzeć się naszym kłopotom. Ale teraz,

moja pani – pochylił się w stronę żony – panowie, uczujmy i sprawdźmy, czy kucharze zasłużyli dziś na plagi, czy na przychylne słowo.

Skloniłem się.

– Sądząc po zapachu, dostojny baronie, twoi kucharze otwierają przed nami wrota raju. A przynajmniej przede mną, który nie ma, ku swemu ubolewaniu, wyrafinowanego podniebienia wielkich panów i którego posiłkiem nader często jest jedynie modlitwa.

– Niewątpliwie sycąca duszę – rzekł z lekkim uśmiechem jeden ze szlachciców.

– Lecz nie krzepiąca marnego ciała – odparłem, wzdychając. – Choć wiem, że żyją świątobliwi mnisi, którym właśnie modlitwa wystarcza za wszystkie posiłki. Ku mojemu żalowi jednak daleko mi do podobnego stopnia świętości.

Jeden ze służących odsunął przede mną krzesło z wysokim, zdobionym oparciem. Na poręczach dostrzegłem wkomponowanego w liście winorośli węża – godło Haustofferów. Teraz dopiero zdałem sobie sprawę, jak niezwykle był to herb. Lew, tur, niedźwiedź, orzeł, panna, koń, nawet jednorożec czy smok – zwyczajna sprawa. Ale wąż? Nie mogłem sobie przypomnieć rodu, który pieczętowałby się wężem. Spojrzałem na stołowe nakrycia. Herbowy wąż był wygrawerowany na wszystkich.

Przy stole zasiadało zaledwie dziewięć osób, ale jedzenia podano tyle, że całkiem spora wioska miałaby okazję do długiego weselenia się. Wniesiono zupy, króliki, przepiórki, zajęczy pasztet, pawia z rodzynekami, potem miodowe ciasta, wafle, figi, tort śmietanowy z wielkim rycerzem z marcepanu stojącym na jego szczycie, ryż z mlekiem i szafranem. Gatunków win oraz kielichów, które ciągle nam zmieniano, nawet nie liczyłem. Czułem tylko słodką ociążałość i trzy razy luzowałem pas, aby zrobić miejsce na następne specjały. Pod stołem i przy ścianach leżały brytany barona – ogromne, kudłate psiska o niedźwiedzych łapskach. Też były ledwo żywe z przejedzenia.

– Wybaczenie pytanie – zwróciłem się do mego sąsiada, szlachcica o nalanej, czerwonej twarzy i mocno podgolonym karku. – Czy to jakaś specjalna okazja do ucztowania?

– Nie – zaśmiał się serdecznie z pełnymi ustami, pryskając na obrus resztkami pasztetu. – Pan baron zawsze tak obiaduje.

Jednak sam Haustoffer oraz jego żona jedli niewiele. Baron zaledwie skosztował kilku potraw, a kobieta zjadła parę ciastek i fig. Pili też z wielkim umiarem, w odróżnieniu od reszty gości, łącznie z Knottem oraz kapitanem straży. Kapitan (jak zdołałem usłyszeć, miał na imię Wolfgang) nie wylewał za kołnierz. Teraz siedział rozparty szeroko na krześle i martwym, tępym wzrokiem wpatrywał się we własny półmisek, na którym piętrzyły się wety. Miał na wpół otwarte usta, co nadawało jego szerokiej twarzy szczególnie idiotyczny wyraz. Natomiast po Knottem nie widać było wypitego morza trunków. Żartował, zabawiał wszystkich opowiadaniem anegdotek i wlewał w siebie jeden kielich wina po drugim. Głos miał jednak świeży, a spojrzenie bystre i czujne. Zauważyłem, że kilka razy zerkał w moją stronę. Kilka też razy hojnie nalewał mi do kielicha lub dawał znak służącemu, by pilniej się

mną zajmowali. Czyżby chciał mnie upić? Cóż, inkwizytorskie wykształcenie nie zapewniało kontroli nad własnym organizmem. Nie umieliśmy neutralizować działania alkoholu ani następnego dnia radzić sobie ze skutkami nocnych libacji (oczywiście istniały pewne mikstury, ale nigdy nie pomagały w stu procentach). Jednak wasz uniżony sługa od lat młodzieńczych obdarzony był nad wyraz mocną głową, co pozwalało mu nader często pozostawać w stanie lekkiego podchmielenia, podczas kiedy reszta biesiadujących czołgała się pod stołami. Oczywiście Knotte nie mógł o tym wiedzieć. Być może miał nadzieję, że dobry trunek, spożyty w dużych ilościach, przychylniej nastroi mnie do próśb barona?

Kiedy Haustoffer zobaczył, że żaden z gości nie przejawia już chęci do naruszania piętrzących się nadal na stole gór jedzenia, uniósł dłoń, prosząc o ciszę.

– Drodzy panowie, mili moi goście. Obiecałem dzisiaj mistrzowi Madderdinowi specjalny deser. – Kiwnął palcem na ochmistrza, który skłonił się nisko i zniknął zaraz za drzwiami. – Liczę, że was zaciekawia.

Faktycznie. Teraz przypomniałem sobie, że we wcześniejszej rozmowie Haustoffer obiecał mi „zaprezentować na deser coś, co być może odmieni moje przekonania”. Jednak obżarty oraz opity po sam czubek głowy i same koniuszki uszów, zatraciłem właściwą mi czujność. Nie powinienem zapomnieć o tak ważnym zdaniu. Poprawiłem się w krześle i zerknąłem na Knottego. Patrzył na mnie i uśmiechał się. Chyba złośliwie. Co za niespodziankę szykował stary baron?

Do komnaty wszedł minstrel w jarmarcznie kolorowym kubraku i zawadiackiej, zielonej czapeczce. Skłonił się wszystkim nisko, po czym usiadł na podwyższeniu za krzesłem barona. Trącił palcami struny lutni i zaczął śpiewać balladę o walecznym rycerzu Garmandzie oraz jego ukochanej, którą zła wiedźma zamieniła w krzak dzikiej róży. Kapitan straży odbeknął głośno i dowcipnie zauważył, że jego zdaniem taka para miała znacznie utrudnione spółkowanie.

Jak się jednak spodziewałem, nie występ niewątpliwie utalentowanego barda miał być atrakcją przygotowaną na koniec uczyty. Do sali wolno wkroczyło sześciu służących. Podzieleni na pary, nieśli z wyraźnym wysiłkiem trzy długie, prostokątne przedmioty okryte grubą, czarną materią, spływającą falami aż na posadzkę. Zrobiło mi się zimno, bo wyobraziłem sobie, że kiedy odkryją zasłonę, zobaczą na drewnianych blatach ciała Kostucha i bliźniaków. Czy to możliwe, by odmowa aż tak rozsierdziła barona, że zechciał się zabawić moim kosztem? Cóż, słyszałem o bardziej wyrafinowanych fanaberiach naszej arystokracji, ale ta zapewne byłaby ostatnia, której wasz uniżony sługa doświadczyłby w życiu. Jestem człowiekiem mającym, dzięki łasce Bożej i wieloletniemu treningowi, niejake uzdolnienia we władaniu bronią, i walce wręcz, ale nie mogłem nawet marzyć, by pokonać zbrojnych oraz służbę barona. Czy choćby uciec przed nimi. Zwłaszcza, że w pożałowania godnym napadzie łakomstwa wypełniłem kałdun tak, że czułem się, jakbym nosił przed sobą, na pasie, ciężki worek.

Czterech służących podeszło do stołu i chwyciło rogi obrusa. Zagarnęli wszystko z hurgotem przewracanych naczyń. Góry jedzenia, wino z kielichów oraz pucharów mieszały się ze sobą. Jeden ze szlachciców zerwał się z miejsca i zagapił na ściągany obrus, ale potem spojrzał w stronę barona i usiadł pod jego kpiącym wzrokiem. Wasz uniżony sługa nie jest, co prawda, znawcą etykiety oraz obyczajów i dobrych manier, ale zakończenie uczty wydało mu się co najmniej ekscentryczne, jeśli nie niegrzeczne. Ale, cóż wielkich feudałów stać na to, by robić rzeczy, za które maluczcy odpowiedzialiby jak za zniewagę.

Teraz na stół wjechały prostokąty obleczone czarnym materiałem. Wiedziałem już, że pod zasłonami leżą ludzie. Zwłoki ludzkie, jak śmiałem domniemywać. Trudno było nie dostrzec charakterystycznego kształtu, który rysował się pod materiałem.

– Oto deser – wykrzyknął Haustoffer, a służący zdarli zasłony.

Tak jak się spodziewałem, na podłużnych deskach leżały martwe ciała. Bogu dziękować nie byli to bliźniacy i Kostuch, a dwóch młodych mężczyzn oraz ciemnowłosa, piękna kobieta. Nadzy. Pergaminowo biali. Za wyjątkiem ran pod sercem. Zdumiewające, ale w ciszy, która zaległa na sali, słyszeć było tylko głos minstrela i dźwięki jego lutni. Jak widać nie przejmował się niczym. Jednak, kiedy zerknąłem w jego stronę, zobaczyłem, że ma przymknięte oczy i szybuje gdzieś na skrzydłach muzyki, nie przejmując się rzeczywistym światem.

– Co za talent – powiedziałem.

Mój głos zabrzmiał donośniej niżbym sobie tego życzył i wszyscy, za wyjątkiem baronowej, spojrzeli na mnie.

– Minstrel – wyjaśniłem już ciszej. – Czyż to nie wielki talent, oderwać się od przykrości życia, wzlatując w świat poezji?

– Przykrości – powtórzył wolno baron. – Tak, to niewątpliwie przykre wydarzenie. Trupy na biesiadnym stole.

Kapitan straży i Knotte musieli wiedzieć, co się stanie, ale czterech goszczących u barona szlachciców było najwyraźniej zdumionych oraz wstrząśniętych.

– Raczy pan, baronie, wytłumaczyć nam... – zaczął jeden z nich lodowatym tonem.

– Raczę – przerwał mu ostro Haustoffer. – Mistrz Madderdin usiłował mnie przekonać, że wampiry nie istnieją. Wy wszyscy, dostojni panowie, doskonale wiecie, że jest inaczej. Chciałbym więc, aby mistrz Inkwizytorium również przekonał się o tym na własne oczy. Badajcie, panie Madderdin. – Spojrzał na mnie. – Przypatrujcie się, oceniajcie. Ja wiem, co zobaczycie: zwłoki, w których nie ma nawet grama krwi. Wyssane. Do cna.

– Piękny pokaz, dostojny panie – powiedziałem. – A ja z przyjemnością zajmę się oględzinami. Jednak proszę zezwolić, bym przywołał mych towarzyszy i kazał im przynieść niezbędne narzędzia...

– Będziecie ich kroić? – zapytał z niesmakiem jeden ze szlachciców. – To profanacja...

– To tylko ciała – odparłem. – Tak samo święte, jak zajęczy pasztet, który jedliście z

takim apetytem.

Baron roześmiał się sucho i uniósł dłoń, każąc zamilknąć szlachcicowi, który sposobił się do riposty.

– Nie sądzę, by doktorowie Kościoła się z wami zgodzili, ale doceniam wasz pragmatyzm, mistrzu. Czyńcie, co uważacie za stosowne. A my tymczasem przejdźmy gdzie indziej. Może zagramy w kręgle, panowie? Ponoć na dworze cesarza to ostatni krzyk mody...

Nie wiedziałem, co prawda, co było ostatnim krzykiem mody na cesarskim dworze, ale jestem pewien, że baron swoim deserem zadziwiłby nawet ekscentryczne otoczenie naszego władcy.

* * *

Kazałem służbie przynieść świeczniki i ustawiłem je, aby światło mocnym blaskiem padało na zwłoki. Kostuch przytargał mój podróżny, drewniany kufer i zdjąłem z szyi kluczyk, aby otworzyć zamek. Trzeba przyznać, że bliźniacy oraz Kostuch nie wyrazili nadmiernego zdumienia, widząc na biesiadnym stole zwłoki zamiast wykwintnych potraw.

– Resztę, prawda, zjedliście, co? – zażartował sobie Pierwszy i oszołomiła mnie finezja jego dowcipu.

W kufrze miałem, jak to nazywałem, podręczny zestaw inkwizytora. Nigdy nie wiadomo, kiedy mogą się przydać profesjonalne narzędzia. A choć większość z nich służyła do prowadzenia przesłuchań, jednak można je było z powodzeniem wykorzystać przy sekcji zwłok.

Badanie rozpocząłem od kobiety i już pierwsze oględziny potwierdziły słowa barona. Zwłoki zostały pozbawione krwi. Całkowicie. Nie dostrzegłem na nich żadnych śladów przemocy, nie licząc rozdartego ciała na wysokości piersi, przebitych żeber i przebitego serca. Ciosy wyraźnie zadano już po śmierci i po wyciągnięciu ze zwłok krwi. Poza tym u każdego z zabitych znalazłem dwie dziurki za lewym uchem. Pierwsze obrażenia były wyraźnie spowodowane mocnym ciosem ostrego narzędzia. Szpikulca, czy kołka. Nadzwyczaj charakterystyczne przy wszystkich posądzeniach o wampiryzm. Nie raz i nie dwa widziałem tak oporzędzone zwłoki, często jeszcze dodatkowo z czaszkami przebitymi gwoździami, poderżniętymi ścięgnami u nóg lub cierniami wbitymi w podeszwy stóp. Wszystkie te okaleczenia miały powstrzymywać domniemanego wampira przed powstaniem z grobu i dręczeniem żyjących. Cóż, nieprzebrane są zasoby wyobraźni plebsu...

Jednak zagadkowe były obrażenia pod uchem. Niewielkie, głębokie, tak jakby ktoś wraził w żyły ofiary dwa wąskie, długie ostrza. Widziałem już kiedyś takie rany, mili moi. I nie były to bynajmniej zęby wampira. Pewien zbrodniarz używał dobrze dopasowanej z elaznej szczęki z ostrymi kłami, by zabijać ofiary i udawać wampira. Wiodło mu się całkiem nieźle, póki nie spotkał na swej drodze pewnego skromnego inkwizytora, być może w pożałowania godny sposób pozbawionego fantazji i nad wyraz dalekiego od uwierzenia w plebejskie bajędy.

Zbrodniarza rozerwano koźmi na miejskim rynku, a wiercie mi, że nie powstał z martwych, choć udawanie wampira tak weszło mu w krew, że wił się i krzyczał, kiedy wystawiano go na promienie południowego słońca.

– Następny Vogelmaier – burknął Kostuch, przyglądając się zwłokom.

Teraz przypomniałem sobie, że przestępca udający wampira faktycznie nazywał się Vogelmaier. Wspominałem już, że Kostuch ma niezwykły talent do zapamiętywania imion, dat oraz przebiegu rozmów, nawet kiedy odbyły się przed wielu laty. Cóż, czasami się przydawało.

– Nie, Kostuch – powiedziałem. – Vogelmaier nie był w stanie wyciągnąć całej krwi. I zostawiał ślady, jak w rzeźni. Tutaj ktoś wypompował tych nieszczęśników, a przy tym niezwykle pieczołowicie ich obrządził.

– Może baron kazał, prawda, umyć zwłoki? – zauważył Pierwszy.

– Raczej nie – powiedziałem, bo zauważyłem, że ofiary miały zabrudzone podeszwy stóp i ślady zaschniętego błota pomiędzy palcami.

Usłyszałem skrzypnięcie drzwi i do komnaty wszedł Knotte. Uśmiechał się szyderczo, ale mimo morza wypitych trunków sprawiał wrażenie niemal trzeźwego.

– Zaczynacie wierzyć? – spytał.

– Z całą pewnością wierzę, że grasuje tu wyjątkowo ohydny morderca, ale nadal nie widzę zajęcia dla inkwizytora. Jeśli pan baron nie może poradzić sobie sam, śmiem sugerować, by powiadomił justycjariuszy. Kim byli ci ludzie?

– Służba. – Knotte wzruszył ramionami i dłużej zatrzymał wzrok na kobiecie. – Miała na imię Elżbieta – wyjaśnił. – Co za temperament, panie Madderdin. Szkoda.

– Szkoda – mlasnął Pierwszy.

Wiedziałem, na co ma ochotę, ale nie zamierzałem pozwolić mu na żadne amory. Domownikom barona na pewno nie spodobałoby się podobne traktowanie zwłok, nawet jeśli były to tylko zwłoki służącej. A Pierwszy ma dziwny sentyment do martwych kobiet. Czasami mu pozwalałem na odprężającą chwilę igraszek (bo przecież nikomu nie mógł w ten sposób już zaszkodzić), ale teraz nie miałem takiego zamiaru.

– Obejrzelście co trzeba?

– Niewiele było do oglądania – odparłem.

– No to pan baron prosi na rozmowę. – Dał znak służącym, by zabrali zwłoki ze stołu.

– Rozumiem, że serca przebito im kołkami już po śmierci, nieprawdaż?

– Prawdaż, prawdaż – mruknął. – Kiedy znaleźliśmy zwłoki, miały tylko te dwa ślady na szyi i żadnych innych obrażeń.

Zastanawiałem się już przedtem nad tym problemem. Widzicie, nie tak łatwo zabić człowieka, nie powodując żadnych skaleczeń. Obejrzałem i obmacałem czaszki ofiar, by przekonać się, czy nie ogłuszono ich silnym ciosem. Sprawdziłem przeguby rąk i kostki nóg, aby zobaczyć, czy nie dostrzegę śladów krepowania. Zbadałem ich szyje, by wykluczyć

możliwość uduszenia. I nic. Być może więc oszołomiono ich za pomocą trucizny lub upito? Ale nie było śladów alkoholu w treści żołądka, a nie miałem możliwości wykonać testów na obecność trucizny. Zresztą nie zawsze takie testy dało się przeprowadzić, zważywszy jeszcze, że nie jestem uczonym medykiem, a jedynie skromnym inkwizytorem, dysponującym niejaką, niezbędną w mym fachu, wiedzą o anatomii oraz fizjologii ludzkiego ciała.

– Proszę za mną – rzekł Knotte i ruszył w stronę drzwi. – Dla pańskich ludzi przygotowano nocleg w czeladnej.

Aby dotrzeć do komnaty barona, musieliśmy przejść długim, wąskim korytarzem o ścianach z szarego kamienia, a potem krużgankiem prowadzącym nad zamkowym dziedzińcem. Na placu paliło się spore ognisko, przy którym siedziało kilku zbrojnych, na murach dostrzegłem ledwo widoczne w przyćmionym blasku księżyca cienie strażników. Wreszcie stanęliśmy przed drzwiami komnaty Haustoffera. W przedsionku czuwało dwóch pokojowców i jeden, widząc nas, poderwał się z ławy. Zastukał do drugich drzwi.

– Pan baron uprzejmie prosi – obwieścił po chwili.

Weszliśmy i zobaczyłem, że Haustoffer leży już w ogromnym łożu z baldachimem, a na zydłu obok siedzi młody służący z książką w dłoniach. Zobaczywszy nas, skłonił się i cicho wyszedł.

– Jak tam, panie Madderdin? Udane oględziny? – zagadnął baron, poprawiając się w pościeli. – Siadajcie.

Przycupnęliśmy na zydłach obok zdobionej sekretery pełnej kryształowych kielichów, pucharów i karafek. Wszystkie były inkrustowane złotem, srebrem oraz drogimi kamieniami. Przyglądałem im się jeśli nie z zachwytem, to co najmniej z zaciekawieniem, gdyż tak misternie wykonanych naczyń nie widziałem nawet u Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu.

– Piękne, nieprawdaz? – Haustoffer zauważył moje spojrzenie. – Szkoda, że tylko mistrzowie z Vinii znają tajemnicę kryształowych wyrobów.

– Każda tajemnica prędzej czy później tajemnicą być przestaje – pozwoliłem sobie na uwagę. – To tylko kwestia czasu, determinacji oraz pieniędzy.

– Zapewne – przyznał baron. – Ale nie dyskutujmy o kryształach. Podejmuje się pan zadania, panie Madderdin?

– Wasza dostojność – rzekłem. – Przyznam, że sprawa jest tajemnicza. Jednak upraszam waszą dostojność, by zechciał mnie dobrze zrozumieć. Nie jestem najemnym mordercą. Zabijam, ale tylko w wypadku najwyższej konieczności lub obrony własnego życia. Mogę się podjąć wyjaśnienia tych morderstw i mogę schwycić zbrodniarza. Ale sam osądzę, czy jest nim syn waszej dostojności i sam zdecyduję, czy powinienem go zabić, czy też oddać w ręce stosownych władz.

Przyglądał mi się dość długo, a potem odetchnął głęboko.

– Szanuję pańskie poglądy, Madderdin – powiedział. – I jestem gotów się zgodzić z takim postawieniem sprawy. Przejdźmy więc do kwestii pańskiego honorarium.

– W tym względzie zdaję się na łaskawość pana barona – odrzekłem, pochylając głowę.

– Niezwykle wielkoduszne. – Czyżbym usłyszał kpinę w jego głosie? – Ale cenę zawsze trzeba ustalić wcześniej, by potem nie doszło do nieporozumień. Jeśli zniszczy pan mojego syna – urwał na moment. – Nie tylko jego, ale i wszystkie sługi, tak samo jak on będące stworzeniami nocy... I jeśli przywróci pan pokój temu domowi, spełnię każde pańskie życzenie. Jedno życzenie.

– Na przykład sto tysięcy koron – zażartowałem.

– Co pan tylko zechce – odparł poważnie. – Rzecz jasna w granicach zdrowego rozsądku. Bo gdyby zażyczył sobie pan zostać cesarzem lub papieżem, to nawet ja nie jestem w stanie tego zagwarantować. – Tym razem on pozwolił sobie na żart.

Może nie zrozumiecie mnie, mili moi, ale ja zawierzyłem jego słowom. Ktoś mógłby pomyśleć, że to tylko arystokratyczne kaprysy, słowa ciśnięte na wiatr, z których potem łatwo się będzie wycofać, rzucając wykonawcy zadania kieskę złota i nieszczerzy uśmiech. Ja jednak wiedziałem, że Haustoffer mówi całkowicie serio. Albo więc wypełnienie zadania wydawało mu się niemożliwe, albo przygotował uroczą pułapkę, by zwieńczyć finał naszych trudów. Och, strzeżcie się tych, którzy ofiarowują zbyt wiele, gdyż istnieje duże prawdopodobieństwo, że w ich słowach gości fałsz i że podarunek nie do końca będzie taki, jakiego byście się spodziewali!

Na razie jednak tylko podziękowałem głębokim ukłonem, gdyż przecież nie ważyłbym się poddawać w wątpliwość jego obietnic.

– Knotte wie wszystko, co i ja – rzekł. – Tak samo Wolfgang. Możecie się do nich zwracać we wszelkich sprawach.

Zrozumiałem, że to właśnie był koniec audiencji, ale miałem jeszcze jedno pytanie. Nie zaprzeczę, że wynikające jedynie z grzesznej ciekawości.

– Panie baronie, czy nie będzie nietaktem, jeśli spytam o zdumiewający herb Haustofferów? Przyznam, że pierwszy raz spotykam kogoś pieczętującego się wężem.

– Ach, nasz wąż – roześmiał się. – Niegdyś pieczętowaliśmy się wężem oraz gołębiem, ale potem uznano, że sam wąż wystarczy...

– Wężem i gołębiem – powtórzyłem. – Czy dlatego, że Pismo mówi: *Oto ja was posyłam jako owce między wilki. Bądźcież tedy mądrymi jako wężowie, a prostymi jako gołębnice?*

– Właśnie tak – roześmiał się raz jeszcze. – Widzisz, Knotte, jak przydatna jest znajomość Dobrej Księgi? Coś jeszcze, panie Madderdin?

– Nie. Dziękuję pokornie waszej wielmożności – skłoniłem się.

Cóż, zdaję się, że mój grzbiet zaczynał się już przyzwyczajać do nadmiernej wręcz giętkości. Wyszliśmy, a Knotte gestem przywołał pokojowca z książką i rozkazał mu wracać do sypialni.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał.

– Przede wszystkim, czy wiadomo, gdzie przebywa młody baron oraz jego służba.

Uśmiechnął się pod wąsem.

– Wszyscy chcielibyśmy wiedzieć – powiedział. – Nie sądzicie, że gdybyśmy wiedzieli, gdzie się ukrywają, to nie trzeba by było was najmować?

– A w przybliżeniu?

– W przybliżeniu też nie. – Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, jak dam radę udźwignąć ciężar waszej pomocy – mruknąłem.

Odwrócił się gwałtownie w moją stronę.

– Posłuchajcie no – powiedział, a z jego oczu biła zimna wściekłość. – Ten bękart i jego słudzy krążą w pobliżu. Czają się przy zamku, na gościńcu, w lasach. Porywają i mordują ludzi. Znajdźcie go, do pioruna, i zniszczcie!

Skończył i patrzył na mnie jeszcze przez chwilę, a potem przygryzł wąsa.

– Zróbcie to – rzekł już spokojnie. – A nie będziecie się musieli o nic martwić do końca życia.

Wyszliśmy na krużganek. Przy ogniu nadal siedziało kilku zbrojnych, ale nie pili ani nawet nie rozmawiali. Zauważyłem też, że mają w pogotowiu broń.

– Czy syn barona zajmował się magią? Heretyckimi obrządkami? Czy czynił coś przeciw naszej świętej religii? – zapytałem cicho.

– Przecież jest wampirem – warknął Knotte, znowu rozeźlony. – Samo to chyba nie zgadza się z zasadami naszej wiary, nie sądzicie?

Westchnąłem, bo widziałem, że tego muru nie przebiję.

– Dobrze – poddałem się. – Dajcie mi z łaski swojej jakąś rzecz, która do niego należała. Ale nie byle co. Przedmiot, z którym naprawdę był mocno związany. Ulubioną sakiewkę, nóż, kapelusz... Cokolwiek.

Zastanawiał się chwilę.

– Książka – rzekł w końcu. – Jest pewna książka, którą czytał często przed zaśnięciem. Czy wam wystarczy?

Musiało wystarczyć, więc poprosiłem, aby znalazł dla mnie ten wolumin.

– Wyślę ją przez pokojowca – obiecał. – A teraz pozwólcie, że zaprowadzę was do komnaty, którą przeznaczył baron.

Pan Haustoffer był więcej niż hojny dla gości. Nie dość, że podjął mnie obiadem godnym księcia krwi (co prawda ponoć ucztowało się u niego codziennie w podobny sposób, ale dla biednego Mordimera taki luksus był wydarzeniem), to jeszcze kazał przygotować wspaniałe apartamenty. W pierwszym pokoju ujrzałem rzeźbiony stół i czworo krzeseł, przeszkloną sekretkę, obszerną biblioteczkę pełną oprawionych w skórę ksiąg oraz wpuszczoną w podłogę ogromną, metalową misę. Kiedy wchodziliśmy, służący galopowali właśnie z wiadrami i napełniali ją gorącą wodą.

– Pan baron lubi kąpiele – westchnął Knotte i usłyszałem w jego głosie coś na kształt nuty niezrozumienia dla tak dziwacznych zachowań. – Ale widzicie, można się w tej misie

położyć na wznak jak w łożu, a tu macie taki sprytny kurasek, który wypuści wodę, kiedy zechcecie już wyjść.

– Ha – powiedziałem. – Lepsze to niż balia albo cebrzyk, co?

Zerknąłem przez otwarte drzwi do drugiego pokoju, w którym pyszniło się szerokie łoże z aksamitnym baldachimem i poręczami w kształcie smoczych łbów. Na wyłożonych barwnymi gobelinami ścianach wisiało kilka szabel o zdobionych drogimi kamieniami rękojeściach. Podszedłem i przyjrzałem się dokładnie.

– Piękna robota – rzekłem z podziwem i dotknąłem ostrza, które było jak brzytwa.

– Piękna – powtórzył za mną Knotte. – Nikt już dzisiaj takich nie robi. Przecina żelazną sztabę jak masło.

Podziwialiśmy przez chwilę w milczeniu ten wyrób dawnych płatnerzy, za który koneser zapłaciłby zapewne więcej w złocie niż sama szabla ważyła, po czym rządcą westchnął.

– Dobrej nocy, panie Madderdin – rzekł. – Zaraz przyślę wam księgę. Nie wahajcie się rozkazywać służbie, gdybyście czegokolwiek zapragnęli.

Na początek oczywiście zapragnąłem kąpieli. Wasz uniżony sługa ma bowiem nieprzystojną wręcz słabość do wylegiwania się w gorącej wodzie, nacierania ługiem, a nawet chłostania brzożowymi witkami. Zdawałem sobie sprawę, że byłem dziwolągiem. W naszych nędznych czasach, w których do pewnych ludzi odzienie zdawało się przyrastać niczym druga skóra, a odbywaną z rzadka kąpiel (zwykle z okazji największych świąt kościelnych) uznawali za niezasłużoną karę.

W tym czasie pokojowiec przyniósł księgę oprawną w cielecą skórę i położył tom na blacie stołu. Jednak nie spieszyło mi się do pracy. Wiedziałem, że zadanie, którego się podjąłem, wymagać będzie ogromnego wysiłku oraz obdarzy mnie bólem, jaki zwykłemu człowiekowi zdałby się nie do wytrzymania. Niespieszno mi więc było do opuszczania ciepłej, rozkosznej kąpieli. No, ale w końcu przyszedł czas, by wyjść z misy (przez chwilę podziwiałem, jak brudna woda spływa gdzieś w dół po odkręceniu złotego kuraska, o którym wspomniał Knotte), wysuszyć się i zasiąść przy księdze.

Tom nie zawierał bynajmniej treści heretyckich ani kacerskich. Nie był podręcznikiem mrocznej magii czy opisem satanistycznych rytuałów. Piękne, złożone litery głosiły: „Dzieje, przygody i śmierć walecznego księcia Archibalda przez Thofila Aviana opowiedziane oraz spisane”. Niegdyś miałem okazję czytać ten romans rycerski i rzeczywiście, była to lektura porywająca, pod warunkiem, że kogoś zajmowały historie miłosnych intryg, zdrad, pojedynków oraz walk z poganami, olbrzymami, smokami i czarnoksiężnikami. Powiodłem palcami po delikatnej oprawie, a potem rozłożyłem księgę. Wolno ją kartkowałem, starając się jednocześnie uspokoić umysł i zapomnieć o otaczającym mnie świecie, a skupić się tylko i wyłącznie na należącym do młodego barona tomie.

Każdy przedmiot ma coś, co nazywamy „charakterem”, a co pozostawia mu jego twórca lub człowiek blisko z nim związany. Ten charakter, ta aura przedmiotu, najczęściej jest ledwo

zauważalna. Jak migoczący płomynek cieniutkiej, dopalającej się świeczki. Ale im więcej ucuć poświęcono rzeczy, tym płomień staje się silniejszy. Im potężniejszy był posiadający go człowiek, tym płomień mocniej jaśnieje. A jeśli właściciel zajmował się mroczną sztuką, to bliska mu rzecz będzie przesiąknięta odorem jego własnej duszy.

Oczywiście jedynie nieliczni ludzie są w stanie zauważyć aurę przedmiotu, ale ja, nieskromnie mówiąc, należałem do grona wybranych, a szkolenia w Inkwizytorium wzmocniły me naturalne talenta. W pełnej pokorze przyznaję, że nie posiadałem wielkiej mocy. Lecz była wystarczająca, bym rozpoznał dwie rzeczy. Po pierwsze, właściciel księgi był człowiekiem na wskroś złym. Metafizyczny odór, jaki czułem, wręcz porażał. Po drugie, właściciel oddawał się występkom karanym przez naszą najświętszą matkę – Kościół, a które ludzie nazywają zwykle czarną magią lub mroczną sztuką. Nie znaczyło to jednak, że był potężnym czarownikiem. Po prostu folgował nie tym przyjemnościom i zachciankom, co trzeba. Kiedy już dowiedziałem się tego wszystkiego, przyszedł czas modlitwy. Gdyż tylko modlitwa mogła mnie doprowadzić do celu. Westchnąłem ciężko i uklęknąłem z przymkniętymi oczami.

– *Ojcze nasz, któryś jest w niebie...* – zacząłem.

Modliłem się i czułem, jak moc zaczyna przenikać całe moje ciało. Jak pulsuje wraz z sercem i tętni w żyłach. Jak unosi się wokoło, przepotężna i niepojęta. Pomimo zamkniętych oczu, zacząłem widzieć. Ale widzieć w zupełnie inny sposób niż zwykli ludzie. Moja komnata wypełniona była bowiem pulsującą czerwienią, przypominającą morze ciemnej krwi, a książka należąca do syna barona nagle zognomniła. Wyglądała niczym unoszące się nad posadzką i trzepoczące skrzydła mroku.

– *...daj nam też siłę, abyśmy nie przebacжали naszym winowajcom* – modliłem się powoli i z namaszczeniem.

Czekałem na ból, który zawsze był bratem bliźniakiem modlitwy, i ból uderzył. Jak zwykle to uderzenie miało siłę taranu, a męka była wręcz niewiarygodna. Całe moje ciało płonęło, jakby zostało utkane z czystego, nieskażonego cierpienia. Unosiłem się gdzieś pod sufitem, choć ciężko powiedzieć gdzie, gdyż proporcje, przestrzeń i wymiary straciły swoje pierwotne znaczenia. Widziałem klęczącego Mordimera z wychudłą, ściągniętą bólem twarzą i długimi, ciemnymi włosami opadającymi na ramiona. Kości jego policzków zdawały się przebijać napiętą skórę, a ze złożonych dłoni, spod paznokci wbitych w żywe ciało, kapała krew, rozbryzgując się na posadzce ogromnymi fontannami czerwieni. Smużka czarnego dymu wyłoniła się z księgi i popłynęła gdzieś w mroczną pustkę. Tam właśnie, w tej pustce, na samej granicy postrzegania, kłębiły się istoty będące częścią mroku. Nie przyglądałem się im, gdyż sama ich obecność budziła grozę.

– *...święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje...* – modliłem się dalej, od nowa, i popłynąłem za tą mroczną strugą.

Szybowałem na skrzydłach bólu, który choć w każdej chwili zdawał się nie do

wytrzymania, to jednak z każdą chwilą potężniał. Ujrzałem las, składający się jednak nie z drzew, lecz z szarozielonych olbrzymów o rozwichrzonych czuprynach i strzępiastych brodach. Olbrzymy przyglądały się memu lotowi, a ich puste spojrzenia ściągały mnie w dół. Wiedziałem, że jeśli spadnę pomiędzy szare konary-ramiona, pozostanę już tam na zawsze. Jeśli choć na chwilę przerwę modlitwę, mój lot zakończy się pośród tych wrogich gigantów.

– *Ojcze nasz...* – jęczałem, a gdzieś daleko widziałem pulsującego krwią, bólem i strachem maleńkiego Mordimera.

Ujrzałem rzekę, a raczej leżącego pod ziemią kolosa, z którego oczu, nozdrzu i uszu tryskała błękitna poświata, wijąca się potem jak wstęga.

– ... *przyjdź Królestwo Twoje...*

Za tą wstęgą ujrzałem skurczonych gigantów, którzy opierając się kolanami i łokciami, wrastali głęboko w samo jądro ziemi. W ich kamiennych oczach zastygła całkowita obojętność.

Ból był już tak wielki, że stawał się mdlącą, niepojętą słodyczą, obezwładniającą ruchy i myśli. Modliłem się, bo w modlitwie była jedyna nadzieja, ale każde słowo tylko wzmagало mękę. Lecz wreszcie zobaczyłem, dokąd wiedzie mroczna smużka prowadząca z księgi. Gineła wewnątrz białego jaszczura, którego tułów wydostawał się ponad powierzchnię ziemi, a rozwarły pysk wznosił się ku mrocznej pustce, jakby karmiąc się nią i pijąc z niej.

Musiałem zawrócić. Zobaczyłem wystarczająco wiele, a wiedziałem, że nie wytrzymam już dłużej nieustającej męki. Droga powrotna była tak szybka, jakbym spłynął po ostrzu błyskawicy. Przez moment widziałem zastygłego w cierpieniu Mordimera, a zaraz potem powiedziałem: „Amen” i runąłem na ziemię, uderzając boleśnie czołem w posadzkę. Moje dłonie drżały niczym w febrze. Skórę na wierzchu dłoni miałem przeoraną w własnymi paznokciami, ale na podł odze zastygło zaledwie kilka rudych plamek krwi. Zrobiło mi się słabo i zwymiotowałem. Z trudem wczołgałem się na łóżko, a tam niemal momentalnie zasnąłem z brodą wciśniętą pomiędzy kolana.

* * *

Otworzyłem okiennice i spojrzałem przez zasłaniający okna pergamin nasączony olejem. Cóż, nikt nie jest aż tak bogaty ani aż tak nieroztropny, by szklić okna we wszystkich komnatach. Jak widać nawet zamiłowanie do wygod oraz luksusu barona Haustoffera, miało swoje granice. Otworzyłem okno na oścież i głęboko odetchnąłem świeżym, porannym powietrzem. Byłem zmaltretowany przeżyciami wczorajszej nocy, mdliło mnie jak po solidnym przepiciu i miałem zawroty głowy. Gorzej, że całe ciało wydawało się być nie moje. Tak jakby ktoś inny sterował moimi ruchami, pociągał za sznurek, kiedy miałem podnieść rękę czy poruszyć głowę. A kiedy szedłem, czułem jakbym stąpał nie po twardej posadzce, lecz unosił się tuż nad jej powierzchnią. Oczywiście byłem już przyzwyczajony do tego typu objawów, gdyż podobne rzeczy zdarzały mi się częściej, aniżeli bym sobie życzył. Ale taka

była cena, którą musiałem płacić za łaskę Pana i nie można było uczynić nic innego, jak cenę tę zaakceptować.

Chwilęostałem przy oknie, głęboko oddychając, a potem powlokłem się w stronę drzwi. Na korytarzu, na ławie, siedział pokojowiec. Zerwał się, kiedy mnie zobaczył.

– Czym mogę służyć, wielmożny panie? – zapytał pośpiesznie.

– Śniadaniem – odparłem. – I butelką wina.

Kiedy przyniesiono mi posiłek, wmusiłem w siebie jedzenie, chociaż sam jego zapach przywołał falę mdłości. Popiłem lekkim, kwaskowatym winem i zrobiło mi się nieco lepiej.

– Gdzie są moi towarzysze? – zapytałem służącego.

– Poprowadzę wielmożnego pana – odparł.

Kostucha oraz bliźniaków znalazłem na zamkowym podwórku, gdzie zabawiali się strzelaniem z kuszy do drewnianego manekina. Wokół nich zebrało się kilku zbrojnych barona i głośno komentowali strzały bliźniaków. Bo też strzały te zawsze były śmiertelnie celne.

– Lewe oko – ogłosił Pierwszy i grot z hukiem wbił się dokładnie w czerwoną plamkę farby wymalowaną na głowie manekina.

– Prawe oko – powiedział Drugi i efekt jego strzału był podobnie imponujący.

– Serce – mruknął Kostuch i pocisk śmignął w powietrzu, odłupując drzazgę z lewego ramienia.

– Kurwa – warknął Kostuch i powiódł wzrokiem po otaczających go ludziach w nadziei, że może na którejś twarzy wypatrzy cię uśmiechu.

– Brawo – powiedziałem i leniwie zaklaskalem.

Obrócił się w moją stronę i uśmiech rozjaśnił jego twarz. Zauważyłem, że dwóch zbrojnych barona odwróciło wtedy wzrok.

– Mordimer, ty śpiochu – powiedział serdecznie, a ja tylko zakląłem w myślach.

Tak to jest, biedny Mordimerze – pomyślałem. – Harujesz za wszystkich, cierpisz i czujesz się jakby cię przeniecowano, a twoi durni współtowarzysze nie są w stanie twego wysiłku ani pojąć, ani docenić.

– Szykujcie się do drogi – rozkazałem. – Pojedziemy na rekonesans.

Kostuch zagapił się na mnie.

– Na zwiad – westchnąłem.

Obróciłem się w stronę służącego, który mnie tu doprowadził.

– Niech przygotują nam konie – rozkazałem. – Osiem dobrze nasmołowanych pochodni oraz kilkadziesiąt stóp mocnego sznura.

– Już się robi, panie. – Szybkim krokiem odszedł w stronę stajni.

– Puścimy komuś krwi? – zagadnął Drugi.

– Mam nadzieję, że nie – odparłem. – Chcę tylko rozejrzeć się po okolicy.

– Rozejrzeć – zarechotał Pierwszy, jakbym właśnie opowiedział dowcip.

Wolno podeszliśmy do stajni, gdzie słudzy dociągali wierzchowcom popręgi. Obok stał dowódca zamkowej straży, błądy po wczorajszym przepiciu i z oczami zmętniałymi z niewyspania.

– Witajcie, panie Madderdin – powiedział. – Z polecenia pana barona mam jechać z wami.

– Jestem zaszczycony – odparłem.

Uważałem, że nie ma sensu, bym wyrażał swe niezadowolenie, gdyż rzecz została już postanowiona przez Haustoffera. Zresztą i tak zamierzałem wziąć za przewodnika kogoś znającego okolicę, więc może lepiej, że będzie nim doświadczony żołnierz, a nie chłop, który umknie na pierwszy sygnał niebezpieczeństwa.

Wyjechaliśmy przez zamkową bramę. Ja ramię w ramię z Wolfgangiem, a Kostuch, bliźniacy i pacholek dowódcy straży kilka kroków za nami. Zauważyłem, że od kiedy pacholek zobaczył twarz i uśmiech Kostucha, miał oczy rozszerzone przerażeniem i starał się trzymać jak najdalej od niego.

– Dokąd jedziemy? – zapytał Wolfgang.

– Za lasem znajduje się rzeka, a jeszcze za nim pasmo wzgórz przeciętych wąwozami. Dalej wznoszą się wapienne skały. Wiecie, o czym mówię?

– Tak – odparł. – Dziwi mnie tylko, że tak dobrze znacie okolicę...

– Jedynie pobieżnie – odparłem, gdyż nie miałem zamiaru wnikać w to, w jaki sposób poznałem włości Haustoffera. – Ale powiedzcie mi, czy tam są jaskinie?

– Czy są jaskinie? – zaśmiał się. – Mistrzu Madderdin, tam są dziesiątki jam, jaskiń i pieczar. Podobno za poprzedniego właściciela chowało się w nich zbuntowane chłopstwo.

– Poradził sobie?

– Trochę on, trochę mroźna zima i głód – odparł. Zauważyłem, że spoważniał – sądzicie, iż właśnie tam...

– Być może – wzruszyłem ramionami. – Miejsce wydaje się w takim razie odpowiednie, prawda?

– Prawda – przytaknął – choć, gdyby się rozejrzeć, to wiele w tej okolicy jest ustroni.

– Na przykład?

– Ruiny starej katedry na wzgórzu. Nikt do tej pory nie zbadał ciągnących się pod nią lochów. Znaczący, jeśli w ogóle są lochy, bo tego też nie wiadomo – rzekł. – Dalej: jaskinie pod Pieruńskim Żlebem...

– Co to takiego? – przerwałem mu.

– Wodospad – wyjaśnił. – Jeszcze dalej Utopcowe Mokradła. Tam nawet nie zapuszczają się miejscowi smolarze. W tej okolicy, jeśli tylko się ją zna, można schować nawet armię.

– Pan baron chyba mógł wybrać lepsze włości – zauważyłem. – Z tym majątkiem.

Nic nie odpowiedział i nie spodziewałem się, że odpowie. Niemniej z całą pewnością miałem się czemu dziwić. Oto magnat, dysponujący na moje niewprawne oko, ogromną

fortuną, kupuje zamek położony wśród dzikich lasów i bagnisk. Podobno wraz z bogatymi wsiami, ale za to zamieszkany przez niezbyt pokornych mieszkańców. Dlaczego nie wybrał spokojnych, żyznych ziem opodal Hezu? Albo rozslonecznionych równin w okolicach Tirianu? Co przyciągnęło go w te dzikie strony? Może chęć, by nie rzucać się ludziom w oczy? Zresztą nic dziwnego, skoro miało się syna lubującego w udawaniu wampira, a w dodatku zajmującego się mroczną sztuką.

Już poprzedniego dnia, po modlitwie, zastanawiałem się, czy nie powinienem powiadomić o całej sprawie Jego Ekscelencji biskupa i czekać na inkwizytorów, których niechybnie by mi przysłał na pomoc. Ale szkopał tkwił w tym, że zanim wiadomość by dotarła do Hezu i zanim wysłano by stosowny oddział, upłynęłyby co najmniej trzy tygodnie. Pozostawał też niewielki margines błędu, który mogłem popełnić. Niestety Mordimer Madderdin nie jest człowiekiem nieomylnym i nawet szczerą, gorącą modlitwa może czasem nie przynieść sukcesu lub zaprowadzić na manowce. Nie chciałem nawet wyobrażać sobie, co usłyszałbym od biskupa, kiedy okazałoby się, że zaalarmowałem Inkwizytorium bez potrzeby. Jeśli dodatkowo dotarłyby wieści, że dałem się zwieść bajdom o wampirach (a mogłem być pewien, że życzliwe języki rozpowszechniłyby tę historyjkę), to zapewne moja koncesja zawisłaby na włosku. No a oprócz tego, byłem pewien, że barona nie zachwyciłby rozgłos. To oznaczałoby, oczywiście, brak wypłaty, która waszemu uniżonemu słudze była bardzo potrzebna, gdyż zapasy srebra w mojej sakiewce kończyły się w zaskakująco szybkim i zastraszającym tempie.

Dzień był piękny, niebo bezchmurne, a okolica malownicza. Jechaliśmy stępą leśnymi drózkami, a słońce przeblyskiwało przez gęstą kopułę listowia. Za plecami słyszałem ściszoną rozmowę i od czasu do czasu gulgot, bo chłopcy pokrzepiali się winkiem wycyganionym z piwnic barona. W końcu nie wytrzymałem i też odszypuntowałem bukłak. Podałem go Wolfgangowi, a on popatrzył, jakby bukłak miał go ugryźć, westchnął z cicha, przeżegnał się i łknął potężnie. Od razu też poweselał, a jego policzki zaróżowiły się.

- Znacie sposoby na wampiry, prawda mistrzu? – zapytał.
- Kołek w serce – zawołał z tyłu Kostuch.
- Srebro – odpowiedział Pierwszy.
- Święte niby relikwie – mruknął Drugi.
- No widzicie – uśmiechnąłem się. – Jesteśmy przygotowani.
- Kpicie sobie – mruknął z niezadowoleniem.

Dojechaliśmy do stromego, błotnistego brzegu porośniętego wysoką trawą oraz krzewami.

- Bród jest milę stąd – wyjaśnił Wolfgang.

I faktycznie niedługo zobaczyliśmy szeroką, piaszczystą łachę. Woda w rzece była niemal przezroczysta i na tyle płytka, że dostrzegałem dno oraz leżące na nim duże, białe kamienie. Przed nami ciężko plusnęło coś wyjątkowo dużego.

– Wydra – powiedział Pierwszy i wymierzył z kuszy.

– Zostaw – rozkazałem, chwytając go za ramię.

Nie lubię zabijania bez przyczyny, jedynie dla pofolgowania morderczym instynktom. Nawet kiedy chodzi tylko o bezmyślne zwierzęta. One też mają prawo do życia. Zwłaszcza, że jeśli Pierwszy faktycznie wypatrzył wydrę, to zapewne właśnie miała młode...

– Mordimer, jakie ty niby masz czułe serduszko – zakpił Drugi.

Obróciłem się i spojrzałem w jego stronę. Musiał zobaczyć w moich oczach coś takiego, że szybko uciekł ze wzrokiem. Cóż trzeba przyznać, że wytresowałem chłopców, ale nie miałem nigdy nawet cienia wątpliwości, że są jak dzikie psy. Wystarczy im odczepić łańcuch, wystarczy zabrać bat sprzed oczu, a rzucą się, żeby kąsać. Nie mnie, a przynajmniej na początku nie mnie, ale mogliby narobić kłopotów. Należało więc krótko ich trzymać, nawet jeśli chodziło o drobiazgi. Po to, by bez wahania wykonywali polecenia, kiedy przyjdzie do ważnych rozstrzygnięć.

Po przebyciu brodu wjechaliśmy w sosnowy las. Potem sosny ustąpiły miejsca brzozom, olchom oraz topolom, a kopyta naszych koni zagłębiały się w zielony kożuch mchu i brodziły wśród wysokich paproci. Słyszałem świergot ptaków, a co najmniej dwa dzięcioły wytrwale ostukiwały pobliski pień. Ach, sielskie widoczki i sielskie odgłosy! Nic, tylko rozłożyć się w trawie z butelczyną wina w ręku i chętną dziewczuszką u boku! Szkoda tylko, biedny Mordimerze – pomyślałem – że nie masz czasu na odpoczynek, gdyż całe swe życie poświęciłeś ściganiu złych ludzi. Westchnąłem szczerze i spojrzałem w niebo. Wyraźnie dostrzegłem, że zasnuwają je ciemne chmury. Pierwsza kropla dżdżu kapnęła mi na policzek. Teraz pięliśmy się wąską przecinką wzdłuż zbocza jednego ze wzgórz.

– Robi się ciemno – zauważył ostrożnie dowódca straży.

W jego słowach była niejaka przesada, bo do zachodu słońca dzieliło nas jeszcze ładnych kilka godzin. Lecz faktycznie świat poszarzał, gdyż niebo zasnuła zbita warstwa skłębionych, burzowych chmur. Zrobiło się też parno i, oddychając, czułem się, jakby mi ktoś wsadzał w płuca mokrą szmatę.

Wyjechaliśmy na wyłysiały szczyt wzgórza. Przed nami rozciągała się łagodna równina, a jeszcze dalej białe szczyty, ściany oraz urwiska wapiennych skał. To właśnie miejsce zobaczyłem w czasie wczorajszej, bolesnej modlitwy. Z odległości nie widzieliśmy wlotów jaskiń oraz pieczar, ale byłem pewien, iż właśnie wapienne wzgórza są pełne wydrążonych w kamieniu naturalnych kryjówek.

– Ano jesteśmy – stwierdził Wolfgang, jakby potwierdzając słuszność mego rozumowania.

Potem rozejrzał się badawczo i pokręcił głową.

– Tu i rok można stracić na poszukiwania – powiedział.

Kostuch i bliźniacy również nie mieli najszybszych min. Nie uśmiechało im się wspinanie po wapiennych, kruchych skałach i badanie jaskiń, których ściany groziły w każdej

chwili osunięciem. Tyle, że ja wiedziałem, iż nie będziemy szukać po omacku, co faktycznie stałoby się zajęciem na całe dni dla całej armii. Pomimo, że robiło się coraz ciemniej, dostrzegłem skałę, której kształt przypominał wzniesiony w niebo pysk jaszczura. To ją właśnie zobaczyłem w czasie mej modlitewnej wędrówki. A jeśli tylko wizje mnie nie myliły, właśnie pod nią lub w niej znajdziemy kryjówkę zbrodniarza.

Teraz musiałem się przekonać o słuszności mych podejrzeń. Nie zamierzałem zapuszczać się głęboko do jaskiń, wydając wrogowi bitwę na jego terenie. Zwłaszcza, że siłami dysponowałem nad wyraz szczupłymi. Ale nawet najbardziej ostrożny człowiek musi zostawić ślady obozowania. Resztki jedzenia, pozostałości po ogniskach, skóry oprawionych zwierząt, czy ości ryb. Nie mówiąc już o odciskach końskich podków, sierści lub strzępach materii z odzienia, pozostawionych na gałązkach krzaków. Należało mieć tylko wprawne oko, a w tym wypadku mogłem liczyć na bliźniaków.

Wapienna skała z daleka wydawała się znacznie mniejsza niż była w rzeczywistości. Dopiero kiedy stanęliśmy u jej podnóża, zobaczyłem, że czeka nas niezły orzech do zgryzienia. Widziałem grube pęknięcia w kamieniu, które były zapewne wlotami jaskiń. Ale te pęknięcia znajdowały się mniej więcej sto, sto dwadzieścia stóp od ziemi. Dość, by spadając, odmówić krótki pacierz. Na szczyt skały – pysk i grzbiet jaszczura – można było dostać się łukowato biegnącym zboczem, ale stamtąd z kolei trzeba byłoby się po linie spuścić na około dwieście stóp, by dotrzeć do szczelin.

– Sprawdźcie, ile mamy liny – rozkazałem.

Chłopcy zeskoczyli z siodeł, wyjęli z juków sznury i rozwinęli je. Klócili się przez chwilę, aż wreszcie Kostuch odepchnął bliźniaków i zaczął odmierzać długość krokami.

– Na moje oko sto dwadzieścia – powiedział, krzywiąc się, bo wiedział, że nie wystarczy sznura, by go opuścić ze szczytu.

– No, mały. – Spojrzałem na Drugiego, a potem powiodłem wzrokiem w stronę skalnych szczelin. – Wio na górę!

Bliźniak zapatrzył się na mnie, jakbym urwał się z księżycą. Ale ja po pierwsze, zdążyłem już dokładnie przyjrzeć się skałę, a po drugie, znałem umiejętności Drugiego. Skała była nierówna, poznaczona wystęпами, wąskimi chodniczkami, pełna dziur. Na każdym metrze można było znaleźć miejsce, by oprzeć stopy lub wczepić palce. A Drugi, o czym doskonale wiedziałem, był zwinny niczym kot. Nie raz już widziałem go w akcji i miałem nadzieję, że z najlepszej strony zaprezentuje się również teraz.

– A jak niby spadnę? – zapytał ponuro.

– Będziemy cię niby łapać – zażartowałem i mrugnąłem do niego.

Splunął sobie pod nogi i długo wcierał plwocinę w kamień.

– Dostaniesz podwójny udział – skusiłem go. – I radzę ci szybciej iść. – Spojrzałem w niebo. – Bo jak zaraz lunie...

Drugi westchnął ciężko i zaczął się rozbierać. W końcu został w samej koszuli, butach

oraz rękawicach. Opasał się sznurem. Wolfgang patrzył na niego z podziwem, a potem powiódł wzrokiem po skale.

– Da radę? – zaszeptał. – Po pionowej ścianie?

Ściana nie była bynajmniej pionowa, lecz rozumiałem obawy dowódcy straży. Zwykły człowiek zapewne zwałiby się w dół po kilku metrach. Ale bliźniacy mieli isticie cyrkowe umiejętności, a Drugi zręcznością przewyższał nawet brata. Zastanawiałem się, co by było, gdybym to ja został zmuszony do wspinaczki, i uznałem, że wolałbym nie próbować. Zwłaszcza, że deszcz stawał się coraz mocniejszy, a w czasie wspinaczki nie ma nic gorszego niż wyslizgujące się spod palców kamienie. No, ale cóż: całe życie ryzykujemy.

Drugi podszedł do skały i przeszedł się wzdłuż niej z uniesioną głową. Wypatrywał najlepszego miejsca, by rozpocząć wspinaczkę, i w końcu je znalazł. Zaczepił się palcami lewej dłoni o wapienny występ i podciągnął, jednocześnie wypychając prawą stopę w ledwo zauważalną szczelinę. Potem znalazł oparcie dla prawej dłoni, wygiął się, podciągnął i oto już był ponad naszymi głowami. Nie powiem, by wędrownka szła mu szybko, ale nie zamierzałem go poganiać. Drugi sam doskonale wiedział, w jakim tempie się wspinać. Czasami tkwił długą chwilę przytulony do skały i kręcił tam i nazad głową, wypatrując najlepszego miejsca. Czasami wypróbowywał, czy kamienny występ utrzyma jego ciężar. Dwa razy spod stóp poleciały mu wapienne drzazgi, a w tym samym momencie pacholek Wolfganga krzyknął ze strachu.

Patrzyłem tylko z niepokojem w niebo, gdyż deszcz stawał się coraz gęstszy. Pierwszy z ponurą miną obserwował wysiłki brata. Zastanawiałem się, co zrobiłby, gdyby Drugi odpadł od ściany i złamał sobie kark. Upił się z żalu? Chciał mnie zabić w akcie bezsensownej złości oraz rozpacz? Zostawił mnie i Kostucha, po czym zniknął gdzieś, by służyć komuś innemu? Wzruszył ramionami i uznał wypadek za dopust Boży? Szczerze wam przyznam, mili moi, że nie miałem pojęcia. Pomiędzy bliźniakami istniał jakiś rodzaj magicznej więzi (w potocznym znaczeniu tego słowa, gdyż oczywiście nie było w tym śladu mrocznej sztuki), wiele podobieństw, ale też i wiele różnic. Czasem wręcz zdawało mi się, że nie przepadają za sobą, a kiedy indziej znowu miałem pewność, iż jeden za drugiego skoczyłby w ogień.

Długo trwało zanim Drugi dotarł do szczeliny. Ale dopiął swego. Zniknął na długo w skalnej rozpadlinie, lecz potem zobaczyliśmy, że wychyla głowę na zewnątrz. Cisnął w dół linę, której koniec zatrzymał się mniej więcej na wysokości mojej twarzy.

– Mógł chociaż porobić supły – burknął Wolfgang.

– Dajcie pokój. – Machnąłem ręką. – Tylko ja wejść. Rozejrzę się co i jak, a potem wrócimy. Nie sądzicie chyba, że w pięciu zaatakujemy waszego młodego barona na terenie, który zna jak własną kieszeń?

Ująłem mocno koniec liny i szarpnąłem nią kilkakrotnie. Potem chwyciłem sznur, zawisłem na nim całym ciężarem i rozkołysałem się. Węzeł, zrobiony przez Drugiego gdzieś tam w górze, trzymał dobrze, więc przeżegnałem się i zacząłem wspinaczkę. Nie powiem,

żeby poszło mi łatwo, bo ani nie jestem ani tak lekki, ani tak zwinny jak bliźniacy. Jednak w końcu wczołgałem się w szczelinę, w której Drugi siedział sobie wygodnie oparty o wapienną ścianę i dłubał w zębach patykiem.

– O, Mordimer – powiedział, a ja upadłem i dyszałem niczym wyrzucona na brzeg ryba.

– Ej tam – zakrzyczał na dół bliźniak. – Przywiążcie nam pochodnie do liny!

– Ciszej trochę! – Szarpnąłem go za ramię, bo jego wrzask poniósł się echem po jaskini.

Siedzieliśmy w niewielkiej pieczarze, w półmroku widziałem schodzący w ciemność wąski korytarz. Nie było tam wiele miejsca, ale głęboko pochylony człowiek mógł się swobodnie zmieścić. Jednak póki co nie dojrzałem żadnych śladów ludzkiej obecności, chociaż przyglądałem się pilnie. Po chwili zresztą mogłem przypatrzeć się jeszcze dokładniej, bo skrzesałszy ogień i zapaliliśmy dwie pochodnie.

– I co? – Drugi ruchem podbródka wskazał niski korytarz. – Niby idziemy?

Strzyknąłem śliną przez zęby i zająrzałem w mrok, wysuwając pochodnię przed siebie. I tak niewiele widziałem. Wahałem się. Podróż w głąb wapiennej jaskini mogła być niebezpieczna nie tylko z uwagi na czyhających wrogów (bo o ich obecności wcale nie byłem przekonany). Nie uśmiechało mi się zostać na zawsze na dnie podziemnego labiryntu, a wiedziałem, że tu wystarczy jeden nieostrożny krok albo nawet przypadkowe oderwanie się kamienia od podłoża. Drugi zastukał niecierpliwie knykциями w ścianę.

– No, albo w tą, albo w tamtą – mruknął ponaglająco.

Doskonale mogłem się obejść bez jego światłej i jakże przemyślanej rady. Wzruszyłem lekko ramionami.

– Zejdźmy parę kroków – zdecydowałem. – Ale ostrożniutko, bliźniak, jakbyś chodził po szkle.

– A co ja niby dziecko jestem? – naburmuszył się i zagłębił się w mrok jako pierwszy.

Podążyłem za nim i starałem się trzymać w miarę blisko. Bliźniak szedł co prawda jak na mój gust nieco za szybko, ale wiedziałem, że nie jest przy tym mniej ostrożny. W końcu wiele mu można było zarzucić, ale nie to, że nie szanował własnego życia.

– Oho ho – powiedział.

– Co tam?

– Patrz. – W migoczącym świetle pochodni dostrzegłem, że wskazuje wyciągniętą ręką na skalę. Podążyłem wzrokiem za jego palcem.

– Osmolone – powiedziałem.

– Ano osmolone. Ktoś stał tu długą chwilę, aż płomienie zostawiły ślad na skale.

– Wolfgang mówił, że jaskinie służyły dawniej zbuntowanym chłopom. Może to jeszcze ich ślady?

– Czy ja wiem? – zastanowił się. – Nie, Mordimer. To świeżyzna.

– Poszukajmy jeszcze czegoś – zdecydowałem.

I wtedy usłyszałem chrobot. Tak jakby ktoś postawił nieostrożny krok i zaraz starał się

wygodnie ułożyć stopę. Tyle, że odgłos dobiegł nie z miejsca przed nami, ani za nami, lecz nad nami. Wyciągnąłem pochodnię, lecz oczywiście nic nie zobaczyłem. Czy możliwe, że ktoś czał się na skalnej półce, czymś w rodzaju naturalnego, wapiennego balkonu, i obserwował nas jak na dłoni, bo przecież sami mu przyświecaliśmy?

– Odwrót, bliźniak – syknąłem. – Żywo!

Drugiemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Okręcił się jak fryga, śmignął obok mnie i pognął w stronę wylotu z jaskini. Poszedłem w jego ślady najspieszniej jak potrafiłem. Ale wspominałem już, że nie jestem ani tak zręczny, ani tak szybki jak bliźniacy. Mimo, że przezornie odrzuciłem za siebie pochodnię, by nie wystawiać się na łatwy cel, to jednak ktoś trafił we mnie. Poczulem mocne uderzenie w nogi, sznur oplatał moje łydki i grzmotnąłem na ziemię. Zaraz potem usłyszałem, że ktoś zeskakuje i biegnie w moją stronę. Przetoczyłem się na bok, ale najpierw coś łupnęło w ścianę obok mnie, a za drugim razem niestety to samo coś łupnęło mnie prosto w głowę. No i taki był koniec bezpiecznego rekonesansu Mordimera.

* * *

Nie wiem czemu, ale baroneta wyobrażałem sobie jako młodego, wysokiego człowieka o czarnych włosach, przenikliwych, ciemnych oczach, orlim nosie, wystających kościach policzkowych i smagłej cerze. Jego obraz miałem tak dokładnie wymalowany pod powiekami, że bardzo się zdziwiłem, kiedy wyobrażenie spotkało się z rzeczywistością. Bowiem tak naprawdę syn barona Haustoffera był niewysokim człowieczkiem o włosach koloru ubłoconego lnu, w dodatku za długich, a w zamian za to mocno przerzedzonych. Jego twarz była pokryta naciekłymi ropą krostami, a nos poznaczony sinoczerwonymi krwiami po pękniętych żyłkach. I nie miał dwudziestu kilku lat, lecz przynajmniej pięćdziesiąt. Do tego spory brzuch i kładące się na szyję podgardle. Wszystko to świadczyło o upodobaniu do dużej ilości niezdrowego jedzenia i dużej ilości mocnych trunków.

– Tatusin inkwizytor – wychrypiał z zadowolonym uśmieszkiem. Zęby miał wszystkie, ale tak rozłokowane, że między każdym widziałem szeroką szparę.

Skinąłem mu uprzejmie głową, a raczej chciałem skinąć, gdyż przywiązano mnie na tyle mocno, że nie bardzo mogłem nawet drgnąć. W każdym razie udało mi się lekko ruszyć szyją.

– Światło – warknął gdzieś za siebie i zaraz zobaczyłem jego towarzyszy znoszących pochodnie.

Wtedy dopiero dostrzegłem na środku pieczary wyżłobienie w skale, coś na kształt płytkiego, ale obszernego basenu. Ściany i dno poznaczone były brunatnymi zaciekami. Wiedziałem już, skąd dobiega zapach zastarzałej krwi, który poczułem wcześniej. Na krawędzi basenu stał wysoki na łokieć posązek z czarnego kamienia i wydawało się, że patrzy wprost na mnie oczami uczynionymi ze sporej wielkości rubinów. Na czarnym kamieniu również widziałem ślady zacieków.

– Więc to ty jesteś wampirem – powiedziałem. – A raczej, jak widzę, próbujesz nim

zostać.

Potał nos końcami palców i przyglądał mi się z niezdrowym zainteresowaniem. Miałem nieodparte wrażenie, że zastanawia się, ile krwi da radę ze mnie wypompować. Ale być może to tylko moja niezdrowa fantazja podpowiadała mi takie obrazy.

– To prawda – przyznał i zbliżył się kilka kroków. – Jak tylko wypełnię do końca rytuał, mój drogi inkwizytorze, będę mógł powiedzieć o sobie: *kto pożywa ciała mego i pije moją krew ma żywot wieczny* – zaśmiał się i mrugnął do mnie.

– Błżnisz – powiedziałem.

– Przyzwyczaiłem się. – Machnął lekceważąco dłonią. – Więc tatuńcio kazał ci mnie zabić, prawda? Wiesz dlaczego, miły chłopcze?

Nie jestem już chłopcem, a nigdy również nie starałem się być miły, ale rozumiałem, że młody baron ma taki, a nie inny sposób wysławiania się. Więc uznałem, że będąc w mojej sytuacji, lepiej nie zwracać mu uwagi.

– Pan baronet raczy mnie zapewne oświecić – powiedziałem uprzejmym tonem.

– Ależ oczywiście, że raczę! Tatuńcio musiał niegdyś złożyć solenną przysięgę, że ani on, ani jego ludzie w żaden sposób nie skrzywdzą mnie, czy kogoś z moich. A tatuńcio jaki jest, taki jest, lecz przyrzeczeń dotrzymuje – westchnął nieco teatralnie. – Niestety, wtedy nie pomyślałem, że wynajmie sobie inkwizytora. Ha! Inkwizytora! Tatuńcio! – Wyrażnie cała sytuacja nie tylko go dziwiła, ale również bawiła. Mnie jakby mniej.

– Cóż, obrót spraw czasem zaskakuje nas wszystkich – stwierdziłem.

– Pewnie – zaśmiał się. – Zwłaszcza, że odprawimy rytuał krwi z tobą w roli głównej!

– Panie Haustoffer – powiedziałem i odetchnąłem głęboko, gdyż szykowałem się do dłuższej przemowy. – Może mi pan wierzyć, że rytuał krwi to jedynie czczy wymysł. Doskonale wiem, na czym on polega, gdyż opisał go szalony heretyk i czarownik Maksencjusz z Pelazji. Lecz, proszę mi zaufać, że poza opiciem się krwią i wysmarowaniem nią od stóp do głów nie osiągnie pan niczego więcej...

– Czytałeś Maksencjusza? – spojrzał na mnie uważnie.

– Inkwizytorzy muszą znać heretyckie księgi, muszą też poznać mroczną sztukę w sposób wystarczający, by wiedzieć, z czym mają do czynienia – wyjaśniłem.

– Mroczną sztukę. – Oblizał wargi bladym językiem, jakby samo wymawianie tego słowa sprawiało mu przyjemność. – Jakże wy to nazywacie... A to są przecież wrota prawdziwego raju na ziemi, słońce jaśniejące pośród niezgłębionych ciemności Chrystusowego świata. Nadzieja na wiekuiste życie, na zapomnienie o trwodze pokuty, o lęku przed sumieniem, o ogniach czyśćca i piekła. Nie rozumiesz tego, inkwizytorze? – Spojrzał na mnie niemal z żalem.

– Z całym szacunkiem, wasza dostojność – powiedziałem. – Ale ten rytuał jest po prostu nieskuteczny. Maksencjusz wszystko wymyślił, a niech mi wasza dostojność wierzy: mia 1 bogatą wyobraźnię.

– Ale ja ci nie wierzę – warknął, mrugając wściekle wodnistymi oczkami.

– Ja znam prawdę – powiedziałem cicho. – Traktat Maksencjusza został celowo zafałszowany, lecz niektórzy z inkwizytorów poznali właściwy przebieg rytuału i nauczyli się właściwego brzmienia zaklęć.

– C-co takiego? – Podskoczył do mnie i wpił się palcami w moje ramiona. – Mówisz prawdę? Prawdę?

Twarz barona znalazła się tuż przy mojej. Z jego ust bił odór zgniłej krwi. Z trudem to wytrzymałem, ale i tak nie miałem możliwości, by odwrócić głowę.

– Tak, dostojny panie – odparłem. – Chcę kupić sobie życie.

– Hmmm... – Przypatrywał mi się cały czas, jakby szukając w mojej twarzy fałszu. – Kupić życie, mówisz? Kto wie, kto wie...

Puścił moje ramiona i odsunął się o krok.

– A może nie muszę niczego kupować? – Uśmiechnął się wrednie. – Może sam sobie wezmę, co chcę? No bo jak, na ten, powiedzmy, przykład, inkwizytorzy znoszą przypiekanie ogniem? A wyrywanie zębów i paznokci? A przebijanie jąder rozpalonym drutem? Co?

– Nienajlepiej – roześmiałem się, a mój śmiech wyraźnie go zdziwił. Czy sądził, że zacznę lamentować, płakać i błagać o litość? – Ale chciałbym zauważyć, dostojny panie, że otumaniony bólem oraz przekonany o nieuchronnej śmierci inkwizytor może popełnić nieodwracalny błąd. Błąd, który może spowodować nawet śmierć w czasie odprawiania rytuału.

– A jeśli... – Znowu się zbliżył i znowu poczułem ten odór zgniłej krwi. – Jeśli każę najpierw dokonać obrzędu na którymś z moich dworzan i dopiero, kiedy się powiedzie, zgodzę się rzecz powtórzyć na sobie?

– To dobrze mieć do kogoś tak głębokie zaufanie, by wierzyć, że zyskując moc oraz nieśmiertelność wampira, nie stanie przeciwko tobie – powiedziałem z zadumą w głosie.

Przygryzł wargi i po chwili milczenia odstał na krok.

– Mam zaufanie do moich ludzi – obwieścił. – Ale to właśnie ja muszę zaryzykować.

– Nie będzie żadnego ryzyka – zapewniłem. – A jeśli rytuał się nie uda, to go po prostu powtórzymy. Jednak wasza dostojność wybaczy, ale by odprawić wszystko jak należy, nie mogę być związany w pień...

– Słyszałem, że inkwizytorzy to groźni ludzie – rzekł ponuro. – I niebezpiecznie mieć ich za wrogów. Chyba, iż są spętani oraz bezbronni.

– Tak właśnie o nas mówią – pozwoliłem sobie na uśmiech. – Wasza dostojność nie sądzi chyba, że posiadam jakieś nadludzkie umiejętności? Gdyby tak było, to w końcu nie dałbym się ogłuszyć, związać i nie musiałbym pertraktować o życie.

– I nie wlaźbyś do naszej kryjówki od najtrudniejszej strony – uśmiechnął się. – Tylko poszukał wygodniejszego wejścia po drugiej stronie skał.

Przyglądał mi się długo, a ja miałem czas, aby zastanowić się nad własną głupotą, a

raczej zaufaniem do modlitewnej wizji, która przecież poprowadziła mnie do kryjówki baroneta najbliższą, co nie znaczy najsposobniejszą drogą.

– Cóż... – Haustoffer wyraźnie nadal się zastanawiał i przebierał palcami, jakby bezustannie licząc, czy aby na pewno ma ich dziesięć.

– Ernest – warknął w końcu do tyłu i zrozumiałem, że podjął decyzję. – Ustaw ludzi przy ścianie półkolem, niech mają naładowane kusze i uważają na inkwizytora.

– Tak jest! – Opryszek w skórzanej, podniszczonej zbroi zaczął rozstawiać zbrojnych. Przy okazji zapalili więcej pochodni i w jaskini zrobiło się naprawdę jasno

– Rozwiążcie go – rozkazał baronet, patrząc na mnie, i cofnął się kilka kroków.

Ktoś z tyłu przeciął moje więzy. Wolno wyciągnąłem dłonie i zacząłem masować nadgarstki.

– Będą potrzebne dziewice? – zapytał z wyraźną fascynacją w głosie młody Haustoffer.

– A ma pan baron jakieś na zbyciu? – spytałem uprzejmie.

– A mam! – Klasnął w uda wyraźnie zadowolony. – Wiejskie dziewczuchy, ale młode i nieruszone.

– Proszę je kazać przyprowadzić.

Wydał polecenie i po chwili jego ludzie przywlekli przed ten ołtarz-nie ołtarz dwie potargane i bardzo młode dziewczyny. Były tak oglupiałe i przerażone, że nawet nie wrywały się, ani nie krzyczały. Tylko jednej z nich łzy leciały ciurkiem po usmarowanej brudem twarzy. Te dziewczyny nie były mi do niczego potrzebne i miałem nadzieję, że nie będę musiał ich zabić. Ale im więcej będzie w jaskini przebywać osób, tym lepiej dla mnie. Zwłaszcza kiedy się zacznie zamieszanie. Cały czas, bowiem, liczyłem, że nie będę musiał uciec się do ostateczności i zdecydować na rozwiązanie, które zagrażało również mnie samemu. Miałem nadzieję, że uda mi się wybrnąć z kabały za pomocą sprytu oraz siły mięśni, a nie odwołując się do mocy nadnaturalnych.

– W srebrny sierp pan baronet się, jak mniemam, zaopatrzył?

– Dobrze mniemasz – odparł, a jeden ze zbrojnych podał mu przedmiot zawinięty w natłuszczoną szmatę.

Haustoffer ostrożnie odwinął szmatę i zobaczyłem srebrny sierp z drewnianą, wyprofilowaną i wygładzoną rękojeścią. Na moje oko tępy był wręcz nieludzko i podrzynanie nim gardła mogło nie być szczególnie miłe zarówno dla podrzynającego, jak i podrzynanego (choć niewątpliwie z różnych powodów).

– Na razie jednak potrzebuję pana krwi, baronie – powiedziałem łagodnym tonem i zauważyłem, że Haustoffer blednie.

– Moj-jej? – wyjąkał.

– By wyrysować ochronny pentagram, w środku którego wasza wielmożność stanie – wyjaśniłem. – Nie mogę do tego celu użyć krwi kogoś innego.

– Aha – powiedział i niechętnie podwinął rękaw kubraka. – Ile tej krwi potrzebujesz?

– Niewiele.

Dość długo trwało zanim do glinianej miski utoczyliśmy (a raczej Haustoffer utoczył, gdyż oczywiście nie był na tyle głupi, by wręczyć mi nóż, ani nawet by dać się mi zbliżyć więcej niż na pięć, sześć kroków) wystarczającą ilość krwi. Jeden ze zbrojnych podał mi misę, a ja wyrysowałem palcem na kamieniach okrąg, w który wpisałem pięcioramienną gwiazdę. Pomiedzy rogami gwiazdy nabazgrałem symbole, które mogły uchodzić za magiczne hieroglify. Zwłaszcza podobał mi się ten, który przypominał miecz na czterech łapach.

– Czy pan baronet raczy stanąć w środku? – zapytałem.

– Raczę – odparł. – Ale ty tam się cofnij – rozkazał. – Jeszcze, jeszcze – poganiał mnie, póki nie oparłem się plecami o ścianę.

Z przykrością muszę przyznać, że czterech zbrojnych cały czas miało mnie na celowniku. A Mordimer Madderdin może jest i człowiekiem wytrenowanym w walce wręcz, ale nie opanował jeszcze niewątpliwie fascynującej sztuki tańca pomiędzy bełtami.

Haustoffer stanął w krwawym kręgu.

– Dostojny panie – rzekłem. – Zanim przystąpimy do właściwego rytuału, do poświęcenia dziewic, kąpieli we krwi oraz picia tego życiodajnego płynu, zanim rozpoczniemy magiczne inkantacje, musisz się raz na zawsze wyrzec Boga oraz Aniołów.

Kiedy dopowiadałem te słowa, zobaczyłem lekkie zaniepokojenie wśród żołnierzy barona.

– U Maksencjusza nic takiego nie było. – Zmarszczył brwi Haustoffer.

– Właśnie – przytaknałem z naciskiem. – Jak można zyskać właściwą tylko Bogu i Aniołom wieczność, wprzód się ich nie wyrzekając? Wszak to oni uczynili nas śmiertelnymi...

– Będę nieśmiertelny? Na pewno?

– Zawsze są ograniczenia, wielmożny panie – zamierzałem komplikować, gdyż wszystko wtedy wypadło wiarygodniej. – Będzie cię można zabić za pomocą ognia lub przebijając twe serce kołkiem. Będziesz też czuł strach i obrzydzenie do świętych symboli.

Skrzywił się.

– A latanie?

– Jak na skrzydłach orła.

– Zamienianie się w mgłę?

– Będzie wymagało pewnej praktyki.

– Co z odbijaniem się w lustrze?

– Przykro mi. – Rozłożyłem dłonie. – Dziś pan baron ma okazję zobaczyć swe oblicze po raz ostatni.

To go chyba wreszcie przekonało.

– Co mam mówić? – zapytał niezbyt pewnym głosem.

– Dobrze. Zaczniemy. Będę panu baronowi zadawał pytania, a wasza wielmożność odpowie na nie pełnymi zdaniami, z nieskończoną furją, pasją oraz uczuciem.

– Z furją, pasją oraz uczuciem – powtórzył. – Nieskończoną...

– Kogo się pan baron wyrzeka?

– Wyrzekam się – zaczął. – Boga? – Spojrzał na mnie pytająco, a ja pokiwałem głową.

– I?

– Aniołów? – poddał.

Znowu skinąłem głową z aprobatą.

– A teraz mocno i pełnym zdaniem! – rozkazałem.

– Wyrzekam się Boga i Aniołów! – wrzasnął, a kilku z jego ludzi rozejrzało się wokół nerwowo.

Niestety kusznicy nadal celowali wprost we mnie, więc musiałem ciągnąć tę niebezpieczną grę.

– Pan baron plwa na?

– Plwam na Boga oraz Aniołów! – Jego głos poniósł się echem po jaskini. Uśmiechnął się.

– Przeklina pan...

– Przeklinam Boga oraz Aniołów!

– Bo kto jest sodomicznymi, skrzydlatymi wypierdkami?

– Aniołowie są sodomicznymi, przekłętymi, skrzydlatymi wypierdkami, plwam na nich i przeklinam ich! – rozpędzał się Haustoffer.

Ludzie mówią różne rzeczy. Błuźnią, przeklinają, złorzeczą Bogu. Ale niezwykle rzadko zdarza im się to czynić w obecności kogoś, kto tak, jak ja, ma swego Anioła Stróża. I kto, jak ja, dysponuje pewnym rodzajem mocy oraz jest związany ze swym Aniołem niepojętą mistyczną więzią. Liczyłem, że bluźnierstwa przyciągną Anioła, który – jak już kiedyś zdążyłem się przekonać – nienawidził, kiedy obrażali go śmiertelnicy. Być może tylko to było w nim ludzkiego, gdyż miałem zawsze wrażenie, że jego myśli mkną po nieogarniętych dla mnie mostach szaleństwa. I tym razem Anioł się zjawił. W huku, dymie oraz ciemności, gdyż podmuch zgasił pochodnie. I w całkowitej ciszy, gdyż nikt nie wyrzekł nawet słowa, widząc na środku jaskini, dokładnie w zabrudzonym zaschniętą krwią basenie, świetlistą postać. I tylko światło Anioła rozpraszało teraz mrok.

Mój Anioł stał, podpierając się na mieczu, a jego lśniące białe skrzydła rozpościerały się do samego sklepienia. Przyglądał się wszystkiemu wokół ponurym wzrokiem.

– Mordimer, ty sukinsynu – rzekł, a ja wyczułem w jego głosie nutę rozbawienia.

Staralem się nie patrzeć mu w oczy i skłoniłem się bardzo, bardzo nisko.

– Mój panie – powiedziałem.

Obrócił się wolno wokół własnej osi i skupił spojrzenie na baronecie, który tkwił w krwawym kręgu z rozdziawionymi ze zdumienia ustami. Widziałem, jak po czole Haustoffera

spływają grube krople.

– Więc jestem sodomicznym, skrzydlatym wypierdkiem? – zapytał Anioł cicho, a ja słysząc ten głos, poczułem, jak oblewa mnie lodowaty pot. Upadłem na kolana i pochyliłem głowę tak nisko, że czołem dotknąłem skały. Przypatrywałem się jednak wszystkiemu uważnie.

Młody baronet nie był w stanie nic powiedzieć ani nawet drgnąć. Nie miałem pojęcia, czy to Anioł go sparaliżował, czy też unieruchomiony został zwykłym, jakże ludzkim strachem.

– Skrzydła – rzekł Anioł wielkim głosem.

I wtedy Haustoffer wrzasnął. Rykiem nieprawdopodobnego wręcz bólu i nieprawdopodobnej grozy. Nadal nie mógł ruszyć się z miejsca, ale jego plecy pękły i w fontannach krwi obnażył się nagi kręgosłup. Z kości wyrosły wielkie, ciemne, ociekające posoką błony, poznaczone srebrnymi nićmi włókien. Anioł skinął dłonią, a wtedy jakaś potężna siła porwała to nieludzkie już, zdeformowane ciało i rozpostarła je na ścianie. Z kusz trzymanych przez strażników wyleciały bełty i przybiły baroneta do skały. Po jednym w każde skrzydło, po jednym w każdą nogę. Ostrza uwięzły w kamieniu aż po pierzaste końcówki. Haustoffer obrócony twarzą do skały wył, jakby wraz tym wyciem miał wypłuć cały ból.

– Sodomia! – rzekł znów Anioł wielkim głosem.

I wtedy zobaczyłem, że leżący na ziemi skalny odłamek zaczyna migotać, rozpylić się w powietrzu i formować w kształt gigantycznego, gdyż wielkości męskiego ramienia, fallusa. Wreszcie, kiedy uformował się już do końca, pomknął z ogromną prędkością i wbił się wprost między nogi Haustoffera. Mogłem zamknąć oczy, ale żałowałem, że nie mogę zamknąć uszu.

– I kto jest teraz skrzydlatym, sodomicznym wypierdkiem? – zapytał mój Anioł z głęboką satysfakcją w głosie, a jego oczy rozjarzyły się słońcem.

– Nieśmiertelność! – rzekł tak potężnie, aż usłyszałem, iż osypują się skały.

Później zobaczyłem tylko jego olśniewający uśmiech, po czym zrobiło mi się lekko, słabo i odpływałem w pustkę. Kiedy się ocknąłem, leżałem w trawie, a Anioł siedział obok i podpierał się skrzydłami. Nucił coś, jakąś melodię bez słów. Skała pod nim wrzała, ale pogrążony w zamyśleniu nawet tego nie zauważał. Wstałem, mimo że kręciło mi się w głowie, a przed oczami widziałem wirujące czerwone kręgi.

– Mordimer. – Anioł podniósł się i dotknął palcami mojego ramienia, a ja z trudem pohamowałem krzyk, gdyż jego dotyk wypalił mi rany do żywego mięsa. – Nie rób tego więcej.

Cofnął dłoń i wtedy ujrzałem, że niemal zwęglił mi ramię. Chwilę się zastanawiał, po czym znowu zbliżył rękę, ale tym razem poczułem tylko lodowaty powiew i rany po oparzeniach zabiły się tak szybko oraz tak dokładnie, że nawet nie pozostawiły śladu na skórze.

– Co za dużo, to niezdrowo, Mordimer – dodał.

– Błagam o wybaczenie – szepnąłem.

– Eeee, nie błagaj. – Strzepnął dłońmi. – Przynajmniej miałem chwilę uciechy. Kto to był?

– Człowiek, pragnący wypełnić heretyckie rytuały, by zostać wampirem, mój panie.

– Wampirów nie ma – roześmiał się Anioł. – Cóż to za pomysł!

Podniosłem wzrok i zobaczyłem, że teraz przybrał postać chudego człowieczka w szarej kapocie i w kapeluszu o szerokim rondzie. Tylko olśniewająco jasne włosy, jakby utkane ze słonecznych promieni, spływały mu aż na ramiona.

– Pilnuj się, Mordimer – powiedział i pogroził mi żartobliwie palcem. – Bo nawet nieskończona cierpliwość i nieskończone miłosierdzie Aniołów mają swoje granice.

Dopowiedział te słowa, po czym w jednej chwili zniknął przed moich oczu.

Przez chwilę w miejscu, gdzie przed momentem stał, migotała oślepiająca jasność, ale i ona rychło się rozproszyła. Westchnąłem z ulgą, bo mogłem powiedzieć, że znowu miałem więcej szczęścia niż rozumu. A także swoje, bardzo prywatne, zdanie na temat cierpliwości oraz miłosierdzia. Zwłaszcza nieskończonej cierpliwości i nieskończonego miłosierdzia.

Pod wapiennymi skałami nie było śladu po moich towarzyszach i miałem tylko nadzieję, że pojechali do zamku, aby sprowadzić pomoc, a nie aby oplakiwać utratę dowódcy i topić żal w butelkach wina. Gorzej, że zniknął również mój koń, co oznaczało, że do siedziby Haustoffera będę się musiał wlec na piechotę. Byłem jednak na tyle rozsądny, iż nie przyszła mi nawet do głowy myśl, że Anioł mógł mnie przenieść do miejsca znajdującego się bliżej zamku. Jedyne, co mogłem do Niego czuć, to wdzięczność, że uratował mnie z opresji oraz uznał me intrygi za interesujące, czy też zabawne. Doskonale jednak zdawałem sobie sprawę, że następna podobna próba sprowokowania Go może się już dla mnie zakończyć bardziej niż oplakanie.

* * *

Baron był zdumiony, że jeszcze żyje. Zwłaszcza, że nie zamierzał, oczywiście, wysłać żadnej wyprawy ratunkowej, czemu zresztą ciężko się było dziwić. Skoro wynajęty inkwizytor nie pokonał niebezpieczeństwa, pał liko inkwizytora!

– Jak sobie poradziłeś? – Wpatrzył się we mnie z zainteresowaniem.

– A, pozabijałem ich wszystkich – odparłem, bo nie zamierzałem opowiadać o szczegółach rozprawy z jego synem i o tym, że uzyskał on w końcu upragnioną nieśmiertelność, dzięki wszechmocnemu życzeniu mego Anioła.

Haustoffer milczał bardzo długo.

– Widzę, że inkwizytorzy są ulepieni z twardej gliny – rzekł w końcu.

– Nasza legenda mówi, że Pan ulepił pierwszego inkwizytora na swój obraz i podobieństwo – powiedziałem żartobliwym tonem. – Ale proszę mi powiedzieć: po co było to wszystko? Przecież pan baron doskonale wiedział, że pański syn nie jest żadnym wampirem.

– A mógł nim się stać? – zapytał, nie odpowiadając na pytanie.

– Nie, panie baronie. Nie istnieją tego typu rytuały, a raczej owszem istnieją, lecz ich opisy są tak samo wiarygodne, jak opisy powstawania kamienia filozoficznego bądź tinktury czerwonej.

– Musiałem was skusić, mistrzu – rzekł baron. – A tylko niezwykłość misji i wasze powątpiewanie mogły przynieść rezultat. Gdybym wyznał, że mój syn zajmuje się mroczną sztuką, już za kilka tygodni roіłoby się tu od twoich konfratrów w czarnych płaszczach. A tak poradziłeś sobie sam. Zabiłeś wszystkich i sprawa jest skończona.

– Prawa Inkwizytorium wymagają ode mnie napisania szczegółowego raportu – powiedziałem.

– Piszcie sobie – rzekł pobłaźliwie. – Przecież nie skłamiecie, mówiąc, że samodzielnie, z drobną jedynie pomocą, rozwiązaliście problem. Sądzę, że inkwizytorzy nie mają powodów, by się interesować moją jakże skromną osobą, zważywszy na fakt, że wydałem w wasze ręce własnego syna.

– To uczynek godny niewysłowionej pochwały – odparłem poważnie.

– I ja tak myślę. – Skinął głową. – Nigdy nie miałem sentymentu dla tego padalca, ale to, co ostatnio wyczyniał, przechyliło już szalę. Nie żywię szczególnych uczuć do chłopstwa, ale uważam że owce należy strzyc, a nie zarzynać. Jak sądzicie?

– Wasza dostojność przemawia, jakby czytał w moich myślach – odparłem.

– Dobrze powiedziane. – Uśmiechnął się. – Przejdźmy więc do kwestii nagrody za dobrze wypełnione zadanie. Przypomnij mi, jak się umawialiśmy?

Ha, mili moi, zbliżała się chwila prawdy, a wasz uniżony sługa miał się niedługo przekonać, czy jego dostojność baron tylko sobie żartował, czy też naprawdę chciał spełnić marzenia skromnego inkwizytora. I wtedy nieopatrznie (a może opatrzenie) spojrzałem w ogromne lustro wiszące na ścianie po prawej stronie. Zobaczyłem w nim krzesło ze zdobionym oparciem, karmazynowe kotary, złożone stiuki przy suficie. Stolik z kryształowym kieliszkiem, karafką i nalanym do połowy wysokości czerwonym winem. Tylko jeden mały szczegół: nie zobaczyłem w lustrzanej tafli samego pana barona. Jeszcze raz rzuciłem okiem na pokój i wróciłem spojrzeniem do lustra. Nic się nie zmieniło. Pan baron po prostu nie odbijał się w szkłe.

– I cóż, inkwizytorze? – zagadnął, kiedy chwila milczenia się przedłużała. – Jakie są twoje życzenia?

– Praca dla waszej dostojności była dla mnie czystą rozkoszą – odparłem uprzejmie i bez zająknienia. – Jedyne, czego sobie życzę, to bezpiecznie wrócić do Hez-hezronu, a poczucie wypełnionej misji oraz świadomość łaski i zaufania, jakimi wasza dostojność mnie obdarzył, będą dla mnie wystarczającą nagrodą.

– Pięknie powiedziane – zauważył Haustoffer i wstał, a obraz w lustrze nadal się nie zmienił.

Uniósł karafkę oraz kieliszek, ale obraz w lustrze nadal się nie zmieniał! Karafka i

kieliszek według tego, co odbijała tafla, nadal stały na marmurowym blacie! Zamrugalem. Raz, a potem drugi. I dopiero po długiej chwili zorientowałem się, jak bardzo jestem naiwny. Mogłem sobie tylko pluć w brodę, że zawierzyłem własnym, zawodnym zmysłom, a nie wytrenowanemu przez lata ćwiczeń umysłowi. Skoro wiedziałem, że wampirów nie ma, nie powinien mnie przekonać fałszywy obraz. Bo też był to właśnie obraz, a nie lustro. Obraz z niezwykle dokładnością oddający wszelkie szczegóły umeblowania komnaty. Trzeba przyznać, że pan baron miał poczucie humoru świadczące zarówno o pewnym znudzeniu, jak i wyobraźni. Niemniej, oczywiście, upokorzył mnie i oszczędził sobie wydatków. Ale jednocześnie otrzymałem od niego cenną naukę.

Skłoniłem się głęboko.

– Żegnam pana barona i pozostaję pańskim jakże uniżonym sługą – powiedziałem.

– Żegnajcie, panie Madderdin – rzekł. – Może jeszcze kiedyś się spotkamy i będę miał dla pana inne zlecenie?

– Nie wiem, czy moje skromne umiejętności pozwolą dobrze wywiązać się z wyznaczonego zadania – rzekłem, cofając się.

Zatrzymał mnie gestem uniesionej dłoni.

– Nie chciałbym, aby pozostawał pan tylko z moją wdzięcznością oraz własną satysfakcją. – Uśmiechnął się leciutko i podszedł do mnie. – Proszę. – Sięgnął – w zanadrze i podał mi dużą, ciężką kieszkę z cielecej skóry wyszywanej złotem. – Niech mnie pan zachowa w dobrej pamięci.

– Dziękuję panie baronie – skłoniłem się raz jeszcze.

Nie ukrywam, że Haustoffer wzbudził mój szacunek, który to szacunek wzrósł jeszcze bardziej, kiedy tuż za progiem zerknąłem do wnętrza sakiewki i zauważyłem, że jest ona pełna złotych dublonów.

* * *

Do rozstaju dróg odprowadził nas Knotte. Był lekko pijany, a jego chłodne, niebieskie oczy tym razem patrzyły życzliwie.

– I jednak mieliście rację – zaśmiał się. – Nie ma wampirów. Pozory mylą, nieprawdaż?

– Przyznam, że sztuczka przygotowana przez pana barona była nader przekonująca – odpowiedziałem. – A ja jestem zadowolony, że potwierdziły się moje przypuszczenia.

– Taaa – mruknął. – Czarownik, zwykła rzecz, ale wampir to byłoby już coś, prawda? Żałujecie?

Musiałem chwilę zastanowić się nad jego pytaniem.

– Na świecie jest zbyt wiele potworów, bym życzył sobie poznawać, opisywać i zwalczać następne – rzekłem. – Lecz z drugiej strony...

– Pasja odkrywcy, co? – Uśmiechnął się, a ja wzruszyłem ramionami.

– Chyba tak. Nowe wyzwania, nowe pytania, szukanie odpowiedzi... W końcu to właśnie,

prócz strzeżenia wrót naszej świętej wiary, jest moją profesją i moim powołaniem.

– Ha! Pytania! – powiedział. – Nie myśleliście nigdy, panie Madderdin, że niebezpieczeństwem zadawania pytań jest to, iż możecie usłyszeć odpowiedź?

– Panie Knotte – roześmiałem się. – Myślę o tym zawsze. Zresztą przebywając w towarzystwie barona, zapewne macie wiele czasu na zadawanie sobie różnorakich pytań.

– Wszyscy służymy co prawda jego dostojności dopiero od dwóch lat, ale macie rację, panie Madderdin: co by nie mówić, dziwny to człowiek.

Pożegnaliśmy się silnym uściskiem dłoni, a zarządca skinął głową na pożegnanie moim towarzyszom. Pojechaliśmy wolno, stępa w stronę najbliższego miasteczka, tak, by zanocować dziś w przyzwoitej gospodzie i ominąć oberżę, w której kulawy karczmarz podawał wyjątkowo paskudne piwo i wyjątkowo paskudne jedzenie.

Powiedziałem chłopakom, ile zarobiliśmy, a oni rozpromienili się, bo też tak popłatnego zlecenia nie mieliśmy już dawno. Najbardziej zadowolony był oczywiście Drugi, który miał otrzymać podwójny udział.

– Do Hezu, co? – spytał Kostuch i oczy mu się zaświeciły.

– Tak, Kostuch. Do szulerni, kurew i knajp, żebyś mógł jak najszybciej wszystko przepuć – odparłem.

– No! – powiedział z rozmarzeniem w głosie, a ja westchnąłem.

Nie, żebym był lepszy od niego. Znając moje nawyki, nie na długo wystarczy tych złotych dublonów, bo kiedy kieska była pełna, to wasz uniżony sługa nie zwykł żałować gotówki na piękne dziewczki, drogie wina i wystawne uczty w gronie przyjaciół. Dobrze przynajmniej, że nie mogłem grać, gdyż zakaz hazardu był jednym z kaprysów mojego Anioła Stróża. Nie chciał mi ułatwiać życia, zważywszy na fakt, że niemal zawsze wygrywałem i niemal zawsze potrafiłem natychmiast wykryć każdego oszusta. W związku z tym moje karciano-kościane przyjemności ograniczały się do niewinnej zabawy z Kostuchem oraz bliźniakami, gdzie stawką były najdrobniejsze miedziaki. Ot tak, dla czystej rozrywki. Choć rozrywką było nie samo wygrywanie, lecz przyglądanie się wściekłości towarzyszy, dostających szału, kiedy nie mogli sobie poradzić z moim nieustającym szczęściem. A zawsze mieli nadzieję, iż w końcu wygrają. Ha, jak mówi stare przysłowie: „nie za to ojciec bił syna, że grał, ale za to, że chciał się odegrać”.

– No to znowu uszliśmy z życiem – westchnął Pierwszy.

– Towarzystwo Mordimera nie jest niby bezpieczne, ale popłaca – zauważył Drugi.

Kostuch tylko uśmiechał się do własnych myśli i miałem pewność, że wyobraźnia zaprowadziła go już do Hezu.

– Lepiej być, prawda, żywym niż martwym – Pierwszy z satysfakcją podzielił się z nami perłami swych przemyśleń.

– „A mnie już tylko to łożo pod trawą pozostało, gdzie zimnego trupa kret nosem trąca” – zaśpiewał Drugi niezgodnie zarówno ze słowami, jak i melodią.

– Mordimerze – pomyślałem z rozżaleniem – biedny, biedny Mordimerze.

I nagle ściągnąłem wodze wierzchowca.

– Trupa? – niemal wrzasnąłem. – Trupa?

– A tyżeś co? Zdurniał? – spojrzał na mnie Pierwszy.

Lecz ja już zawracałem w stronę zamku.

– Czekajcie na mnie w karczmie! – zawołałem przez ramię i spiąłem konia ostrogą.

Wiedziałem, że postępuję pochopnie. Że powinienem się dwa, a może i dziesięć razy zastanowić zanim poproszę Haustoffera o rozmowę. Jednak wiedziałem też, że muszę wyjaśnić jedno: jak to się stało, że trupy służących barona zostały pięknie wyczyszczone z wszelkiej krwi, skoro baronet nie był wampirem? Kto i dlaczego zabił troje ludzi w tak zdumiewający sposób, skoro młody Haustoffer chciał ofiarom rozchłastać gardła srebrnym sierpem, co niewątpliwie pozostawiało zupełnie inne ślady? Musiałem zadać to pytanie, choć nie byłem pewien, czy spodoba mi się odpowiedź.

Epilog

– Wróciłeś – powiedział z zadumą w głosie i podniósł się na poduchach. – Będziesz tak uprzejmy i nalejesz mi wina?

– Oczywiście – odparłem i podałem mu srebrny kielich.

– Po co wróciłeś, inkwizytorze?

– Aby wiedzieć. Aby wiedzieć, co stało się ze służącymi. W jaki sposób wypreparowano z nich krew z tak niezwykłą dokładnością i nie pozostawiając niemal żadnych śladów na ciele.

– Aby wiedzieć – powtórzył.

Upił łyk i odstawił kielich na stolik.

– Wiedza nie jest dobrem samym w sobie, Mordimerze. – Spoczywał nieruchomo, a jego białe dłonie leżały na kołdrze jak skrzydła starego, martwego ptaka. Tym razem zdjął z palców pierścienie. – Może być dobra wiedza i zła wiedza. Sam to zresztą poznałeś najlepiej. Jako inkwizytor. Ale ty chcesz jednak wiedzieć niezależnie od tego, dokąd cię to zaprowadzi.

– Przypatrywał mi się uważnie, ale w jego wzroku wyczytałem coś na kształt zrozumienia. – Na pewno chcesz?

– Chcę – odrzekłem cicho.

– A więc dobrze. Skoro tak. Patrz. – Wstał z łoża nadspodziewanie zręcznie i wziął w dłonie wiszący na ścianie krzyż. – Czy boję się świętych symboli? Czy krucyfiks pali moje

ciało lub rani je do kości?

Zawiesił krzyż z powrotem i uśmiechnął się. Oczywiście mogłem mieć przywidzenia, ale wydawało mi się, że jego kły są jakby większe niż u normalnego człowieka. Och, biedny Mordimerze – pomyślałem. – I ciebie zagarnia w objęcia to szaleństwo.

– Jutro o świcie mógłbym pójść z tobą na przechadzkę, choć przyznam, że wolę noc i wieczór niż poranek. Mógłbym uczestniczyć w mszy świętej, skropić me ciało wodą święconą, a ona ani mnie nie poparzy ani nie zamieni się w parę. Ba, ja co dzień przeglądam się w lustrze, by sprawdzić, czy mój golibroda dobrze wykonał robotę i widzę w tafli własne odbicie, a nie pustkę.

– Niewątpliwie oszczędza to panu baronowi wielu kłopotów – zauważyłem grzecznie.

– Nie potrafię przemienić się w wilka lub nietoperza, nie przecisnę się jak mgła czy dym pod zamkniętymi drzwiami. Nie trzeba mnie zapraszać, abym zyskał prawo wejścia do czyjegoś domu. Moje łóżko jest łóżkiem, a nie trumną wyłożoną ziemią z rodzinnego grobowca. Spożywam posiłki i piję wino, choć przyznam, że na starość nie potrzebuję wiele ani jednego, ani drugiego. Ba, mogę nawet płodzić dzieci, a raczej mogłem, jak widać po moim nieszczęsnym synu. Czy jestem więc tym, kogo ludzie nazywają wampirem?

– Oczywiście, że nie panie baronie – odrzekłem, gdyż wyraźnie spodziewał się odpowiedzi na to pytanie.

– Oczywiście, że tak! – krzyknął i w jednej chwili był już tuż przede mną.

Nie zdążyłem nic zrobić. Ruszyć się nawet o krok, osłonić, czy odepchnąć go. Poczułem jakąś zdumiewającą słabość, a całe moje ciało ogarnął paraliż. Mogłem tylko stać i wpatrywać się w jego coraz bardziej ogromniejące oczy, z których wyłaniała się wirująca, mroczna pustka. Górna warga barona uniosła się i ujrzałem długie, olśniewająco białe i ostre jak szpile kły

– A jednak nim jestem – wysyczał. – Od setek, setek lat. Ubóstwiam krew i tę chwilę, kiedy ciepła, pulsująca życiem i tak rozkosznie pachnąca spływa do moich ust i gardła.

Jedyne, co byłem w stanie uczynić, to modlić się. Niestety tylko w myślach, gdyż nawet nie mogłem poruszyć ustami, nie czułem też języka. Jak zahipnotyzowany wpatrywałem się w kły barona znajdujące się tuż przy mej twarzy. Były długie niemal na pół palca wskazującego i miałem graniczące z pewnością przeczucie, iż są ostrzejsze niż jakakolwiek brzytwa.

– To ona daje mi moc, by żyć, żyć i żyć. Umierają papieże oraz cesarze, a ja wciąż żyję!

Puścił mnie i odsunął się na kilka kroków. Jego kły schowały się z powrotem za górną wargę, jak za działaniem czarodziejskiej różdżki magika.

– I jestem tym już potwornie znudzony – powiedział spokojnym głosem. – Świat jest taki... banalny, mój drogi inkwizytorze, kiedy masz okazję obserwować go od setek lat.

Paraliż ustąpił. Przełknąłem ślinę. Z trudem, bo moje gardło i język zdawały się być wyschnięte na wiór.

– I kryć się od setek lat – występkałem.

– Taaak – pokiwał głową. – Kryć się przed ludzką zawiścią, niezrozumieniem, gniewem... Być zmuszonym do zabicia własnego syna, który odgadł mój sekret i nie chciał uwierzyć, iż nie istnieje coś takiego jak mroczny dar... Tak piszą o tym znawcy tematu, Mordimerze? Mroczny dar? Mroczny pocałunek? Ha, gdyby się dało komukolwiek przekazać nieśmiertelność! Być może chciałbym dzielić z kimś tę klątwę, czy to błogosławieństwo. Ale nie da się. Ja jestem wampirem. Tak. Ja jestem wampirem – powtórzył dobitnie. – Lecz mych cech i umiejętności nie jestem w stanie nikomu przekazać. Nawet synowi, który tak bardzo chciał być mną. Nawet żonie, którą chciałem ocalić od starości i śmierci, a jedynym co jej ofiarowałem jest szaleństwo.

Usiadł z powrotem w pościeli, tak płynnym i węzowym ruchem, jakby był zwinnym cyrkowcem, a nie starym, uskarżającym się na zniedołężnienie człowiekiem.

– Dlaczego pan baron mi to wszystko mówi? Czego wasza dostojność oczekuje ode mnie?

– Nie wiem – rzekł szczerze. – Może przez chwilę chciałem, abyś mnie zabił? Ale pomimo całej mizerności mego życia, zauważyłem, iż trzymam się go rękoma i nogami. Tak silnie jak potrafię. Może więc chodziło o spowiedź, Mordimerze? O chęć podzielenia się nieszczęściem z bliźnim?

– Jak to się stało? – zapytałem głucho. – Jak to się zaczęło?

– *Wspomniał Piotr na słowa, które mu powiedział Jezus: pierwszej nim kogut dwa razy zapieje, trzy razy się Mnie wyprzesz. I wybuchnął płaczem* – odparł biblijnym cytatem.

– Wasza dostojność chce mi powiedzieć, że jest Piotrem Apostołem? – spytałem po długiej chwili.

Roześmiał się.

– Szkoda, że nie, prawda? Ale lubię sobie wyobrażać, że tak mogło być. Że byłem kimś ważnym dla świata, a moja klątwa czy moje błogosławieństwo, jakby tego nie nazwać, miała racjonalne przyczyny. Tymczasem nic z tego, Mordimerze. Ja po prostu istnieję. Nie przypominam sobie żadnych strasznych grzechów, za które miałbym pokutować, ani żadnych niezwykłych dokonań, za które miałbym być błogosławiony.

Przypatrywałem mu się, nie wiedząc, co o całej sprawie sądzić. Racjonalna, trzeźwa część mojego umysłu walczyła z tym, co zobaczyłem na własne oczy. Czy Haustoffer mógł posłużyć się sprytnymi, magicznymi sztuczkami, aby mnie zwiść i ogłupić? Nie znałem jednak zaklęć, które potrafiłyby człowieka tak szkolonego jak ja sparaliżować w jednej, krótkiej chwili. Poza tym jego zęby... Uwierzcie mi: nie zostały dosztukowane.

– Niemniej faktem jest, że byłem tam, kiedy Jezus wdrapywał się na Golgotę z krzyżem na poranionych ramionach. Byłem, kiedy go krzyżowano i słyszałem, jak krzyczał, gdy gwoździe zagłębiały się w miękkie ciało. Nie robiłem nic złego. Nie kłamię i nie wyśmiewałem się z Niego, jak inni. Nie rzucałem kamieniami. Szedłem z koszykiem, który

przygotowała mi żona, jadłem figi i popijałem kwaśne wino z flaszki... – umilkł na długą chwilę. – Do tej pory pamiętam jego smak...

– A Zstąpienie? – zapytałem szeptem.

– Na wzgórzu stały trzy krzyże – powiedział zapatrzony gdzieś w niewidzialny punkt za moimi plecami. – Pałało mocne słońce Palestyny. Było sucho, gorąco. Wyczerpany długim marszem, otumaniony winem pitym w pełnym blasku dnia... położyłem się i zasnąłem...

– Zasnąłeś? – niemal krzyknąłem. – Upiłeś się, zasnąłeś i przespałeś Zstąpienie naszego Pana?!

– Kiedy się obudziłem była już noc, a na czarnym niebie widziałem tylko łuny płonącej Jerozolimy – mówił, nie zwracając na mnie uwagi. – Wracałem wśród trupów leżących po obu stronach drogi. Im bardziej zbliżałem się do miasta, tym było ich więcej. *A krew tego dnia płynęła ulicami* – zacytował Pismo. – A ja wtedy po raz pierwszy poczułem szaleńcze pragnienie, narastający w gardle czerwony skowyt, niepohamowaną żądzę, by wraz ze słodką krwią wypijać życie oraz dusze. Tak, ten szal, nad którym czasami nie jestem w stanie zapanować – umilkł na moment. – Potem znalazłem to na swoim ramieniu. – Podciągnął rękaw koszuli, obnażając rękę.

Na ramieniu miał czarny tatuaż przedstawiający węża oraz unoszącego się nad jego głową gołębia.

– *Oto ja was posyłam jako owce między wilki. Bądźcież tedy mądrymi jako węzowie, a prostymi jako gołębice* – powiedziałem. – To dlatego wasza dostojność przybrał ten herb...

Otrząsnął się z zapatrzenia w przeszłość i zwrócił wzrok na mnie.

– Powinienem cię zabić, inkwizytorze, ale dam ci jednak szansę. Niech los zdecyduje, co wypada nam czynić.

Nie miałem tak wielkiego zaufania do losu, jak on, a poza tym nie jego życie miało być stawką w rozgrywce. Jednak, jak się zapewne domyślicie, nie miałem wielkiego wyboru.

– Co pan baron proponuje? – spytałem.

– Kości – odparł, sięgając w zanadrze i kładąc na stół trzy sześciennie kostki.

Były oznaczone złożonymi cyframi o wartości od jednego do sześciu, zrobione z ciężkiego, czarnego drewna. Wziąłem je w dłoń i poczułem, że są bardzo stare. Ale nie było w nich żadnej magii, nie zostały też sfalszowane. Miałem nadzieję, że mój Anioł Stróż wybaczy mi tę grę, choć niewątpliwie stawka była wysoka.

– Pozwolisz, że rzucę pierwszy? – spytał.

Podąłem mu kości, a on rzucił je na blat, nie patrząc.

– Dziesięć – powiedziałem.

– Nie najgorzej. – Zgarnął kości z blatu i podał mi je na wyciągniętej dłoni.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli i rzuciłem.

– Trzy – powiedział, nawet nie patrząc.

– Niestety nie, panie baronie – odparłem uprzejmie. – Osiemnaście.

Drgnął jak dźgnięty ostrzem i zapatrzył się na trzy kości. Każda ze ścianek pokazywała szóstkę o pełnym brzuszku.

– Niemożliwe – warknął.

– Ha – odparłem – wiara czyni cuda.

Wpatrywał się we mnie, a jego górna warga drgała niebezpiecznie. Zastanawiałem się, czy nie zabije mnie, pomimo zawartej umowy. W końcu niewiele by go to kosztowało. Czyż stare przysłowie nie mówiło: „nie zakładaj się z mocniejszymi od siebie, gdyż tylko przegrywając, możesz uratować życie”? No, a jak stawką było właśnie życie, to problem robił się jeszcze bardziej skomplikowany.

– Te kości są fałszywe – wysyczał. – Podmieniłem komplet po własnym rzucie. Powinna wypaść trójka.

Był tak wściekły, że zdecydowałem się nie wyrażać mej, niewątpliwie krytycznej, opinii na temat oszukiwania w czasie poważnej rozgrywki. Haustoffer chwycił kości i rzucał raz po raz. Raz po raz. Piąty, dziesiąty i piętnasty. Zawsze wypadały trzy jedynki o smętnie pochylonym daszku.

– Rzuć jeszcze – warknął.

– Zmiana zasad w trakcie trwania zabawy? – zapytałem. – Ekscytujące...

Wziąłem kości i niedbale cisnąłem. Osiemnaście. Haustoffer westchnął głęboko i opadł na łóżko..

– Niemożliwe – powiedział. – Jak to się dzieje? – Podniósł na mnie wzrok.

Rozłożyłem ręce.

– Nawet gdybym chciał, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Mogę tylko wyjawic waszej dostojności, że znam dziwniejsze przypadki. Słyszałem o człowieku, który otrzymał sfalszowaną monetę mającą dwa rewersy. Ale gdy nią rzucił, odwróciła się awers.

– Kpisz!

– Nie ośmieliłbym się, panie baronie – odparłem poważnie. – Sądzę tylko, że świat jest pełen pytań, na które nie umiemy znaleźć odpowiedzi.

– Pytań... – powtórzył i jego twarz jakby nieco złagodniała.

– Cóż – zdecydował po długiej chwili milczenia. – Wypada dotrzymać warunków, zwłaszcza że sam je wyznaczyłem...

Nie ukrywam, że odetchnąłem z ulgą. Ale tylko w myślach, bo słowa jeszcze o niczym nie świadczyły. Prawdziwie bezpieczny poczułem się dopiero daleko, daleko od zamku pana barona.

– Madderdin, obdarzę cię zaufaniem, a jeśli spełnisz moje życzenie nagroda przejdzie twoje najśmielsze oczekiwania...

Nie uśmiechnąłem się kpiąco, szyderczo ani ironicznie, ale tylko dlatego, że własne życie ceniłem bardziej niż chwilę wątpliwej satysfakcji. Nie miałem też najmniejszej wątpliwości, iż baron potrafiłby zmasać uśmiech z mojej twarzy szybko i boleśnie.

– Po pierwsze, nie sędę, że powinieś opowiadać komukolwiek o naszym małym sekrecie. Jestem bowiem pewien, że nie wyszłoby ci to na zdrowie – zamilkł na chwilę. – Nie zrozum mnie źle, Madderdin, ja ci nie grożę – dodał tonem wyjaśnienia. – Bo cóż mógłbym zrobić, gdyby zjechała tu armia twoich konfratrów? Jednak mam wrażenie, że twoja opowieść mogłaby się nie spodobać wielu ludziom...

Też miałem takie wrażenie, więc nie myślałem nawet zaprzeczać.

– Po drugie, chcę byś wyjaśnił, dlaczego jestem, kim jestem. Byś mi powiedział, czy to klątwa, czy błogosławieństwo, z którego mocy nie potrafiłem skorzystać. Dlaczego ofiarowano mi wieczne życie? Dlaczego nie można mnie zranić żelazem? Dlaczego potrafię panować nad wolą innych ludzi? Kim ja jestem, Mordimerze? – zapytał z rozpaczą. – Znajdź dla mnie odpowiedź!

Patrzyłem na niego, jak siedział w pościeli z pałającymi oczami i tęsknotą wymalowaną na twarzy. Za czym tęsknił? Za odpowiedzią? Za zrozumieniem? Za tym, by stać się takim samym człowiekiem jak inni? Nie wiedziałem. Nie wiedziałem również czemu mój Anioł obwieścił, że wampiry nie istnieją. Dlaczego kłamał? A może... nie wiedział? A może różnica między fałszem, prawdą oraz niewiedzą była tak zatarta, iż nie potrafił lub nie chciał ich odróżniać? Lecz czy istnieje coś, o czym Anioły mogą nie wiedzieć?

Skinąłem powoli głową.

– Zrobię, jak sobie wasza dostojność życzy – odparłem wiedząc, że poszukiwania mogą mnie zaprowadzić tam, gdzie nigdy nie pragnąłem się znaleźć.

Wielu bowiem postępuje jak wrogowie Chrystusa. Ich losem – zagłada.

św. Paweł, list do Filipian

Żar serca

Nie powinienem przekraczać granic Wittingen. A były ku temu co najmniej dwa powody. Po pierwsze, na tracie prowadzącym z miasta panował wyjątkowo mały ruch i już to powinno dać mi do myślenia. Po drugie, zauważyłem, że strażnicy przy bramach szczególnie pilnie badają wyjeżdżających, a nie jak to było w zwyczaju: wjeżdżających. Jednak wasz uniżony sługa miał za sobą kilka ciężkich nocy spędzonych w deszczu, błocie i zimnie. W związku z tym marzyłem o znośnej kwaterze (jeśli to możliwe, tylko ze skromnym towarzystwem pluskiew oraz wszy), gorącej kąpieli, sutym posiłku i dzbanie lub dwóch grzanego wina z korzeniami. Te niewątpliwie miłe wizje tak zaćmiły mój umysł, że coś mnie tknęło dopiero kiedy zauważyłem, że strażą miejską dowodził nie oficer, lecz mężczyzna w czarnym płaszczu i kaftanie z wyhaftowanym na piersi połamanym srebrnym krzyżem. Inkwizytor. Ha! No, ale wtedy było już za późno.

– Mordimer Madderdin – krzyknął inkwizytor niemal radośnie. – Puszczajcie go do środka, żywo!

Podskoczył w moją stronę i podał mi dłoń, kiedy zeskakiwałem z siodła.

– Mordimer, jakże się cieszę, że już jesteś. Wszyscy czekamy na ciebie jak na zbawienie.

Spod szerokiego ronda kapelusza wyłaniała się twarz, którą nie od razu poznałem. Nie mam niestety wyjątkowego talentu Kostucha, który to talent pozwala mu na pamiętanie całymi latami zarówno twarzy, jak treści rozmów i dokumentów. Jednak po chwili skojarzyłem twarz z nazwiskiem. To był, młodszy ode mnie o trzy lata, Andreas Keppel. Jak przez mgłę przypominałem go sobie z czasów nauki w Akademii.

– Zaprowadzę cię na kwaterę – rzekł, ściskając mi serdecznie dłoń i potrząsając nią. Niezwykle wylewne powitanie jak na inkwizytora. – Przyszykowaliśmy najlepsze pokoje w mieście. Masz tylko trzech ludzi? – Zerknął w stronę bliźniaków i Kostucha. – Myślałem, że przyjedziesz z większym orszakiem.

Kostuch oraz bliźniacy zsiadli z koni i wszyscy trzej przyglądali się Keppelowi z coraz bardziej rosnącym zdumieniem. Nie ukrywam, że ja też nic z tego wszystkiego nie rozumiałem. Odeszliśmy na stronę, by nie tarasować przejścia.

– Andreasie – przerwałem tyradę na temat wygód w przyszykowanej dla mnie kwaterze.
– Co tu się dzieje?

– Och, Mordimer, później porozmawiamy spokojnie. A co się dzieje? Na miecz Pana, źle się dzieje. Czytałeś nasze pismo, a jest jeszcze gorzej niż było, kiedy je pisaliśmy. Nie wiem, jak sobie z tym wszystkim poradzisz, ale wiedz, że my...

– Andreasie – rzekłem nieco ostrzejszym tonem. – Co wy tu robicie? Na kogo czekacie? Bo na pewno nie na mnie. Trafiłem do Wittingen jedynie przez durny przypadek...

Patrzył na mnie przez chwilę w milczeniu, aż w końcu zamrugał oczami.

– Cisz-szej – syknął i potarł górną wargę w zamyśleniu. – Nie przysłał cię biskup? – zapytał z niedowierzaniem w głosie.

– Nie.

– Nie jesteś tu, by objąć komendę?

– Nie.

– Wiesz, co się dzieje w Wittingen?

– Być może cię zdziwię, ale odpowiedź również brzmi: nie.

– A to ładnie – stwierdził bezbarwnym głosem. – To co tu właściwie robisz?

– Przejeżdżałem – wyjaśniłem spokojnie. – Chciałem przespać się, coś zjeść, wypić. I pojechać dalej.

– No to nie pojedziesz. – Podniósł na mnie oczy. Miał wyjątkowo zafrasowaną twarz. – Tak czy inaczej znajdę ci kwaterę i wyjaśnię wszystko.

Kostuch spojrzał tęsknie w stronę bramy. Coś zaczynało mu śmierdzieć i widziałem, że najchętniej opuściłby Wittingen. Nie ukrywam, że ja również rozważałem taką możliwość. Teoretycznie nikt nie miał prawa zatrzymać przedstawiciela Świętego Officjum bez podania niezwykle ważnych przyczyn, ale... Będę szczery. Zwyciężyła grzeszna ciekawość, zwłaszcza że kątem oka dostrzegłem trzech inkwizytorów sunących na karych rumakach środkiem ulicy i rozchlapujących wokół buro-żółte blocko. A za nimi gromadę pacholków uzbrojonych w gizarmy. Poza tym na ulicach Wittingen, jak na mój gust, było dziwnie pustawo, zważywszy porę dnia. Widzicie, moi mili, spotkanie inkwizytora w służbowym stroju jest nieczęstym wydarzeniem. Nawet w Hez-hezronie, gdzie mieści się główna siedziba Świętego Officjum, przechodzień nie potyka się co krok o osobników w czarnych płaszczach ze srebrnymi krzyżami. Jesteśmy ludźmi cichymi oraz pokornego serca i wolimy stać na uboczu, śledząc świat z głębokiego cienia. Nie ma w nas, a przynajmniej w większości z nas, dumy, pychy oraz arogancji, a tylko pragnienie wyteżonej służby Panu. Stroje służbowe odziewamy jedynie, kiedy wymagają tego prawo lub konieczność. Tymczasem w pierwszych chwilach mojego pobytu w Wittingen dostrzegłem już czterech inkwizytorów w pełnym rynsztunku. Jeśli mam być szczery, nie wróżyło to miastu niczego dobrego.

– Prowadź więc – zdecydowałem, zwracając się do Andreasa.

* * *

– Mamy sprawę o czary, Mordimerze. O spiskowanie z diabłem, o sabaty, o zabijanie dzieci i wytapianie z nich tłuszczu, o oddawanie czci demonom i spółkowanie z szatanem w postaci kozła... – Machnął ręką. – I o co jeszcze tylko chcesz. Mieszczanie, zakonnice, dwóch księży, trzech szlachciców. Wszyscy są oskarżeni. A to zaledwie początek.

– Neumarkt – powiedziałem po chwili.

– Tak, Mordimerze – westchnął. – Mamy tu drugi Neumarkt. A wiesz, kto wszystkim kieruje?

Uniosłem tylko brwi.

– Jegomość kanonik Pietro Tintallero – rzekł i splunął na podłogę. Roztarł plwocinę podeszwą. – Ma listy ze Stolicy Apostolskiej. Szarogęsi się, prowadzi śledztwa, przesłuchania. I śmie nam rozkazywać – mówił spokojnym tonem, ale widziałem, że rozsadza go złość. – Nawet ty nie będziesz mógł opuścić miasta bez jego glectu.

– Wypadki wszystkim się przytrafiają – zauważył cichutko Kostuch, ale zobaczyłem, że jego oczy błysnęły.

– Trzymaj te swoje psy na smyczy, Mordimerze! – warknął w odpowiedzi Andreas, nie przejmując się, że Kostuch wlepił w niego wściekły wzrok. – To nie byle burda w karczmie...

Położyłem mu dłoń na ramieniu uspokajającym gestem.

– Posłaliście do Hezu – nie zapytałem, tylko stwierdziłem. – I myślałeś, że Jego Ekscelencja wysłał właśnie mnie, żebym przejął śledztwo.

– Ano tak – odparł. – Ale okazuje się, że jeszcze poczekamy.

– Kto z naszych jest najstarszy rangą?

– Może cię to rozbawi, ale ja – odparł.

Oho – pomyślałem – sprawa musi być naprawdę poważna, skoro z taką ulgą chcesz się pozbyć starszeństwa. Z drugiej strony lepiej mieć za przełożonego Mordimera Madderdina, kolegę z Akademii, niż szalonego kanonika Tintallero.

Dziwicie się, dlaczego nazwałem kanonika szalonym? Ano dlatego, że słyszałem o jego niewątpliwie chlubnych dokonaniach na polu ścigania herezji oraz czarów.

– Pietro Tintallero, Kostuch – powiedziałem, żeby sobie dobrze przypomnieć.

Mój towarzysz przymrużył oczy i zaszeptał coś do siebie.

– Neumarkt – rzekł w końcu na głos. – Dwustu osiemdziesięciu skazanych, dwustu osiemdziesięciu spalono, jeden uniewinniony.

– Dalej – rozkazałem.

– Saint Pauli. Stu siedemdziesięciu trzech skazanych, stu trzech spalono, sześćdziesięciu dziewięciu w drodze wyjątkowej łaski powieszono, jeden na klasztorным dożywociu. Cztery osoby uniewinnione.

– Aż tylu ich było? – Pokręcił głową Keppel i domyśliłem się, że ma na myśli skazanych, a nie uniewinnionych.

– Polnitz. Dziewięćdziesięciu...

– Wystarczy – przerwałem mu i spojrzałem na Keppela. – Widzisz teraz, z czym mamy do czynienia, Andreasie.

– Ja to widzę już od dwóch tygodni – powiedział. – Myślałem, że ten bękart dawno gnije w Zamku Aniołów.

Z tego, co pamiętałem, kanonika faktycznie oskarżono przed Ojcem Świętym, bo nadepnął na odcisk zbyt wielu osobom. Oskarżeni najczęściej oczekiwali na proces w jednej z cel Zamku Aniołów, a ponieważ Ojciec Święty nie miał zbyt wiele czasu, by przeprowadzić procesom (a jak słyszałem, również nie przepadał za tym, preferując polowania w towarzystwie młodych dworzan), więc zdarzało im się całymi latami nie oglądać nic poza murami własnego więzienia. Ale jak widać kanonik doczekał procesu i nie tylko wyłgał się od odpowiedzialności, lecz otrzymał następną chwalebą misję.

– Bardzo mi przykro, Mordimerze, ale będziesz się musiał mu zameldować i poprosić o dyspozycje...

– Zameldować? – powtórzyłem z naciskiem. – Ja? Licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu ma się meldować jakiemuś parszywemu klesze? Czy dobrze rozumiem, co właśnie powiedziałeś?

– Przykro mi. – Opuścił wzrok. – Na razie jednak pokażę ci kwaterę. – Przeniósł spojrzenie na bliźniaków i Kostucha. – Dla twoich ludzi też znajdzie się jakiś ką.

Prowadziliśmy konie, idąc po kostki w gęstej, chlupiącej pod podeszwami brei. Wittingen nie miało kanalizacji, więc nieczystości wylewano wprost na ulicę, co powodowało smród porażający moje nozdrza. Nadzwyczaj bolesny był fakt, że nikt oprócz mnie zdawał się nie zwracać na to uwagi. Uskoczyłem, kiedy zza węgła wypadł jeździec, obryzgał nas fontanną blocka, i omal nie tratując dwóch przekupniów, zniknął na końcu ulicy. Otarłem twarz dłonią.

– Na miecz Pana – powiedziałem. – Niemal zaczynam tęsknić za noclegiem w lesie.

W końcu doszliśmy do ukrytej za kościołem karczmy. Był to piętrowy, ale obszerny budynek z czerwonej cegły, z dachem krytym miedzianą, mocno już pozieloną blachą. Na szyldzie karczmy wymalowano ogromnego niedźwiedzia niosącego w łapach jasnowłosą kobietę. Napis głosił „Pod Panną i Niedźwierzem”. Uśmiechnąłem się.

Zaraz przybiegło do nas dwóch chłopców stajennych i kazałem Kostuchowi iść z nimi. Miał przypilnować, aby zwierzęta zostały dobrze ulokowane, dostały świeżą wodę, owies i pieczołowicie je oczyszczono. Wiedziałem, że pod jego okiem stajenni zakrzętną się, jakby chodziło o ich własne konie. Bo też niewielu spotkałem ludzi, którzy chcieliby się narazić na gniew czy nawet niezadowolenie Kostucha.

W kilka pacierzy później siedziałem już z Andreasem w niewielkim, alkierzyku ukrytym za burą kotarą. Surowo przykazaliśmy oberżyscie pilnować, aby nikt nam nie przeszkadzał w rozmowie. A ponieważ Keppel był w służbowym uniformie, więc mieliśmy więcej niż pewność, że gospodarz naszego alkierza strzec będzie pilniej niż sypialni własnej żony. W

końcu w tych dniach w Wittingen niebezpiecznie byłoby czymkolwiek narazić się na niezadowolenie inkwizytora.

Na stole przed nami wylądowało kilka butelek wina oraz ogromna misa z owocami, waflami i piernikami, gdyż obaj jakoś nie mieliśmy ochoty na obiad.

Zanim rozlałem trunek do kubków, pieczołowicie obejrzałem naczynie od środka i wygrzebałem z niego przyklejonego do ścianki, zeschniętego karalucha. Westchnąłem i posłałem go pstryknięciem na podłogę, po czym napełniłem kubki. Stuknęliśmy się.

– Za co wypijemy? – zapytał Andreas.

– Za solidarność – odparłem poważnie.

– O, tak. Za solidarność.

Wychyliliśmy do dna. Co prawda wolę bardziej wytrawne wina, ale to miało miły, korzenny aromat. Wziąłem z misy piernik w kształcie księdza z pastorałem w dłoni i odgryzłem mu głowę. Andreas roześmiał się.

– Biarritz – powiedziałem z pełnymi ustami. – Jeśli masz chętkę na wyśmienite pierniki, musisz jechać do Biarritz. Te tutaj nawet się nie umywają.

– Słyszałem o jakichś śledztwach w Biarritz – zamyślił się. – Zaraz, zaraz, czy ty nie miałeś czegoś...

– Miałem, miałem – przerwałem mu. – Tylko w efekcie rozeszło się po kościach. Spaliliśmy trzy osoby, kilkanaście przesłuchano, kilka pozbawiono stanowisk, trochę kościelnych pokut, parę tygodni przebiegających mszy i procesji. – Wzruszyłem ramionami. – Nic specjalnego. Ale czarownica była prawdziwa.

– Za to tutaj masz coś specjalnego. – Tym razem Andreas napełnił nasze kubki. – A zapowiada się coraz ciekawiej. Tyle że – obniżył głos do szeptu – jak znajdziesz w Wittingen czarownicę, to przez tydzień będę ci stawiał kolację w najlepszej oberży.

– Zaczynij od początku, jeśli łaska – poprosiłem.

– Dobrze. – Potarł palcem koniuszek nosa. – Ale wcześniej wypijmy. – Uniósł kubek. – Za co tym razem?

– Za sprawiedliwość? – zaproponowałem.

– Bardzo dobry toast – wsparł mnie Andreas i zderzyliśmy się kubkami.

Wypiliśmy do dna i Keppel znowu natychmiast nalał nam wina po same brzegi.

– Oho, moje magiczne naczynie – zażartowałem. – Napełnia się, zanim zdążę pomyśleć.

– Zakonnice. – Stuknął knykciami w stół. – Zastanawiałem się tak, czy to od tej mieszczki, czy od zakonnicy... Ale jednak od zakonnicy. Dobrze. Więc sprawa wyglądała następująco. Do klasztoru hipolitanek przychodził pewien księżulo spowiednik. I jak to księżulo spowiednik, dupczył kilka ładniejszych siostrzyczek.

– Dzień jak co dzień – mruknąłem.

– Ano. Ale jedna z dziewczuszek poskarżyła się przeoryszy, ta proboszczowi spowiednika i rzecz w końcu dotarła do miejscowego biskupa...

– Zła była, że ją zerznął, czy że jej nie zerznął? – spytałem.

– Księżulo miał szczególne upodobania. – Uśmiechnął się Keppel. – Bardziej pasujące do obcowania z młodymi chłopcami niż kobietami...

– Ach tak.

– Ano tak. Zresztą co się dziwić, przykład idzie z góry. W końcu obaj wiemy, kto ma pociąg do polowań z ładnymi dworzanami, a następnie nader czule opiekuje się nimi w łaźni...

Była to oczywiście aluzja do powszechnie znanej słabości Ojca Świętego, na którego dworze karierę robiło się właśnie na polowaniach i w łaźni, a nie w kościele czy biurze. Jednak zdecydowałem udać, że nie usłyszałem tej uwagi.

– W dodatku zakonniczka zaczęła mieć wizje, napady szału – kontynuował Keppel. – Wołała, że została splugawiona przez szatana, który zakradł się w męskiej postaci... – roześmiał się. – Jakby szatan musiał uciekać się do takich podstępów, co, Mordimer?

Pokiwałem niezobowiązująco głową.

– Wszystko jednak zapewne rozeszłoby się po kościach, gdyby nie pewna mieszcza. Wybacz, nie pamiętam nazwiska, ale to żona znanego tutaj farbiarza. Pech chciał, że spowiadał ją ten sam ksiądz i oskarżyła go, że posiadał ją w imieniu szatana oraz namawiał do grzesznych praktyk i wyrzeczenia się Boga.

– O – powiedziałem. – To już coś.

– Zaczęło się śledztwo. Zabrali się za nie miejscowi inkwizytorzy, poznasz ich, to uczciwi chłopcy. Wiesz jak jest, Mordimer, babskie szaleństwa, zazdrości, knowania, intrygi, takie tam niedorzęcnice, krótko mówiąc. Ukreśliłyby może i łeb całej sprawie. Księża wysłali na klasztorne dożywocie, w najgorszym razie spalili. I byłoby po sprawie. Ale...

– Pojawił się jegomość kanonik – zgadłem.

– No właśnie! – Uniósł kubek. – Za co tym razem?

– Za prawo? – poddałem.

– Jeszcze lepszy toast. – Wypiliśmy i zagryzłem wino waflem.

Keppel zabrał się za otwieranie następnej butelki. To tempo nie przstraszyło mnie, bo Pan Bóg obdarzył mnie w swej łasce mocną głową, ale miałem nadzieję, że kolega inkwizytor wytrzyma picie równie dobrze.

– Na czym to ja? Aha, kanonik. Zjechał do Wittingen z kilkoma klerykami, osobistą ochroną i glejtami ze Stolicy Apostolskiej. Zaczął od tego, że wziął na tortury nie tylko spowiednika, ale również zakonnicę i żonę farbiarza...

– Bardzo słusznie. W końcu torturowanie oskarżycieli zawsze powoduje rozszerzenie aktu oskarżenia – zadrwiłem.

– No. Tak się właśnie stało. Teraz mamy prawie stu ludzi w więzieniu, zakaz opuszczania miasta bez glejtu od kanonika, przesłuchania od świtu do nocy, a poza tym codzienne msze, procesje, umartwienia, biczowania... – Machnął ręką. – Jeden wielki cyrk.

– Wyobrażam sobie – powiedziałem.

– Nie sądzę, żebyś sobie wyobrażał. – Popatrzył na mnie uważnie. – Nie sądzę też, żebyś sobie wyobrażał, jak można w ten sposób traktować inkwizytorów. Johann Kittel, on przewodził miejscowemu Officjum – wyjaśnił, widząc moje pytające spojrzenie. – Próbował protestować. No to szybko dostał wezwanie...

– Do Hezu – mruknąłem.

– Nie, Mordimerze! Nie do Hezu. Do Stolicy Apostolskiej! Mieliśmy wiadomości, że czeka na posłuchanie u Ojca Świętego. W Zamku Aniołów. Rozumiesz więc, że nikt więcej już nie protestuje i wszyscy starają się księdzu kanonikowi schodzić z drogi?

– Rozumiem – powiedziałem. – I nie rozumiem.

– A to tak, jak my wszyscy. – Wzruszył ramionami i znowu połał. – Za co teraz? – Wpatrzył się we mnie, a oczy już mu błyszczały.

– Za szczęśliwe zakończenie – zdecydowałem i wychyliłmi duszkiem.

– Już to widzę – podsumował zgryźliwie nasz toast. – Ale niech będzie. Chcesz się przyjrzeć poczynaniom jegomości kanonika? Zrozumieć prawdziwe znaczenie słów niekompetencja oraz brak profesjonalizmu?

– Marzę o tym – mruknąłem.

– Chodź, chodź. – Podniósł się z miejsca. – Upijemy się później.

Spojrzałem z żalem na butelki, które jeszcze zostały na naszym stole, ale posłusznie się podniosłem. Nie ukrywam, iż byłem ciekaw poczynañ kanonika, a poza tym miałem nadzieję, że znajdę jakiś sposób, by opuścić uroczne miasto Wittingen. I przyrzekłem sobie nie narzekać w najbliższym czasie na noclegi pod gołym niebem, deszcz kapiący na głowę oraz byle jakie jedzenie. Bo jak widać były gorsze rzeczy od drobnych niewygód podróży.

* * *

– Wiesz, co ten wieprz wymyślił? – Keppel pstryknął palcami. – Zamienił jedną z komnat na parterze ratusza w pokój przesłuchań. Górą, przy ścianie, idzie balkon, więc ci inkwizytorzy, którzy nie są na służbie, mają obowiązek przyglądać się i przysłuchiwać śledztwom. Żeby, jak mówi Tintallero: „hartować swoją wolę oraz spryt w ogniu pytań zadawanych heretykom i czarownikom” – splunął. – Pozwól za mną, Mordimer, a pokażę ci z bliska ten cyrk.

– Dobrze – odparłem. – Czemu nie?

W Wittingen zabrakło miejsca w więzieniu, więc na cele przerobiono obszerne piwnice pod ratuszem. W związku z tym przy budynku kręcił się mnóstwo ludzi. Uzbrojona w gizarmy i okute żelazem pały straż miejska, kilku uzbrojonych w topory mężczyzn ze straży cechowej, paru kleryków, mnóstwo służby oraz odganiane od płotu rodziny uwięzionych. Wrzeszczące, złorzeczące, rozpaczające, szlochające i krzyczące. Ogólnie panował zgiełk, rwetes oraz nielichy bałagan.

Andreas przedarł się przez zbiegowisko, co przyszło mu tym łatwiej, że wreszcie dostrzeżono jego służbowy uniform. Zaraz też podskoczył w naszą stronę strażnik i zaczął rozdzielać wśród tłumu soczyste ciosy styliskiem gizarmy.

– Proszę, wielmożni, proszę. – Utorował nam drogę, aż znaleźliśmy się za płotem.

– Co to za ludzie? – zapytałem, widząc, że przy drzwiach stoi dwóch wysokich i barczystych mężczyzn w pancerzach z utwardzanej skóry. W dłoniach trzymali długie na cztery stopy, obnażone miecze.

– Osobista straż dostojnego kanonika – wyjaśnił z szyderstwem w głosie. – Widzisz, Mordimer, pałka czy topór im za mało. Oni muszą mieć miecze, jak szlachetnie urodzeni...

Aby dostać się do środka, Keppel musiał pokazać glejt oraz wyjaśnić, że jestem dopiero co przybyłym inkwizytorem, za którego bierze odpowiedzialność. Jeden ze strażników przyjrzał mi się uważnie, po czym machnął ręką.

– Do środka – warknął.

– Wyszukane maniery – zauważyłem, kiedy znaleźliśmy się już w sieni ratusza.

– Wszystko, by nas upokorzyć – powiedział Andreas. – By pokazać nam, że zależy nam od dobrej woli i widzimy się księdza kanonika.

– *Upokorźcie się więc pod mocną ręką Boga, aby was wywyższył w stosownej chwili* – odparłem słowami Pisma.

Keppel uśmiechnął się i poklepał mnie po ramieniu.

– Jak widzę, jesteś niepoprawnym optymistą – zauważył.

– Tylko człowiekiem gorącej wiary – odparłem, odpowiadając mu uśmiechem.

Weszliśmy po schodach i Andreas znowu musiał pokazać glejt strażnikom czuwającym przy wejściu na galeryjkę.

– Łatwiej się dostać do naszego biskupa – powiedziałem.

– Choroba szybko wzbogacaonych fernali – mruknął Keppel. – Im bardziej jesteś nikim, tym bardziej pragniesz, żeby cały świat kręcił się wokół ciebie.

Zamknęliśmy drzwi i podeszliśmy do balustrady. Na galeryjce oprócz nas nie było nikogo, jak widać inkwizytorzy mieli wyznaczone inne obowiązki albo po prostu zdecydowali się nie przestrzegać zaleceń kanonika. Natomiast dolna komnata została faktycznie przebudowana tak, by mogła służyć za pokój przesłuchań. Pod północną ścianą żarzyły się węgle na kamiennym palenisku, na samym środku stało drewniane łóżko z lśniącymi w blasku świec żelaznymi klamrami, a w sufit wbito gruby hak, z którego zwieszał się konopny powróż. Przy zachodniej ścianie ustawiono na kozłach prostokątny stół, a przy nim cztery krzesła. Na blacie stało kilka butelek, kubków oraz kielichów, a także rozrzucone papiery, dwa pióra i pękata butelka z inkaustem.

– Przyjęcie sobie urządzili – mruknąłem.

– Zawsze tak...

Przesłuchujących na razie nie było, widać została zarządzone przerwa. Natomiast

doskonale mogliśmy się przyjrzeć katu, który gmerał w rozłożonych przy palenisku narzędziach. Był ubrany w skórzany fartuch poznaczony rudymi naciekami. Świetnie też widzieliśmy oskarżoną, którą nagą przywiązano do stołu. Miała dokładnie ogolone ciało, by diabeł nie mógł się schować w owłosieniu (nędzny przesąd, mili moi, ale czego się można było spodziewać po kanoniku?) oraz liczne krwawiące punkty na skórze. Domyśliłem się, że wbijano jej srebrną szpilkę we wszelkiego rodzaju znamiona i odbarwienia, aby wypłoszyć Złego, który mógł się w nich ukrywać. Następna bzdura, jeśli ktoś by mnie pytał, choć czasem rzeczywiście z powodzeniem ją stosowano, by dodatkowo przerazić przesłuchiwanego. Ponadto wbijania szpilki nie traktowano jak tortury, a bolało to piekielnie, zwłaszcza gdy ktoś miał znamiona na najdelikatniejszych częściach ciała.

Przesłuchiwana kobieta była młoda, szczupła, o drobnych stopach, dłoniach i piersiach. Widziałem, że rozszerzonymi oczami obserwuje kata gmerającego narzędziami w palenisku i stara się unieść głowę, aby widzieć lepiej. Ciężko dyszała, a jej oddech co chwila zamieniał się w pełen rozpaczny szloch.

– Wiesz, kto to jest? – zagadnąłem Andreasa.

– Jakaś mieszcza. – Wzruszył ramionami. – A może zakonnica. – Podrapał się po głowie. – Zaraz się dowiemy.

Drzwi na dole skrzypnęły i do środka wszedł szybkim krokiem kanonik Tintallero, a za nim dwóch ubranych na czarno kleryków oraz pisarz, który – jak zauważyłem – miał problemy, by utrzymać się prosto na nogach.

– Nawet nie ma inkwizytora – zauważyłem.

– Nie jesteśmy zapraszani na przesłuchania.

Kat poderwał się od paleniska i skłonił przed kanonikiem. Ten kiwnął mu dłonią, po czym podsunął sobie z hurgotem krzesło. Usiadł z głośnym stęknieniem, a dopiero po nim usiedli pozostali przesłuchujący. W żółtym blasku świec doskonale widziałem pergaminową, wysuszoną twarz kanonika. Jego wąskie, zacięte usta przypominały raczej bliznę po ranie niż ludzkie wargi, a ostry podbródek i nos w kształcie kruczego dzioba nadawały twarzy demoniczny wyraz. Tintallero goolił sobie czaszkę do gołej skóry i tylko na czubku głowy pozostawił coś w rodzaju ciemnego wiechcia z włosów. Wyglądało to nader osobliwie, zwłaszcza że policzki i czoło miał poznaczone dziurami po przebytej ospie.

– Powinni go w cyrku pokazywać – szepnąłem, a Andreas roześmiał się bezdźwięcznie.

– No to zaczynamy – obwieścił mocnym głosem kanonik. – W imię Boże i na chwałę Aniołów. Odmówmy modlitwę, bracia.

Znowu wszyscy wstali (pisarz zachwiał się przy tym i musiał podeprzeć o blat stołu), a Tintallero rozpoczął długą modlitwę. Trzeba przyznać, że miał zdolności aktorskie. Jego głos a to dudnił pod samą powalą, a to zostawał wyciszony aż do namiętnego szeptu. Potem kanonik głośnie powiedział „Amen” i przeżegnał się zamazyście.

– Przypomnijcie nam... – zwrócił się do pisarza.

– Oskarżonej Emmie Gudolf... – Pisarz starał się mówić wyraźnie, w związku z tym każde słowo wypowiadał w sporym odstępnie od drugiego. – Pokazano narzędzia i wyjaśniono ich działanie. Oskarżona nie przyznaje się do występnych czynów, którymi są...

Kanonik nie mógł już wytrzymać tego, w jakim tempie czytał pisarz, więc niecierpliwym ruchem wyrwał mu dokumenty i obrócił kartę w stronę światła.

– ... uczestniczenie w sabatach, rzucanie uroków, przyzywanie diabła, plugawienie relikwii, otrucia, zabójstwa, cudzołóstwo i sodomia. – Odrzucił dokumenty od siebie. – Emmo Gudolf, przekłeta czarownico, czy przyznajesz się do wymienionych czynów?

– Nie, błagam was, jestem niewinna, błagam dobry księżu, nie męczcie mnie, ja nic nie zrobiłam... – Kat uderzył ją w twarz wierzchem dłoni, a wtedy zaszlochała gwałtownie i umilkła. Teraz słychać było tylko jej cichy, rozpaczliwy płacz.

– Zaczniemy od sabatów, plugawa gamratko – rzekł kanonik surowym tonem. – Czy nieprawdą jest, że przyrządzałaś szatańskie maście, którymi smarowałaś się między nogami i pod pachami, którymi smarowałaś również miotłę lub łopatę, a potem leciałaś na sabat na Ruperci Wierch, który wy, czarownice, nazywacie Łysą Górą? – Pod koniec jego głosu wzniósł się do wrzasku.

– Nieprawda, nieprawda! Nie jestem czarownicą! – Miała wysoki, dziecięcy głos, a kat znowu musiał ją uderzyć, by przestała krzyczeć.

Widziałem, że cała drży ze strachu i chłodu. Spojrzałem w stronę Andreasa i pokręciłem głową. Kanonik nie miał pojęcia o sztuce przesłuchiwania. Z taką dziewczyną należało obchodzić się oględnie i delikatnie. Trzymać za rękę, przemawiać łagodnym głosem, patrzeć prosto w oczy. Nawet zadając jej ból lub wydając rozkaz zadawania tego bólu, należało być pełnym miłości oraz współczucia. Wtedy prędzej czy później odkryłaby wszystkie sekrety swego serca przed badającym. A kanonik co najwyżej mógł zmusić ją do tego, by powiedziała, czego on sam pragnął. Kto wie, może zresztą o to mu właśnie chodziło?

– Twierdzisz więc, że nie przyrządzałaś żadnych maści, wiedźmo?

– Nie, panie!

Kanonik pogrzebał w dokumentach i wyciągnął ze stosu papierów jedną kartę. Zmrużył oczy i zaczął czytać:

– Weź popiół nietoperza spalonego o północy, dodaj do tego dziesiątą część kwarty miesięcznej krwi dziewicy, dwie uncje stopionego tłuszczu nieochrzczonego niemowlęcia, sproszkowany korzeń mandragory, jad ropuchy, pot czarnego kozła. Wymieszaj wszystko w glinianym naczyniu na rozstajach dróg, pod szubienicą, gdzie tego dnia obwieszono człowieka. Odmów modlitwę wspak i powiedz głośno: „tak mi dopomóż Szatanie, mroczny mój władco”. Czy zaprzeczasz, że przeprowadzałaś te bluźniercze rytuały?

Dziewczyna najwyraźniej nie rozumiała pytania i tylko zajęczała przeciągle, aż znowu kat ją musiał uderzyć, by zamilkła.

– Przyznajesz się? – wrzasnął kanonik i napełnił sobie kubek z flaszki. Część płynu wylała

się na stół.

– Ulitujcie się, jestem niewinna...

– Widzę, że jesteś harda, a twój pan, Szatan, nie pozwala ci przyznać się do grzechów przed sędziami ustanowionymi przez naszą matkę, Kościół jedyny i powszechny. – Kanonik wstał z miejsca i grzmiał na całą salę. – Czas więc, byśmy skłonili cię do mówienia prawdy metodami, które najsposobniejsze są dla takich jak ty występnych i bluźnierczych pomiotów diabła...

– Miłość, litość i współczucie. Oto drugie imiona naszego kanonika – zadrwiłem.

– Jeśli ta dziewczka jest czarownicą, ja jestem czarnym kozłem – burknął Keppel, ale tak cicho, by przypadkiem nikt z ludzi na dole tego nie usłyszał.

Trudno się było z nim nie zgodzić, chociaż oczywiście nie wiedziałem, jakie powody skłoniły kanonika, by przesłuchiwać właśnie tę dziewczynę. Miałem w każdym razie nieodparte wrażenie, że nienawidził ludzi, których badał. A to tylko świadczyło o nim jak najgorzej, gdyż nawet najbardziej tępy z inkwizytorów wiedział, że względem oskarżonych powinniśmy być pełni bezbrzeżnej oraz zdolnej do wszelkich poświęceń miłości. Nie zawsze się to udawało, zwłaszcza w obliczu szczególnie zatwardziałych grzeszników, nie zawsze też inkwizytorzy mieli w sercu dość cierpliwości oraz miłosnego żaru, ale taki w każdym razie był ideał, do którego powinniśmy zmierzać, nie bacząc na trudy.

– Zaczniemy od przypiekania podeszew. – Widziałem, że zmrużył oczy, a jego usta rozciągnęły się w okrutnym uśmiechu.

Kat wyjął z paleniska żagiew, po czym zbliżył ją do stóp dziewczyny. Wrzasnęła, a jej ciało wyprężyło się w paroksyzmie bólu. Sznury i klamry wpiły się w nagie ciało.

– Trzymaj, trzymaj – powiedział Tintallero, kiedy kat spojrzał w jego stronę.

Dziewczyna wyła jak potępiona. Szarpała się tak mocno, że skóra na jej przegubach oraz kostkach pękła i pojawiły się krwawe wybroczyny. Przygryzła sobie język i teraz krew buchała na jej brodę oraz piersi.

– Na Bogaaaaa! – wydała z siebie ostatni gardłowy pisk i zwiotczała.

Kat odjął pochodnię od jej stóp. Teraz dopiero doleciał moich nozdrzy smród palonego mięsa.

– Zawołajcie medyka – rozkazał kanonik. – I cućcie, cućcie w imię Boże!

Odsunęliśmy się do ściany, nie chcąc, by Tintallero (nie zajęty na razie śledztwem) nas zauważył.

– Założę się, że dostałbym od niej, co bym tylko chciał, nawet jej nie dotykając palcem – westchnął Keppel. – Ale jegomość kanonik chyba lubi to zajęcie.

– Zapewne tak – powiedziałem i nagle coś mnie tknęło. – Czy zauważyłeś, Andreasie, że za każdym razem zwiększa się liczba skazanych? Mój towarzysz zaczął wyjaśnienia od Neumarkt, od ostatniego miasta. Ale przedtem było Saint Pauli, a jeszcze przedtem Polnitz...

Andreas pokiwał głową, przypominając sobie liczby wymienione przez Kostucha.

– Masz rację. – Kiwnął głową. – Bóg chyba nie lubi Wittingen.

W dole usłyszeliśmy trzaśnięcie drzwi i do sali wbiegł medyk ściskający w dłoniach naręcze jakichś słoików i buteleczek.

– Nie spieszyliście się, człowieku – zauważył zgryźliwie kanonik.

Lekarz wybełkotał słowa przeprosin i giął się w ukłonach. Z rąk wypadł mu jeden ze słoików i roztrzaskał się na podłodze. Medyk zagapił się na okruchy tępych spojrzeniem, a Tintallero roześmiał się i plasnął dłońmi w uda.

– Aleś ty zręczny, bratku! – krzyknął. – Przypomnij, bym ci nigdy nie dał puszczać krwi.

Obaj klerycy roześmieli się tubalnie, a po chwili ze sztucznym i wymuszonym chichotem dołączył do nich pisarz.

– No cućże ją, a nie gap się tak. – Kanonik przestał się śmiać. – Patrzcie no, zapatrzył się jak baran...

Lekarz przystanął obok leżącej na stole kobiety i zaczął nacierać jej skronie maścią, którą hojnie nabierał z jednego ze słoików. Potem ostrożnie wyjął korek w jednej z buteleczek i posmarował płynem jej nozdrza. Kobieta nagle szarpnęła się, zakaszła i zajęczała. Zaraz potem zaczęła rozpaczliwie płakać.

– Może by jej posmarować stopy łagodzącą maścią? – cicho zapytał medyk.

– Nie wymądrzaj się, bratku. – Kanonik zamachał niecierpliwie ręką. – Idź sobie, usiądź tam w kącie, bo pewnie zaraz będziesz znowu potrzebny.

Tintallero dopił do końca wino z kielicha i wstał, z głośnym hurgotem odsuwając krzesło. Podeszedł do kobiety i stanął nad nią.

– I co, plugawa czarownico? – syknął. – Jakoś twój pan, diabeł, nie chroni cię przed cierpieniem. Będziesz teraz gadać, czy mam zawołać kata?

– Nie, nie, nie – zabełkotała. – Błagam was, nie każcie mnie męczyć. Jestem niewinna. – Łzy spływały jej po policzkach i brodzie. Cała się trzęsła jak w ataku febry.

– Niewinna? – Kanonik ujął w palce jej sutek i skręcił go tak mocno, że zakrzyczała z bólu.

Pastwił się nad nią przez chwilę, wpatrując zaciekawiony w jej twarz, po czym puścił i otarł dłoń w kraj sutanny.

– Torturowani to moi najlepsi śpiewacy – zauważył, zerkając w stronę kleryków, a ci zaśmiali się w głos. – Rozgrzej no cęgi, mój chłopcze – rozkazał kat.

Ten gorliwie pokiwał głową i zaszczekał narzędziami w palenisku.

– Już się robi, wasza wielbność – zamruczał.

Przypatrywałem się pracy kanonika z obrzydzeniem. Człowiek taki, jak on, hańbił wiarę i hańbił profesję sędziego śledczego. Gdybym zobaczył zachowującego się w podobny sposób inkwizytora, wierzcie mi moi mili, że natychmiast zakazałbym mu badań i wystosował odpowiednie pismo do Jego Ekscelencji.

– Opowiesz nam, jak współżyłaś z Szatanem, wszeteczna dziewko. – Kanonik pochylił

się nad przesłuchiwaną, a jego dłoń zawędrowała na jej srom. – Jak wypychał ci tam swe koźle, śmierdzące przyrodzenie...

– Wyjdźmy stąd – zdecydowałem. – Dość już zobaczyłem.

Odwróciłem się i cicho otworzyłem drzwi. Andreas posłusznie skierował się za mną.

– Nienawidzę tylko jednego – powiedziałem cicho, ale wyraźnie. – Ludzi, którzy czerpią rozkosz, zadając ból innym.

– Taaak. – Pokiwał głową. – Słyszałem jeszcze w Akademii historię twojego psa, kie...

Podniósł głowę, ale gdy zobaczył mój wzrok, urwał w pół słowa. Zamknął usta niemal z kłapinięciem i zamrugał nerwowo oczami. Objąłem lewy nadgarstek palcami prawej dłoni, by nie dostrzegł, że zadrżała mi ręka.

– Wybacz, proszę – powiedział. – Nie chciałem cię urazić... – Czyżbym usłyszał obawę w jego głosie?

– Nie uraziłeś mnie – odparłem spokojnie. – Lecz nie lubię tych wspomnień, więc z łaski swojej, nie wracaj do nich.

– Oczywiście, Mordimerze – przytaknął skwapliwie. – Swoją drogą słyszałem, że Vitus źle skończył. Podobno – obniżył głos – złapano go na głoszeniu herezji.

– Też tak słyszałem – rzekłem obojętnie.

– Czy to nie straszne? Błądzący inkwizytor? – Andreas pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Każdego z nas dzieli zaledwie krok od wiekuistego potępienia i niezmierzenie długa droga do świętości – odparłem, zastanawiając się, czy Keppel faktycznie nie wie o moim udziale w zdemaskowaniu Vitusa Mayo, czy też tylko udaje niewiedzę.

Zeszliśmy schodami do sieni, a potem, odprowadzani czujnym wzrokiem strażników, znaleźliśmy się na dziedzińcu. Tłum za płotem jeszcze zgęstniał, a krzyki, płacze, błagania i złorzeczenia wręcz ogłuszały. Przecisnęliśmy się na zewnątrz. Ludzie zgromadzeni przed ratuszem jakby zatracili lęk przed inkwizytorskimi insygniami. Zwykle, widząc inkwizytora, ludzie starają się znaleźć jak najdalej od niego, ale tutaj wręcz lgnęli do Andreasa. Nie posuwali się do tego, by szarpać rękawy jego płaszcza, ale zabiegali nam drogę, wykrzykiwali głośno jakieś nazwiska, błagali o wstawiennictwo, tłumaczyli coś podniesionymi głosami, starali się wcisnąć w dłonie dokumenty z podaniami lub prośbami. Jakaś tłustawa mieszcza, głośno zawodząc, rymnęła przed nami na kolana, a Andreas potknął się o jej wyciągnięte dłonie i mało nie upadł. To dopiero sprowokowało go do reakcji.

– Z drogi! – ryknął pełnym głosem. – W imieniu Świętego Officjum! Precz! – Zdzielił kułakiem najbliższej stojącego, a jego twarz wykrzywiła się we wściekłym grymasie.

Udało nam się przedrzeć przez najgęstszy tłum i weszliśmy w boczną uliczkę. Dopiero tam dopadła nas dziewczyna w jasnej, zabłoconej opończy, z rozwichrzonymi włosami i oczami podkrążonymi ze zmęczenia albo niewyspania. Była szczupła i niewysoka, a jej wychudzona twarz była ściągnięta cierpieniem.

– Dostojny panie, proszę... – O dziwo zwróciła się do mnie, mimo że to przecież Keppel paradował w oficjalnym stroju, a ja nie miałem na sobie inkwizytorskich insygniów.

W jej słabym głosie było tyle rozpacz i jednocześnie nadziei, że zatrzymałem się, pomimo iż Andreas szarpnął mnie za rękaw.

– W czym wam mogę pomóc? – zapytałem uprzejmie.

– Moja siostra, panie. Nie wiem, co się dzieje z siostrą. Aresztowali ją trzy dni temu i nikt nie chce mi nic powiedzieć... – mówiła tak szybko, jakby chciała powiedzieć wszystko, co ma do powiedzenia, zanim jej przerwę lub ją odepchnę.

– Jak się nazywa twoja siostra? – spytałem.

– Emma Gudolf, panie! Emma Gudolf. Ona jest niewinna, przysięgam, że ona niczemu nie jest winna. Wzięli ją rankiem...

Położyłem jej dłoń na ramieniu i umilkła.

– Jak masz na imię, dziecko?

– Sylvia, panie – szepnęła.

– Posłuchaj mnie uważnie, Sylvio. Jeśli chcesz ocalić życie, nie dopytuj się więcej o siostrę, nie staraj się jej zobaczyć i nie chodź do ratusza. Jej nie pomożesz, a możesz zaszkodzić sobie. Rozumiesz?

Patrzyła na mnie, a jej oczy wypełniły się łzami, które rychło zaczęły spływać ciurkiem po policzkach.

– Nigdy nikogo nie skrzywdziła – zaszlochała. – Była zawsze taka słodka i dobra, i niewinna. Pomagała ciągle ludziom, aż mówiłam jej: „Emma, daj spokój, bo kiedy ty będziesz potrzebować, nikt ci nie pomoże”. – Wczepiła się w rękaw mojego płaszcza. – Błagam was, pomóżcie jej, panie. Błagam was w imię Chrystusa, Pana naszego jedyne i wszystkich świętych!

– Ciii – powiedziałem. – Uspokój się, Sylvio. Obiecuję, że zobaczę, co się da zrobić. Ale ty siedź w domu i zajmij się swoimi sprawami. Rozumiesz?

– Rozumiem. Niech was Bóg błogosławi, panie. Emma Gudolf, pamiętajcie. Emma Gudolf! – krzyczała jeszcze za nami, kiedy odchodziliśmy.

– Co za zbieg okoliczności – mruknął Andreas. – Niebywale, prawda?

– Czemu? Zapewne zaczęła każdego, kto wychodził z ratusza, więc byłoby właśnie dziwne, gdyby nie trafiła na nas. Mogę mieć do ciebie prośbę, Andreasie?

– Tak?

– Każ zbadać, gdzie mieszkają siostry Gudolf, jeśli łaska.

– Jak sobie życzysz – mruknął. – Ale nie radzę ci się w nic wtrącać. I ty wiesz, i ja wiem, że dziewczyna jest niewinna. Ale i ty wiesz, i ja wiem, że to nie ma znaczenia.

Chwilę szliśmy w milczeniu, a potem Keppel zwrócił się w moją stronę.

– Jeśli się nie obrazisz, Mordimerze, pozwolę sobie udzielić ci jednej rady.

– Tylko głupiec nie słucha rad, nieważne, dobrych czy złych, gdyż każda niesie ze sobą

naukę – odparłem sentencjonalnie, a on uśmiechnął się.

– Słyszałem, że czasem jesteś zbyt... – urwał, wyraźnie szukając słowa. – Zbyt łaskawy dla oskarżonych.

– Łaskawość nie ma nic do rzeczy – powiedziałem ostro. – Jestem po to, by szukać prawdy oraz budować prawo i sprawiedliwość. Choć zwykle, ku mojemu ubolewaniu, pojęcia te nawzajem się wykluczają.

– Tak. Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– Nie uraziłeś mnie – odparłem.

Zastanawiałem się, skąd mógł mieć podobne informacje. Rzeczywiście nie byłem człowiekiem pochopnym w sądach i nie widziałem potrzeby, by dawać wiarę wszystkim głupim oskarżeniom. Źli sąsiedzi, zazdrosna rodzina, zawiedzeni kochankowie – tacy ludzie aż nazbyt często próbowali wykorzystać wiarę w swej prywatnej krucjacie. I aż nazbyt często ławy miejskie oraz księża dawali posłuch tym bzdurom. Lecz mnie szkolono, bym odsiewał ziarno do plew, i dlatego zdarzyło się nie raz i nie dwa, że wyciągnąłem kogoś z katowni lub spod stosu. Zawsze jednak tylko wtedy, kiedy byłem przekonany o jego niewinności, czy może poprawniej formułując: o małym stopniu winy. W końcu doskonale pamiętałem słowa mojego Anioła, który powiedział kiedyś, że w oczach Boga wszyscy jesteśmy winni, a tajemnicą są tylko czas oraz wymiar kary.

* * *

Obiad był tak obfity i tak tłusty, że mdliło mnie już na sam widok Kostucha, który, niezrażony ilością jedzenia, pochłaniał kolejną miskę gęstej polewki, pogryzając sobie przy okazji ociekającą zawiesistym sosem świńską nogę.

– Dobrze – zagadał z pełnymi ustami, widząc, że patrzę na niego.

Odwróciłem wzrok, akurat w sam czas, by dostrzec przy wejściu do alkierza zdyszanego i zaczerwienionego od biegu Keppela.

– Mam złe wieści, Mordimerze – rzekł cicho. Oparł się o framugę drzwi. – Bardzo złe wieści.

– Mów – westchnąłem, zastanawiając się, co może być gorsze od rządów kanonika Tintallero w mieście.

Podszedł do mnie i spojrzał pytająco w stronę żrącego jak świnia i ubabranego sosem Kostucha.

– Możesz mówić przy nim – wyjaśniłem.

– Wysłany przez Jego Ekscelencję inkwizytor zmarł w karczmie pięć mil od Wittingen – powiedział szeptem Keppel.

Podniosłem dzban i wolno, bardzo wolno wlałem wino do kielicha.

– Zamordowali go? – spytałem przyciszonym głosem.

– Nie – skrzywił się. – Był chory już jak wyjeżdżał z Hezu. Mówią nawet, że bardzo

chory.

– Kto to był?

– Doderyk Gottstalk – rzekł. – Znałeś go?

– Miał z osiemdziesiąt lat – prychnąłem. – A od dziesięciu jedynie przesiadywał w ogrodzie Inkwizytorium albo grzał się przy kominku w refektarzu. Andreas, ten człowiek od kilkunastu lat nie prowadził żadnego śledztwa!

Spojrzelismy po sobie, a i w jego, i w moim wzroku było zarówno zrozumienie jak konsternacja. I naprawdę sporo lęku, choć do niego nie przyznawaliśmy się nawet przed samymi sobą.

– Ten, kto go wysłał, wiedział, że Doderyk nie dojedzie – powiedział wolno i bardzo, bardzo cicho Keppel. – A nawet jak dojedzie, nie wychyli nosa z łoża. Czy ktoś chce zniszczyć Wittingen?

Nie, Andreasie – chciałem mu odpowiedzieć, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili – kogo może obchodzić jakieś miasteczko? Natomiast wydaje się, że ktoś usilnie pragnie zniszczyć powagę Inkwizytorium.

– Być może – odparłem na głos.

Keppel wyjął z zanadru skórzaną tubę, zapieczętowaną biskupią pieczęcią. Westchnął, przeżegnał się i przełamał lak. Wyciągnął ze środka zwój dokumentów. Rozpostarł karty. Nagle zobaczyłem, że zatrzymał się w pewnym miejscu i przebiegł wzrokiem tekst powtórnie. Po czym jeszcze raz i jeszcze raz. Podniósł na mnie oczy i nie ukrywam, że to, co w nich zobaczyłem, zaniepokoiło mnie.

– Mordimerze – powiedział wolno i bardzo cicho. – Mam tu dokumenty z Hezu, które wiozł Gottstalk. Wszelkie pełnomocnictwa oraz rozkazy. Czy wiesz, na kogo są wystawione?

Chciałem już potrząsnąć głową przecząco, kiedy nagle się domyśliłem. I ten domysł zmroził mnie do szpiku kości.

– O Boże – powiedziałem. – Na okaziciela.

Wstałem, z hałasem odsuwając krzesło.

– Nie namówisz mnie do tego, Keppel – rzekłem ostro. – Mogę zrozumieć i wybaczyć, że nie cenisz sobie mojego życia, bo ja sam uważam je czasami za wyjątkowo podłe. Ale zważywszy na fakt, że mam tylko jedno, nie zamierzam go tracić. Jakże by nie było.

– Proszę, Mordimerze, usiądź. – W jego głosie oprócz błagania usłyszałem również nutę desperacji. – Proszę...

Milczałem przez chwilę, po czym z powrotem przysunąłem krzesło i usiadłem, jak sobie tego życzył.

– W niczym nie złamiesz prawa – mówił cicho, ale dobitnie Keppel, tak, jakby coś tłumaczył niezbyt roztargnietemu dziecku. Nie powiem, abym przepadał za podobnym tonem. – Dokument jest na okaziciela i nie tkniemy go nawet palcem. Nie fałszujemy, nic nie zatajamy, nie podrabiamy podpisów. Posłuchaj, Mordimerze: „zawiadamia się wszem i

wobec, że mój osobisty inkwizytor na mą prośbę, rozkaz i zalecenie ma zająć się obroną Bożej wiary w wielce nam miłym i przez złego doświadczanym mieście Wittingen...” i tak dalej i tak dalej. Czy was wszystkich, z licencją Hezu, nie nazywa się „osobistymi inkwizytorami Jego Ekscelencji”? Czy miniesz się z prawdą, okazując te pisma?

– Poza tym, że nie wydano ich mnie, tylko Gottstalkowi... – mruknąłem. – Pokaż resztę.

Wręczył mi wszystkie dokumenty, a ja uważnie je przestudiowałem. Faktycznie, zostały sformułowane tak, że posłużyć się mógł nimi każdy, kto posiadał licencję z Hez-hezronu. Sprawdziłem również podpisy oraz pieczęcie, a wszystkie wydały mi się autentyczne.

– Dlaczego dokumenty wystawiono na okaziciela? – zapytałem, nie licząc, że Keppel może na to pytanie odpowiedzieć. – Tego się prawie nigdy nie praktykuje. Biskupia kancelaria trzęsie się zwykle nad każdym słowem... – Nagle oświeciła mnie pewna myśl. – Keppel, mamy teraz wrzesień, tak?

– Jakby nie spojrzeć.

– Jego Ekscelencja pod koniec sierpnia lub na początku września każdego roku jeździ na miesiąc do gorących wód. Mówi, że mu to pomaga na podagrę. Wystawił więc dokument na okaziciela, na wypadek gdyby Gottstalk umarł przed opuszczeniem Hezu. Wtedy dokumenty dostałby inny, wyznaczony inkwizytor i nie trzeba byłoby marnować czasu na długie podróże kurierów w tę i z powrotem.

Andreas tylko wzruszył ramionami.

– Może tak – powiedział obojętnie. – Nieważne dlaczego, ważne, co z tego wynika. Mordimerze, do cholery, nie będziesz w tym wszystkim sam. Jeśli zdecydujemy się przedstawić te papiery, rozumiesz chyba, że w razie nieszczęścia dla nikogo nie będzie tajemnicą, skąd je dostałeś.

– W obliczu niewątpliwie porywającej perspektywy wylądowania w więzieniu, nie pociesza mnie bynajmniej fakt, iż ty będziesz w celi obok – powiedziałem zgryźliwie. – Oj, dopiekl wam ksiądz kanonik – dodałem po chwili.

– Nie odżegnuję się od osobistych pobudek. – Wzruszył nerwowo ramionami.

– Ile ci zaproponowali? – zapytałem, a on pobrał.

– Cc-co takiego?

– Burmistrz? A może ktoś wpływowy z miejskiej rady? Któryś z cechów? Ile dają za zatrzymanie tego szaleństwa?

– Uczciwie się z tobą podzielę – wyszeptał po chwili.

– Aha. I kupię sobie wtedy złote kajdany, a celę wyłożę marmurem – zadrwiłem.

– Ocalisz miasto – rzekł – oraz życie setek niewinnych ludzi...

– Andreas – przerwałem mu. – A kogóż to obchodzi? Czy sam Jezus nie powiedział Apostołom: *zabijajcie ich wszystkich, Ojciec rozpozna swoich!* Za kogo ty mnie masz? Za idiotę? Błédnego rycerza? Z punktu widzenia świata istnienie czy nie istnienie tego miasta jest tak samo ważne, jak istnienie zamku z piasku na nadmorskiej plaży... – urwałem na

moment. – Niepokoi mnie co innego, mój drogi bracie. I gdybyś mniej uwagi poświęcał napełnieniu własnej kabzy, może również byś to pojął.

Podniósł na mnie pytający wzrok i był na tyle skonfundowany, że nawet się nie obraził.

– Otóż, miły Andreasie, aby wzbudzić strach, możesz karać wszystkich. Winnych czy niewinnych. Obojętne. Lecz jeśli pragniesz wzbudzić słodką bojaźń Bożą, oskarżenie musi mieć realne podstawy. Skazanie pięciu, sześciu, dziesięciu, pieczołowicie wybranych ludzi odniesie lepszy skutek niż terror zaprowadzony wśród setek. Bo zbyt wielu będzie wtedy wiedzieć, że ich rodziny, przyjaciół czy sąsiadów oskarżono i skazano niesprawiedliwie. A wtedy, wiedząc o niewinnych ofiarach, mogą zacząć również współczuć prawdziwym czarownikom i prawdziwym heretykom. Gdyż kiedy wszyscy są winni, to nikt nie jest winny. Czy pojmujesz, co mówię?

– Wydaje mi się – przełknął głośno ślinę. – Wydaje mi się, że tak.

– Tak więc zrobię, o co prosisz. I nie dla twoich mieszczańskich łapówek, bo jeśli je weźmiesz, to własnoręcznie powieszę cię na najbliższym drzewie. – Kiedy wypowiadałem te słowa, przez twarz Andreasa przebiegł grymas, ale mój kolega inkwizytor rozsądnie postanowił się jednak nie odzywać. – Zrobię to, bo w moim sercu płonie żar prawdziwej wiary. I nie chcę, żeby ludzie pokroju kanonika Tintallero tę wiarę plugawili – urwałem, spojrzałem na niego i dodałem ostrzejszym tonem. – A poza tym wolałbym nie widzieć na twojej twarzy tego powątpiewającego uśmiešku...

– Tak, Mordimerze. To znaczy nie, Mordimerze. Z ust mi wyjąłeś te właśnie słowa... Wierz mi, że...

– Zamknij się – rozkazałem mu. – Jeszcze nie skończyłem. Żądam od ciebie i innych bezwzględного posłuszeństwa, a od ciebie dochowania tajemnicy. Natychmiast każesz odesłać ludzi Gottstalka, ale nie do Hezu. Gdzie indziej. Gdziekolwiek, byle daleko i byle nikt nie wiedział dokąd jadą.

– Oczywiście – przytaknął.

* * *

Kostuchowi i bliźniakom kazałem czekać na zewnątrz, a do ratusza wkroczyłem, mając u boku Andreasa Keppela oraz dwóch braci inkwizytorów z miejscowego oddziału Świętego Officjum. Byli to Johann Wenzel i Heinrich Vangarde, obaj młodzi, pulchni, jasnowłosi, przypominający znacznie bardziej kupieckich synów niż inkwizytorów. Wszyscy jednak odzialiśmy się w oficjalne stroje, gdyż i misja, z którą przybywaliśmy, była jak najbardziej oficjalna.

Wiedzieliśmy, że kanonik, jak co dzień, uczestniczył w mszy świętej w niewielkiej kaplicy na parterze, a potem śniadał wraz z najbliższymi współpracownikami w sali na piętrze. Jak słyszałem, nie martwił się zbyt postami oraz umartwieniami, gdyż służba codziennie przynosiła wina i potrawy ze słynącego z wyśmienitej kuchni domu kupca

Wildebrandta, cechowego mistrza aksamitników. Który to Wildebrandt wraz z żoną i córką przebywał od wielu dni w gościnnych piwnicach ratusza, podczas kiedy kanonik cieszył się zasobami jego spiżarni oraz piwniczki i korzystał z niezwykłych uzdolnień kucharza.

Przy drzwiach stała uzbrojona w miecze straż księdza kanonika. Dwóch barczystych, przyszcanych chłopaków odzianych w skórzane zbroje.

– Jegomość śniada – warknął jeden z nich. – Możecie poczekać tam, pod ścianą. – Machnął pogardliwie ręką.

– Od kiedy wiejskie chamy mówią inkwizytorom, co powinni czynić? – zapytałem łagodnie. – Od kiedy tacy owcojebcy, jak wy, mają czelność nosić miecze? A krótko mówiąc, dlaczego takie syny kurew i wieprzy chodzą jeszcze po Bożym świecie?

Zamurowało ich. Obaj rozdziawili gęby i przyglądali mi się, jak gdybym spadł z księżycy. Szkoda, gdyż myślałem, że wyciągną miecze, a wtedy będziemy mogli bez uszczerbku dla prawa rozpruć im kałduny ich własnymi ostrzami. Skoro jednak nie wyrażali chęci do bitki, klasnąłem w dłonie. Na ten sygnał przyspieszało czterech miejskich strażników.

– Zabrać im broń i skuć – rozkazałem. – Osadzić w lochu. Jutro staną przed sądem.

Zabawne, ale nawet nie bronili się, kiedy miejscy strażnicy wyrwali im miecze, brutalnie rzucili na posadzkę i związali, pętając nadgarstki tak silnie, aż trysnęła krew. Ot, jakich zawodowców dobierał sobie kanonik. A strażnicy też sobie nie żalowali, gdyż wcześniej ludzie kanonika pamiatali nimi gorzej niż psami. Uśmiechnąłem się do dowodzącego oddziałkiem sierżanta.

– Do cel mają trafić żywi – powiedziałem. – Ale jeśli będą stawiać opór, nie żałujcie im kulaków.

– Sie wie, wasza dostojność – wykrzyknął uradowany sierżant.

– Zostańcie na razie w korytarzu, jeśli łaska – poprosiłem mych towarzyszy.

Otworzyłem drzwi i stanąłem na progu prostokątnej komnaty. Podłoga wyłożona była marmurami, a na ścianach wisiały gobeliny oraz kilka sztuk świetnie utrzymanej i zdobionej broni. Po mojej lewej stronie ciągnęły się szerokie, wysokie okna oszklone kolorowymi witrażami. Poczesne miejsce zajmował duży stół, przy którym siedział ubrany w budy habit kanonik oraz pięciu jego kleryków. Na blacie piętrzyły się potrawy oraz puchary z winem i piwem.

– Czego chcecie? – warknął kanonik, patrząc na mnie spode łba. Odkroił sobie solidny kawał wołowego udźca i wepchnął go w usta. – Nie fihicie, he sniaham?

– Mam dokumenty, które mogą was zainteresować, księżu kanoniku – powiedziałem uprzejmym tonem.

Tintallero gryzł długo, a potem przełknął i popił winem. Zauważyłem, że jeden z kleryków trącił drugiego w ramię i spoglądał w moim kierunku, uśmiechając się złośliwie. Najwyraźniej spodziewali się niezłej zabawy. Miałem nadzieję, że się nie zawiodą.

– I przeszkadzasz mi w śniadaniu, tak? – warknął Tintallero. – Bo przywiozłeś jakieś durnoty, co? Stańże więc tam pod ścianą i czekaj, aż zjemy. I módl się, żeby było w tych pismach coś godnego uwagi, bo jak nie... – Pogroził mi na wpół ogryzionym gnatem.

Klerycy roześmiali się, a kanonik popatrzył na nich z uznaniem, ale jednocześnie, jakby badawczo. Może sprawdzał, który śmieje się najmniej wesoło?

– Nie poczęstujecie mnie śniadaniem? – zagadnąłem. – Przybyłem do was prosto z drogi i chętnie bym się czegoś napił i coś zjadł.

Klerycy zamarli. Jeden nawet z łyżką podniesioną do ust. Kanonik odwrócił się gwałtownie.

– Czy pozwoliłem ci się odzywać?

– Mo że rzucimy mu kilka kości? – zaryzykował żart jeden z kleryków, ale Tintallero zgromił go spojrzeniem. Wyraźnie tylko on w tym towarzystwie miał monopol na dowcipy.

– A muszę mieć na to wasze pozwolenie? – spytałem. – W końcu Pan Bóg Wszechmogący dał mi usta, żebym gadał. A skoro wam dał uszy, to pewnie, byście słuchali.

Tintallero uniósł się nad stołem, a jego blada i jakby wyschnięta twarz pobladła jeszcze bardziej. Zaciśnął szczęki i kości policzkowe zdawały się przebijać pergaminową skórę.

– C-co? Co wyście powiedzieli?

– Powiedziałem, że jestem znudzony wami i waszym towarzystwem. – Podeszedłem do stołu. Sięgnąłem po stojący na blacie kielich. Powąchałem. – I zniesmaczony waszym gustem, bo daliście sobie wcisnąć najgorszy rocznik alhamry. No, ale nie dziwota, bo cham nawet jak się przystroi w piórka, zawsze chamem zostanie.

Przechyliłem kielich i struga czerwieni polala się na haftowany obrus. Jeden z kleryków skoczył w moją stronę, ale okręciłem się, chwyciłem go za rękę, wałęnałem nią w stół tak, że rozcapierzył palce, a wtedy przybiłem mu dłoń do stołu widelcem o dwóch zębach. Zawył, że mało mi uszy nie pękły.

– Widelce – powiedziałem. – Kto widział, aby chamy jadły widelcami?

– Straaaaaaz!!! – rozdarł się kanonik.

Ale kiedy do środka weszło czterech moich braci – inkwizytorów, krzyk uwiązł mu w gardle. Przybity do stołu kleryk wył tylko z cicha, próbując palcami lewej dłoni wyrwać widelec z rany. Wałęnałem go w łeb, by nie przeszkadzał nam w konwersacji. Zwiotczał, upadł i widelec sam się oderwał pod ciężarem jego ciała.

– Keppel, co tu się dzieje? Kim jest ten człowiek?! Odpowiesz mi...

– Milcz – rozkazałem. – Bo zaraz dam ci prawdziwy powód do krzyku.

– Stra-az – powiedział cicho jeden z kleryków.

– Już w lochach – uśmiechnąłem się. – Co grozi za stawianie oporu inkwizytorowi na służbie? Tintallero, do ciebie mówię!

Patrzył na mnie z rozdziawionymi ustami i nienawiścią w oczach.

– Keppel, przypomnij z łaski swojej temu bałwanowi.

– Spalenie prawej dłoni na wolnym ogniu, w drodze łaski wymieniane na obcięcie.
– To już sobie nie potrzymają miecza – zauważyłem i spojrzałem ostro na dwóch kleryków, którzy skulili się na jednym krześle. – To był żart! – warknąłem, a oni roześmieli się głupio.

Wyjąłem z zanadru dokumenty przygotowane przez biskupią kancelarię i zbliżyłem się do kanonika. Cofnął się z krzesłem tak, jakbym miał zamiar go uderzyć, ale ja tylko rzuciłem papiery na obrus przed nim.

– Czytaj – rozkazałem.

Przebiegł tekst wzrokiem i zachował tyle zimnej krwi, by dokładnie przyjrzeć się podpisom oraz pieczęciom.

– Mordimer Madderdin – obwieściłem. – Licencjonowany inkwizytor Jego Ekscelencji biskupa Hez-hezronu. Przejmuję władzę w mieście w imieniu Świętego Officjum, na chwałę Pana Boga Wszechmogącego oraz Aniołów.

Tintallero podniósł na mnie wzrok.

– No cóż – powiedział powoli. – Niestety zaczęła się ta nasza znajomość, ale pozwalam sobie mieć nadzieję, że dalsza współpraca potoczy się...

– Kanoniku – przerwałem, bo nawet nie chciało mi się słuchać tego bełkotu. – Nasza współpraca będzie się opierać na czterech nadzwyczaj solidnych filarach. Po pierwsze, wy i wasi ludzie macie kategoryczny zakaz wstępu do ratusza; po drugie, wy i wasi ludzie macie całkowity zakaz prowadzenia przesłuchań, śledztw oraz dochodzeń. Po trzecie, wy i wasi ludzie macie całkowity zakaz opuszczania Wittingen bez podpisanego przeze mnie glejtu. Po czwarte w końcu, macie natychmiast zdać wszystkie dokumenty oraz protokoły na ręce inkwizytora Andreasa Keppela. Jeśli jakikolwiek z tych rozkazów zostanie złamany, zostaniecie aresztowani i odesłani pod strażą do Hez-hezronu, przed oblicze Jego Ekscelencji biskupa. Czy zostałem dobrze zrozumiany?

– Nie mm-macie... – zaczął.

– Mam – odparłem. – A teraz zabieraj swoich żartownisiów i wynoście się stąd.

Wstał i muszę przyznać, że miał w sobie jednak odrobinę odwagi, a może godności, czy wywołanego klęską szaleństwa. W każdym razie spojrzał mi prosto w oczy (a w jego wzroku gorzała feeria piekielnych ogní) i powiedział:

– Zapamiętam was, inkwizytorze Madderdin. Dobrze was sobie zapamiętam. Zapłacicie tak straszną cenę za każde wypowiedziane dzisiaj słowo, że wystawiony rachunek będziecie z lamentem wspominać do końca życia.

Strzeliłem go w twarz otwartą dłonią. Mocno. Tak, że okruszki zębów wbiły mi się w skórę, a krew trysnęła na kaftan.

– Doliczcie i to do rachunku – poprosiłem.

* * *

Kazałem strażnikowi zaprowadzić mnie do celi Emmy Gudolf. Szliśmy ponurym, wilgotnym korytarzem, a zza krat słyszałem tylko jęki bólu i czułem smród krwi, kału, moczu oraz strachu. Tak, mili moi, strachu. Strach ma swój zapach. Ostry, przerażający, wdzierający się w głąb serca. Tu, w tych ratuszowych piwnicach przerobionych na więzienie nie był jeszcze tak silny. Ale gdybyście weszli do podziemi klasztoru Amszilas lub kazamat Inkwizytorium, pojęlibyście, co oznacza odór strachu, który na wieki zastygł już w murach tych budowli.

Strażnik przystanął przed celą Emmy. Półnaga dziewczyna, w oberwanej sukni ledwo przykrywającej ciało, kulila się na mokrych, zimnych kamieniach. Jej stopy były spalone niemal na węgiel, a ciało porwane kleszczami do samych kości. Wytluczono jej prawe oko, które pokrywał ropiejący, żółtobrunatny skrzep. Miała pogruchotane palce lewej dłoni.

– Otwieraj – syknąłem. – Medyka. Natychmiast!

Strażnik szczerknął kluczami, i zostawiając mnie w otwartych drzwiach celi, pobiegł korytarzem. Wszedłem i ukląknąłem przy dziewczynie. Zdjąłem z ramion płaszcz i ostrożnie ją otuliłem, ale chyba nic nie czuła, gdyż nawet nie jęknęła. Żyła jeszcze, bo słyszałem jej oddech, ale ciało miała rozpalone gorączką.

Lekarz musiał być gdzieś w pobliżu, gdyż strażnik przyprowadził go w kilka pacierzy później.

– Jestem, mistrzu – wyjąkał, a na jego twarzy widziałem przerażenie.

– Zbadaj ją – rozkazałem.

Ukląknął obok i ostrożnie zdjął mój płaszcz. Syknął, kiedy zobaczył ciało. Przyłożył ucho do jej piersi, a potem delikatnie dotknął palcami przegubów.

– Ja boję się ją nawet – przełknął ślinę – odwrócić...

– Aż tak jest źle?

– Bardzo źle, panie. Ona już powinna nie żyć. Ja widziałem, co z nią robili. – Medyk był stary, siwy i musiał w życiu widzieć wiele rzeczy, ale spostrzegłem, że płacze i nie wstydził się tych łez, które ciurkiem leciały mu po policzkach.

– Co robili? – spytałem głucho.

– Widzicie, panie, jak wygląda. Ale to nie wszystko. Po pierwszym przesłuchaniu – zniżył głos – kazał ją pohańbić... A dziewczyna była niewinna.

– Kto? – warknąłem. – Kto to zrobił?

– Ci jego tam. – Przez jego twarz przebiegł grymas obrzydzenia. – Co chodzili z mieczami i pilnowali, niby straż przyboczna. A on patrzył. Sam widziałem. W drugim przesłuchaniu nawet nie chciał jej słuchać. Kazał ją zakneblować, wypędził kata i powiedział, że sam pokaże, jak przypalać ogniem, by ofiara nie umarła zbyt szybko...

– Co powiedział? – Obróciłem się w jego stronę i chwyciłem go za kaftan. – C-co powiedział? – Puściłem go i objąłem lewy nadgarstek palcami prawej dłoni, by nie dostrzegł, że zadrżała mi ręka.

– Jak podkładać ogień, by ofiara nie umarła zbyt szybko... – Medyk wpatrywał się we mnie jak zauroczony, a jego oczy były ze strachu wielkie niczym talerze.

– Ach tak – powiedziałem i odwróciłem się, bo przecież nie chciałem przerażać tego człowieka.

– Może przenieść ją do szpitala? – spytałem po chwili. – Macie przecież jakieś leki...

– Tu nic nie pomoże, panie – przerwał mi. – Bogu dziękować, ona już nawet nic nie czuje.

Nakryłem ją znowu płaszczem i wstałem.

– Dajcie coś, żeby – zawiesiłem głos – zasnęła. Rozumiecie mnie?

– Ja nie wiem, czy was dobrze...

– Dobrze – odparłem.

– Nie wezmę tego na własne sumienie – rzekł niepewnie.

Nachyliłem się nad nim.

– To weźcie na moje – syknąłem. – A potem zajmijcie się innymi więźniami. Niech ich leczą, dadzą jeść i pić. Dostaniecie wynagrodzenie z kasy miasta. Zrozumieliście?

– Tak, mistrzu. Zapomnieliście płaszcz – dodał po chwili.

– Nie zapomniałem – odparłem i wyszedłem z celi.

Odwróciłem się jeszcze na korytarzu i przez kraty ostatni raz spojrzałem na umierającą dziewczynę. Przypomniałem sobie słowa jej siostry, a potem przytoczone przez starego lekarza słowa kanonika. Słowa, które znałem przecież z innego miejsca, innych czasów oraz innych ust. Przeżegnałem się i otarłem powieki, gdyż nabawiłem się poprzedniego dnia kataru i teraz łzały mi oczy.

– Tintallero – powiedziałem w próżnię. – To ja mam dla ciebie rachunek do podpisania.

* * *

Spodziewałem się, że moi bracia inkwizytorzy będą nieco poruszeni tak szorstkim potraktowaniem kanonika, ale musiał im wyjątkowo dopieć, skoro nie odczuwali żadnych obaw przez zemstą wysłannika Stolicy Apostolskiej. Zresztą przecież tylko Keppel wiedział, że tak naprawdę nie ja jestem pełnomocnikiem biskupa. Reszta braci przejęcie przeze mnie komendy nad miastem wzięła za dobrą monetę i szczerze się z tego powodu cieszyła.

Oczywiście możecie spytać, mili moi, dlaczego wasz uniżony sługa rozegrał rzecz w sposób tak mało finezyjny, choć niewątpliwie przynoszący słodką satysfakcję. Otóż od samego początku, od chwili kiedy zdecydowałem się wejść do wielkiej gry, wiedziałem, że na świecie nie ma miejsca dla mnie i dla kanonika Tintallero. Rzecz jasna zabicie go nie wchodziło w rachubę. Gdybym zamordował go na oczach innych ludzi, naraziłbym się na bunt inkwizytorów, którzy choć mogliby podzielać moje uczucia, to nie mogliby zgodzić się na tak drastyczne łamanie prawa. Z kolei skrytobójstwo również nie było dobrym rozwiązaniem. Kanonik chodził otoczony strażą, a gdybym kazał tych strażników aresztować,

wina za każdy zamach i tak obarczono by właśnie mnie. Poza tym śmierć Tintallero miała być jedynie finałem teatrum, którego scenariusz kielkował w mojej głowie. Co ważne: finałem, jaki z zapalem będzie musiał poprzeć każdy uczciwy chrześcijanin. Ale do tegoż finału droga była jeszcze daleka. Scena przy śniadaniu miała również inne znaczenie. Budowała moją opinię jako człowieka gwałtownego oraz prostodusznego. Niezdolnego do finezji, lecz tylko do tłuczenia po głbie i niewyszukanych dowcipów. Być może, jeśli będę postępował z nadzwyczajną ostrożnością, uda mi się uratować głowę.

Niewątpliwy sukces i triumf (chwilowy, bo chwilowy, ale jednak triumf nad kanonikiem Tintallero) postanowiliśmy uczcić w oberży, gdzie gnący się w ukłonach oberżysta wydzielił nam całą salę na półpiętrze. I przyszykował najlepsze potrawy oraz najlepsze trunki, na jakie stać było jego kuchni.

Zderaliśmy się właśnie kubkami wzniesionymi w wesołym toaście, kiedy zobaczyłem, jak pędzi w naszym kierunku pewna dziewczyna. Próżno próbował ją powstrzymać karczmarz, próżno posługacz chwycił kraj jej płaszcza, który został mu w dłoniach. Kiedy już znalazła się przy naszym stole, Johann Wenzel odwrócił się błyskawicznie i złapał ją wpół.

– A dokąd to, panienko? – zapytał żartobliwie i wtedy dostrzegł sztylet w jej dłoni.

Uśmiech momentalnie zniknął z jego twarzy. Wytrącił jej broń z ręki i uderzył pięścią w szczękę. Dziewczyna poleciała do tyłu i padła na ziemię, roztrzaskując zydle.

– A to żmija! – warknął Johann.

– Znam ją – powiedziałem i ruchem dłoni nakazałem karczmarzowi oraz posługaczowi, by nie opuszczali sali.

Dokładnie zasunąłem kotarę przy alkierzu.

– Znasz ją? – zdziwił się Vangarde.

– I ja ją znam – powiedział Keppel, wpatrując się w twarz nieprzytomnej dziewczyny.

– Opowiecie nam? – zarechotał Johann.

Popatrzyłem na niego i śmiech uwiązł mu w gardle.

– Kanonik przesłuchiwał jej siostrę – wyjaśniłem. – A jak sobie zapewne zdajecie sprawę, dziewczyna była niewinna. Widziałem ją, bo przeżyła śledztwo. Tyle że już nawet nie zdążyłem kazać jej uwolnić. A nawet, gdybym zdążył... – wzruszyłem ramionami.

– A ona – pokazałem ruchem podbródka nieprzytomną kobietę – pewnie myśli, że śmierć siostry to moja wina.

– Zawołałam strażników – mruknął Vangarde. – Niech ją zamkną.

– Nie – zdecydowałem.

Podszedłem do karczmarza.

– Zabierz ją stąd i ocuć – przykazałem. – Niech wraca do domu i niech nie pokazuje się tutaj więcej. Ale niech nikt jej nie robi krzywdy. Tylko – wziąłem go pod brodę i podniosłem jego głowę tak, by mi spojrzał prosto w oczy – nikt nie ma wiedzieć o tym, co się tu zdarzyło, rozumiesz? Trzymaj głowę na kłódkę i przykaż to samo chłopakowi. Tak?

– Wedle woli, jasnie panie – wybąkał przerażony i pochylił się w głębokim ukłonie.

* * *

Siedziała na łóżku i płakała. Widziałem, że rozłożyła przed sobą jakieś suknie, chusty, szale, małe puzderko ze skromną biżuterią. Zapewne te rzeczy należały do jej siostry, którą teraz wspominała i opłakiwała. Stałem za jej plecami i dotknąłem ramienia. Chciała krzyknąć, ale zasłoniłem jej usta dłonią.

– Ciiiicho – powiedziałem łagodnym tonem. – Nie chcę ci zrobić żadnej krzywdy. Chcę tylko porozmawiać. Nie będziesz krzyczeć, prawda?

Po chwili zastanowienia potrząsnęła głową, być może zachęcona moim spokojnym głosem, a może wiedząc, że nie ma innego wyboru. Puściłem ją i usiadłem na zydlu stojącym kilka kroków dalej, pod ścianą.

– Inkwizytor – powiedziała, przyglądając mi się z nienawiścią we wzroku.

Otarła łzy z policzków.

– Mnie też chcecie zabić? – zapytała, rzucając głową w tył, jakby myślała, że za moment poderżnę nożem jej odsłoniętą szyję. – Nie dość wam krwi?

– Czy słyszałaś, co się dzieje w Wittingen, Sylvio? O tym, że rozkazałem wypuścić większość uwięzionych z lochów ratusza? Że nikt nie jest już poddawany badaniom?

– Mojej siostrze nie pomogłeś!

– Posłuchaj, co powiem. Możesz mi wierzyć albo nie, lecz to nie ja jestem winien śmierci Emmy. – Uniosłem dłoń, bo chciała mi przerwać. – Kiedy przyjechałem do Wittingen, już ją przesłuchiavano. A kiedy objąłem władzę nad śledztwami, nie żyła. Przykro mi.

– Przykro wam – roześmiała się ponuro. – Po cóście tu przyszli?

– Dać ci coś...

– Nic od was nie chcę!

– Och, tego zechcesz na pewno. Dam ci zemstę, Sylvio. Zniszczę człowieka, który skrzywdził twoją siostrę. Który kazał ją gwałcić i torturować. Który palił jej ciało żywym ogniem i szarpał je kleszczami. Który naigrawał się z jej cierpienia. Ale musisz mi pomóc w tym zbożnym dziele.

Patrzyła na mnie długą chwilę oczami pełnymi łez, a na jej twarzy walczyły obawa z nadzieją i niedowierzaniem.

– Zwodzicie mnie – szepnęła. – Powiedzcie, czego naprawdę chcecie?

– Chcę kanonika Tintallero – powiedziałem, pochylając się. – A ty mi go dasz.

– Jak? – odezwała się po chwili.

Wstałem i zatarłem dłonie, bo w pokoju było chłodno, a na wystygłym palenisku poniewierały się tylko zimne, niemal w całości wypalone węgle.

– Pojutrze przyjdzie po ciebie mój człowiek. Poznasz go od razu, bo ma ohydną bliznę na twarzy. Ale nie przestrasz się, gdyż zjawi się, by ci pomóc. Zaprowadzi cię do kramów na

targu, przy których kanonik zjawia się codziennie około południa. A wtedy twoim zadaniem będzie tylko...

– ... zabić go – szepnęła.

– Moje dziecko... – Uśmiechnąłem się wyrozumiale. – Zabić go, to sam sobie mogę. Nie na tym ma polegać twoje zadanie. Po prostu wpadnij na niego, jakby w pośpiechu czy nieuwadze, uśmiechnij się i pięknie przeproś. I daj potoczyć się wydarzeniom.

– Nie rozumiem.

– Jak znam kanonika, wyśle kogoś za tobą i zaproponuje ci spotkanie. A ty grzecznie przyjmiesz propozycję. Umówisz się z nim tego samego dnia po zachodzie słońca, w ogrodzie przy kościele Miecza Chrystusowego. A dokładnie w różanej altanie.

– Dobrze – powiedziała po długiej chwili milczenia. – Zrobię, jak sobie życzyście. Ale odpowiedzcie mi na jedno pytanie...

Skinąłem głową.

– Co z nim zrobicie?

– Sprawię, że będzie żałował każdej minuty tego krótkiego czasu, który mu pozostanie – odparłem i uśmiechnąłem się do niej.

I chyba ten właśnie uśmiech przekonał ją, że mówię prawdę.

– Była taka słodka – powiedziała, patrząc gdzieś nad moją głowę. – Dlaczego musiało ją to spotkać?

– Jeśli, tak jak mówisz, była dobrą kobietą, jej los jest lepszy od naszego – powiedziałem.

– My bowiem musimy cierpieć na tym nieszczęsnym padole łez, a ona raduje się już przy niebieskim stole Pana i śpiewa „Hosanna” wraz z Aniołami.

Tym razem popatrzyła na mnie. Pustym wzrokiem bez wyrazu.

– Naprawdę w to wierzycie?

– A cóż może być warte życie bez wiary? – odparłem i pożegnałem ją skinieniem głowy.

Kiedy już opuściłem ten smutny dom, zastanowiłem się nad pytaniem Sylvii. Czy wierzyłem, że jej siostra została zbawiona, a niebiańskie rozkosze osładzają jej wspomnienie doczesnego bólu? Nie wiem. Ale wiedziałem jedno. Kanonik Tintallero już niedługo przeżyje piekło na ziemi. A jego życie pozagrobowe nie interesowało mnie wcale, choć miałem nieśmiałą nadzieję, że kiedy przyjdzie mój czas, nie wyląduję w tym samym miejscu co on.

* * *

Rozdzieliłem chłopcom zadania, gdyż sam byłem wściekle zajęty czytaniem protokołów ze śledztw oraz znajdowaniem przynajmniej w miarę wiarygodnych powodów, by zwolnić większość oskarżonych. Bliźniaków, dysponujących niejaką artystyczną fantazją, wyznaczyłem do zadania przyszykowania i udekorowania pewnej komnaty. Dodatkowo Drugi otrzymał zadanie krawieckie, gdyż wiedziałem, że posługuje się igłą, nicią i nożycami równie sprawnie jak kuszą. Co prawda nie był zachwycony, ale cóż... on jest od wykonywania

rozkazów, a nie strojenia fochów. Kostuch natomiast otrzymał polecenie zebrania na cmentarzu zestawu kości. A że chodziło o kości specjalnego rodzaju, więc był wściekły, gdyż musiał się nieźle naszukać.

W końcu nadszedł dzień, w którym wszystko miało się wypełnić. Zdarzenia potoczyły się właściwym biegiem. Sylvia spotkała kanonika, kanonik połknął przynętę, zaproponował jej spotkanie i zgodził się przybyć o wyznaczonej porze w wyznaczone miejsce. Cóż, mogłem sobie pogratulować, że dobrze odczytałem uczucia Tintallero. Przyglądając się przesłuchaniu Emmy, byłem święcie przekonany, iż dziewczyna budzi w nim nie przystające księdzu żądze. Jej kruchość, niewinność, spojrzenie, delikatne rysy twarzy. Lecz zamiast ją posiąść, czego nie mógł przecież uczynić, nie narażając się na kompromitację, kazał ją męczyć. A potem przyglądał się, jak ją gwałcono, folgując swym obrzydliwym instynktom i mrocznym fantazjom.

A jak zauważyłem, Sylvia była niemal ludożęco podobna do siostry i miałem pewność, że kanonika opęta myśl zaspokojenia z nią w własnej chuci. A dodatkowo podnieci go fakt posiadania kobiety, której siostrę zamęczył. Znałem takich jak on i pogardzałem nimi z całego serca.

Do ogrodu leżącego na tyłach ogromnego kościoła pod wezwaniem Miecza Chrystusowego zakradliśmy się długo przed zachodem słońca. Oczywiście ubrani w zwykłe mieszczańskie łąszki, by nikt w najśmielszych nawet domysłach nie mógł nas połączyć ze Świętym Officjum. Przedtem jeszcze tylko minęliśmy procesję biczowników idącą od kościoła w stronę rynku. Tłum złożony z postaci obojga płci, brudnych ponad ludzkie pojęcie, kudłatych, pokrwawionych i ubranych w porwane szaty, zataczał się po ulicy, wyjąc opętańcze pieśni, wznosząc modły, wrzeszcząc i odmawiając litanie. Nie było w tym ładu ani składu, ani melodii, a tylko jeden zwierzęcy ryk, pisk oraz lament. Każdy z ludzi trzymał w dłoniach coś, czym mógł katować ciało własne lub sąsiada. Czasami kij bądź splecioną w pęk różgę, czasami konopny, zapętlony sznur. Ale niektórzy przygotowali się widać starannie, bo dostrzegłem również liny poprzetykane żelaznymi kulkami, a nawet kije nabite żelaznymi kolcami, których rolą chyba już nie było biczowanie, a wręcz łamanie kości lub szarpanie mięśni.

– Poprosiliby, to byśmy sami ich niby obrządzili – roześmiał się Drugi.

– Z przyjemnością – zawtórował mu brat.

Kostuch zapatrzył się na obfite piersi jednej z kobiet (całkiem zresztą młodej i ładnej), które pod wpływem żarliwego biczowania różgą przypominały już siekany kotlet. Co ludzi ciągnie do umartwień? – pomyślałem. – Czy sądzą, że Pan czerpie rozkosz z ich krwi oraz bólu? Raczej sami czerpią z tego zadowolenie. Być może nawet pod wpływem któregoś ze szczególnie bolesnych ciosów rozkosznie spełniając się w brudne i podarte portki.

– Chodźcie – mruknąłem. – Nie dla nas te finezyjne zabawy.

Schowaliśmy się w gęstych różanych krzakach zarastających tyły altany. O ogród

wyrażnie nikt od dawna nie dbał, gdyż krzewy rozpleniły się gęsto i wyrastały dobrze ponad moją głowę. Chłopcy jęczyli co prawda, że się pokuli i że kto to widział tak siedzieć w gęstwinie pełnej kolców, ale kazałem im tylko, żeby się zamknęli i dziękowali Bogu, że nie mamy zadania, które kazałoby nam upodobnić się do uczestników biczowniczej procesji. To najwyraźniej przemówiło do ich wyobraźni.

Byłem pewien, iż kanonik jest na tyle ostrożny, aby nie zabierać ze sobą strażników, a jeśli już, to zostawi ich przy ogrodowej furcie. Z drugiej strony mógł jednak kazać komuś sprawdzić, czy dziewczyna rzeczywiście czeka i czy nie przyszykowano jakiegś niespodzianki.

Sylvia pojawiła się tuż przed zachodem słońca i przycupnęła na ławeczce w altanie. Przedtem surowo nakazałem, by nie rozglądała się i nie szukała nas wzrokiem, gdyż nie byłem pewien, czy kanonik kogoś za nią nie wysłał. W końcu słońce schowało się za ogromną wieżycą dzwonnicy, a ja w mroku dostrzegłem jakąś postać. To jednak nie był kanonik. Przemysłny księżulo wysłał jednego ze swych podkomendnych, by przyjrzał się sprawie. Mężczyzna z daleka zerknął w głąb altany, rozejrzał się niedbale i wyraźnie zadowolony z siebie zawrócił pod furkę.

– Oćwiczylbym go do kości za taki zwiad – szepnął mi Kostuch prosto w ucho, a ja skrzywiłem się, bo z jego paszczęki dobiegł mnie charakterystyczny smród gnijących resztek.

– Bliźniak, zakradnij się tyłem i zdejmij go, jeśli czeka przy bramie – rozkazałem Drugiemu.

Drugi skrzywił się z niezadowoleniem, gdyż nie spodobała mu się perspektywa czołgania przez chaszcze, ale posłusznie zrobił, co mu kazałem.

No i wreszcie pojawił się sam kanonik. Ubrany w zwykły płaszcz z króliczym kołnierzem i w kapeluszu naciśniętym na same uszy. Zbliżył się do altany.

– Jesteś, turkaweczko – zagruchał w swoim mniemaniu zapewne uwodzicielskim tonem.
– Chodźże szybko, bo chcę zobaczyć, co tam za specjały chowasz dla swojego koziołka.

– Koziołka? – mruknął Kostuch z obrzydzeniem.

Z altanki dobiegły nas odgłosy szamotaniny i dartego materiału.

– Tak, duszko, opieraj się, opieraj – wysapał czcigodny kapłan.

– Wystarczy tego dobrego – powiedziałem wyłażąc z krzaków.

Zerknąłem w głąb altany i zobaczyłem, że dostojny kanonik przygwoździł już Sylwię ciałem, obcałowując jej policzek, a lewą ręką starał się zderzyć z niej spódnicę. Dziewczyna miała twarz wykrzywioną obrzydzeniem i przerażone oczy. Zdawałem sobie sprawę, że teraz zapewne zastanawia się, czy nie została wystrychnięta na dudka i czy nie obserwujemy całej sceny gdzieś z ukrycia, uznając wszystko za rozkoszny żarcik.

Dałem Kostuchowi znak, by wszedł pierwszy. Kiedy pojawił się w progu, twarz Sylvii rozpromieniła się w tak szczęśliwym uśmiechu, że Kostucha aż zamurowało. Nie był zapewne przyzwyczajony, aby jego nagle pojawienie się było witane z bezbrzeżną radością.

Zwłaszcza przez pleć piękną. Jednak Kostuch szybko się ocknął, zrobił dwa długie kroki i huknął kanonika pięścią w potylicę. Wtedy weszliśmy do środka i my. Tintallero leżał na ziemi nieprzytomny, a jego oczy uciekły w głąb czaszki. Oświetliłem lampką jego twarz.

– Boże, dziękuję wam, dziękuję wam – szeptła Sylvia, trzęsąc się na całym ciele, a Kostuch zerwał płaszcz z kanonika i otulił ją. Uniosłem brwi, ale nic nie powiedziałem.

– Nie za bardzo go stuknąłeś? – zapytałem po chwili.

– Mordimer – Kostuch niemal się obraził. – Tylko trąciłem.

Uklęknąłem, ująłem w swoje dłonie dłoń kanonika i zbadałem mu puls.

– Twoje szczęście – odparłem. – No dobrze, do worka go i idziemy.

W bramce altany pojawił się Drugi. Miał bardzo zadowoloną minę.

– Czyste cięcie po gardziółku – obwieścił. – Ani niby zipnął. A trupa – w krzaki.

– No i dobrze – podsumowałem.

– A ona? – warknął Pierwszy, wskazując Sylvie ruchem podbródka.

Dziewczyna siedziała na ławeczce i przyglądała się nam zgaszonym wzrokiem.

– Więc tak – powiedziała cicho. – Za wszystko trzeba zapłacić, prawda?

– Zrobię to szybko – burknął Kostuch. – Nawet nie poczujesz.

Spojrzałem na niego ze zdziwieniem, bo rzadko się zdarzało, by do kogoś poczuł tak gorącą sympatię, aby pragnął oszczędzić mu strachu oraz bólu.

– Nikomu nic nie powiem – obiecała bez przekonania, a ja się uśmiechnąłem.

– Powiedziałaś – rzekłem. – Wierz mi. Wszystko, o co by cię zapytano, i mnóstwo rzeczy, o które by cię nawet nie pytano.

– Zapewne macie rację. – Ledwie słyszałem jej głos.

– Ale obiecałem ci zemstę, Sylvio, a teraz w rękę trzymasz tylko obietnicę. Tymczasem ja zawsze dotrzymuję umów. Cóż to byłaby za zemsta, gdybyś nie zobaczyła, jak jegomość kanonik płonie na stosie, prawda?

Uniosła głowę.

– Zostaniesz zaprowadzona do siedziby Inkwizytorium. Odprawiliśmy starą kucharkę, więc zajmiesz jej miejsce. Nikomu nie wyjawisz prawdziwego imienia, zresztą nikt cię o nic nie będzie pytał. Nie opuścisz też domu bez pozwolenia i bez towarzystwa człowieka, którego osobiście wyznaczę. A jeśli złapiemy cię na takiej próbie, nie ujdiesz z życiem.

Zrozumiałaś?

Skinęła głową, a w jej oczach widziałem wdzięczność oraz psie oddanie.

– Och, Mordimer – westchnął teatralnie Drugi. – I jego niby miłosierne serduszko. Kamień do szyi dziewczce i do kanału, bo nas wyda!

– Kamień do szyi, ja ci zaraz mogę... – Kostuch obrócił się w stronę Drugiego i na miejscu bliźniaka, widząc wyraz jego twarzy, dwa razy zastanowiłbym się nad ciągnięciem dyskusji na temat zamordowania Syvii.

– Ośmielasz się poddawać w wątpliwość moje rozkazy? – zapytałem zimno Drugiego.

Zerknął na mnie i jakby skurczył się w sobie.

– Nie, nie – zaprotestował szybko. – Ja tylko żartowałem. Mam nadzieję, że cię niby nie obraziłem...

– Tym razem jeszcze nie – powiedziałem, patrząc mu prosto w oczy. – No dobra. – Zerknąłem w stronę leżącego kanonika. – Ładujcie to ścierwo i zmykamy.

* * *

Strażnik niosący pochodnię szedł kilka kroków przede mną, ale kanonik Tintallero dostrzegł mnie bardzo wcześnie. Widziałem, że stoi z twarzą przyciśniętą do krat, a kiedy już mnie poznał, zaczął wyć. Nie krzyczeć, wrzeszczeć, czy jęczeć. Po prostu wyć wściekłym, wilczym wyciem.

– Żesz czarownik, psia mać – warknął strażnik i przejechał pałąk po prętach. Tintallero urwał wycie w pół dźwięku. – Patrzcie go, wystarczy, że krzyż zobaczy, a już wyje...

Uśmiechnąłem się, wiedząc, że ta uciechna historyjka na pewno szybko opuści bramy więzienia i zostanie sto i tysiąc razy powtórzona na wittingeńskich ulicach.

Kanonik Tintallero wyglądał trochę zabawnie, a trochę przerażająco w swym przebraniu. Kostium uszyty z kozłej skóry (Drugi bardzo pilnie przyłożył się do pracy) nadawał mu nie tyle wygląd wyjątkowo paskudnego kozła, lecz jakiegoś plugawego mieszańca powstałego w wyniku sodomickich praktyk. Szkoda tylko, że łzy, pot i krew zatarły już malunki, które Pierwszy tak pieczołowicie wymalował na jego twarzy.

– Witajcie – powiedziałem, zbliżając się do krat, i ledwo zdążyłem się uchylić, gdyż kanonik próbował mnie opluć.

Stał z twarzą przyciśniętą do kraty, a palcami wczepiał się w żelazne pręty. Płakał z bezsilnej złości.

– Przychodzę do was jako przyjaciel – zacząłem łagodnym tonem i znowu musiałem uchylić się przed plwociną. – Ale widzę, że nie pragniecie duchowego pocieszenia. Cóż – zwróciłem się do strażnika – wyprowadźcie więźnia do pokoju przesłuchań. Zaczniemy od razu. Ach, tylko rozbierzcie go wcześniej, bo jakże tak w tym kozłim stroju...

Odszedłem i opuściłem lochy, przechodząc do sali, w której mieliśmy badać kanonika. Wszystko było już prawidłowo przygotowane, a przy stole siedzieli Andreas Keppel, Johann Wenzel oraz Heinrich Vangarde, który miał pełnić rolę protokolanta. Kat sprawdzał linę do podwieszenia doczepioną do haku przy suficie, a jego czeladnik nagrzewał w palenisku dłuta oraz cęgi.

Kanonika musiało wprowadzać dwóch strażników, bo mimo mizernej postury rzucał się jak potępiony, wrzeszczał, pluł i usiłował gryźć. Cóż, ciężko to było nazwać godnym zachowaniem. Jednak kat zaraz bardzo fachowo przewiązał mu liną nadgarstki i podciągnął na kołowrotku. Kanonik zatchnął się i umilkł. Stał teraz wyprężony jak struna, na samych końcach palców, a związane z tyłu ręce podniesiono mu niemal do linii ramion. Na razie była

to tylko pozycja bardzo niewygodna, ale nie sprawiająca bólu.

Spojrzałem w górę, na balkon, przy którym oparte o balustradę stały dwie postacie. Jedną z nich był Kostuch, twarz drugiej ukryta była pod obszernym kapturem. Nie widziałem tej twarzy, bo też nie mogłem jej dostrzec w słabym świetle. Lecz byłem pewien, że obserwuje wszystko w radosnym napięciu, a pogańska sentencja mówiąca, iż „zemsta jest rozkoszą bogów” pasuje do niej jak ulał.

– Zacznijmy, mili bracia – powiedziałem. – Zanotuj Heini, jak każe obyczaj. – Zwróciłem się do Vangarde’a. – Dnia tego a tego, roku Pańskiego i tak dalej, w mieście Wittingen, sąd inkwizycyjny w składzie takim a takim...

– Wybacz, Mordimer, wolniej – mruknął Heinrich. – Mylisz mnie tym takim a takim.

– ... przystąpił do przesłuchiwania kanonika Pietro Tintallero, którego tożsamość została bez omyłki określona i potwierdzona – dokończyłem po chwili przerwy. – Do protokołów załączony jest akt oskarżenia zapisany na trzech stronach sygnowanych tak a tak.

Po zakończeniu protokolarnego wstępu wstaliśmy i odmówiliśmy krótką modlitwę, po czym podniosłem się od stołu i zbliżyłem do kanonika.

– Nieszczęsny Pietro Tintallero – powiedziałem. – Pan Bóg Wszechmogący okazał ci łaskę, oddając pod sąd Świętego Officjum. To tu będziesz mógł oczyścić z grzechu swoje serce, a my w pokorze i z miłością pozwolimy, byś znowu pokochał Boga. Czy chciałbyś odmówić wraz ze mną modlitwę?

– Jestem duchownym! Nie wolno mnie wydać na tortury! Zgnijesz w więzieniu! – wrzasnął i zaraz potem jęknął, bo, krzycząc, bezwiednie szarpnął rękoma. – Spalą cię – zajęczał jeszcze na koniec.

– Bracie Vangarde, zanotujcie, że oskarżony nie chciał odmówić modlitwy wraz z przesłuchującym oraz groził mu śmiercią – powiedziałem.

– Chcę! – znowu wrzasnął Tintallero. – W każdej chwili chcę. *Ojcie nasz...* – zaczął, a ja dałem stojącemu za jego plecami katu dyskretny znak.

Kat leciuteńko podciągnął linę, ale to wystarczyło, aby kanonik zatchnął się, zakrztusił i zadławił powietrzem.

– W czasie próby odmówienia modlitwy oskarżony dostał niczym nie spowodowanego ataku duszności, a święte słowa nie przeszły mu przez gardło – podyktowałem Vangarde’owi.

– Nie szkodzi – uśmiechnąłem się do kanonika. – Spróbujemy później. Pietro Tintallero, czy potwierdzasz, że przebrany w koźli strój przyjmowałeś hołdy szatańskiego sabatu?

– Zaprzeczam! Z całej duszy zaprzeczam!

– Jak więc wyjaśnisz, że śludzy Świętego Officjum i towarzyszący im patrol straży miejskiej oraz członkowie straży cechowej znaleźli cię w podziemiach domu należącego do kupca Wildebrandta? Wobec świadectwa potwierdzonego zeznaniami oraz podpisami, siedziałeś na obleczonym czerwoną materią tronie z koźlą czaszką w dłoniach. Na ścianach wymalowano napisy Szatan, Szatan, Szatan. U twoich stóp znaleziono kości, które biegli

medycy zidentyfikowali jako kości niemowląt obojga płci. Na posadzce krwią ludzką wymalowano heretyckie pentagramy...

– Nie wiem! – zawrzasnął. – To ta dziewczka! Ta wszeteczna dziewczka! Nic nie pamiętam!

– Pietro – oparłem mu lekko dłoń na ramieniu. – Zrozum mnie dobrze, jestem tu, by ci pomóc. Byśmy razem mogli wyjaśnić wszystko, i jeśli trzeba, odrzucić te podłe zarzuty. Może ktoś, widząc twój święty zapał, chce cię pogрузić w ludzkich oczach? Lecz nie bój się, bo zaręczam, że jeśli jesteś bez winy, wyjdiesz stąd z podniesionym czołem. Wszak Pismo mówi: *tak więc przejęci bojaźnią Bożą przekonujemy ludzi, wobec Boga zaś wszystko w nas odkryte*. – Ująłem jego twarz w swoje dłonie. – Uwierzcie mi, księże kanoniku, że jestem tylko po to, by wam jak najpokorniej służyć. Przyznam, że istniała niegdyś między nami różnica zdań, ale teraz to wszystko już przeszłość. Błagam was na kolanach, panie Tintallero, dajcie sobie pomóc, walczmy razem z Szatanem!

Patrzyłem mu prosto w oczy i zauważyłem, że w jego wzroku coś pękło. Zaszlochał.

– Ja nic nie wiem – jęknął. – Byłem w ogrodzie, a potem nic nie pamiętam.

– Opowiedzcie wszystko po kolei, Pietro. Będziemy was cierpliwie słuchać. Opuść no sznur – rozkazałem katu. – Niech ksiądz kanonik stanie wygodnie.

– Wybacz, Mordimer, ale nie możemy tego zrobić – rzekł ostro Keppel. – Prawo mówi wyraźnie co i jak wypada nam czynić oraz w jakiej kolejności. Wolałbym, abyś przestrzegał procedur.

Wzruszyłem bezzadnie ramionami.

– Wybaczcie, księże. Biurokracja. Mówcie, proszę.

– Ta gamratka wyznaczyła mi spotkanie po zachodzie słońca. W ogrodzie kościoła Miecza Chrystusowego – powiedział szybko. – Znalazłem się z nią w altanie, a potem, potem... potem już nic nie pamiętam.

– Kim była ta kobieta?

– Nnnie wiem...

– Pietro, tylko prawda może cię zbawić. Nie kłam w obliczu Pana Naszego Jezusa Chrystusa. – Pokazałem mu obraz Jezusa Zstępującego z Krzyża, który zajmował poczesne miejsce na ścianie za stołem, przy którym siedzieli inkwizytorzy – On patrzy na ciebie.

– To była jej siostra. – Opuścił wzrok. – Siostra małej Gudolf...

– Emma Gudolf, oskarżona o czarostwo, herezję oraz wiele innych pomniejszych przestępstw zmarła po dwóch przesłuchaniach – wyjaśnił sucho Keppel.

– *Jeśli ktoś przychodzi do was przynosząc herezję, nie przyjmujcie go do domu i nie pozdrawiajcie go. Albowiem kto go pozdrawia, staje się współuczestnikiem jego złych czynów* – zacytowałem słowa Pisma. – Dlaczego spotkałeś się z siostrą czarownicy, Pietro? Aby cudzołożyć z nią w cieniu kościelnego krzyża?

– Ja nie myślałem, że to jest w cieniu... – zająknął się. – Żądza mnie zaślepiła. – Rozpłakał się nagle, a łzy ciekły ciurkiem po jego wykrzywionej twarzy. – Ale tylko temu

jestem winny, przysięgam na Boga! I tylko w myśli, bo nawet nie zdążyłem zgrzeszyć uczynkiem!

Odwrociłem się i wymieniliśmy z Keppelom rozbawione uśmiechy.

– Zanutujcie, że oskarżony przyznał się do uprawiania cudzołóstwa z kobietą pochodzącą z rodziny czarownic – powiedziałem.

– Cieszę się, Pietro, że odbieramy cię Szatanowi. Pamiętaj, bracie, sam święty Jan powiedział: *Nie znam większej radości nad tę, kiedy słyszę, że dzieci moje postępują zgodnie z prawdą*. Im chętniej dzielisz się z nami prawdą, tym usilniej odsuwasz się od tego, który jest ojcem wszelkiego kłamstwa.

– Bę-dę po-ku-to-wał – wyjęczał. – Pościł, chodził we włosienicy, biczował się. Przy-sięgam.

– Grzeszyłeś, Pietro?

– Grzeszyłem, grzeszyłem, ale chcę odkupić winyyyyy...

– Czy to nie ty, Pietro, powiedziałeś przesłuchując Emmę Gudolf, że *zapłatą za grzech jest śmierć*, jakże celnie cytując słowa świętego Pawła?

– Ja?

– Pietro, mój najdroższy przyjacielu – powiedziałem. – Zanim dojdziemy do pokuty, czas jeszcze na spowiedź oraz skruchę. Opowiedz nam o sabacie.

– Nic nie wieeeem! Uwierz mi, nie wiem, nie wiem, nie wiem...

– Kochany Pietro. – Odsunąłem się dwa kroki od niego, a mój głos stał się zimny i twardy. – Pozwól, że objaśnię ci działanie narzędzi.

– Nie, proszę! – załkał. – Nie zostawiaj mnie!

– Jestem tuż przy tobie, Pietro – rzekłem, ocieplając głos. – Gotów służyć ci, kiedykolwiek mnie zawołasz. Opowiedz nam o sabacie...

– Neeeeee wieeeem! – rozplakał się tak żałośnie, że nikt nie pomyślałby, iż mamy przed sobą oprawcę, który kazał zamęczyć dziesiątki podsądnych.

Był jednym z tych, którym sprawianie cierpienia innym ludziom przychodzi łatwo jak splunięcie. Sami natomiast są delikatni niczym kruche, winijskie kryształ, które nawet lekko uderzone odzywają się jękliwym odgłosem pękającego serca.

– Mój drogi Pietro. Wystarczy tylko pociągnąć drugi koniec liny, by twoje związane na plecach ręce zaczęły wyginać się w stronę głowy. Coraz wyżej i wyżej. W końcu puszcza stawy, pękają kości i zostaną zerwane ścięgna. Twoje ręce znajdą się równoległe do głowy, co sprawi ci nieznośny ból. W piersiach zrobi się głęboki dół, w który wpadnie głowa, a wszystkie żebra, kości, stawy i żyły staną się tak wydatne, że będzie je można policzyć. Wprawny kat potrafi rozciągnąć ciało w taki sposób, iż będzie przez nie przebłykiwać płomień świecy.

Urwałem na chwilę, by przyjrzeć się, czy moje słowa zrobiły wrażenie na oskarżonym, i z satysfakcją stwierdziłem, że zrobiły. W końcu nie raz, nie dwa i nie dziesięć sam kazał

stosować tę torturę, więc mógł dokładnie poznać efekty jej działania.

– To pospolita męka stosowana przy przesłuchaniach, ale pospolitość nie kłóci się w tym wypadku ze skutecznością – dodałem.

Podszedłem do kąta przy palenisku, gdzie równo ułożone leżały narzędzia nie wymagające nagrzewania. Podniosłem dwie żelazne płyty połączone śrubami i ponabijane od środka grubymi, zaostrozonymi guzami. Zbliżyłem się do kanonika, który obserwował mnie z przerażeniem.

– Oto żelazne buty – wyjaśniłem. – Nakłada się je na goleń i łydkę, a potem zaśrubowuje. Umieszczone wewnątrz, naostrzone guzy zgruchoczą kości twych nóg, rozerwą mięśnie i ciało. Po zaśrubowaniu kat może ostukać buty młotkiem, by potęgować boleść, rozgrzać je w palenisku lub między metal a ciało wbić zaostrome kliny.

– Błagam – wyszeptał.

– To ja cię błagam, Pietro. Nie pozwól nam, byśmy skorzystali z tych narzędzi.

– Jestem niewinny!

Och, mili moi, jak wiele razy słyszałem te gorące i pełne rozpaczny zapewnienia. Lecz tym razem nawet, gdybym chciał, nie mogłem im dać posłuchu.

– Kochani bracia – zwróciłem się do inkwizytorów. – Z wolą to waszą, czy nie z wolą?

– Z wolą – odparł za wszystkich Keppel, a ja wtedy dałem znak katu.

Oprawca szarpnął koniec liny i związane z tyłu dłonie kanonika powędrowały gwałtownie w górę, na wysokość głowy. Tintallero zawył tak, że zagłuszył chrupot wyłamywanych stawów. Kat podszedł i przytknął do nagiego boku kanonika płonącą, nasmoloną żagiew. Trzymał ją na tyle długo, by ciało zaskwierczało w płomieniu i pokryło się czarnym, spękany nalotem. Potem odsunął się i zwolnił nieco linę. Kanonik mógł już teraz stanąć na pełnych stopach, a ramiona wróciły do naturalnej pozycji. Przestał wyć, głowa opadła mu na piersi i tylko płakał rozpaczliwie. Twarz miał pokrytą potem, flegmą oraz krwią z przygryzionych warg i języka.

Pogłaskałem go po głowie.

– Nie pozwól, by sprawiano ci ból, Pietro – szepnąłem. – Bóg Wszechmogący uczynił sobie świątynię z naszych ciał i nie wolno nam niszczyć tej świątyni. Poddaj się woli Bożej, przyjacielu. Oczyść się w strumieniu wiary i prawdy. Pozwól, że pokropię cię hyzopem i obmyję, by twoja dusza wybielała nad śnieg.

– Ja-a-a kocha-a-am Boga-aa – zapłakał mi w ramię.

– Pomóż nam więc, Pietro. Nie poradzimy sobie bez twojej wiary, ufności i miłości.

Opowiedz nam wszystko, przyjacielu, byśmy jeszcze dziś mogli razem odmówić szczerą modlitwę dziękczynną, wznosząc nasze serca do Pana.

– Prze-ecież mogę się przy-yznać do wszystkie-ego, ale to nie będzie pra-awda...

– Pietro, czy to nie ty, prowadząc przesłuchanie Emmy Gudolf, powiedziałeś, że: *kto przyznaje się do winy ten jest winien, gdyż człek prawy wytrzyma nawet najsroźsze tortury do*

końca, wielbiąc Pana i odrzucając fałszywe oskarżenia?

– Już nie pamiętam...

– Nie pamiętasz, czy nie chcesz pamiętać, Pietro? Opowiedz nam, proszę, o sabacie.

Dlaczego odbywał się tu w mieście, a nie na Ropuszym Wierchu?

– Rupercim Wierchu – zaszlochał.

– Wierzę, że lepiej niż ja znasz miejsca sabatów – przyznałem łagodnie. – Zanotujcie, bracie – zwróciłem się do Vangarde’a – że oskarżony ujawnił, gdzie odbywają się sabaty.

– Ja nie wiem gdzieeee! Puśćcie mnie, nic nie wieeeem...

Dałem znak katu i okrzyki kanonika ustąpiły miejsca przeciągiemu wyciu. Oprawca znowu zbliżył się z pochodnią w dłoni i przystawił ją do pachy oskarżonego.

– Opowiedz nam o sabacie, Pietro – szepnąłem kanonikowi prosto do ucha, a kiedy kat odszedł i opuścił linę, powtórzyłem: – Sabat, Pietro, sabat. Jak często brałeś w nim udział?

Spojrzał na mnie, a w jego oczach był porażający strach, ból i niezrozumienie.

– Nie pamiętam – rzekł z rozpaczą. – Nie pamiętam, jak często.

– Przypomnisz sobie. – Położyłem czule dłoń na jego usmarowanym krwią policzku. – Wszystko sobie przypomnisz...

Epilog

Drzwi huknęły o ścianę, a ja odwróciłem się gwałtownie. Zobaczyłem, że w progu stoi młody, barczysty ksiądz. Za nim tłoczyło się kilku zbrojnych.

– Mordimer Madderdin? Inkwizytor? – zapytał szorstko, a i tak byłem przekonany, że świetnie zna odpowiedź.

Wolno skinąłem głową.

– Jesteście aresztowani – rzekł. – I z rozkazu Jego Świątobliwości, Ojca Świętego Pawła XIII, macie zostać natychmiast przewiezieni do Stolicy Apostolskiej. Tam zostaniecie uwięzieni w Zamku Aniołów oraz przesłuchani. Tam też będziecie oczekiwać na wyrok.

– O co jestem oskarżony? – zapytałem spokojnie, bo w końcu takiego właśnie biegu spraw można się było spodziewać.

Spojrzał mi prosto w oczy i uśmiechnął się wrednie.

– O spisek, sprzyjanie herezji, składanie fałszywych zeznań, fałszerstwo oficjalnych dokumentów, uwięzienie i torturowanie dostojników Kościoła bez podstaw formalnych oraz prawnych, cudzołóstwo, sodomie, oddawanie czci Szatanowi... I o co jeszcze tylko chcecie, bo za samo to, co wymieniłem, powinno was się spalić nie raz, a sto razy.

Był bardzo pewny siebie i bardzo arogancki. Mogłem go zabić. I jego, i tych komicznych strażników za progiem drzwi, którzy ustawili się w ten sposób, że po pierwsze, nawet nie mogliby skutecznie użyć broni, a po drugie, przeszkadzaliby sobie nawzajem. Przez chwilę nawet leniwie się zastanawiałem, czy nie wbić zuchwałemu księdzu noża pod żebra. Chętnie zobaczyłbym wyraz zdumienia na jego twarzy i chętnie spoglądałbym w jego oczy, kiedy uciekałoby z nich życie.

Ale zachowałem się tak, jak od wieków zachowywał się niemal każdy niesłusznie oskarżony. Posłusznie wyciągnąłem przed siebie dłonie i dałem je skuć kajdanami. Czy wierzyłem, że po przesłuchaniu w Zamku Aniołów papież każe mnie oczyścić z zarzutów i wypuścić na wolność? Że zostanie mi przywrócona koncesja? Dobry żart! Oczywiście, że nie wierzyłem w to wszystko. Miałem nieśmiałą i niezwykle słabiutką nadzieję, iż może dzięki jakiemuś szczęśliwemu zbiegowi okoliczności, uda mi się ocalić życie. Może cichutko i nieśmiało liczyłem na interwencję mojego Anioła Stróża, o którym sądziłem, że uważał mnie za użyteczne narzędzie? Ale wiedziałem też, że Aniołowie wspomagają silnych, a ich myśli szybują w przestrzeniach nieprzeniknionych dla zwykłego śmiertelnika.

Nie uciekałem tylko z jednego powodu. Gdybym to zrobił, przyznałbym się do popełnionego błędu. Tymczasem ja postępowałem, jak nakazywały mi święte zasady wiary, a może raczej tak, jak pojmowałem je mym wątłym umysłem.

* * *

Musieli zdawać sobie sprawę z mych zdolności i zastanawiać się, czy desperacja nie popchnie mnie do gwałtownych czynów. W związku z tym siedziałem w siodle, mając dłonie związane na plecach. Nogi obwiązano mi dodatkowym sznurem, który przechodził pod końskim brzuchem, tak jak popręg. Cóż, gdyby wierzchowiec poniósł, miałbym się zapewne z pyszna, ale dwóch strażników cały czas jechało tuż przy mnie. Jeden z nich nawet trzymał wodze mojego konia. Z rozmów wywnioskowałem, że zatrzymamy się w miejscowości Lutzen, do której mieliśmy zmierzać na skróty przez leśny trakt. Ale pod wieczór sprawy się skomplikowały. Ksiądz (przedstawił się jako Anselmo de Torres y Gonada i jeśli było to nazwisko, z którym przyszedł na świat, to ja byłem biskupem) nagle wstrzymał rumaka i zaczął nerwowo przeszukiwać kieszenie płaszcza oraz kaftana, a potem nawet juki.

– Muszę wracać do Wittingen – rzekł wściekłym tonem i spojrzał w taki sposób, jakby właśnie mnie winił, że pozostawił w mieście dokumenty.

– Wy dwaj – wskazał strażników jadących strzemię w strzemię ze mną. – Zostańcie na polanie obok i czekajcie. Pod żadnym pozorem – spojrzał ostro – nie wolno wam rozwiązać więźnia. Zdejmijcie go z konia, ale potem zwiążcie mu nogi z powrotem. Zrozumiano?

Zawrócił wierzchowca, skinął na dwóch pozostałych przybocznych i galopem odjechali w stronę Wittingen. Tymczasem moi strażnicy rozwiązyli linę pod końskim brzuchem, a zdjęcie mnie z siodła polegało na tym, iż jeden z nich szarpnął mnie za kapotę i zrzucił na ziemię.

Wywaliłem się jak długi i w ramieniu coś nieprzyjemnie mi trzasnęło. Zaraz posadzili mnie pod drzewem i spętali mi dokładnie stopy. Potem dopiero zajęli się rozpaleniem ognia, wyjęli z juków mięso, ser oraz piwo. Jeśli sądzicie, mili moi, że waszemu uniżonemu słudze zaproponowano posiłek, to głęboko się mylicie.

Wreszcie, kiedy się już nażarli, dostrzegłem, że zaczynają mi się przyglądać z ciekawością chłopców, którzy znaleźli szczególnie interesującego robaka i na razie nie są jeszcze pewni, co należałoby z nim zrobić.

– Patrz, takie heretyckie ścierwo tu leży, a my nic. – Jeden ze zbrojnych zagmierał patykiem w żarze ogniska. Jego towarzysz zaśmiał się.

– Może by go przypiec? – zapytał cicho.

– Ksiądz Anzelmo się pogniewa – bąknął pierwszy i wyjął kij, przyglądając się rozżarzonemu do czerwoności końcowi.

– Szturchnij go tylko, inkwizytora, taka jego mać – namawiał drugi.

Zbrojny podniósł się od ognia i zbliżył do mnie, trzymając kij w wyciągniętej dłoni. Leżałem spokojnie, obserwując go spod niemal zamkniętych powiek. Czerwono żarzący się koniec zatańczył przed moimi oczami. I wtedy rzuciłem głowę w bok, jednym susem zerwałem się na równe nogi i wyrznąłem napastnika czołem prosto w pierś. Upadł, a ja z rozpędu zwałem się na niego. Niewiele już mogłem zdziałać, mając dłonie związane na plecach, ale huknąłem go jeszcze tylko głową w twarz. Usłyszałem chrupnięcie kości i poczułem, jak jego krew zalewa mi usta.

– O żesz ty – wrzasnął drugi strażnik i kątem oka zobaczyłem, że wznosi miecz, by uderzyć mnie nim w czerep.

Jestem pewien, że trafiłby płazem, tak, aby tylko ogłuszyć, gdyż nie pogłaskano by go po głowie za zabicie człowieka wiezionego na proces do samego Ojca Świętego. Jednak zanim miecz zdołał opaść, usłyszałem świst i zobaczyłem grubą strzałę wbijającą się prosto w pierś napastnika. Zacerpnął chrapliwie powietrze do płuc, a na jego kaftanie wykwitła szkarłatna plama. Okręcił się wokół własnej osi, postąpił dwa kroki i padł twarzą prosto w ogień. Wokoło sypnęły się iskry.

Obróciłem się w stronę, skąd nadleciał pocisk, i ujrzałem, że zza drzew wychodzi dwóch kuszników oraz ogromny człowiek w czarnym habicie z kapturem okrywającym głowę. Zmrużyłem oczy, gdyż jego postać wydała mi się znajoma. A kiedy zbliżył się tak, że znalazł się w kręgu rzucanego od ognia światła, wiedziałem już, że to właśnie on.

– Marius von Bohenvald – powiedziałem głosem. – To prawdziwa radość widzieć cię w tych okolicznościach.

Odrzucił kaptur i zobaczyłem jego twarz. Białą, nalaną i ogromną jak księżyc w pełni. O trzech wylewających się na kołnierz kaftana podbródkach. Roześmiał się dobroduszenie, ale jego pocziwy śmiech oraz pocziwy wygląd mógł zmylić wszystkich, lecz nie mnie. Marius von Bohenvald, a raczej człowiek, którego znałem pod tym mianem, był bowiem

inkwizytorem służącym w najtajniejszym, wewnętrznym kręgu Inkwizytorium. Nie chciałem nawet myśleć, czym się zajmuje, ale miałem niejakię pojęcie o jego niezwykłych zdolnościach oraz możliwościach. Kiedyś uratował mi zresztą życie. I wtedy zapowiedział, że jeszcze się spotkamy.

– Niemal zawsze kiedy cię widzę, Mordimerze jesteś spętany niczym wół. – Klasnął w dłonie, jakby mój widok serdecznie go ubawił. – Zajmijcie się nim – rozkazał swoim ludziom. – I wyjmijcie ciało z ognia, bo śmierdzi...

Rozciąłem mi więzy na nogach i dłoniach, a ja wstałem, masując opuchnięte nadgarstki. Ogłuszony przeze mnie strażnik gramolił się ciężko z ziemi i jęczał coś do siebie. Jeden z ludzi Mariusa stanął za nim, szarpnął go za włosy i poderżnął mu gardło. Potem bez słowa wytań ostrze w kaftan zabitego i schował nóż do pochwy.

– A gdzie ojciec Anzelmo? – zagadnął Marius, sadowiąc się przy ogniu i wyciągając dłonie do płomieni. – Wracajcie do koni – rozkazał ludziom, a oni odeszli i zniknęli w mroku lasu.

– Musiał zawrócić po papiery do Wittingen – wyjaśniłem.

– Bałagan – parsknął. – Ech, ci księża. Zaczekamy na niego, Mordimerze, prawda?

– Jak sobie tylko życzysz – odparłem uprzejmie.

Nie miałem pojęcia, dlaczego się pojawił i czego ode mnie chciał. Czy przybył, by mnie uratować, czy też zamierzał postawić mnie przed sądem wewnętrznego kręgu? Jeśli to drugie, mogłem jedynie żałować, że nie zdecydowałem się na walkę z ludźmi księdza oraz ucieczkę. Chociaż Marius von Bohenwald i tak dopadłby mnie, kiedy tylko by chciał.

Strażnicy wychlali wcześniej całe piwo, ale przeszukałem ciała i przy jednym znalazłem bukłak. Odszpurowałem go i powąchałem zawartość.

– Gorzałka – westchnąłem. – Lepsze to niż nic. – Wyciągnąłem dłoń w stronę Mariusa, lecz on pokręcił tylko odmownie głową.

Ja natomiast tyknąłem solidnie. Gorzałka była wyjątkowo mocna i wyjątkowo śmierdząca, ale miło rozgrzewała ciało od środka. Od razu jakoś poweselałem, chociaż nadal nie wiedziałem, jak długo jeszcze pożyję i czy przypadkiem jutro lub pojutrze moim jedynym marzeniem nie będzie szybka śmierć.

– Czy widzisz czasem Enyę? – zapytałem, gdyż jasnowłosa zabójczyni, z którą spędziłem kilka uroczych dni oraz nocy, wryła mi się mocno w pamięć.

– Niezłego bałaganu narobiłeś w Wittingen, Mordimerze – powiedział, nie usiłując nawet udawać, że zamierza odpowiedzieć na moje pytanie.

– Ośmielałem się stwierdzić, iż raczej starałem się tam zaprowadzić porządek – powiedziałem.

– Słowa, słowa, słowa – mruknął. – Kanonik Tintallero w roli lidera sabatu i wyznawcy kultu Szatana oraz jego przybocznicy jako członkowie tegoż sabatu, nie wszystkim się spodobałi. Powiem więcej: niektórzy uznali to wręcz za zniewagę. Jednak ja podziwiam twoje

poczucie humoru.

Uśmiechnąłem się do własnych myśli, bo przypomniła mi się mina kanonika, kiedy obudził się w celi odziany jedynie w kozłi strój. Pamiętałem też, jak umierał w płomieniach, głośno dziękując Świętemu Officjum, że naprostowało poplątane ścieżki jego życia. Mogłem się domyślić, że von Bohenwald wiedział, iż to ja byłem reżyserem interesującej sztuki, noszącej tytuł „Upadek i śmierć kanonika Tintallero”. Ale udowodnić nic mi nie było można. Zwłaszcza, że Kostucha oraz bliźniaków wysłałem daleko od Wittingen zarówno ze względu na ich, jak i własne bezpieczeństwo.

– Przyznał się do wszystkiego – odparłem. – I przed śmiercią szczerze żałował grzechów.

– Jeśli przesłuchujący zechce, przesłuchiwany przyzna się nawet do tego, że jest zielonym osłem w pomarańczowe ciapki – rzekł Marius, pocieszenie krzywiąc twarz. – Od kogo ja mogłem słyszeć ten jakże ujmujący dowcip, co Mordimerze?

Patrzyłem na niego długą chwilę w milczeniu i nagle zdałem sobie sprawę, że cytuję moje własne słowa, wypowiedziane podczas słynnego wieszania w Biarritz. Skąd, na Boga, mógł wiedzieć, co się wtedy działo? Czy znajdowałem się pod aż tak ścisłą kontrolą i obserwacją wewnętrznego kręgu Inkwizytorium? A jeśli tak, to z jakich powodów?

– Nieważne. – Machnął dłonią. – Czy wiesz, co miało stać się w Wittingen, Mordimerze? Miała się tam narodzić nowa inkwizycja. Podległa tylko Ojcu Świętemu i kierowana przez naszego przyjaciela, kanonika Tintallero. Wittingen było ledwie pierwszym krokiem, a ja wiem, które miasta miały być następne...

– To szalona myśl – stęknąłem, starając się ogarnąć ogrom implikacji wynikających z tego, co właśnie usłyszałem.

– O, tak, szalona – potwierdził. – Jak najbardziej szalona. Odrzucić Święte Officjum, niczym znoszony łąch? Oddalić najwierniejsze sługi wiary? Wymienić profesjonalizm na dyletancki zapal, a zamiast kontrolowanego ognia ponieść kataklizm pożarów, w których miało się wyhartować nowe ostrze? Ostrze, które prędzej czy później, a raczej prędzej, zwróciłoby się przeciwko tym, którzy są... Właśnie czym są, Mordimerze?

– Sługami Bożymi, młotem na czarownice, mieczem w ręku Aniołów – odparłem bezwiednie, nawet nie zastanawiając się, co mówię.

– Właśnie. Tak więc masz świętą rację, Mordimerze. To była całkowicie szalona myśl. Spojrzał na mnie nagle i roześmiał się.

– Nie myśl tylko, że zmieniłeś bieg historii. Ocaliłeś spokój, no, może lepiej powiedzieć: względny spokój, Wittingen, ale los tego szaleństwa był dawno przesądzony. My, pokorni słudzy Boży, nie rościmy sobie przecież praw do zmiany świata, a tylko pragniemy służyć naszej świętej wierze oraz prawu i sprawiedliwości, tak jak je... – Spojrzał na mnie i czekał, aż dokończę zdanie.

– ...pojmujemy naszymi wątłymi umysłami – wyszeptałem.

Pokiwał głową, zgadzając się z moimi słowami. Milczeliśmy długą chwilę, a setki myśli

galopowały mi w głowie.

– Ach, i jeszcze jedno – odezwał się w końcu. – Chciałbyś zapewne wiedzieć, Mordimerze, co się z tobą stanie?

– Pójdziemy na piwo i dziwki? – Ocknąłem się ze stuporu, w który wprowadziły mnie jego wcześniejsze słowa. Uśmiechnąłem się bezczelnie, bo było mi wszystko jedno.

– Tak jak zaznaczyłem, lubię twoje poczucie humoru – rzekł po chwili. – Ale musisz uważać, by na dłuższą metę nie stało się ono uciążliwe – westchnął głęboko. – Zostaniesz uwolniony od winy i kary, a twoja koncesja będzie przywrócona.

– Ha – powiedziałem, gdyż nic innego nie przyszło mi do głowy. – Dziękuję, Mariusie.

– Twój dług u mnie niebezpiecznie rośnie – rzekł żartobliwym tonem, ale ja doskonale zdawałem sobie sprawę, że prędzej czy później von Bohenwald wystawi mi rachunek.

Wtedy usłyszeliśmy gwar rozmowy i końskie rżenie. Stojące opodal konie martwych strażników zarżały w odpowiedzi. W kręgu światła pojawił się ksiądz Anzelmo i jego dwóch żołnierzy. Szybkim spojrzeniem ogarnął sytuację i wrzasnął: „Do broni!”. Ale zanim jego ludzie zeskoczyli z siodeł, zafurkotały strzały i obaj zwalili się na ziemię z grotami sterczącymi z piersi. Obaj też umarli tak szybko, że nawet nie zdążyli jęknąć. Marius podniósł się wolno od ognia i podeszedł do osłupiałego księdza.

– Zejdźcie no z siodła – rozkazał spokojnie.

Anzelmo, blady niczym śmierć, zeskoczył na ziemię. Von Bohenwald wyci ągnął z
zanadza jakiś papier i podetkał mu pod nos.

– Czytajcie – rzekł. – Byście wiedzieli, kim jestem.

Ksiądz zbliżył się do ogniska, aby mieć lepsze światło, i przebiegł wzrokiem po tekście. Nawet w różowawym poblasku płomieni zauważyłem, że jego twarz staje się jeszcze bledsza. Chociaż przed chwilą taka metamorfoza nie wydawała mi się już możliwa. Złożył starannie kartę i oddał ją Mariusowi z pochyloną głową. Widziałem, że drżą mu dłonie.

– Jakie macie dla mnie polecenia? – zapytał słabym głosem.

– Pokażcie mi wasze rozkazy.

Ksiądz sięgnął za pazuchę i wyjął złożone w czworo karty.

– To na pewno wszystko? – spytał Marius.

Widząc potakujący gest księdza, uśmiechnął się, przedarł dokumenty i resztki wrzucił do ognia. Patrzył, jak płomienie liżą karty, jak pergamin ciemnieje i kurczy się w żarze. Przyglądał się temu tak długo, dopóki wszystko nie zwęgliło się na popiół.

– Możesz wracać do Wittingen, księżu – rozkazał obojętnie. – Tam oddasz się do dyspozycji miejscowego oddziału Inkwizytorium.

Anzelmo przelknął głośno ślinę, wydawało się, że chce coś powiedzieć, ale potem tylko skłonił się nisko, odwrócił i dosiadł konia. Po chwili zniknął w ciemności.

– Mogłeś podrzeć dokumenty ze Stolicy Apostolskiej? – spytałem tak cicho, że wydawało mi się, iż ledwo słyszę własny głos. – Rozkazy samego Ojca Świętego?

– Ojca Świętego? – Zerknął w moją stronę. – Którego?

Spojrzałem na niego, zastanawiając się, czy jest przy zdrowych zmysłach. Zresztą już przy poprzednim spotkaniu miałem co do tego wątpliwości. Których – rzecz jasna – nie wyrażałem, gdyż niebezpiecznie jest, mili moi, powątpiewać o poczytalności człowieka mającego władzę nad waszym losem.

– Jego Świątobliwość Paweł XIII zginął w nieszczęśliwym wypadku w czasie polowania – wyjaśnił smutnym tonem Marius. – Boże, daj wieczne zbawienie jego duszy.

Przeżegnałem się machinalnie.

– I większość dekretów została natychmiast unieważniona przez następcę Ojca Świętego na tronie Stolicy Chrystusowej, naszego nowego papieża, Jego Świątobliwość Pawła XIV. Boże, miej go w swej opiece.

Znowu się przeżegnałem, a w głowie miałem pustkę.

– Kiedy to się stało? – zapytałem słabym głosem.

– Ojciec Święty Paweł XIII zginął tydzień temu, a wczoraj konklawe zdecydowało o wyborze następcy...

– Wczoraj – przerwałem mu. – I ty wiesz, co wydarzyło się wczoraj w Stolicy Apostolskiej? To jakiś... żart, Mariusie?

Wiedziałem, że kurier pędzący na rozstawnych koniach z Hezu do Stolicy Apostolskiej potrzebuje dwóch tygodni, by osiągnąć cel. I to tylko wtedy, jeśli nie zdarzy się nic nieoczekiwanego, a pogoda będzie dobra. Skąd więc Marius von Bohenwald mógł wiedzieć, co wydarzyło się na papieskim dworze? Odpowiedź byłaby zatrważająco prosta. Musiał zostać poinformowany przez Aniołów, dla których czas oraz przestrzeń nie miały przecież znaczenia. A komu podlega – pomyślałem – wewnętrzny krąg Inkwizytorium? Na pewno nie Jego Ekscelencji biskupowi Hez-hezronu, tak jak reszta inkwizytorów. Do tej pory sądziłem, że władzę nad wewnętrznym Inkwizytorium ma papież. Ale teraz olśniła mnie myśl, że kierują nim (w taki lub inny sposób) sami Aniołowie, wydając polecenia ludziom pokroju Mariusa! Czy takim poleceniem mogło być sprokrowanie nieszczęśliwego wypadku na polowaniu? Zabicie człowieka, ośmielającego się zastanawiać nad tym, czy można zastąpić Święte Officjum?

– Chciałbyś o coś zapytać, Mordimerze? – zagadnął van Bohenvald łagodnym tonem.

– Nie – odparłem szybko. – Ale jestem szczerze wdzięczny, że dałeś mi taką szansę, Mariusie.

Patrzył na mnie i uśmiechał się wyrozumiale. Położył mi dłoń na ramieniu.

– Ja jednak odpowiem na twoje pytanie, przyjacielu, pomimo że go nie zadałeś. A wiesz dlaczego?

Pokręciłem przecząco głową.

– Dlatego, że zarówno w twoim, jak i moim sercu płonie żar prawdziwej wiary, Mordimerze – odparł. – A właśnie on pozwala nam czynić rzeczy, które w innym wypadku

byłyby zbrodnią.

Uśmiechnął się, po czym poklepał mnie lekko, niemal pieszczotliwie, po policzku.

Odwrócił się i odszedł wolnym krokiem w stronę ludzi, którzy czekali na niego przy koniach.